III. I, 16,5-2

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/gostaberling0000selm

BIBLIOTEKA
NARODOWA

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA

TOM 29.

SELMA LAGERLÖF

GÖSTA BERLING

LWÓW—POZNAŃ 1924
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

SELMA LAGERLÖF

GÖSTA BERLING

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
F. MIRANDOLI.

LWÓW—POZNAŃ 1924
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

Printed in Poland

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
DRUKARNIA SPÓŁKI ZJEDNOCZENIA MŁODZIEŻY, W POZNANIU.

SPIS RZECZY:

WSTĘP: Strona:

Proboszcz 3
Żebrak 13

LEGENDA GÖSTY BERLINGA:

Krajobraz 31
Wigilja 36
Uczta świąteczna 50
Gösta Berling, poeta 62
Kaczucza 77
Bal w Ekeby 82
Stare pojazdy 103
Wielki Niedźwiedź z Gurlity 119
Wysprzedaż w Björne 134
Młoda hrabina 162
Bajki o duchach 186
Dzieje Ebby Dohna 199
Mamzel Marja 220
Kum Kristoffer 232
Drogi życia 238
Pokuta 252
Żelazo ekebijskie 263
Osiedle Liliencrony 277
Czarownica z Gór 283
Lato 288

Strona:

Muzyka 292
Proboszcz z Broby 301
Mistrz Juljusz 308
Święci z gliny 316
Wysłannik Boży 324
Cmentarz 337
Stare pieśni 342
Skon wybawca 354
Susza 362
Matka 375
Amor vincit omnia 384
Dziewczyna z Nygaardu 391
Kevenhüller 406
Jarmark w Broby 420
Skarb proboszcza 429
Małgorzata Celsing 459

WSTĘP

PROBOSZCZ.

Wkońcu stanął proboszcz na kazalnicy, a uczestnicy nabożeństwa podnieśli głowy. Był tu w istocie, więc nie zbraknie kazania tej niedzieli, jak zeszłej i wielu, wielu poprzednich.

Proboszcz był młodzieńcem smukłym i urodziwym bardzo. W hełmie na głowie, z mieczem u boku i w zbroi, mógłby śmiało stanowić model posągu marmurowego, nazwanego imieniem najpiękniejszego z Greków.

Miał głębokie oczy poety, silnie zarysowany, a krągły podbródek wodza. Wszystko w nim było piękne, wyraziste, przepojone oryginalnością i duchem.

Parafjanie doznali na jego widok dziwnego przygnębienia. Nawykli patrzyć, jak wychodził chwiejnie z szynkowni, wraz z towarzyszami zabaw, pułkownikiem Beerencreutzem o siwych, sumiastych wąsach, i mocarnym kapitanem Berghem.

Rozpił się tak dalece, że po całych tygodniach nie mógł pełnić swego urzędu, to też gmina wniosła skargę zrazu do dziekana, potem zaś do biskupa i kapituły. Biskup, ze złotym krzyżem na piersi, przybył właśnie na wizytację i zasiadł w chórze, otoczony kaznodziejami z Karlsztadu i okolicy.

Zachowanie proboszcza przekroczyło wszelkie granice, to pewna. W czasie onym, to znaczy latach dwudziestych zeszłego wieku, nie sądzono zbyt surowo pijaństwa, atoli proboszcz zaniedbał skutkiem nałogu swój urząd i miał go teraz utracić.

Stał na kazalnicy, czekając, aż przebrzmi ostatni wiersz psalmu.

Stojąc tak, uświadomił sobie, że ma w całym kościele, na wszystkich ławach, samych jeno wrogów. Właściciele ziemscy w loży, chłopi na dole, konfirmanci na chórze, wszystko to byli nieprzyjaciele. Wróg grał na organach, wróg kalikował, nienawidzili go wszyscy, aż do dzieci, przynoszonych na rękach do kościoła, i kościelnego, sucherlawego, dzielnego żołnierza, który brał udział w bitwie pod Lipskiem.

Proboszcz radby był rzucić się na kolana i błagać tych ludzi o zmiłowanie.

Zaraz jednak potem zawrzał gniewem. Pamiętał dobrze, jakim był, wstępując rok temu po raz pierwszy na tę kazalnicę. Nie ciężyła na nim żadna plama, teraz zaś stał tu, w obliczu człowieka o złotym krzyżu, który miał nań wydać wyrok.

Podczas odmawiania modlitwy krew mu raz po raz barwiła policzki, a był to gniew.

Pił w istocie, któż miał go atoli prawo potępiać? Czyż wszyscy widzieli plebanję, gdzie mu żyć padło? Ciemny bór sosnowy zazierał w same okna, krople wilgoci spadały z czarnych pował i ciekły po zapleśniałych ścianach. Potrzebna mu była wódka dla podtrzymania otuchy w czasie ulewy, czy zadymki śnieżnej, kiedy wichura wdzierała się przez rozbite szyby, a licho uprawne, jałowe pole nie dawało dość chleba dla zaspokojenia głodu.

Zdaniem własnem, był w sam raz takim proboszczem, na jakiego zasługiwali parafjanie. Pili zresztą wszyscy. Czemużby on jeden tylko miał się krępować? Wdowiec upijał się na stypie pogrzebnej żony, a ojciec po chrzcie dziecka. Parafjanie pili, wracając z kościoła, tak, że przybywali do domu nieprzytomni. Dla nich więc był w sam raz proboszcz pijaczyna.

Polubił wódkę podczas swych podróży urzędowych, kiedy musiał, w cienki płaszcz odziany, pędzić całemi milami po zamarzłych jeziorach, gdzie dęły wichry z wszystkich stron, i podczas żeglugi po tych samych jeziorach w otwartej łodzi wśród burzy, czy ulewy, a wreszcie w czasie jazdy saniami przez zaspy, kiedy to musiał schodzić i kopać koniowi drogę, a wkońcu podczas długiego brodzenia po bagniskach.

Dzień za dniem wlókł się leniwo. Chłop, czy szlachcic, przykuci byli zarówno silnie do ziemi i dopiero wieczór, przy wódce, rzucali kajdany. Przychodziło natchnienie serc, przepajał je żar, życie promieniało, rozbrzmiewał śpiew i pachniały róże. Wówczas szynk przemieniał mu się w ogród czarowny pod południowem niebem, ponad jego głową zwisały winogrona i oliwki, posągi marmurowe błyskały pośród ciemnej zieleni, a filozofowie i poeci spacerowali pod palmami i platanami.

Wiedział on, zaiste, stojąc tu, na kazalnicy, że w stronach tych żyć bez wódki niesposób. Wiedzieli też o tem słuchacze, a mimo to chcieli go potępić.

Umyślili zedrzeć zeń kapę dlatego, że pijany wszedł do domu bożego? Ha! Czyż ludzie ci mieli innego Boga poza wódką, czyż im się tak mogło wydawać?

Skończywszy modlitwę wstępną, odmówił pochylony: Ojcze nasz.

Podczas tego panowała w kościele głęboka cisza. Nagle chwycił proboszcz silną dłonią wstęgi, przytrzymujące kapę. Wydało mu się, że cała gmina z biskupem na czele wkrada się na kazalnicę, by go obedrzeć z niej. Klęczał, nie odwracając głowy, ale czuł, jak szarpią za wstążki, i widział dokładnie dziekanów, proboszczów, członków rady kościelnej, kościelnego i całą gminę. Dużo, dużo ludzi szarpało, chcąc zedrzeć zeń strój. Wyobraził sobie, jak wszyscy pospadają na dół po schodach, gdy wstążki pękną, wszyscy zlecą na dół, i ci także, którzy, nie mogąc szarpać sami, ciągną pierwszych za poły... tak się stanie niezawodnie.

Widział tę scenę tak dokładnie, że omal nie roześmiał się, klęcząc, jednocześnie zaś zimny pot oblał mu skronie. Było to wprost straszne.

Miał zostać wyrzutkiem, z powodu wódki! Czyż jest coś ohydniejszego na świecie od wypędzonego księdza?

Będzie żebrakiem, legnie pijany nad rowem, ubrany w łachmany przystanie do włóczęgów...

Skończył modlitwę i miał rozpocząć kazanie. Nagła myśl zatamowała mu słowa. Po raz oto ostatni stał na ambonie, po raz ostatni wolno mu było głosić słowo boże i wieścić boską chwałę.

Wzburzyło go to do żywego. Zapomniał o wódce i biskupie. Czuł, że musi skorzystać z tej sposobności, by uczcić Boga.

Posadzka kościoła zapadła gdzieś głęboko, dach został uniesiony, on zaś patrzył prosto w niebo. Stał na kazalnicy sam jeden, duch jego uleciał na skrzydłach do tronu Boga, a głos spotężniały jął głosić chwałę pańską.

Posiadał wyobraźnię. Nie tykał przysposobionego kazania, a myśli zlatywały doń z góry, niby oswojone gołębie. Wydało mu się, że ktoś zań mówi, a jednocześnie czuł, że jest to rzecz najwyższa na ziemi i że nikt sięgnąć dalej nie może jak on, kiedy tak stojąc, głosi bożą sławę.

Jak długo błyszczał nad nim płomyk natchnienia, mówił bez przestanku, gdy zaś zagasł, gdy dach zapadł na nowo nad kościołem, a podłoga wynurzyła się z przepaści, jął płakać klęcząc, wiedział już bowiem, że przeżył najpiękniejszą chwilę życia, która nie wróci.

Po nabożeństwie miano odprawić zebranie kościelne i wytoczyć śledztwo. Biskup spytał, czy gmina zanosi skargę na proboszcza.

Proboszcz nie był już zły i zuchwały jak przed kazaniem. Wstydził się i schylił czoło. Ach, myślał, teraz wyjdą na jaw wszystkie szkaradne awantury pijackie!

Ale nie wyszła ani jedna na jaw. U stołu gminnego panowała cisza.

Proboszcz spojrzał, naprzód na kościelnego... nie, milczał, potem na członków rady kościelnej, potem na chłopów, na właścicieli hut żelaza. . milczeli wszyscy. Pozaciskali usta i patrzyli z zakłopotaniem na stół.

Czekają, by ktoś zaczął, pomyślał proboszcz.

Nagle odkrząknął jeden z członków rady i rzekł:

— Sądzę, że mamy dobrego proboszcza.

— Ksiądz biskup słyszał sam, jak umie mówić! — dorzucił kościelny.

Biskup wspomniał coś o częstem zaniedbywaniu kazań.

— Proboszcz może, wszakże, równie dobrze zachorować jak każdy inny człowiek! — zauważył jeden z chłopów.

Biskup podniósł, że gmina gorszy się zachowaniem proboszcza.

Jęli go wszyscy bronić jednogłośnie. Proboszcz, mówili, jest jeszcze bardzo młody, tedy nic dziwnego. Gdyby tylko co niedzieli mówił jak dziś, nie zamieniliby go nawet na samego biskupa.

Nie było oskarżyciela, ni sędziego.

Proboszcz czuł, jak mu serce rośnie, a krew szybko krąży w żyłach. Nie znajdował się tedy pośród wrogów, pozyskał ich bowiem i to w chwili, kiedy o nich nie myślał zgoła, miał nadal pozostać na urzędzie!

Po wizytacji zasiedli do posiłku na plebanji, biskup, dziekani, proboszcz i najwybitniejsi członkowie rady kościelnej. Pastorowa z pobliskiej parafji objęła funkcje gospodyni, gdyż proboszcz nie miał żony. Urządziła wszystko doskonale, to też po raz pierwszy zauważył, że plebanja nie była tak dalece nie miłą. Długi stół biesiadny, ustawiony pod sosnami, pokrywał śnieżny obrus, oraz biała i niebieska porcelana, szklanki i kunsztownie spiętrzone serwety. U wejścia zatknięto w ziemię dwie brzózki, podłogę zasłano gałązkami jałowcu, z belki dachu zwisał wieniec, we wszystkich izbach ustawiono kwiaty, wypędzono zaduch, a zielonawe szyby błyszczały wesoło w promieniach słońca.

Proboszcz był bardzo uradowany i poprzysiągł sobie nie pić już nigdy.

Przy stole widniały same jeno pogodne twarze. Ludzie, którzy okazali swą wspaniałomyślność, rado-

wali się z tego, proboszczowie zaś i dziekani czuli zadowolenie z powodu uniknięcia skandalu.

Zacny biskup podniósł szklankę i oświadczył, że wyruszył w drogę wielce zmartwiony niekorzystnemi wieściami, jakie doń doszły. Jadąc sądził, że zastanie Szawła, ale oto tenże przemienił się już w Pawła, który większych niż inni dokona rzeczy. Pobożny człowiek wspomniał potem o mnogich darach, jakie otrzymał młodszy brat jego, i sławił je, dodając, by nie dał się unieść dumie, ale by uczynił wszelki wysiłek potrzebny i czuwał nad sobą, jak przystoi temu, kto dźwiga na barkach brzemię ciężkie i cenne bardzo.

Tego dnia nie upił się proboszcz, a mimo to był pijany, gdyż uderzyło mu do głowy wielkie, nieoczekiwane szczęście. Niebo zapaliło nad nim płomyk natchnienia, a ludzie udarowali go miłością swoją. Krew wrzała w nim jeszcze i tętniła mocno w żyłach, gdy wieczór nadszedł, a goście odjechali. Do późnej nocy siedział w swym pokoju, a przez otwarte okno płynęło rzeźwe powietrze nocne, chłodząc gorączkę szczęśliwości i kojąc radosny niepokój, który mu spać nie dawał.

Nagle posłyszał głos:

— Czuwasz jeszcze, proboszczu?

Mężczyzna jakiś szedł ku plebanji przez trawnik. Proboszcz wyjrzał i poznał kapitana Chrystjana Bergha, wiernego towarzysza pohulanek. Kapitan Chrystjan Bergh był to włóczęga bezdomny, olbrzymiego wzrostu i siły, wielki jak góra, a głupi jak duch gór.

— Czuwam, oczywiście, kapitanie! — odparł proboszcz. — Czyż można spać w taką noc?

Posłuchajmyż, co mu opowiedział kapitan. Olbrzym powziął przeczucie, że proboszcz nie zechce już teraz popijać. Zachodziła obawa, że ci wszyscy dziekani z Karlsztadu nie dadzą mu spokoju. Raz byli tu, mogli wrócić lada chwila i zdjąć ornat, gdyby popadł w dawny nałóg.

Ale kapitan ujął rzecz silną dłonią i sprawił, że nie wróci tu już żaden proboszcz, dziekan, czy biskup. W przyszłości będą mogli popijać do woli na plebanji, proboszcz i jego przyjaciele, bowiem kapitan dokonał czynu bohaterskiego.

Gdy biskup i trzej duchowni wsiedli do karety i drzwiczki zamknięto za nimi, kapitan siadł na koźle i wiózł ich milę, czy dwie, jasną, letnią nocą. Dał im uczuć, co znaczy jazda kawalerska. Pędził szaleńczym galopem, za karę, że wzbraniali porządnemu człowiekowi podpić sobie czasem do woli.

Nie sądźmyż, że się trzymał gościńca! Bez ceremonji przetrząsł ich porządnie. Pędził przez rowy, ścierniska, sunął galopem z pagórków, zajechał w jezioro, tak że woda pryskała wysoko, i toczył kolasę tuż nad przepaściami, tak że konie ślizgały się na przednich, sztywnie rozstawionych nogach. Przez cały czas biskup i trzej duchowni siedzieli bladzi i mruczeli pacierze. Gorszej jazdy nie zaznali jeszcze w życiu.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądali, dotarłszy do gospody w Rissäterze. Żywi byli, ale wytrzęsieni, niby kulki gradowe w worku skórzanym.

— Cóż to ma znaczyć, kapitanie Chrystjanie? — spytał biskup, gdy otwarł drzwiczki kolasy.

— To znaczy, że ksiądz biskup namyśli się dobrze, zanim po raz drugi złoży wizytę Göście Berlin-

gowi! — odparł kapitan, który wyuczył się na pamięć zgóry ułożonego frazesu, by nie utknąć.

— Proszę tedy pozdrowić Göstę Berlinga — rzekł biskup — i zapewnić go, że ani mnie, ani innego biskupa już u siebie nie zobaczy.

O tym bohaterskim czynie swoim opowiedział proboszczowi mocarny kapitan, stojący w jasną, letnią noc u jego okna. Przed chwilą właśnie oddał konie w gospodzie i ruszył z nowiną na plebanją.

— Teraz możesz być spokojny, bratku! — zakończył olbrzym.

Ach, kapitanie Chrystjanie! Księża byli coprawda bladzi, siedząc w powozie, ale siedzący tu u okna proboszcz, zapatrzony w jasną noc letnią, bledszą miał dużo, zaiste, twarz! Ach, kapitanie Chrystjanie!

Proboszcz podniósł pięść, chcąc palnąć w głupią, ordynarną gębę olbrzyma, ale rozmyślił się. Zatrzasnął z hukiem okno, stanął pośrodku pokoju i podniósł pięść ku niebu.

O, czemże był ów płomyk natchnienia, błyszczący nad głosicielem bożej chwały! Wszakże Bóg zadrwił sobie zeń!

Biskup pewny był oczywiście, że to on sam wysłał kapitana Bergha. Pewny był też, że przez cały dzień kłamał obłudnie. Teraz weźmie się doń ostro, zawiesi go w urzędowaniu, a potem wypędzi.

Gdy nastał ranek, nie było już proboszcza na plebanji. Nie chciał czekać i bronić się. Bóg zeń zadrwił, nie użyczył mu swej pomocy, wiedział dobrze, że go wypędzą, Bóg sam chciał tego właśnie. Mógł tedy zaraz iść precz.

Zdarzyło się to w Szwecji, w latach dwudziestych zeszłego wieku, w zapadłej gminie zachodniej Wermlandji.

Pierwsze to nieszczęście Gösty Berlinga nie pozostało ostatniem.

Trudne jest życie dla koni, nie znoszących ostróg, ni bicza. Za każdym batem rzucają się wertepami ku przepaściom. Natrafiwszy na skalisty grunt, obalają poprostu wóz i, zerwawszy uprząż, pędzą na złamanie karku, w szalonym galopie.

ŻEBRAK.

Pewnego zimnego dnia, w grudniu, wspinał się żebrak z mozołem na wzgórek brobijski. Odziany był w nędzne łachmany, a przez dziurawe trzewiki wciskał mu się śnieg do nóg.

Jezioro Löff w Wermlandji jest to wąski pas wody, w kilku miejscach zacieśniony w sund. Sięga od strony północnej aż do lasów fińskich, zaś od południa do jeziora Wener. Na brzegu leży kilka parafij, przedewszystkiem zaś gmina broeńska, największa i najbogatsza z wszystkich. Zajmuje ona znaczną część wschodniego i zachodniego wybrzeża, gdzie to właśnie mieszczą się najrozleglejsze posiadłości, jak dobra rycerskie Ekeby i Björne, słynne bogactwem i pięknością, oraz Broby, najznaczniejsze miasteczko, z gospodą, hotelem, domem obrad, urzędem okręgowym, plebanją i placem targowym.

Broby położone jest na stoku wzgórza.

Żebrak minął gospody na dole stojące i maszerował z trudem w górę, ku plebanji, zajmującej sam szczyt.

Przed nim szła mała dziewczynka, ciągnąc na sznurze sanki, obładowane workiem mąki.

Żebrak doścignął dziewczynkę i wszczął rozmowę.

— Za mały to konik na taki ciężar! — powiedział.

Dziewczynka obróciła się i spojrzała nań. Miała około dwunastu lat, była małego wzrostu, posiadała badawcze, bystre oczy i zaciśnięte usta.

— Dałby Bóg, by konik był jeszcze mniejszy, a ciężar jeszcze większy, bo starczyłoby na dłużej! — odparła.

— Czy może wieziesz własne pożywienie?

— Tak, niestety. Chociaż mała, sama muszę dbać o swą żywność.

Żebrak jął popychać sanki z tyłu, a dziewczynka obróciła się i rzekła:

— Nie myśl, że co za to dostaniesz.

Żebrak roześmiał się w głos.

— Jesteś pewnie córką proboszcza z Broby! Zaraz to widać...

— Tak, jestem jego córką. Niejedno dziecko ma ojca biedniejszego, ale żadne chyba gorszego. Jest to szczera prawda, choć wstyd dziecku tak mówić.

— Jest zapewne skąpy, a ponadto zły?

— Tak, jest skąpy, a ponadto zły! Ale córka jego, o ile pożyje, będzie, jak powiadają, jeszcze gorsza.

— Może to i prawda. Radbym wiedzieć, skąd wzięłaś ten worek mąki.

— Mogę ci powiedzieć, gdyż nic mi na tajemnicy nie zależy. Zabrałam ojcu ze śpichrza zboże dziś rano i zawiozłam do młyna.

— Zobaczy niezawodnie, gdy się z tem zjawisz w domu.

— Jesteś widzę naiwny. Ojciec pojechał w sprawach urzędowych.

— Ktoś jedzie za nami pod górę. Słychać skrzyp śniegu pod płozami sań. Może to on?

Dziewczynka jęła nadsłuchiwać i patrzyć bacznie, potem wybuchnęła płaczem:

— To ojciec, ojciec! — wołała. — Zabije mnie na śmierć!

— Dobra i szybka rada więcej warta w tej chwili, niż złoto i srebro! — zauważył żebrak.

— Wiesz co, — rzekła dziewczynka — możesz mi dopomóc. Przepasz się sznurem przez plecy i ciągnij sanki, a ojciec pomyśli, że mąka jest twoja.

— Cóż z tem pocznę? — spytał, zarzucając sznur na ramię.

— Idź, gdzie chcesz, ale o zmroku wróć na plebanję. Będę cię wyglądała.

— Ano, spróbuję.

— Bóg cię skarze, jeśli nie wrócisz! — zawołała i pobiegła co sił, by dobiec przed przybyciem ojca.

Osmucony żebrak zawrócił sanki i zawlókł je na dół, do gospody. Biedak snuł własne marzenia, chodząc po śniegu bosemi nogami. Marzył o wielkich lasach powyż löffeńskiego jeziora, o nieprzejrzanych borach fińskich.

Tu, na nizinach gminy broeńskiej, kędy wędrował właśnie wzdłuż wąskiego sundu, łączącego część górną i dolną jeziora, w okolicy wesołej i bogatej, gdzie stał pałac przy pałacu i jedna huta żelaza przy drugiej, droga była mu tutaj zbyt uciążliwa, każda izba za ciasna, a każde łoże za twarde. Tęsknił boleśnie do spokoju wielkich, tajemniczych borów.

Tutaj tętniły cepy po klepisku, jakby młocka nie miała się nigdy skończyć, a ładunki drzewa i węgla płynęły ciągle z niewyczerpanych lasów. Nieskończone szeregi napełnionych rudą wozów, drążyły głębokie ślady po drogach, żłobionych już przez setki poprzednich.

Od osiedla do osiedla pędziły sanki, zdawało się, że powozi radość, zaś piękno i miłość stoją z tyłu na płozach. Ach, jakże tęsknił biedny, samotny wędrowiec do ciszy przepastnych ostępów.

Tam, gdzie strzelają, niby smukłe kolumny, wysokie pnie z ziemi, gdzie leży śnieg grubą warstwą na nieruchomych gałęziach, gdzie wiatr, straciwszy siłę, szepce jeno zcicha, igrając w szpilkach koron, tam chciał się zanurzyć w puszczę i iść aż do upadku sił, lec jednego dnia pod drzewem i umrzeć z zimna i głodu.

Tęsknił za tem wielkiem, szemrzącem grobowiskiem powyż löffeńskiego jeziora, gdzie go zaskoczą niweczące potęgi i gdzie nareszcie głód, zimno, znużenie i wódka przezwyciężą nędzne ciało, odporne przeciw wszystkiemu do tej pory.

Dotarł do gospody i postanowił tu czekać wieczora. Wszedł do izby i, usiadłszy przy drzwiach, zapadł w tępe marzenia o wielkich lasach.

Szynkarka ulitowała się nad nim i dała mu kieliszek mocnej, słodkiej wódki, potem zaś drugi, gdyż prosił bardzo usilnie.

Więcej dać nie chciała, a żebrak popadł w straszną rozpacz. Musiał koniecznie dostać więcej tej doskonałej słodkiej, mocnej wódeczki, musiał raz jeszcze uczuć, jak serce skacze w piersiach, a myśli błyskają w upojeniu. Oblała go fala letniego słońca, przepoił śpiew ptaków, zachwyciły woń i piękno. Raz jeszcze bodaj przed zapadnięciem nocy chciał napić się słońca i szczęścia.

Powoli zamienił mąkę, potem worek, a wkońcu sanki na wódkę, upił się tęgo i przespał część popołudnia na szynkownianej ławie.

Zbudziwszy się, uświadomił sobie, że mu jedno jeszcze tylko pozostało na świecie. Nędzne ciało wzięło znowu górę nad duszą, ośmielił się przepić to, co mu powierzyło biedne dziecko, był zakałą świata, postanowił tedy raz już zrzucić brzemię całej tej ohydy. Chciał uwolnić duszę i pozwolić jej odejść do Boga.

Leżąc na ławie w szynkowni, sądził się sam. Gösta Berling, wygnany pastor, obwiniony o to, że skradł własność głodnego dziecka, zostaje niniejszem skazany na śmierć. Na jaką śmierć? Śmierć w śniegu!

Sięgnął po czapkę i wyszedł chwiejnie. Oprzytomniał zupełnie. Zapłakał ze współczucia dla siebie i swej biednej, upodlonej duszyczki, której musi dać wolność.

Nie oddalał się zbytnio i nie schodził z drogi. Nad rowem była wielka zaspa śnieżna, legł w niej umierać. Zamknął oczy, chcąc zasnąć.

Niewiadomo, jak długo leżał, ale tliło w nim jeszcze życie, gdy córka brobijskiego pastora nadbiegła z latarnią w ręku i znalazła go w głębokim śniegu. Czekała długie godziny, teraz atoli pospieszyła gościńcem, na zwiady, co się z nim stać mogło.

Poznała go zaraz i jęła nim z całej siły trząść i krzyczeć, by zbudzić śpiącego.

Koniecznie chciała wiedzieć, co zrobił z jej workiem mąki. Przywracała go do życia, na tak długo przynajmniej, by jej powiedział, gdzie podział worek i sanki. Ojciec zabiłby ją na śmierć, gdyby sanki zaginęły. Ugryzła żebraka w palec, podrapała mu twarz i wrzeszczała jak opętana.

Nagle zjawiły się na gościńcu jakieś sanki.

— Któż się tam tak drze, do djabła? — spytał szorstki głos.

— Chcę się dowiedzieć, co zrobił z moim workiem i sankami! — załkała dziewczynka i uderzyła żebraka pięścią w piersi.

— Czyż nie wstyd ci drapać zmarzłego człowieka? Idź precz, ty dzika kocico!

Barczysta, rosła kobieta wysiadła z sanek i podeszła do zaspy. Chwyciwszy dziewczynkę za kark, cisnęła ją na środek gościńca. Potem schyliła się, podsunęła ramię pod plecy żebraka i podniosła go. Zaniosła potem do sanek i złożyła w nich.

— Chodźno do szynku, dzika kocico! — powiedziała proboszczównie. — Przekonamy się, co wyśpiewasz o tem wszystkiem!

W godzinę potem siedział żebrak na krześle pod drzwiami, w paradnej izbie gospody, przed nim zaś stała dzielna kobieta, która go wyratowała ze śniegu.

Gösta Berling patrzył na nią. Wracała z objazdu węglarni leśnych, miała uśmolone ręce, glinianą fajkę w ustach, krótkie, nie podszyte futro z owczych skórek, spódnicę z pasiastego samodziału, podkute trzewiki, a za paskiem nóż w pochwie. Piękną jej, starą twarz okalały szpakowate, gładko w górę zaczesane włosy. Gösta słyszał tysiące razy opis tej postaci i zrozumiał, że ma przed sobą słynną w całej okolicy majorową z Ekeby.

Była to najpotężniejsza kobieta Wermlandji, właścicielka siedmiu hut żelaza, nawykła rozkazywać i władać. On zaś był jeno nędznym, na śmierć skazanym żebrakiem, nie posiadającym nic, któremu każda droga była zbyt uciążliwa, a każda izba za ciasna. Drżał na całem ciele pod wrażeniem jej spojrzenia.

Stała, patrząc na tę kupkę ludzkiej niedoli, leżącą przed nią, na czerwone, napuchłe ręce, zniszczone

ciało i wspaniałą głowę, która mimo zaniedbania i upadku jaśniała dziką pięknością.

— Czy acan jesteś Gösta Berling, szalony proboszcz? — spytała.

Żebrak milczał.

— Ja jestem majorowa z Ekeby.

Żebrak drgnął, złożył ręce i spojrzał na nią tęsknie. Czegoż chciała? Czy zmusić go, by żył? Wstrząsnął nim strach przed jej siłą. Już tak bliski był spokoju przepastnych lasów!

Zaczęła walkę, oświadczając, że córka proboszcza brobijskiego dostała z powrotem swe sanki i worek z mąką i że ona, majorowa, ma dlań, jak dla wielu innych, pomieszczenie w skrzydle pałacu ekebijskiego, gdzie mieszkają rezydenci. Zaofiarowała mu życie wygodne i wesołe.

On zaś odparł, że musi umierać.

Palnęła pięścią w stół i otwarcie wyraziła swój pogląd na sprawę.

— Więc acan chcesz umierać? Ha... nie dziwiłoby mnie to, gdybyś acan wogóle jeszcze żył! Spójrz jednak, proszę na swe wynędzniałe ciało, martwe członki, mętne oczy ...czy sądzisz acan, że dużo tu jeszcze zostało do umierania? Czy sądzisz acan, że umarły musi koniecznie leżeć w zabitej gwoździami trumnie? Sądzisz pan, Gösto Berling, że nie widzę, iż umarłeś już? Na karku twym tkwi szczerząca zęby trupia czaszka i robaki wchodzą i wychodzą oczodołami. Wszakże czujesz acan w ustach smak ziemi? Kości twe chrzęszczą za każdym ruchem. Utonął w wódce i umarł Gösta Berling. To, co się w nim jeszcze porusza, to szkielet sam i temu nie chcesz acan nawet pozwolić żyć, jeśli to wogóle zwać można

życiem? Mówisz pan, jakobyś bronił nieboszczykowi potańcować na grobach w noc księżycową. Czy acanu wstyd, żeś był proboszczem i dlatego chcesz koniecznie umierać? Zaprawdę, lepiejby było zużytkować zdolności swe do czynów dobrych na tej ziemi bożej! Czemużeś acan zaraz nie zwrócił się do mnie? Wszystkobym załatwiła za acana! Pewnie się acanu zachciewa tego zaszczytu, by wystrojony leżeć na wiórach i zostać nazwanym pięknym trupiszonem... co?

Żebrak siedział cichy, napoły uśmiechnięty, i słuchał tętniących gromko słów. Nie ma potrzeby, myślał, nie ma żadnej potrzeby, wieczyste lasy czekają, ona zaś nie ma siły odwrócić od nich mej duszy.

Majorowa zamilkła, pochodziła po izbie, potem zaś usiadła przy kominie, opierając stopy o ruszt, a łokcie o kolana.

— Do kroć tysięcy djabłów! — zawołała po chwili ze śmiechem. — To, com powiedziała, jest prawdziwsze, niż się wydaje! Wszakżeś sam musiał zauważyć, że większość ludzi to trupy, lub półtrupy. Czy sądzisz pan, że ja żyję? Ach... nie, nie! Spójrzno acan na mnie tylko. Jestem majorowa z Ekeby, najmocarniejsza baba Wermlandji, śmiem twierdzić. Gdy ruszę palcem, leci landrat, gdy skinę dwoma, galopuje biskup, gdy zaś kiwnę trzema, cała kapituła i panowie rada i wszyscy obszarnicy całej Wermlandji tańczą polkę na rynku karlsztadzkim. Oświadczam jednak acanu, mój proboszczu, że jestem jeno wystrojonym trupem! Bóg jeden wie, jak mało jest we mnie życia!

Żebrak słuchał pochylony, z wielką uwagą i napięciem. Majorowa, siedząc przed ogniem, chwiała się w prawo i lewo, nie patrzyła nań, mówiąc.

— Wszakże, gdybym była człowiekiem żywym, — podjęła na nowo — to czując samobójcze myśli acana, jednem tchnieniem wypłoszyłabym je z pańskiej duszy. Zdobyłabym się na łzy, na modlitwy, wzruszające do głębi, i zbawiłabym pańską grzeszną duszę. Ale ja umarłam. Bóg jeden wie, jak mało jest życia we mnie.

Musiałeś pan słyszeć, że byłam niegdyś piękną Małgorzatą Celsing! Nie było to wczoraj, ale do dziś wypłakuję swe stare oczy po jej zgonie. Czemuż musiała umrzeć Małgorzata Celsing, a Małgorzata Samzelius żyje? Cóż po życiu majorowej z Ekeby? Czy możesz mi to objaśnić, Gösto Berling?

Czy wiesz acan, jaką była Małgorzata Celsing? Oto smukła, wykwintna, skromna, niewinna... tak było, Gösto! Nie wiedziała o złem, nikt jej nie sprawiał zmartwienia, była dobrą dla wszystkich... a ponadto piękną.

Był też pewien cudny mężczyzna, a zwał się Altringer. Bóg jeden wie, czemu się zjawił w dzikiem pustkowiu elfdalskiem, gdzie leżały dobra rodziców Małgorzaty. Poznali się i pokochali, on zaś był nad wyraz piękny i człowiek co się zowie. Ale nie miał majątku, to też uradzili, że będą, jak w bajce, czekać na siebie lat pięć.

Po trzech latach zjawił się inny konkurent, brzydki coprawda, ale rodzice Małgorzaty mówili, że jest bogaty i zmusili ją do małżeństwa perswazją, obietnicami, biciem i pogróżką. Tegoż to dnia zmarła Małgorzata Celsing.

Odtąd nie było Małgorzaty Celsing, a tylko majorowa Samzelius, osoba zgoła niedobra, nieskromna, wierzyła w różne złe rzeczy, a nie troszczyła się wcale o dobre.

Wiesz pan zapewne, co się potem działo. Zamieszkaliśmy tu blisko, w Sjö, nad löffeńskiem jeziorem, to znaczy ja z majorem. Ale nie był on, jak głoszono, wcale bogaty.

Przeszłam ciężkie czasy.

Nagle wrócił Altringer, posiadł majątek, został właścicielem Ekeby, sąsiadem naszym. Niedługo zakupił jeszcze sześć innych posiadłości nad jeziorem löffeńskiem. Był to człowiek przedsiębiorczy, człowiek zachwycający. Dopomagał nam w biedzie, jeździliśmy jego powozami, przysyłał nam zapasy kuchenne i wino do piwnicy. Przepajał mi życie radosnem upojeniem. Po wybuchu wojny wyjechał major, ale nas to nie obeszło wcale! Bywałam u niego w Ekeby, a on wzajem, co drugi dzień u mnie, w Sjö. Życie nam płynęło niby taniec wzdłuż wybrzeży jeziora.

Ludzie zaczęli plotkować o mnie i Altringerze. Gdyby Małgorzata Celsing żyła, zmartwiłoby ją to zapewne, ja na to jednak nie zwracałam zgoła uwagi. Nie wiedziałam jeszcze atoli, że, będąc umarłą, wyzbyłam się też wszelkich uczuć.

Plotki dotarły aż do rodziców, żyjących w górach, pośród mielerzy węglowych elfdalskich lasów. Matka, nie namyślając się długo, przybyła do Sjö, by ze mną pogadać.

Zjawiła się właśnie po wyjeździe majora, w chwili, gdym siedziała przy stole z Altringerem i kilku gośćmi. Widziałam, jak wchodzi do jadalni, ale nie odczułam, że to moja matka... tak... Gösto Berling! Jak obcą zaprosiłam ją do swego stołu i podsunęłam półmiski. Chciała ze mną pomówić, jak z córką, ale oświadczyłam, że się myli, rodziców nie mam, albowiem zmarli w dniu mego ślubu.

Przystała na tę rolę. Miała siedemdziesiąt lat i przebyła w ciągu trzech dni mil trzydzieści. Bez ceremonji usiadła do stołu i spożyła z nami obiad. Była to silna staruszka.

Oświadczyła mi swą kondolencję, z powodu straty obojga rodziców w sam dzień ślubu.

— Najbardziej mnie smuci, — odparłam — że rodzice moi nie zmarli w przeddzień ślubu, gdyż nie byłoby doszło do małżeństwa.

— Pani majorowa nie czuje się tedy szczęśliwą w małżeństwie? — spytała.

— O tak! — odparłam. — Teraz czuję się zupełnie szczęśliwą. Zawsze też będę z radością pełniła wolę rodziców moich.

Spytała, czy może być wolą rodziców, bym na nich i na siebie ściągała hańbę i oszukiwała męża? Jakiż to zaszczyt przynoszę rodzicom, wydając ich na języki ludzkie?

— Niechże śpią, jak sobie posłali! — odparłam i poprosiłam obcą damę, by przyjęła do wiadomości, że nie chcę słuchać słów przykrych o córce rodziców moich.

Jadłyśmy dwie tylko. Mężczyźni siedzieli milcząc, żaden nie mógł dźwignąć widelca, ni noża.

Stara dama została przez dzień i noc, dla wypoczynku. Ale póki ją widziałam, pojąć nie mogłam, by to była matka moja. Wiedziałam, iż matka zmarła.

Gdy miała odjeżdżać, Gösto, i stałam obok niej na schodach, a powóz już zajechał, powiedziała mi: Byłam tu przez dzień i noc, a nie chciałaś mnie ni na chwilę uznać za matkę. Przybyłam tu przez pustkowie, robiąc mil trzydzieści w ciągu trzech dni. Ze wstydu za ciebie drży stare ciało moje, jakby chło-

stane rózgami. Niechże się ciebie wyprą, jakoś się mnie wyparła, niech odepchną, jakoś ty mnie odepchnęła! Niech ci będzie domem gościniec, grób leżem, a mielerz węglowy ogniskiem. Niech ci nagrodą będzie wstyd i potępienie, a niech cię inni biją, jako ja cię biję!

To rzekłszy, wymierzyła mi silny policzek.

Ja zaś wzięłam ją na ręce, zniosłam po schodach i posadziłam do powozu.

— Jakiemże prawem złorzeczysz mi? — spytałam. — Jakiem prawem bijesz mnie? Tego nie zniosę od nikogo.

To rzekłszy, oddałam jej policzek. W tej chwili powóz ruszył, a w tejże samej chwili przekonałam się też, Gösto, że Małgorzata Celsing naprawdę zmarła. Była tak niewinna i dobra. Nie wiedziała, co znaczyło zło. Aniołowie płakaliby na jej grobie. Gdyby żyła, nigdy nie ośmieliłaby się uderzyć matki swojej.

Żebrak przy drzwiach słuchał bacznie, a słowa te przygłuszyły na chwilę szmer wieczystych lasów. Oto ta bogata pani zstąpiła ku niemu, w grzechach swoich, została mu siostrą w niedoli, a uczyniła to, by mu dodać odwagi do życia. Chciała mu dać poznać, że na głowach innych ludzi cięży również troska i wina. Wstał i podszedł do majorowej.

— Czy godzisz się teraz żyć, Gösto? — spytała głosem zdławionym przez łzy. — Nacóż ci umierać? Mogłeś być dzielnym proboszczem, ale nigdy nie był Gösta Berling, utopiony przez ciebie w wódce, tak promiennie czysty, jak Małgorzata Celsing, którą ja utopiłam w nienawiści! Czy chcesz żyć, Gösto?

Gösta padł przed majorową na kolana i rzekł:

— Przebacz mi, nie mogę!

— Jestem starą kobietą, — odparła — otępiałą w troskach i zgorzkniałą, a oto siedzę i wydaję się na łup żebraka, którego znalazłam napoły zamarzłego w zaspie. Dobrze mi tak. Idźże sobie, acan, i popełnij samobójstwo... nie powtórzysz wówczas tego, com powiedziała w przystępie głupoty!

— Nie jestem samobójcą, — błagał — jestem skazany na śmierć. Nie utrudniaj mi walki! Żyć nie mogę. Ciało moje wzięło górę nad duszą, przeto muszę ją wyzwolić i puścić do Boga.

— Sądzisz więc acan, że pójdzie do Boga?

— Żegnaj mi, majorowo, i przyjm dzięki moje!

— Żegnam cię, Gösto Berling!

Żebrak wstał i podszedł do drzwi ze zwieszoną głową, powłóczystym krokiem. Ta kobieta utrudniała mu wielce podróż ku wiekuistym lasom.

Pod drzwiami obejrzał się bezwiednie. Napotkał spojrzenie majorowej, która siedziała bez ruchu, patrząc za nim. Nie zauważył dotąd nigdy takiej zmiany w ludzkiej twarzy, stanął tedy i patrzył zdumiony. Przed chwilą jeszcze zapamiętała i sroga, siedziała jakby w zachwyceniu, a oczy jej wyrażały bezbrzeżną, litosną miłość. Stopniało jego zdziczałe serce od tego spojrzenia, oparł czoło o ramę drzwi i, podnosząc nad głową ramiona, zapłakał, jakby mu miało pęknąć serce.

Majorowa rzuciła fajkę w ogień i podeszła doń, a ruchy jej stały się nagle łagodne, jakby macierzyńskie.

— No... no... chłopcze drogi..! — powiedziała.

Pociągnęła go na ławkę przy drzwiach, usiadła obok i wzięła głowę jego na łono, by mógł swobodnie płakać.

— Czy jeszcze chcesz umierać? — spytała po chwili.

Porwał się, tak że go przemocą przytrzymać musiała.

— Po raz ostatni mówię panu, że możesz to uczynić, jeśli chcesz. Jeśli atoli zgodzisz się żyć, obiecuję wziąć do siebie córkę brobijskiego proboszcza i wychować na dzielnego człowieka. Możesz acan podziękować Bogu za to, żeś jej skradł mąkę. No cóż... chcesz?

Podniósł na nią spojrzenie i popatrzył jej w oczy.

— Czy pani mówi serjo? — spytał.

— Oczywiście, Gösto Berling.

Załamał dłonie w strasznej udręce. Ujrzał przed sobą trwożne oczy, zaciśnięte usta i wychudłe ręce. Biedna, mała istota miała znaleźć schronę i opiekę, zniknąć miało z jej ciała piętno poniżenia, a zło z duszy. Uczuł, że zamknęła się przed nim droga do wiekuistych lasów.

— Nie pozbawię się życia, jak długo ta mała pozostanie w opiece pani! — powiedział. — Wiedziałem, że pani majorowa jest ode mnie silniejsza i że mnie zmusi do życia.

— Gösto, — powiedziała uroczyście — walczyłam o ciebie, jak o własne zbawienie. Powiedziałam Bogu: Jeśli jest we mnie jeszcze ślad Małgorzaty Celsing, to spraw, Boże, by się objawiła i nie dała temu człowiekowi odebrać sobie życia. I Bóg wysłuchał mej prośby, ujrzałeś ją i dlatego nie miałeś siły odejść. Podszepnęła mi, że może ze względu na to biedne dziecko porzucisz myśl samobójstwa. Ach, jakże zuchwale fruwacie wy, dzikie ptaki, ale Bóg wie, jaka sieć was schwytać może.

— Bóg jest wielki i przedziwny! — rzekł Gösta. — Zadrwił sobie ze mnie i odepchnął, a jednak nie pozwolił mi umrzeć. Niech się stanie wola jego.

Od tego dnia Gösta Berling został rezydentem w Ekeby. Dwa razy chciał się wyrwać, utorować sobie drogę i żyć z własnej pracy. Po raz pierwszy zamieszkał w domu, danym przez majorową, w pobliżu Ekeby, i jął pracować, jako zwyczajny robotnik. Przez czas pewien szło dobrze, ale nie mogąc znieść samotności i codziennej pracy, wrócił na stanowisko rezydenta. Drugi raz przyjął w Borgu miejsce nauczyciela młodego hrabiego, Henryka Dohny. Zakochał się tam w siostrze hrabiego, Ebbie Dohna, gdy jednak zmarła, w czasie kiedy miał już nadzieję pozyskać jej wzajemność, zaniechał wszelkich wysiłków zostania czemś więcej, niż rezydentem Ekeby. Nabrał przekonania, że jako zdegradowany proboszcz ma zamknięte wszystkie drogi oczyszczenia swego honoru.

LEGENDA GÖSTY BERLINGA

KRAJOBRAZ.

Zmuszona jestem prosić tych, którzy znają już to wydłużone jezioro, bujne doliny i błękitne góry, by przerzucili kilka stron, tu zamieszczonych. Mogą to uczynić śmiało, gdyż książka i tak będzie dość długa.

Zrozumie jednak każdy, że muszę opisać te trzy elementy scenerji tym, którzy ich jeszcze nie znają, bowiem tu właśnie mieści się widownia wesołego życia Gösty Berlinga i innych rezydentów. Czytelnicy, którzy widzieli ten krajobraz, przyznają mi atoli chętnie, jak sądzę, że zadanie opisu tego przekracza siły każdego człowieka piszącego.

Poprzestałabym też na zaznaczeniu, że jezioro zwie się löffeńskiem, że jest długie i wąskie i że zalega przestrzeń, począwszy od wielkich, samotnych borów północnej Wermlandji, aż po doliny jeziora wenerskiego, na południu. O równi dałoby się powiedzieć jeno, że roztacza się po obu stronach jeziora, zaś o górach, że zębatym łańcuchem zamykają całą dolinę. Ale nie wystarczy mi to dla przedstawienia jeziora mych marzeń dziecięcych i życia bohaterów lat młodocianych.

Źródła jeziora leżą wysoko, na północy, a jest to piękna dla jeziora ojczyzna. Las i góry dostarczają

mu nieustannie wody, zaś siklawy i potoki wlewają się weń przez cały rok. Posiada biały piasek, na którym może się rozciągnąć, oraz przylądki i wyspy, które odzwierciedla, a stanowi to podatny teren dla hodowli i bujania wodników i syren. Na północy wszystko rzeźwe i radosne. Trzeba widzieć, jak wesołe jest jezioro letnim rankiem, gdy obudzone leży i lśni z pod przysłony mgieł. Kryje się na chwilę zrazu, potem zaś wypełza pomaleńku z jasnej osłony, tak czarowne, że je rozpoznać trudno. Nagle odrzuca całe nakrycie i oto leży nagie, czyste, różowe i lśni w porannych promieniach.

Jezioro nie poprzestaje jednak na wesołej igraszce. Toruje sobie drogę przez piaszczyste wzgórza, ku południowi, zwęża się w wąski sund i szuka nowego terenu. Znalazłszy go, roztacza się zaraz i olbrzymieje, to wypełniając jakąś przepastną głąb, to zdobiąc okolicę rodzajną. Ale woda jest tu ciemniejsza, brzegi mniej urozmaicone, wiatry wieją ostrzej, a cały charakter nabiera surowości. Mimo to, jezioro jest jeszcze wspaniałe. Krążą po niem liczne statki i tratwy, a rzadko przed Bożem Narodzeniem układa się na sen zimowy. Często wpada w zły humor, miota pianę i wywraca łodzie, umie atoli także leżyć w rozmarzeniu i odzwierciedlać niebo.

Jezioro zmierza jeszcze dalej w świat, chociaż je góry ściskają bardziej i coraz mniej ma miejsca, im dalej sięga, tak że wkońcu może jeno pełznąć jako wąski sund, pomiędzy piaszczystemi brzegami. Potem roztacza się po raz trzeci, ale nie z taką już okazałością i potęgą.

Brzegi tu jednostajne i płaskie, wieją wiatry łagodniejsze, a jezioro zasypia wcześniej na zimę. Jest

jeszcze piękne, choć utraciło dzikość młodzieńczą i siłę wieku męskiego... jest teraz podobne do innych. Dwoma ramionami sunie omackiem ku jezioru wenerskiemu, a dotarłszy, ostatkiem upadających sił rzuca się w nie i po tym bohaterskim czynie idzie na spoczynek.

Równia jest równie długa, jak jezioro, ale nie łatwo jej iść naprzód, z powodu gór i zatok, przeszkody jawią się zaraz, począwszy od wąwozu na północnym krańcu, a długo trwa, zanim się wygodnie rozłoży na spoczynek, u brzegów jeziora wenerskiego. Równia biegłaby oczywiście najchętniej wzdłuż jeziora, od początku do końca, ale nie pozwalają na to góry. Są to potężne murzyska granitowe, porosłe lasem, pełne rozpadlin, utrudniających wędrówkę, bogate w mech i porosty, to też od zamierzchłych czasów były ojczyzną dzikiego zwierza. Często natrafia się na szerokich upłazach gór bagnisko z grząskiem dnem, lub moczar o czarnej wodzie, a tu i owdzie widnieje też mielerz węglarza, poręba, lub wreszcie płacheć spalonego wrzosowiska. Świadczy to, że i tu nie ustała praca, zazwyczaj jednak góry śnią w objęciu spokoju, igrając jeno wieczystemi odblaskami światła po ścianach skalnych i załomach.

Z górami toczy ciągły bój równia potulna, rodzajna i miłująca pracę.

— Poprzestańcież na otoczeniu mnie murem! — powiada równia. — Dość mi tego bezpieczeństwa!

Ale góry nie baczą tych słów i wysyłają liczne szeregi wzgórz i łysych płaskowyży aż do samego jeziora. Budują po przylądkach wspaniałe wieże, z których można podziwiać krajobraz, i tak rzadko

cofają się wybrzeża, że równia miejscami tylko może stoczyć się w miękki piasek. Próżne atoli żale.

— Radá bądź, że tu stoimy! — powiadają góry. — Wspomnij czas przed Bożem Narodzeniem, kiedy to dzień po dniu mgły lodowate toczą się po jeziorze. Wielkie tu, zaiste, oddajemy przysługi!

Równia skarży się, że jej brak miejsca i ma zły widok.

— Głupia jesteś! — mówią góry. — Nie wiesz, jak tu wieje nad wodą. Trzeba mieć grzbiet granitowy i futro sosnowe, by wytrzymać. Zresztą, bądź zadowolona, że ci wolno patrzeć na nas.

Równię raduje to w istocie. Zna dobrze przedziwną grę cienia i światła, przemykającego po skałach. Podziwiała nieraz światło godzin południowych, opadające nisko, jasno-błękitne, i wznoszące się znów do znacznej wysokości, rankiem i o wieczorze, szafirowe, jak niebo w zenicie. Światło pada czasem na skały tak ostro, że staje się zielone, to znów granatowe, a wówczas widać całemi milami każdy ślad, każdą drogę, każdy wąwóz.

Zdarza się też czasem miejscami, że góry odchodzą trochę w bok i pozwalają równi zerknąć na jezioro. Kiedy atoli zobaczy jego gniew, jak się pieni i parska niby dziki kot, lub też obleka na się oponę zimnych mgieł, która świadczy, że wodniki na dnie pieką, lub gotują strawę, natenczas przyznaje równia górom słuszność i wraca spokojnie w ciasne więzienie swoje.

Ludzie uprawiają tę rozkoszną równię od czasów Olima i jest ona gęsto zaludniona. Gdzie tylko szumiący potok rzuca się z brzegu, stoi tartak, lub młyn.

W miejscach jasnych, otwartych, gdzie równia dotykała jeziora, stały kościoły i plebanje, zaś na

krawędzi równi, przez pół jeszcze na zboczu gór, gdzie pole zasłane głazami nie rodzi zboża, leżały osiedla chłopskie, stały domy oficerów, a tu i owdzie willa pańska.

Należy zaznaczyć, że w latach dwudziestych okolica ta nie posiadała ni w części tej, co dziś uprawy. Wielkie obszary, będące teraz polami, zalegał las, bagno lub płycizna. Ludności też było znacznie mniej, a główne zarobki dawało furmaństwo, oraz praca po tartakach i młynach w różnych okolicach. Z roli wyżyć się nie dało. W tych czasach nosili mieszkańcy odzież z samodziału, jadali placki owsiane i dość im było dwunastu szylingów dziennie. Panował tu niedostatek, ale łagodziło go wesołe usposobienie ludności, jej dzielność, oraz zręczność w robocie, co wychodziło na jaw, zwłaszcza przy pracy w dalszych okolicach.

Wszystko troje naraz, to znaczy podłużne jezioro, bogata równia i błękitne góry tworzyły, mimo wszystko, i tworzą dotąd jeszcze, przepiękny krajobraz, a ludność jest, jak dawniej, silna, odważna i uzdolniona. W czasach obecnych wzrosły też znacznie dostatek i wykształcenie.

Życzę powodzenia tym, co mieszkają tam, kędyś, nad podłużnem jeziorem, wśród błękitnych gór, to zaś, co zamierzam opowiedzieć, składa się z garści ich własnych wspomnień.

WIGILJA.

Sintram zwie się złośliwy właściciel Forsu o niezdarnem cielsku, długich, małpich rękach, łysej głowie, szkaradnej i, wykrzywionej twarzy, którego największą przyjemnością jest judzić i straszyć ludzi.

Sintram najmuje samych jeno włoczęgów i awanturników za parobków, oraz bierze do służby kłótliwe, obłudne kobiety. Dręczy też psy, wbijając im szpilki w nozdrza, a najlepiej się czuje wśród złych ludzi i dzikich zwierząt.

Ulubioną rozrywką Sintrama jest przebierać się za djabła z rogami, ogonem i końską nogą, potem zaś wypadać nagle z ciemnego kąta, piekarskiego pieca, czy z poza stogu siana i straszyć dzieci, albo zabobonne baby.

Sintram raduje się, gdy może przemienić starą przyjaźń we wściekłą nienawiść, a serca zatruć kłamstwem.

Ten Sintram przybył pewnego dnia do Ekeby.

— — — — — — — — — — — —

Wciągnijcież wielkie sanie płozowe do kuźni i postawcie na środku, połóżcie na nich sanki, dnem do góry i oto mamy stół. Hura, niech żyje stół!

Dawać teraz stołki i wszystko na czem się da usiąść! Trójnogi szewskie i puste paki są też mile

widziane! Dawać roztrzęsiony fotel bez oparcia, sanki jednokonne bez płozów i starą karetę... ha, ha... ha... pyszna ta kareta! Będzie z niej trybuna dla mówcy. Ale patrzcież, brak jej koła, co więcej brak całego pudła!... Został sam jeno kozioł! Poduszki poszarpane, wyściółka wyłazi ze środka, a skóra zrudziała od starości! Grat to wysoki, niby dom, obalcież go... obalcież prędzej!

Hura! Dziś wigilja w Ekeby!

Major i majorowa śpią poza jedwabnemi kotarami i sądzą, że w skrzydle rezydentów także wszystko śpi. Mogą sobie spać parobcy i dziewki, przesyceni ryżową lemiszką i oszołomieni mocnem piwem świątecznem. Któż atoli będzie się łudził, że śpią dziś rezydenci?

Dziś nie rzępolą żelaziwem bosonodzy kowale, usmoleni chłopcy nie popychają taczek z węglem, a wielki młot zwisa z dachu, niby ramię z zaciśniętą pięścią. Kowadło puste, piece nie rozdziawiają płomiennych paszczy swoich, by chłonąć węgiel, a miechy dziś już nie skrzypią. Nadeszło Boże Narodzenie. Kuźnia śpi.

Kuźnia śpi, zaprawdę, ale czuwają rezydenci! Długie cęgi stoją sztywno na ziemi, trzymając świece w szczękach. Z wielkiego miedzianego kotła bije błękitna łuna płonącego ponczu, aż pod czarny dach.

Na długiej sztabie młota wisi rogowa latarnia Baerencreutza, a żółty poncz łyska, niby słońce. Tu mamy stół, a tu krzesła. Rezydenci obchodzą święta w kuźni!

Wre tutaj, kipi radość, brzmi muzyka i śpiew. Ale tego hałasu o północy nikt nie słyszy. Cały rozgwar tonie w potężnym szumie wodospadu.

Ależ wrzask, ależ wesołość! Ha... gdyby to posłyszała majorowa!

No i cóż? Na pewno siadłaby przy nich i wychyliła kubek. To dzielna niewiasta, nie ucieka przed swawolną, gromką piosenką pijacką, nie mierzi jej też partyjka rabouga'a. To najbogatsza kobieta Wermlandji, szorstka niby chłop, dumna jak królowa. Lubi rozgłośny śpiew, wrzaski trąbek i pisk skrzypek. Ma upodobanie w winie, grze i długich stołach, obsiędzionych przez wesołych biesiadników. Miło jej, gdy zapasy topnieją, gdy sala dudni od tańca, a w skrzydle rezydenckiem roi się od rezydentów.

Patrzcież! Siedzą wokoło wazy ponczu, jeden przy drugim! Jest ich dwunastu, pełen tuzin chłopców co się zowie! Nie są to jednodniówki, ni modnisie, ale męże naschwał, których sławą długo będzie tętniła Wermlandja, ludzie mężni, silne chłopy!

Nie przypominają zeschłych pergaminów, ni worków złota, to ludzie biedni, beztroscy, ale panowie od rana do wieczora.

Nie wierzby to płaczące, nie mole domowe, ale męże z rozmachem, światowcy, wesołki, rycerze tysiącznych przygód.

Dziś... ach dziś, skrzydło rezydenckie od lat już stoi pustką. Ekeby przestało być schroną bezdomnych kawalerów. Pensjonowani oficerowie i zubożali szlachcice nie jeżdżą chwiejnemi powozikami po drogach Wermlandji... tu jednak zmartwychpowstaną, weseli, beztroscy, wieczyście młodzi!

Wszyscy posiadają sławę, umieją też grać na różnych instrumentach. Każdy ma swoistą cechę, własny język, pomysły, pieśni. Przypominają mro-

wisko pełne mrówek, każdy jednak posiada coś oryginalnego, co go od innych odróżnia.

Z pośród siedzących około kociołka wymienię naprzód Baerenkreutza, pułkownika, z wielkim, siwym wąsem, słynnego mistrza rabouge'a, śpiewaka pieśni bellmanowskich, potem przyjaciela jego i towarzysza broni, małomównego majora, łowcę niedźwiedzi, Andersa Fuchsa, wreszcie zaś, jako trzeciego z bandy, małego Rustera, tambora, który był długo forysiem u pułkownika, ale otrzymał rangę oficerską, z uwagi na swój kunszt przyprawiania ponczu i śpiewania basem. Następnie wspomnieć trzeba starego chorążego, Rutgera von Örneclou, zdobywcę serc, w peruce i sztywnej krezie z żabotem, umalowanego, jak kobieta. Był on jednym z najwybitniejszych rezydentów, wespół z silnym kapitanem Chrystjanem Berghiem, słynnym bohaterem, którego równie łatwo było wodzić za nos, jak olbrzyma z bajki. W ich towarzystwie przebywał często mały, krągły, poczciwiec Juljusz, wesoły, żwawy, bystry mówca, malarz, piosenkarz i facecjonista. Zazwyczaj wylewał potok swych drwin na reumatycznego chorążego i głupiego olbrzyma.

Napotykało się tu również olbrzymiego Niemca, Kevenhüllera, wynalazcę samoczynnego wozu i maszyny do latania, którego imieniem rozbrzmiewały wszystkie szumiące lasy. Z rodu i postaci był to rycerz o krętych wąsach, szpiczastej brodzie, orlim nosie, oraz małych, skośnych oczach, osnutych siecią zmarszczek. Siedział tu wielki wojownik Christoffer, nie wychylający się nigdy z czterech ścian skrzydła rezydenckiego, o ile nie szło o polowanie, czy inną szaleńczą awanturę, obok niego zaś wuj Eberhard, filozof, który nie przybył do Ekeby dla żarcików czy uciechy, ale poto,

by w spokoju, bez troski o pożywienie, dokonać wielkiego dzieła z zakresu tej wiedzy, ponad wszelką wiedzę wzniosłej.

Nakońcu wymieniam najlepszych z pośród czeredy, łagodnego Lövenberga, człowieka nabożnego, co, zbyt dobry dla tego świata, był jak tabaka w rogu, oraz wielkiego muzyka Liliencronę, który posiadał wprawdzie dom i tęsknił doń ciągle, ale przebywał w Ekeby, gdyż duch jego potrzebował bogactw i urozmaicenia, by wogóle znieść życie.

Wszyscy ci ludzie, w liczbie jedenastu, mieli już za sobą młodość i nawet znaczną część życia. Jeden tylko z dwunastki liczył lat trzydzieści i był fizycznie, oraz duchowo nie złamany. Mam na myśli klejnot rezydentów, Göstę Berlinga, większego w jednej osobie mówcę, śpiewaka, muzyka, myśliwca i bohatera pijatyki i gry, od wszystkich tamtych wziętych razem. Takim to mężem zrobiła go majorowa!

Oto właśnie stoi na mównicy! Ciemność spływa nań z zakopconego dachu, w ciężkich festonach. Jasna jego głowa wybłyska z tej ciemni, podobna głowom młodych bogów, światłodawców, którzy porządkowali ongiś chaos. Stoi smukły, piękny, żądny przygód.

Ale przemawia z wielką, głęboką powagą.

— Rezydenci i bracia! Zbliża się północ, świętujemy już dość długo, pora wznieść toast trzynastego u stołu!

— Drogi bracie Gösto! — woła Juljusz. — Niema trzynastego w naszem gronie! Jest nas dwunastu!

— W Ekeby umiera co roku człowiek! — ciągnie dalej, coraz to posępniej Gösta. — Umiera co roku jeden z gości skrzydła rezydenckiego, jeden z wesołków, beztroskich, wiekuistych młodzieńców!

Zaprawdę, takim jak my starzeć się nie wolno! Czemże jest nam życie, czemże my dla życia jesteśmy, kiedy drżąca ręka nie może już utrzymać szklanki, a oślepłe oko kart rozróżnić nie zdoła? Umrzeć musi zawsze jeden z trzynastu, obchodzących wigilję w kuźni ekebijskiej, ale co roku przybywa nowy, by dopełnić liczby. Bywa to zawsze człowiek, doświadczony w rzemiośle uciechy, człowiek umiejący grać na skrzypkach i w karty, gdyż on jeno może dopełnić grona. Stare motyle muszą znać sztukę umierania w pełnem słońcu! Wznoszę zdrowie trzynastego!

— Ależ, Gösto, jest nas dwunastu! — zaprotestowali wszyscy i żaden nie tknął szklanki.

Gösta Berling, zwany poetą, mimo, że nie napisał w życiu wiersza, ciągnął dalej z niezmąconym spokojem:

— Kawalerowie i bracia! Czyż zapomnieliście, czem jesteście? Utrzymujecie przy życiu całą radość Wermlandji. Dajecie rozmach smyczkowi skrzypiec i tempo tanom, śpiew i muzyka rozbrzmiewa z waszej łaski. Bez was ustałby taniec, powiędłyby róże, zamarłaby gra w karty, a w całym kraju pozostałyby tylko huty żelaza i obszarnicy. Jak długo wy żyć będziecie, trwać będzie radość. Przez lat sześć już święcę wigilję tu, w kuźni ekebijskiej, nigdy zaś nie wahano się wypić zdrowia trzynastego biesiadnika. Któryż z was czuje strach przed śmiercią?

— Ależ, Gösto! — zawołali. — Jakże możemy pić zdrowie trzynastego, skoro nas jest jeno dwunastu?

Smutek zjawił się na twarzy Gösty.

— Czyż nas dwunastu tylko? — spytał. — I czemuż to? Czyż mamy wymrzeć! Więc ma nas w roku przyszłym być jeno jedenastu, a w następnym dzie-

sięciu? Więc życie nasze ma się stać legendą, a zespół cały przepaść? Wzywam trzynastego, gdyż wstałem by wypić jego zdrowie. Z głębi morza, z wnętrzności ziemi, z oddali nieba wzywam tego, który ma uzupełnić liczbę rezydentów.

Rozlega się szum w kominie, bucha płomień topnego pieca i przybywa trzynasty. Jest kudłaty, ma ogon, końską nogę, rogi i szpiczastą bródkę, a na jego widok zeskakują z siedzeń przerażeni rezydenci i krzyczą głośno.

Niesłychana nastaje radość i wrzask, a Gösta woła donośnie:

— Przybył trzynasty! Zdrowie trzynastego!

Zjawił się tedy stary wróg ludzkości w gronie szaleńców, mących nocną ciszę. Przybył ulubieniec czarownic z Łysej Góry, który spisuje kontrakty krwią na czarnym papierze, który przez siedem dni i nocy tańczył z hrabiną Ivaranäss, a siedmiu pastorów wygnać go nie mogło...

Myśli kotłują w głowach starych awanturników na jego widok. Dumają nad pytaniem, z czyjego powodu wybrał się tej nocy w drogę.

Wielu z nich chce uciekać ze strachu, ale niebawem uświadamiają sobie, że nie przybył poto, by ich ściągnąć do piekieł, jeno że go zwabił brzęk puharów i śpiew. Zapragnął uczestniczyć w ludzkiej radości wigilijnej i zrzucić na chwilę brzemię władzy.

O rezydenci! Któryż z was myśli o tem, iż to noc wigilijna? Anioły śpiewają pastuszkom po polach, dzieci w łóżeczkach boją się twardo zasnąć, by nie przespać pięknej pasterki porannej. Niedługo zapłoną świece świąteczne w broeńskim kościele, a w dali, pod leśnym szałasem, rozniecił młodzieniec

ognisko z gałązek sosnowych, by ukochanej jasno było w drodze na mszę. W oknach chat pozatykały kobiety świeczki, które niedługo oświecą drogę idącym do kościoła. Organista powtarza przez sen kolendy, a leżący w łóżku stary dziekan próbuje, czy zdoła jak należy zagrzmieć: Chwała Bogu na wysokości, a pokój na ziemi ludziom dobrej woli!

Ach kawalerowie! Lepiejby spędzić tę noc pokoju w łóżkach, niźli kumać się z księciem ciemności!

Oni atoli witają go okrzykami za przykładem Gösty, stawiają przed nim puhar palącego napoju i sadzają na honorowem miejscu. Baerencreutz zaprasza go na partyjkę rabouge'a, Juljusz śpiewa pieśni, a Örneclou opowiada o kobietach, niebiańskich istotach, słodzących życie. Dobrze tu rogatemu, siedzi oparty królewskim gestem o kozioł i podnosi puhar do wykrzywionych ust.

Gösta Berling przemawia, oczywiście, na cześć jego.

— Wasza Wysokość! — powiada. — Oczekiwaliśmy już oddawna Waszą Wysokość tu, w Ekeby, gdyż nie masz chyba dostępu do podobnego raju. Żyjemy tu, nie orząc ni siejąc, jak wiadomo, pieczone gołąbki wpadają nam do ust, a piwo i wódka płyną potokami. Dobrze tu, proszę to sobie zapamiętać, Wasza Wysokość!

— My, rezydenci, tęskniliśmy zawsze za tobą, o Panie, gdyż nie czuliśmy się jakoś nigdy w pełnej liczbie. Jesteśmy czemś więcej, niż się wydaje z pozoru. Dwunastka, to liczba prastara, nasz symbol długich wieków. W dwunastu rządziliśmy ongiś światem z Olimpu, w dwunastu obsiadywaliśmy gałęzie drzewa Igdrazil, a także stół krągły króla Artura. Dwunastu było nas rycerzy w wojsku Karola Wiel-

kiego. Jeden z nas był Torem, drugi Jowiszem, co dziś każde rozpozna dziecko. Łatwo się doszukać świetności boskiej pod łachmanami, a lwiej grzywy pod oślą skórą. Zeszliśmy z biegiem czasu na psy, ale ta kuźnia jest nam jeszcze dziś Olimpem, a to skrzydło rezydenckie Walhalą!

— Mimo wszystko, o Panie, nigdy nie czuliśmy się w pełnej liczbie. Wiemy, że w gronie dwunastu musi być jeszcze ktoś ze sfer poezji, jakiś Loke, Prometeusz, czy Ganelon. I tego nam właśnie brakowało!

— Witam Waszą Wysokość! Witam!

— No, no... piękne słowa, śliczne słowa! — przyznał djabeł. — Szkoda, że nie mam czasu odpowiadać! Przyjaciele, wzywają mnie pilne interesy! Muszę zaraz odejść, inaczej gotów byłbym do wszystkiego. Dziękuję za miłe przyjęcie, drodzy przyjaciele! Do widzenia!

Rezydenci zapytali chórem, dokąd mu tak spieszno, zaś djabeł odpowiedział, że czeka nań właścicielka Ekeby, majorowa, dla odnowienia kontraktu.

Wielkie zdumienie ogarnia rezydentów. Wszakże majorowa to kobieta surowych obyczajów i dzielna osoba. Podnosi korzec zboża na plecy, prowadzi transport rudy z kopalni do Ekeby, sypia jak parobek na klepisku, z workiem pod głową. W zimie dogląda mielerzy, latem spławia tratwami drzewo po jeziorze. Silną wolę ma ta kobieta. Klnie jak chłop, rządzi siedmioma posiadłościami swemi i dogląda majątków sąsiedzkich, włada parafją własną i pobliskiemi, słowem jest królową Wermlandji. Dla bezdomnych rezydentów była zawsze matką i dlatego puszczali mimo uszu pogłoski, że ma pakt z djabłem. Teraz

pytają ciekawie, jaki to kontrakt zawarła z księciem ciemności.

Djabeł odpowiada szczerze, że podarował majorowej siedem włości wzamian za obietnicę posyłania mu rok rocznie jednej duszy.

Przerażenie ogromne ściska serca rezydentów!

Wiedzieli wszystko, ale nie rozumieli dotąd. W Ekeby umiera co roku jeden człowiek, umiera jeden z gości rezydenckiego skrzydła pałacu, jeden z wesołych, beztroskich, wieczystych młodzieńców. Ano trudno, ludzie tacy starzeć się nie powinni! Czemże jest im życie, czemże są dla życia, gdy drżąca ich ręka nie może podnieść do ust szklanki, a oślepłe oko kart nie rozeznaje? Motyle winny znać sztukę umierania w pełnem słońcu!

Teraz dopiero pojęli znaczenie tych słów!

Biada strasznej kobiecie! Dlatego to raczy ich smacznem jadłem, dlatego poi ich mocnem piwem i wódką. Chce, by wprost od stołu pijaństwa i gry spadali w głąb piekieł... co roku jeden... jeden każdego krótkiego roku!

Biada strasznej kobiecie! Biada czarownicy! Do Ekeby przybywają silni, dzielni mężowie, poto by ginąć! Ona to pędzi ich w śmierć, mózgi zamieniając w gąbkę, płuca w suchy popiół. Oszałamia ich mózgi, gdy na łożu śmierci, pozbawieni nadziei, bez duszy, ruszają w tę daleką drogę. Biada tej kobiecie! Tak pomarło wielu, stokroć lepszych od niej, tak zginąć muszą wszyscy, do jednego!

Niedługo zostawali jednak rezydenci pod grozą strachu.

— Książę ciemności! — wołają. — Nie pozwolimy ci zawierać paktów, pisanych krwią, z tą czarownicą.

Musi umrzeć! Chrystjan Bergh, silny kapitan, zarzucił już na plecy największy, ręczny młot kuźni, by roztrzaskać głowę potwora. Ty zaś sam, rogaty, musisz lec na kowadle, a my na ciebie spuścimy młot dźwigniowy. Kując, będziemy cię przytrzymywać obcęgami, aż ci odejdzie chętka polowania na dusze rezydentów.

Czarny jegomość niewiele ma odwagi, jak zdawna wiadomo, i bardzoby nie rad dostać się pod młot dźwigniowy. Wzywa tedy kapitana Bergha, by zaczekał, i rozpoczyna z kawalerami układy.

— Weźcie sobie od przyszłego roku te siedem hut żelaza, a oddajcie mi majorową!

— Nie sądź, że jesteśmy nikczemni, jak ty! — woła Juljusz. — Weźmiemy Ekeby i siedem posiadłości, ale z majorową musisz sobie radzić sam.

— Cóż na to Gösta? — pyta łagodny Lövenberg. — Niech mówi Gösta! W tak ważnej sprawie musimy zasięgnąć jego zdania.

— Wszystko to jest wielkie głupstwo! — powiada Gösta. — Bracia, nie dajcie się wodzić za nos! Czemże jesteśmy w porównaniu z majorową? Dusze nasze to rzecz inna, ale nie możemy się świadomie zachowywać wobec tej kobiety, jak szubrawcy niegodni i zdrajcy. Zbyt długo jadłem chleb majorowej, by ją w tej chwili opuścić.

— Idź tedy do piekła, Gösto, jeśli masz ochotę. My sami będziemy królować w Ekeby.

— Czyście poszaleli, lub przepiliście resztę rozsądku? Nie sądźcież, że to prawda! Wszakże to nie djabeł. Czyż nie spostrzegacie, że wszystko jest jeno wierutnem kłamstwem?

— Hm... hm... — rzekł czarny. — Acan jesteś na najlepszej drodze dostania się do piekła, jesteś tu

już od siedmiu lat, a nic jeszcze nie wiesz. Lada moment czeka cię to.

— Głupstwa pleciesz, mój drogi! Sam cię przecież wsadzałem do pieca.

— Cóż stąd? Mogę być mimo to równie dobrze djabłem, jak każdy inny. Tak, tak, Gösto, ty mi na pewno nie ujdziesz. Pięknie wybujałeś pod ręką majorowej.

— Ocaliła mnie! Czemże byłbym bez niej!

— Miała w tem cel swój. Wzięła cię do Ekeby, byś innych przynęcił. Posiadasz dużo zalet. Raz chciałeś się wyrwać, poprosiłeś ją o dom i pracowałeś na życie jako robotnik. Ona zaś codziennie przychodziła pod twe okna z pięknemi dziewczętami. Pewnego dnia, ujrzawszy w jej towarzystwie Marjannę Sinclair, rzuciłeś łopatę i fartuch i zostałeś na nowo rezydentem.

— Głupiś! Droga tamtędy wiodła i basta.

— Oczywiście wiodła droga tamtędy, przyznaję. Innym razem, jako nauczyciel Henryka Dohny omal nie zostałeś zięciem hrabiny Märty. Któż to jednak powiedział Ebbie Dohna, że jesteś wypędzonym proboszczem, skutkiem czego cię odrzuciła? Majorowa to uczyniła, Gösto! Chciała cię odzyskać!

— Nonsens! — odpowiada Gösta. — Ebba Dohna zmarła niedługo potem. I takbym jej nie był dostał.

Czarny przystąpił doń blisko i syknął mu w ucho:

— Zmarła, oczywiście zmarła, bo się zabiła z twego powodu, ale o tem nie wie nikt.

— Niezły z ciebie djabeł! — rzekł Gösta.

— Wszystko to, powiadam, urządziła majorowa. Chciała cię odzyskać do gromady rezydentów.

Gösta roześmiał się w głos.

— Niezły z ciebie djabeł! — krzyknął porywczo. Ano, dobrze, zawrzemy z tobą, jeśli chcesz, kontrakt, mocą którego dasz nam siedem hut żelaza.

— Dobrze, że nie stajesz już wbrew własnemu szczęściu.

Rezydenci odetchnęli z ulgą. Doszło do tego, że nie śmieli nic przedsięwziąć bez Gösty. Gdyby nie był przystał, umowa nie doszłaby do skutku, mimo że posiadanie siedmiu hut, to rzecz niemała dla biednych pędziwiatrów.

— Zważcież dobrze! — rzekł Gösta. — Przyjmujemy siedem posiadłości, by ocalić dusze, nie poto zaś, by zostać bogatymi obszarnikami, co liczą złoto i ważą żelazo, nie wolno nam być suchemi pergaminami, zawiązanemi workami pieniędzy, ale musimy zachować dotychczasową, kawalerską fantazję.

— Złote ziarna mądrości! — mruknął czarny jegomość.

— Bierzemy tedy na rok te siedem posiadłości, ale wiedz, że jeśli w tym czasie uczynimy coś niezgodnego z honorem kawalerskim, jeśli dokonamy czegoś użytecznego, mądrego lub nikczemnego, to weźmiesz sobie po roku wszystkich dwunastu razem, a huty będziesz mógł dać, komu zechcesz.

Djabeł zatarł z uciechy ręce.

— Jeśli natomiast zachowamy się, jak przystało ludziom honoru, — dodał Gösta — to nie będzie ci już wolno nigdy zawierać paktu odnośnie do Ekeby i nie dostaniesz też w tym roku zapłaty, ani od nas, ani od majorowej.

— To ciężkie warunki! — powiedział djabeł. — Drogi Gösto, wszakże mógłbyś mi przyznać choć

jedną duszę, bodaj jedną, małą duszyczkę, naprzykład majorowej. Czemużto ją ochraniasz?

— Nie handluję tym towarem! — huknął Gösta. — Jeśli jednak chcesz duszę, to porwij Sintrama z Forsu, on dojrzał całkiem do piekła.

— Hm... hm... to rzecz niezła! — powiedział czarny jegomość, nie mrugnąwszy nawet okiem. — A więc wszyscy rezydenci, lub Sintram... to się równoważy. O, będę miał tłusty rok!

Spisano akt krwią z serdecznego palca Gösty, na czarnym papierze djabła, gęsiem piórem.

Po podpisaniu rozradowali się rezydenci. Przez cały rok zażywać mieli wszystkich szczęśliwości, potem zaś... znajdzie się, myśleli, jakieś wyjście.

Odsunęli siedzenia, podali sobie ręce i wykonali wokoło kotła z ponczem, na czarnej podłodze, dziki taniec. Pośrodku koła skakał djabeł, dając ogromne susy, potem zaś padł jak długi przy kotle, pochylił go ku sobie i zaczął pić.

Na ten widok runął o ziem Baerencreutz, obok niego Gösta, a dalej koleją wszyscy i, pochylając ku sobie kocioł, pili zawzięcie. Wkońcu ktoś potrącił kocioł, tak że się przewrócił, a lepki napój oblał leżących.

Wstali klnąc co sił, ale djabła już nie było, tylko złote obietnice jego unosiły się, niby promieniste korony, nad głowami rezydentów.

UCZTA ŚWIĄTECZNA.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia wydała majorowa Samzelius wielką ucztę w Ekeby.

Zasiadła jako gospodyni u stołu, na pięćdziesiąt osób nakrytego, w pełnym blasku i wspaniałości. Znikło krótkie futerko jagnięce, pasiasta spódnica z samodziału i fajka gliniana. Szumią na niej jedwabie, złoto zdobi jej ramiona, a perły chłodzą białą szyję.

Gdzie się atoli podzieli rezydenci, którzy pili na czarnej podłodze kuźni, z miedzianego kotła, zdrowie przyszłych posiadaczy Ekeby?

Siedzą oto w kątku, pod piecem, przy osobnym stole, gdyż dziś niema dla nich miejsca przy stole paradnym. Dochodzą ich potrawy późno, a wino dopływa skąpo, nie polatują ku nim spojrzenia pięknych dam, a nikt nie słucha żartów Gösty Berlinga.

Kawalerowie podobni są dziś oswojonym źrebcom, czy osłabłym, dzikim zwierzętom. Spali w nocy jeno przez godzinę, pojechali bowiem przy blasku pochodni i gwiazd na poranną pasterkę. Widzieli świece świętalne, słuchali kolend, a miny ich stały się jako miny łagodnych dzieci. Zapomnieli o wigilji w kuźni, jak się zapomina złego snu.

Potężna i wspaniała jest majorowa z Ekeby. Któżby śmiał podnieść na nią rękę, kto rzucić jej

wyzwanie? Zaiste, nie biedni rezydenci, którzy przez lata całe jedli jej chleb i pod jej dachem spali. Sadza ich gdzie chce, może im zamknąć drzwi przed nosem, a żaden ujść nie zdoła jej władzy. Poza Ekeby, dalibóg, żyćby nie mogli.

U wielkiego stołu życie co się zowie. Błyszczą tu piękne oczy Marjanny Sinclair i brzmi wesoły śmiech hrabiny Dohna.

Wśród rezydentów cicho. Czyż nie byłoby słusznem, by siedzieli razem z gośćmi ci, którzy dla dobra majorowej rzucani bywali w piekło? Poniżający jest ten stolik pod piecem, wygląda bowiem jakby kawalerowie nie byli godni towarzystwa dostojników!

Siedząc pomiędzy hrabią z Borgu i opatem z Bro, pyszni się majorowa, zaś rezydenci zwieszają głowy, jak dzieci stojące w kącie za karę, a jednocześnie budzą się w nich myśli z ubiegłej nocy.

Wesołe żarciki i swawolne kłamstewka dobiegają lękliwie jeno do stołu pod piecem, gdzie panuje w umysłach gniew i wspomnienie paktu wigilijnego. Wprawdzie Juljusz dowodzi silnemu kapitanowi Chrystjanowi Bergh, że pieczonych jarząbków, obnoszonych właśnie u stołu głównego, nie starczy dla wszystkich, ale ta uwaga nie budzi wesołego śmiechu.

— Nie starczy, na pewno! — zapewnia. — Wiem, ile ich było. Ale niema obawy, kapitanie, dla nas, przy bocznym stoliczku, napieczono wron.

Usta pułkownika Baerencreutza składają się do mdłego jeno uśmiechu pod sumiastem wąsem, zaś Gösta wygląda od rana, jakby chciał kogoś zamordować.

— Każde jadło dobre dla rezydentów! — powiada.

Przynoszą w tej chwili do stołu bocznego kopiatą misę wspaniałych jarząbków.

Ale kapitan wre gniewem. Przez całe życie nienawidził tego szkaradnego, wrzaskliwego plemienia i nieraz, wystawiając się na drwiny, przyodziewał kobiece suknie byle je tylko podejść na strzał, gdy żerowały w zbożu. Mordował je wiosną na pustych polach, gdy obchodziły weselne gody, latem szukał gniazd i wyrzucał wrzeszczące, bezpióre pisklęta, lub niszczył zalęgnięte jaja.

Przysunął sobie misę z jarząbkami i krzyknął służącemu:

— Sądzisz, że ich nie poznaję, że muszę słyszeć krakanie, by poznać wronę? Któż się, u djaska, waży podawać wrony Chrystjanowi Berghowi? Do krocset djabłów!

Brał jednego jarząbka po drugim i ciskał o ścianę, a tłuszcz i sos pryskały wokoło. Odbite od ściany ptaki padały daleko po podłodze, a cały stół rezydencki wrzał radością.

Nagle doleciał kawalerów gniewny głos majorowej, wołający na służbę:

— Wyrzucić go za drzwi!

Ale służący nie mieli odwagi. Był to, wszakże, mocarny kapitan Bergh.

— Wyrzucić go za drzwi! — powtórzyła.

Posłyszał i zwrócił się straszny, złowrogi ku majorowej, jak niedźwiedź od powalonego przeciwnika do nowego nieprzyjaciela. Odszedł do stołu, ustawionego w podkowę, a posadzka drżała pod krokami olbrzyma. Stanął wreszcie, oddzielony od niej jeno wąskim stołem.

— Wyrzucić go za drzwi! — powtórzyła.

Kapitan wpadł w szał, straszne są jego pięści i zmarszczone czoło. Wysoki jest i silny jak olbrzym, goście i służba drżą, nikt go nie śmie tknąć, zwłaszcza w tej chwili, gdy gniew zaćmił rozum jego.

Stojąc przed majorową, grozi jej:

— Rzucałem wrony o ścianę! Czyż nie miałem prawa?

— Wynoś się, kapitanie!

— Ty babo jedna! Jak śmiesz podawać wrony Chrystjanowi Berghowi? Gdybym chciał postąpić z tobą wedle prawa ludzkiego i boskiego, to wziąłbym cię, razem z twymi siedmioma djabłami...

— Milcz do krocset djabłów! Nie waż się kląć! Tu mnie jednej kląć wolno!

— Sądzisz, że się boję, czarownico? Sądzisz, że nie wiem, jak przyszłaś do swoich siedmiu hut?

— Milcz!

— Altringer darował je, umierając, twemu mężowi, gdyż byłaś jego kochanką!

— Milcz, powtarzam!

— Taką to byłaś wierną małżonką, Małgorzato Samzelius, a major przyjął ową darowiznę i, jakby nie wiedział o niczem, oddał ci zarząd. To sprawa djabelska! Ale teraz przyszedł twój koniec!

Majorowa siada, pobladła i drży na całem ciele. Potem głosem dziwnie cichym potwierdza:

— Tak, Chrystjanie Bergu, już po mnie, a tyś tego dokonał!

Na te słowa zadrżał mocarny kapitan, twarz mu się wykrzywiła, łzy strachu napłynęły do oczu.

— Jestem pijany! — zawołał. — Nie wiem, co mówię! Nie powiedziałem nic. Psem i niewolnikiem byłem dla niej przez lat czterdzieści, psem i niewol-

nikiem i niczem więcej. To Małgorzata Celsing, której służyłem przez całe życie. Nic złego nie mówię o niej, jakżebym miał wyrzec złe słowo o Małgorzacie Celsing? Jestem psem, co strzeże jej drzwi, niewolnikiem, co dźwiga ciężary. Może mnie bić i kopać, ale widzicie wszyscy, że milczę i cierpię! Kochałem ją przez lat czterdzieści! Jakżebym mógł o niej powiedzieć coś złego?

Dziwny był to obraz, gdy padł na kolana, błagając przebaczenia, że zaś siedziała po drugiej stronie stołu, obszedł, tarzając się po ziemi, wokoło, pochylił nisko głowę i ucałował rąbek jej sukni, rosząc łzami posadzkę.

Opodal majorowej siedział niski, korpulentny mężczyzna o krętych włosach, małych, skośnych oczkach i wystającej dolnej szczęce. Przypominał niedźwiedzia. Małomówny ten, zajęty własnemi sprawami, nie zwracający uwagi na świat i życie człowiek, był to major Samzelius.

Posłyszawszy ostatnie słowa kapitana, wstał, majorowa wstała także, a po niej wszyscy goście. Kobiety jęły płakać ze strachu przed tem, co nastąpi, mężczyźni zdrętwieli, a u stóp majorowej leżał Chrystjan, całując jej suknię i roniąc na posadzkę łzy.

Szeroka, kosmata dłoń majora zwinęła się zwolna w pięść i podniósł ramię.

Ale uprzedziła go. Przemówiła głucho, jak nigdy dotąd.

— Skradłeś mnie! — zawołała. — Przyszedłeś jak zbój i skradłeś mnie. Zmuszono mnie biciem, głodem i klątwami, bym została żoną twoją. Postąpiłam, jak na to zasłużyłeś.

Major wyciągnął pięść, majorowa cofnęła się o krok, potem zaś podjęła na nowo:

— Żywy węgorz wije się pod nożem, kobieta zmuszona do małżeństwa bierze kochanka. Czy chcesz mnie bić za to, co zaszło przed dwudziestu laty? Czemuż nie biłeś mnie wówczas? Wszakże pamiętasz, że mieszkał w Ekeby, a my w Sjö. Nie zapomniałeś chyba, jak nam pomagał w biedzie? Jeździliśmy jego powozami i piliśmy jego wino. Czyż tailiśmy coś przed tobą? Czyż służba jego nie była naszą? Czyż jego złoto nie płynęło do twej kieszeni? Czyż nie przyjąłeś siedmiu posiadłości? Wówczas powinieneś był mnie bić, Berndzie Samzelius... wówczas trzeba mnie było bić!

Mąż odwrócił się od niej i spojrzał po gościach. Wyczytał, że jej przyznają słuszność i sądzą, jakoby wziął pieniądze za milczenie.

— Nie wiedziałem! — zawołał i tupnął.

— Na szczęście teraz wiesz! — przerwała ostro. — Obawiałam się, że umrzesz w nieświadomości. Ale na szczęście wiesz, przeto mogę mówić otwarcie z tobą, który byłeś mym właścicielem i dozorcą mego więzienia. Otóż byłam kochanką tego, któremu mnie skradłeś. Niechże to wiedzą wszyscy, którzy plotkowali o mnie!

W głosie jej triumfuje dawna miłość i błyszczy w oczach. Widzi przed sobą męża z zaciśniętą pięścią. Czyta przerażenie i wzgardę w pięćdziesięciu twarzach, czuje, że wybiła ostatnia godzina jej potęgi, a mimo to raduje się, że może mówić otwarcie o najpiękniejszych wspomnieniach życia.

— Był to mężczyzna prawdziwy, mężczyzna wspaniały! A kimże jesteś ty, któryś nas rozdzielił? Nie znałam w życiu nikogo, jak on! Dał mi szczęście, dał mienie. Błogosławię pamięć jego!

Major opuszcza ramię, nie bije, wie już w jaki ją sposób ukarać.

— Precz! — krzyczy. — Precz z mego domu!

Nie drgnęła nawet.

Kawalerowie pobledli, stoją, spoglądając po sobie. Wszystko, co mówił djabeł, pełnić się zaczyna. Oto skutek nieodnowienia kontraktu majorowej. Jeśli to prawda, to jest również prawdą, że od przeszło dwudziestu lat wysyłała rezydentów do piekła i że również ich ten sam los czeka. O, przeklęta czarownica!

— Wynoś się! — powtarza major. — Żebraj chleba po gościńcach. Jego złoto nie sprawi ci już radości i nie będziesz żyła w dobrach jego. Niema już majorowej na Ekeby! Jeśli stąpisz nogą na mój próg, zabiję cię!

— Wyganiasz mnie z mego domu?

— Nie masz domu! Ekeby jest moje!

Majorową ogarnia zwątpienie. Cofa się ku drzwiom, mąż zaś następuje na nią.

— Byłeś klątwą mego życia, — żali się — a teraz robisz mi i tę krzywdę?

— Precz, powiadam!

Staje oparta o ramę drzwi, zasłania twarz splecionemi rękami i szepce, wspominając matkę: Niechże cię zaprą, jak ty się mnie wyparłaś, niechże domem będzie ci gościniec, rów przydrożny łożem, a mielerz ogniskiem. A więc spełniło się wszystko, do słowa!

Zacny opat z Bro i landrat z Munkerudu przystąpili do majora, by go ułagodzić. Mówili, że najlepiej zostawić w spokoju dawne sprawy, nie zmieniać niczego, przebaczyć i zapomnieć. Ale strząsa ich dłonie z ramion i jest groźny, jak przedtem kapitan Bergh, tak że nikt się doń zbliżać nie waży.

— To wcale nie jest dawna sprawa! — woła. — Do dzisiejszego dnia nie wiedziałem o niczem! Nie mogłem do tej pory ukarać cudzołożnicy!

Na te słowa podnosi majorowa głowę, czując, że jej wraca odwaga:

— Ty opuścisz przede mną ten dom! — woła. — Nie myśl, że ustąpię! — to powiedziawszy, podeszła bliżej.

Major nie odpowiada, ale śledzi każdy jej ruch, gotów bić.

— Dopomóżcież mi, panowie, związać tego człowieka i wyprowadzić stąd, by odzyskał zmysły. Zważcież kim jest on, a kim ja. Rozważcie to, zanim będę mu musiała ustąpić. Zarządzam całem Ekeby, on zaś siedzi po całych dniach przy niedźwiedzim dole i karmi niedźwiedzie. Dopomóżcież mi, przyjaciele i sąsiedzi! Gdy mnie zbraknie, zapanuje tu straszna nędza. Chłop żyje i buduje sobie dom za to, że ścina dla mnie drzewa w lesie i wozi rudę. Węglarz zarabia dostawą mego węgla, a flisak spławianiem mego drzewa. Ja jestem szafarką tej pracy, będącej źródłem dobrobytu. Czyż sądzicie, że on zdoła prowadzić dalej dzieło moje? Oświadczam, że, wyganiając mnie, otwieracie podwoje klęsce głodu.

Znowu podnosi się mnóstwo rąk, by pomóc majorowej i kładą się z perswazją na ramiona majora.

— Nie! — woła. — Precz ode mnie! Czyż chcecie bronić wiarołomnej kobiety? Oświadczam, że jeśli nie odejdzie dobrowolnie, wezmę ją na ręce, zaniosę do niedźwiedziej jamy i rzucę w głąb.

Na te słowa opadają z powrotem ramiona.

W ostatniej potrzebie zwraca się majorowa do rezydentów.

— Czyż i wy jesteście, panowie, w stanie patrzeć spokojnie, jak mnie wypędzają? Czyż dopuściłam, byście zimą marzli w śniegu? Czy odmawiałam mocnego piwa i słodkiej wódki? Czyż żądałam za ubranie i żywność pracy i zapłaty? Czyż wam nie było u mnie, jak u matki? Wszakże dzień za dniem upływał wam na weselu i uciechach! Nie dozwólcie, panowie, wygnać mnie z domu temu człowiekowi, który był nieszczęściem mego życia! Nie dopuśćcież, bym została żebraczką na gościńcu.

Gösta pochylił się ku pięknej, ciemnowłosej dziewczynie, siedzącej przy wielkim stole, i rzekł:

— Anno! Bywałaś przed pięciu laty często w Borgu, powiedz mi tedy, czy mówiła majorowa Ebbie, że mnie wygnano z plebanji?

— Dopomóż majorowej! — odparła.

— Zrozum, że muszę wpierw zyskać pewność, czy mnie nie uczyniła mordercą!

— Cóż za przypuszczenia, Gösto? Dopomóżże jej!

— Nie chcesz odpowiedzieć, rozumiem. Sintram powiedział tedy prawdę! — rzekł Gösta, wrócił do rezydentów i nie ruszył palcem w obronie majorowej.

Ach, czemuż majorowa posadziła kawalerów przy bocznym stole, pod piecem? Teraz zbudziły się w ich umysłach myśli z ubiegłej nocy, oczy łyskają gniewem nie mniejszym, niż gniew majora, a wszystko, co widzą potwierdza nocne widziadła.

— Oczywiście, rzecz jasna, kontrakt nie został odnowiony! — mruczą do siebie.

Ach, nie może majorowa spodziewać się pomocy od tej szemrzącej czeredy kawalerów.

Podchodzi więc znów do drzwi i zakrywa twarz rękami.

— Niechże się ciebie zaprą, jak ty się mnie wyparłeś! — woła z goryczą i bólem. — Niech ci domem będzie gościniec, a rów przydrożny łożem.

Kładzie rękę na klamce, drugą podnosi i mówi:

— Zapamiętajcie to sobie wszyscy, którzy mnie w tej chwili opuszczacie! Zapamiętajcie sobie, że rychło nadejdzie godzina wasza. Rozproszycie się, a miejsce wasze pozostanie puste. Cóż się z wami stanie, gdy wam zbraknie mej pomocy? Bacz dobrze, Melchiorze Sinclairze, który uciskasz swych bliskich! Nadchodzi sąd i kara, proboszczu z Broby! Pani Ugglo, wiedz, że zbliża się nędza do domu twego! Piękne, młode panie, Elżbieto Dohna, Marjanno Sinclair i Anno Stjärnhök, wiedzcie, że nie ja to jedna zostanę wygnana z domu! Baczcież i wy, kawalerowie, albowiem nadciąga burza. Zostaniecie zwiani z powierzchni ziemi, a czas wasz dokonał się! Nie żal mi siebie, ale was wszystkich, bowiem burza uderzy po was, a któż się ostoi, gdym ja padła? Serce me krwawi z powodu tylu biednych ludzi! Któż im da pracę, gdy mnie zbraknie?

Majorowa otwarła drzwi, a kapitan rzekł, podnosząc głowę:

— Jakże długo mam leżeć u stóp twoich, Małgorzato Celsing? Przebacz mi, bym wstał i rozpoczął walkę za ciebie!

Majorowa toczy walkę straszną z samą sobą, ale wie, że jeśli przebaczy, to człowiek, kochający ją od lat czterdziestu, zacznie walczyć z jej mężem i zostanie mordercą.

— Mamże więc jeszcze przebaczać? — powiada. — Jesteś sprawcą mego nieszczęścia, Chrystjanie Bergh. Wróć do grona kawalerów i raduj się dziełem swojem!

To rzekłszy, wyszła. Wyszła spokojnie, zostawiając za sobą przerażenie. Padła, ale nawet wśród poniżenia nie utraciła pewnego dostojeństwa. Nie folgując bólowi czysto ludzkiemu, w starości swej radowała się młodocianą miłością. Nie pozwoliła sobie na skargę, ni łzy słabości, zrozumiała wszystko i nie przeraziło ją, że będzie z kijem i torbą żebraczą chodziła po świecie. Żal jej było jeno biednych chłopów i wesołych, beztroskich mieszkańców pobrzeża, oraz biednych rezydentów, których wspierała i chroniła. Opuszczona przez wszystkich, znalazła jeszcze siłę odepchnięcia ostatniego przyjaciela, by go nie uczynić mordercą.

Przedziwna to była kobieta, o wielkiej sile i żądzy czynu. Trudno, zaprawdę, napotkać podobną do niej.

Następnego dnia wyjechał major z Ekeby do Sjö, położonego w pobliżu wielkiej huty. Testament, mocą którego otrzymał siedm hut żelaza, opiewał wyraźnie, że nie wolno niczego sprzedawać, ani darowywać, ale wszystko ma po śmierci majora przejść na jego żonę, lub potomstwo. Nie mogąc tedy roztrwonić przeklętego dziedzictwa, ustanowił jego panami rezydentów, pewny, że w ten sposób zaszkodzi najbardziej Ekeby i sześciu innym posiadłościom.

Wszyscy, w całej okolicy wierzyli święcie, że Sintram spełnił polecenie szatana, ponieważ zaś to, co obiecał, spełnionem zostało tak świetnie, kawalerowie pewni byli, że kontrakt zostanie dotrzymany ściśle, i postanowili sobie silnie przez cały rok nie uczynić nic mądrego, ani użytecznego, ani nikczemnego. Także uwierzyli niezachwianie, że majorowa jest czarownicą, pragnącą ich zguby.

Drwił z tego jeno filozof, wuj Eberhard, ale któżby sobie coś robił z człowieka tak zatwardziałego w poglądach, że gdyby nawet sam leżał na piekielnych mękach, w kole wyśmiewających go szatanów, twierdziłby niewątpliwie, iż nie istnieją wcale, bo istnieć nie mogą. Wuj Eberhard był to, zaprawdę, wielki filozof!

Gösta Berling nie zwierzał się nikomu ze swych myśli. To tylko pewne, że nie poczuwał się wobec majorowej do żadnej wdzięczności za przyjęcie do Ekeby na rezydenta. Wolałby był nie żyć, niż mieć świadomość, że winien jest śmierci Ebby Dohna. Nie podniósł ręki dla zemsty nad majorową, ale również nie uczynił nic dla jej obrony. Nie był w stanie.

Kawalerowie osiągnęli wielką potęgę i świetność. Był czas świąteczny, pełen uczt i rozrywek, serca rezydentów przepajała radość, a jeśli nawet smutek uciskał duszę Gösty Berlinga, to nie jawił się na twarzy jego, ni ustach.

GÖSTA BERLING, POETA.

W okresie świąt miał się odbyć bal w Borgu.

Mieszkał tam podówczas młody hrabia Dohna z piękną, świeżo poślubioną małżonką i zabawa w starym zamku hrabiowskim zapowiadała się świetnie.

Ekeby otrzymało także zaproszenie, ale wnet wyszło na jaw, że nikt ze świątkujących tu w tym roku, nie miał ochoty jechać, prócz Gösty Berlinga, nazwanego „poetą".

Borg i Ekeby leżą nad jeziorem löffeńskiem, ale po przeciwległych brzegach, tak że przy niezamarzłej powierzchni wody, trzeba było tam jechać dwie godziny.

Biednego Göstę wyekwipowali starsi kawalerowie na ten bal, niby królewicza, mającego reprezentować państwo. Dostał nowy frak z błyszczącemi guzikami, sztywny żabot i lśniące, lakierowane trzewiki. Przedziwne było jego bobrowe futro, a takaż czapka nakryła mu jasne, faliste włosy. Rozpostarto na jednokonnych saneczkach niedźwiedzią skórę, o srebrnych pazurach, i zaprzężono Don Juana, chlubę stajni. Gwizdnął na swego Tankreda, ujął lejce z plecionki zrobione i wyjechał rozradowany, promieniejący wspaniałością Gösta, który promieniał i bez tego urodą i zdolnościami swemi.

Ruszył w niedzielne przedpołudnie i, mijając kościół broeński, usłyszał śpiewanie. Skręcił na samotną drogę leśną, wiodącą do Wergi do kapitana Uggli, gdzie postanowił zjeść obiad.

Werga nie było to osiedle bogacza, głód trafiał nieraz pod kryty sitowiem dach kapitana, a przyjmowany jak inni goście żarcikami, śpiewem i grą, nierad opuszczał gościnne progi.

Zarządzająca kuchnią i przędzalnią, stara mamzel Ulryka Dillner powitała Göstę na schodach podjazdu, a w dygu zatrzęsły się z radości jej sztuczne loczki, okalające brunatną, pomarszczoną wielce twarzyczkę. Wprowadziwszy go do sali jęła zaraz paplać o właścicielach posiadłości i lichych stosunkach, w jakich żyli.

Troska i niedostatek stoją u drzwi, mówiła, a czasem zbraknie na obiad chrzanu do solonego mięsa, i oto właśnie Ferdynand zaprzągł Dizę i wraz z dziewczętami ruszył do Munkerudu pożyczyć coś nie coś. Kapitan był w lesie i wróci pewnie z żylastym zającem, do którego trzeba dodać więcej masła, niż sam wart. Zwie on to zaopatrywaniem domu w żywność. Zresztą gorzej będzie jeszcze, gdy przyniesie lisa, najnikczemniejsze stworzenie boskie, równie bezużyteczne w stanie żywym, jak martwym.

A jaśnie pani? O, jeszcze nie wstała. Leży w łóżku i czyta, jak zawsze, romanse. Nie stworzone zaprawdę do pracy, to anielskie niewiniątko!

Pracę pozostawiono osiwiałej w służbie starowinie, to też drepciła od świtu do nocy, wiążąc koniec z końcem, co było zadaniem nielada. Przez całą zimę nie było innego mięsiwa w domu, prócz jednej jedynej szynki niedźwiedziej. Zapłatę pobierała skro-

mną, a w dodatku nie widziała dotąd grosza, ale żyła nadzieją, że jej nie wyrzucą na gościniec, gdy będzie niezdolną do pracy. Traktowano gospodynię bardzo po ludzku i była pewną, że jej państwo kiedyś sprawią uczciwy pogrzeb, o ile tylko stanie pieniędzy na trumnę.

— Któż wie, co się stanie! — zawołała, ocierając fartuchem oczy, do których raz po razu napływały łzy. — Winniśmy niepoczciwemu panu Sintramowi sporo pieniędzy i może nam zabrać wszystko. Ferdynand zaręczył się wprawdzie z bogatą Anną Stjärnhök, ale obawiam się, że ona go puści w trąbę, tak, niezawodnie puści go w trąbę. I cóż się wówczas stanie z nami, z trzema krowami, dziewięciu końmi i młodemi, wesołemi dziewczętami, któreby rade jeździć z balu na bal! W cóż się obrócą jałowe pola, gdzie nic nie rośnie, i nasz zacny Ferdynand, z którego nigdy nie będzie człowiek jak należy? Cóż się stanie z całym tym domem, gdzie wszystko kwitnie, oprócz pracy.

Nadeszło południe i mieszkańcy zebrali się w komplecie. Wrócił zacny, flegmatyczny Ferdynand i wesołe panny z pożyczonym chrzanem, wrócił też kapitan, orzeźwiony kąpielą w zalewisku jeziora i polowaniem. Otwarł okno, by wpuścić świeże powietrze i uścisnął serdecznie dłoń Gösty. Zjawiła się jaśnie pani w jedwabiach i koronkach i podała mu łaskawie rączkę do pocałunku. Wszyscy powitali Göstę radosnym śmiechem i żarcikami i pytali jedno przez drugie:

— Cóż tam słychać w Ekeby, w ziemi obiecanej?

— Płynie miód i mleko! — odpowiedział. — Obdzieramy góry z żelaza i napełniamy piwnice winem, pola dają złoto, którem złocimy nędzę życia, zaś lasy

rąbiemy, by z tego drzewa budować kręgielnie i pawilony w parku.

Jaśnie pani westchnęła, potem zaś uśmiechnęła się w odpowiedzi, a z ust jej uleciało:

— Jesteś poetą!

— Mam dużo grzechów na sumieniu, — odparł — nigdy atoli nie napisałem jednego wiersza.

— Mimo to jesteś poetą, Gösto! — potwierdziła. — Przeżyłeś więcej poematów, niźli ich napisali poeci nasi.

Potem jęła łagodnie, jak matka, wyrzucać mu, iż marnuje życie.

— Dożyję jeszcze, ufam, czasu — powiedziała — kiedy staniesz się mężczyzną statecznym!

Z przyjemnością dał się nieść radom tej łagodnej, słodkiej przyjaciółki, której marzycielskie serce pałało umiłowaniem wielkich czynów.

Skończono wnet wesołą ucztę, zjedzono mięso z chrzanem, kapustę, wafle i zapito wszystko świątecznem piwem, poczem Gösta jął opowiadać o majorowej, majorze i proboszczu z Broby, tak iż wszyscy płakali, to znów pokładali się od śmiechu. Nagle zadźwięczały janczary w podwórzu i wnet potem wszedł do pokoju złośliwy Sintram.

Promieniał radością, od łysiny aż do szerokich stóp.

Machał długiemi rękami, wykrzywiał się i widać było, że niesie fatalne wieści.

— Słyszeliście już, państwo? — spytał ten djabeł. — Słyszeliście, że dziś wyszła w swartsjoeńskim kościele pierwsza zapowiedź Anny Stjärnhök i bogatego Dahlberga? Musiała zapomnieć o zaręczynach z Ferdynandem.

Nikt o tem nie wiedział i strach padł na dom cały.

Ujrzeli w duchu ruinę zupełną, gdyż musiano zwrócić dług złemu Sintramowi. Zostaną sprzedane ulubione konie, stare wyprawne meble matki. Skończy się wesołe życie i jazda z balu na bal. Na stół przyjdzie znowu szynka niedźwiedzia, zaś młodzi pójdą w służbę ludzi obcych. Matka pogłaskała syna czule, z wyrazem niewyczerpanej miłości.

Ej nie! Był wszakże pośród nich Gösta Berling, stanowiąc ścianę pomiędzy biedakami, a niezwyciężonym Sintramem. Myśli zawirowały mu w głowie.

— Głupstwo! — zawołał. — Nie czas jeszcze lamentować. To sprawka pastorowej ze Svartsjö, która ma wielki wpływ na Annę, od kiedy mieszka na plebanji. Ona to ją namówiła, by porzuciła Ferdynanda, a wzięła starego Dahlberga, ale jeszcze nie wzięli ślubu i nic z tego nie będzie! Jadę do Borgu, gdzie spotkam Annę. Pomówię z nią i wystrychnę na dudków pastorostwo, oraz narzeczonego. Przywiozę ją tu nocą, a stary Dahlberg dostanie figę.

Tak się stało. Gösta pojechał do Borgu sam, nie zabierając żadnej z wesołych panienek, ale zato gorące życzenia pozostałych, by mu się powiodło. Sintrama ogarnęła radość na myśl, że Dahlberg zostanie wykierowany na błazna, został tedy w Werdze, w oczekiwaniu powrotu Gösty z niewierną. W przystępie życzliwości okrył nawet odjeżdżającego swym zielonym szalem podróżnym, który dostał od mamsel Ulryki, w podarku.

Pani domu przyniosła z góry trzy czerwono oprawne książki i, podając mu je na schodach podjazdu, rzekła do siedzącego już w sankach Gösty:

— Weź to na wypadek, gdyby ci się nie powiodło. To „Korynna“ pani Stael, nie chciałabym, by poszła pod młotek.

— Szczęście mi zawsze sprzyja!

— O Gösto, Gösto! — powiedziała, gładząc odkrytą jego głowę. — Ty najsilniejszy i najsłabszy z pośród ludzi! Jakże długo nie wywietrzeje ci z głowy, że masz w ręku dolę i niedolę biedaków?

Gösta pomknął znów gościńcem, Don Juan galopował, biały Tankred pędził za nim, a świadomość bliskiej przygody przepajała duszę jego radością.

Czuł się młodym zdobywcą, a duch nad nim polatywał. Droga wiodła po pod plebanję swartsjoeńską. Zajechał tam i spytał, czy może zabrać na bal Annę Stjärnhök. Przyzwolono. Piękna, przekorna dziewczyna wsiadła do sanek. Któżby nie chciał jechać czarnym Don Juanem!

Zrazu milczeli młodzi, potem jednak rozpoczęli rozmowę zuchwałą i bez ogródek.

— Słyszałeś, Gösto, co pastor ogłosił dziś z kazalnicy? — spytała.

— Ogłosił cię za najpiękniejszą dziewczynę pomiędzy Löffenem, a Klarelfem!

— Głupiś, Gösto! To wiedzą wszyscy bez pastora. Nie, ogłosił moje zapowiedzi ze starym Dahlbergiem.

— Dalibóg, gdybym to wiedział zgóry, nie brałbym cię do sanek! Bądź pewna!

Odparła dumnie:

— I bez Gösty Berlinga pojechałabym do Borgu.

— Szkoda cię, Anno, — rzekł w zadumie — szkoda, że nie masz ojca, ni matki. Jesteś dziwaczka i nie można cię traktować serjo.

— Większa szkoda, żeś tego nie powiedział wcześniej, gdyż kto inny mógł mnie zawieźć.

— Pastorowa jest, widać, tego samego co ja zdania. Potrzeba ci męża, któryby był twym opiekunem i ojcem. Inaczej, zaprawdę, nie wydawałaby cię za taką starą pokrakę, jak Dahlberg.

— Pastorowa nie ma z tem nic wspólnego.

— Ejże! Więc sama wyszukałaś sobie tak ślicznego mężulka?

— Nie bierze mnie on przynajmniej dla pieniędzy.

— O nie, starcom zależy tylko na niebieskich oczach i rumianej buzi. Błazny są jednak, czyniąc tak.

— Wstydź się, Gösto!

— Pamiętaj tylko, że odtąd nie wolno ci się bawić z młodymi ludźmi. Djabli wzięli taniec i wesele. Miejsce twe w rogu kanapy, a może wolisz zagrać ze staruszkiem, Dahlbergiem, partję rabouge'a?

Umilkli i nie mówili, aż do chwili wjeżdżania na wzgórze borgijskie.

— Dziękuję ci za miłą rozmowę! — powiedziała. — Nie prędko pojadę znowu z Göstą Berlingiem.

— Dziękuję wzajem. Znam kogoś, kto również żałuje, że z tobą jechał na zabawę.

W pokorniejszym, niż zwykle, nastroju weszła zuchwała dziewczyna na salę i spojrzała po zebranych.

Spostrzegła zaraz małego, łysego Dahlberga, obok pięknego, smukłego, jasnowłosego Gösty. Napadła ją ochota wyrzucić obydwu za drzwi. Narzeczony podszedł, zapraszając ją do tańca, ale go powitała szyderczo i spytała zdumiona:

— Chcesz tańczyć? Od kiedyżto uprawiasz tańce?

Zbliżyły się dziewczęta i jęły winszować.

— Nie udawajcie dzieci! — powiedziała. — Wszakże trudno zakochać się w Dahlbergu! Ale on bogaty i ja bogata, przeto jesteśmy dla siebie stosowni.

Podeszły starsze damy, ściskały jej ręce i mówiły o najwyższem szczęściu życia.

— Proszę powinszować pastorowej, — odparła — ją to raduje dużo więcej, niż mnie!

W pewnej odległości stał Gösta Berling, świetny kawaler, witany z radością, bo śmiał się radośnie i sypał słowa, niby pył złoty na szary łachman życia. Nie widziała go jeszcze takim. Nie był to człowiek wyklęty, wyrzucony za nawias, bezdomny facecjonista... o nie! Był królem pośród mężczyzn, królem z krwi i kości.

On i inni młodzieńcy sprzysięgli się przeciw niej. Dali jej sporo czasu myśleć nad tem, jak źle uczyniła, trwoniąc na rzecz starca wdzięki swe i bogactwo. Przez dziesięć tańców nie ruszyła nogą.

Wrzała gniewem.

Gdy zabrzmiał taniec jedenasty, poprosił ją człeczyna marny, ostatni z ostatnich, z którym nikt tańczyć nie chciał.

— Piwo wypite, teraz pora na męty! — powiedziała.

Potem zagrano o fanty. Jasnowłose dziewczęta poszeptały z sobą i skazały ją na pocałowanie tego, którego najbardziej kocha. Uśmiechnięte czekały chwili, kiedy pocałuje Dahlberga. Ona jednak wstała dumna i gniewna, mówiąc:

— Wolę raczej dać w twarz temu, którego najbardziej nienawidzę!

W chwilę potem zaczerwienił się policzek Gösty od ciosu jej silnej dłoni. Oblany rumieńcem, przytrzymał na sekundę jej rękę i szepnął:

— Bądź za pół godziny na dole, w czerwonym gabinecie!

Błękitne oczy jego objęły ją magicznym kręgiem i uczuła, że musi być mu posłuszną.

Przyjęła go dumnie, złemi słowy:

— Cóż to obchodzi Göstę Berlinga, że wychodzę zamąż?

Nie miał jeszcze dla niej życzliwych wyrazów, a jednocześnie nie chciał zaraz mówić o Ferdynandzie.

— Nie sądzę, — powiedział — by utrata dziesięciu tańców była karą dostateczną. Ale niech ci będzie dowodem, że nie wolno bezkarnie łamać przyrzeczeń i obietnic. Kto inny, wymierzając ci sprawiedliwość, byłby nierównie surowszy.

— Cóż uczyniłam tobie i innym, że mnie prześladujecie? Nie dajecie mi spokoju, wyłącznie z powodu majątku mego. Rzucę tedy pieniądze do Löffenu i niech je sobie kto chce łowi.

Zakryła twarz dłońmi i rozpłakała się z gniewu.

To wzruszyło serce poety. Zawstydził się surowości swojej i przemówił serdecznie:

— Przebacz mi, drogie dziecko! Przebacz biednemu Goście! Któż sobie coś robi ze słów nędzarza, któż płacze z powodu gniewu jego? Równie dobrze możnaby płakać z powodu ukłucia komara. Byłem szalony, ale chciałem przeszkodzić, by nasza najpiękniejsza i najbogatsza dziewczyna wiązała się ze starcem. A tymczasem dokazałem tego jeno, żem cię zasmucił.

Usiadł przy niej na sofie i objął wpół, by ją wspierać i chronić. Nie broniła się, przylgnęła doń, zarzuciła mu ramiona na szyję i oparła o jego ramię piękną główkę.

Ach, poeto, najsilniejszy i najsłabszy z ludzi! Nie twoją to szyję obejmować miały te białe ręce!

— Gdybym to była wiedziała, nie brałabym za nic tego starca! Dziś dopiero poznałam cię. Nikt ci nie dorówna!

Pobladłe wargi Gösty szepnęły:

— Ferdynand!

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Cicho bądź! Nikt dla mnie nie istnieje, tylko ty! Będę ci wierną!

— Ja jestem Gösta Berling, — rzekł ponuro — za mnie wyjść nie możesz!

— Kocham ciebie, kocham ciebie, pierwszego wśród mężczyzn. Nie potrzebujesz robić nic, niczem być! Jesteś król, król z krwi i kości!

Zawrzała krew poety. Była tak piękna, tak urocza w uniesieniu miłości. Przycisnął ją do piersi.

— Jeśli chcesz być moją, — powiedział — nie możesz przebywać na plebanji. Pozwól, że cię zabiorę tej nocy do Ekeby, a tam potrafię cię obronić, aż do czasu wesela.

— — — — — — — — — — — —

Czarowna to była jazda nocą. Ulegli prawu miłości i dali się unosić Don Juanowi.

Skrzyp śniegu pod płozami sanek zdawał się być skargą oszukanego. Cóż ich to jednak obchodziło? Zawisła u jego szyi, on zaś pochylony, szeptał jej:

— Czyż może istnieć rozkosz większa, nad skradzione szczęście?

Cóż mogła znaczyć zapowiedź, oni posiedli miłość, cóż gniew ludzki? Gösta wierzył w przeznaczenie. Los ich pokonał, niesposób walczyć z losem! Gdyby

nawet gwiazdy były świecami ślubnego ołtarza, a janczary Don Juana dzwonami weselnemi na ślub z Dahlbergiem, i tak musiałaby uciekać z Göstą Berlingiem. Los jest potężny!

Minęli szczęśliwie i cało plebanję munkerudzką. Mieli do Wergi jeszcze pół mili, a drugie pół do Ekeby. Droga wiodła skrajem lasu. Po prawej widniały ciemne góry, po lewej zaś leżała długa, biała dolina.

Wtem dogonił ich Tankred. Sadził, leżąc niemal na brzuchu. Zawył ze strachu, skoczył w sanki i skulił się u nóg Anny.

— Wilki! — powiedział Gösta.

Zobaczył długą, szarą, ruchomą linję pod lasem. Zwierząt było co najmniej dwanaście.

Anna nie przelękła się. Dzień tak obfity w przygody obiecywał podobną noc. Toż to życie! Tak pędzić po lśniącej przestrzeni, drwiąc zuchwale z dzikich zwierząt i ludzi!

Gösta zaklął, pochylił się i uderzył silnie Don Juana po grzbiecie.

— Boisz się? — spytał. — Biegną naprzełaj i dogonią nas na zakręcie gościńca.

Don Juan dał susa i pognał w zawody z drapieżcami, a Tankred zaskomlał z gniewu i strachu. Dotarli do zakrętu jednocześnie z wilkami, a Gösta odpędził pierwszego biczem.

— Ach, Don Juanie drogi — rzekł Gösta — jakże łatwo umknąłbyś dwunastu wilkom, gdybyś nie musiał wlec nas, ludzi!

Przywiązali do oparcia sanek zielony szal, co przeraziło wilki, tak że na chwilę zostały w tyle. Przezwyciężyły jednak rychło strach, a jeden skoczył ku

sankom, wywalając ozór i rozdziawiając paszczę. Wówczas wziął Gösta tom „Korynny“ pani Stael i cisnął go wilkowi.

Znowu nastała pauza, podczas której zwierzęta szarpały łup. Niebawem jednak, potargawszy szal i książkę, wilki nacisnęły tak, że czuli ich gorący oddech na plecach. Wiedzieli, że przed Wergą nie napotkają ludzkich osiedli, ale Gösta wydało się gorszem od śmierci spojrzyć w oczy ludziom, których oszukał. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli koń ustanie, zginą niechybnie.

Nagle zamajaczył pod lasem dwór wergijski, rozjarzony światłem. Gösta wiedział, co to znaczy.

W tej chwili wilki znikły, przerażone bliskością wsi, a Gösta minął Wergę. Ale zaledwo dotarł do miejsca, gdzie droga ponownie zapadała w las, ujrzał przed sobą ciemną gromadę czekających wilków.

— Zawróćmy na plebanję, — rzekł — powiemy, żeśmy odbyli małą przejażdżkę przy świetle gwiazd. Uwierzą na pewno.

Zawrócili, ale natychmiast wilki otoczyły sanki. Szare postaci przemykały, łyskając białemi zębami i świecąc oczyma. Wyły z głodu i żądzy krwi, gotowe wbić zęby w miękkie ludzkie ciało. Podskoczyły do pyska Don Juana i zawisły u uździennicy. Anna rozmyślała, czy wilki pożrą ich ze szczętem, czy też zostawią bodaj trochę kości, by ludzie mogli znaleźć rano w śniegu ślady.

— Idzie o nasze życie! — powiedziała, pochylając się i biorąc za kark Tankreda.

— Daj pokój! — odparł. — To na nic! Nie z powodu psa ruszyły wilki tej nocy na łów.

Rzekłszy to, wjechał w bramę wergijskiego dworu. Ale wilki ścigały ich aż do podjazdu, tak że musiał się bronić biczem.

— Anno! — powiedział stając wkońcu. — Nie było to zgodne z wolą bożą. Zrób dobrą minę, jeśli jesteś tą, za jaką cię mam... rozumiesz?

Posłyszawszy brzęk janczarów, wszystko wyległo na dwór.

— Ma ją! — wołano chórem. — Ma ją! Niech żyje Gösta Berling! — i ściskano się wzajemnie.

Niewiele padło pytań. Noc była późna, przybyłych wyczerpała pełna niebezpieczeństw jazda, udano się tedy na spoczynek. Dość było obecności Anny.

Skończyło się zatem dobrze, zniszczał tylko cenny podarek mamsel Ulryki, zielony szal i „Korynna".

— — — — — — — — — — — —

Cały dom spał. Gösta Berling wstał, ubrał się i wymknął na dwór. Wyciągnął niepostrzeżenie ze stajni Don Juana, zaprzągł i chciał ruszyć, gdy nagle wyszła z domu Anna Stjärnhök.

— Usłyszałam cię! — powiedziała. — Gotowa jestem jechać z tobą!

Podszedł i uchwycił jej dłoń.

— Czyż jeszcze nie rozumiesz? To niemożliwe! Bóg nie chce! Posłuchaj i chciej mnie pojąć. Byłem tu dziś przed południem i widziałem rozpacz tych ludzi z powodu twej niewierności, pojechałem przeto do Borgu, by cię przywieźć Ferdynandowi. Ale zawsze byłem nikczemnikiem i już się nie zmienię, zdradziłem go więc i zdradziłem go dla ciebie. Tu mieszka stara kobieta, która wierzy, że coś ze mnie jeszcze będzie, a ja z nią postąpiłem, jak człowiek bez honoru. Druga stara kobieta godzi się głodować i drżeć z zimna, byle

tylko móc umrzeć pośród przyjaciół, ja zaś omal że jej nie wyrzuciłem na bruk przez Sintrama. Byłaś piękna, a grzech słodki. O jakże łatwo uwieść Göstę! Jestem nędznym szubrawcem! Wiem, jak ci ludzie kochają swój dom, a jednak postawiłem ich u progu ruiny. Zapomniałem o wszystkiem dla ciebie. Byłaś tak zachwycająca w miłości swojej! Teraz atoli, kiedy byłem świadkiem ich radości, nie mogę cię brać, Anno. O ty jedyna, kochanko moja! Ten tam... igra wolą naszą, musimy się ugiąć pod jego karzącą ręką. Przyrzeknij mi, że od dziś weźmiesz brzemię swe na plecy. Oni wszyscy ufają ci. Przyrzeknij, że zostaniesz z nimi, że im będziesz pomocą i ochroną! Jeśli mnie kochasz, jeśli chcesz złagodzić straszny ból mój, to przyrzeknij! Jedyna moja, czyż serce twoje nie jest dość wielkie, by się przezwyciężyć z uśmiechem na ustach?

Przyjęła z zapałem nakaz rezygnacji.

— Uczynię, co chcesz, — powiedziała — poświęcę się z uśmiechem.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Jak długo ciebie kocham i ich kochać będę.

— Teraz dopiero wiem, co z ciebie za dziewczyna! O jakże ciężko oderwać się od ciebie!

— Żegnaj mi, Gösto! Jedź z Bogiem! Miłość moja nie przywiedzie cię do grzechu.

Obróciła się, by odejść, on poszedł z nią.

— Czy rychło mnie zapomnisz?

— Jedź, Gösto! Jesteśmy tylko ludźmi!

Wskoczył do sanek, ona natomiast zawróciła.

— Czy pamiętasz wilki, ach? — spytała.

— Oczywiście. Spełniły swe zadanie. Ze mną jednak, tej nocy, nic już nie mają do czynienia.

Wyciągnął raz jeszcze do niej ręce, ale zniecierpliwiony Don Juan ruszył. Nie ujął lejc. Pochylony wstecz, patrzył poza siebie. Potem, oparty o brzeg sanek, jął łkać rozpacznie.

— Miałem w rękach szczęście i odepchnąłem je! Ach, czemuż to uczyniłem, czemu?

O, Gösto Berlingu, ty najsilniejszy i najsłabszy pośród ludzi!

KACZUCZA.

Rumaku bojowy! Bojowy rumaku, który pasiesz się teraz na trawie, czyli pamiętasz młodość swoją?

Czy pamiętasz dzień bitewny, rumaku dzielny, bojowy? Pędziłeś, niby na skrzydłach niesiony, grzywa jak płomień pałała nad twą głową, a krew i piana spływała ci po bokach czarnych. Gryząc pozłociste wędzidło, pędziłeś w dal, a ziemia drżała pod kopytami twemi. Rozkosz cię ogarnia, dzielny rumaku. Ach, jakżeś był piękny!

— — — — — — — — — — — —

W skrzydle rezydentów ekebijskiego dworzyszcza panuje szary mrok. W wielkiej sali stoją pod ścianami czerwono malowane skrzynki kawalerów, a świąteczna ich odzież wisi na gwoździach w kącie. Płomień kominka oświetla bielone ściany i firanki w żółtą kostkę, kryjące alkowy. Mieszkanie kawalerów, to nie serail, nie królewskie komnaty.

Ale rozbrzmiewają tu skrzypce Liliencrony. Gra szarą godziną kaczuczę.

Powtarza ją raz po razu.

Rozetnijcie struny, złamcie smyk! Czemuż to powtarza bez końca przeklęty ten taniec? Czemuż gra właśnie w chwili, kiedy Örneclou leży w łóżku,

wijąc się w reumatycznych bólach i wstać nie może? Wyrwijcież mu skrzypce i rozbijcie o ścianę, skoro przestać nie chce!

Czy dla nas grasz kaczuczę, maestro? Czy można ją zatańczyć po chwiejnej podłodze skrzydła rezydenckiego, pośród ciasnych, brudnych, zakopconych ścian, z niskim pułapem? Ach, do licha, jakże ty grasz!

Czyż ta kaczucza jest dla nas, kawalerów, przeznaczona? Na dworze szaleje zadymka. Czyż uczysz płatki śniegu tańczyć do taktu? Czyliż grasz do tańca szybkonogim dzieciom Króla Śniegu?

Żali masz tu kobiece ciała, drżące pod tętnieniem krwi, małe usmolone rączki, co odsuwając garnek, chwytają kastaniety, bose nogi, widne z pod wysoko zakasanych spódniczek, podwórze wyłożone marmurem, cyganów skulonych z dudą i tamburynem, maurytańskie kolumnady, księżyc i czarne oczy... czy masz to wszystko tutaj, maestro. Jeśli nie, to połóż smyczek!

Kawalerowie suszą przemoczoną odzież u ognia. Niesposób chyba tańczyć w długich, kutych butach, o podeszwach grubych na cal? Przez cały dzień brodzili po łokciowej wysokości śniegu, tropiąc niedźwiedzia. Czy sądzisz, że zechcą tańczyć w mokrych, kurzących się ubraniach z fryzu, miast damy mając kudłatego misia?

Żali masz dla nas, mistrzu, wygwieżdżone niebo, czerwone róże w ciemnych włosach kobiecych, oszałamiający gorąc wieczora, wrodzoną plastykę poruszeń i miłość, płynącą z nieba i buchającą z ziemi, co faluje w powietrzu? Pocóż w przeciwnym razie zmuszasz nas, byśmy za tem wszystkiem tęsknili?

Okrutniku, żali trąbisz wsiadanego rumakowi bojowemu, co stoi na uwięzi? Rutger von Örneclou leży przykuty do łoża bólami reumatycznemi. Oszczędź mu męki rozkosznych wspomnień! I on też nosił sombrero i barwistą siatkę na włosach i on też przywdziewał kaftan z aksamitu, oraz nosił sztylet za pasem. Szczędźże, mistrzu, starego Örneclou.

Ale Liliencrona gra i gra kaczuczę, zaś Örneclou cierpi jak kochanek, co widzi jaskółkę, lecącą w stronę odległego mieszkania kochanki, jak jeleń spragniony, którego myśli pędzą mimo źródła w lesie.

Na moment odejmuje Liliencrona skrzypce od podbródka i pyta:

— Chorąży, czy pamiętasz piękną Rózię von Bergen?

Örneclou ciska straszliwe przekleństwo.

— Lekka była, jak płomień. Lśniła i tańczyła, jak brylant na końcu smyczka. Pamiętasz ją pewnie z karlsztadzkiego teatru. Widywaliśmy ją tam za młodu... czy pamiętasz, Örneclou?

Czy pamięta? Była mała, dzika i sypała skrami, jak ogień. Tańczyła kaczuczę. Uczyła kaczuczy wszystkich młodych ludzi Karlsztadu, a także trzaskać kastanietami. Na balu u landrata tańczyli chorąży z panną von Berger kaczuczę, oboje w strojach hiszpańskich, a tańczył ją, jak się tańczy, pod figowcami i platanami... tańczył jak Hiszpan prawdziwy.

Nikt w całej Wermlandji nie umiał, jak on tańczyć kaczuczy, to jest tak, by wartało o tem wspominać. Wielką stratę poniosła Wermlandja, gdy gościec uczynił sztywnemi jego członki, a na stawach potworzył wielkie guzy. Cóż to był za kawaler, jaki smukły, piękny, rycerski! „Pięknym Örneclou“ zwały

go dziewczęta, poprzysięgając sobie dozgonną nienawiść z jego powodu.

Liliencrona rozpoczyna na nowo kaczuczę, a myśli Örneclou cofają się w dawne lata.

Oto stoi tu, a Rózia Berger tam! Byli właśnie przez chwilę sami w garderobie, on jako Hiszpan, ona jako Hiszpanka. Dała mu się pocałować, ale ostrożnie, gdyż przerażały ją wypomadowane wąsy. Teraz tańczą... jak się tańczy jeno pod figowcami i platanami. Cofa się, ona nastaje, on się uzuchwala, ona czyni dumny gest, on się obraża, ona gotowa jest do zgody. Gdy wkońcu pada na kolana i chwyta ją w rozpostarte ramiona, przez salę płynie westchnienie... westchnienie zachwytu.

Był Hiszpanem, prawdziwym Hiszpanem!

Przy tem właśnie pociągnięciu smyczka, pochylał się w ten sposób, tak wyciągał ramiona, a potem wysuwał nogę, by płynąć w powietrzu... Cóż za wdzięk! Można go było kuć w marmurze.

Nie wie sam, jak się to stało, ale przerzuca nogi przez bok łóżka, wstaje, pochyla się, wyciąga ramiona, strzela z palców i chce płynąć ponad podłogą, jak za onych dawnych lat, kiedy nosił trzewiki tak ciasne, że je musiano rozcinać, by zdjąć z pończoch.

Brawo, Örneclou! Brawo, Liliencrona!

Noga nie słucha, nie może stanąć na końcach palców. Chwieje się przez chwilę na jednej nodze, potem zaś pada z powrotem na łóżko.

Piękny senor, postarzałeś się, a senorita zapewne także!

Tylko pod platanami Grenady tańczą kaczuczę wiekuiście młodzi gitanos. Są wiecznie młodzi, gdyż każda wiosna nowych rodzi.

A może pora przeciąć struny skrzypiec?

Nie, graj, Liliencrona, graj dalej i dalej kaczuczę. Ucz nas tej wielkiej prawdy, że i tu, w skrzydle rezydenckiem, mimo ciężkiego ciała i sztywnych członków, jesteśmy w sercu zawsze ci sami,... zawsze Hiszpanie!

Rumaku bojowy! Powiedz, że lubisz sygnał galopu, mimo postronka, który ci w chwili rozpędu do krwi nogę ociera.

BAL W EKEBY.

O wy, piękne kobiety czasów minionych! Wspomina się was, jak szczęśliwość niebiańską. Samem jeno pięknem byłyście i samą światłością. Wiecznie młode i piękne, niby łagodne oczy matki, spoglądającej na dziecię swoje. Miękko, jak młode wiewióreczki, zawisałyście u szyi męża. Głos wasz nigdy nie drgał gniewem, czoło nie miało zmarszczki, a ręka miękka była zawsze. O wy słodkie, święte! Stałyście w świątyni domu, niby strojne posągi, przyjmując kadzid'ane hołdy i modlitwy, miłość przez was czyniła cuda, a nad głową lśnił wam złocisty nimb poezji.

O, piękne kobiety czasów minionych, opowiem tu właśnie, jak to jedna z was udarowała Göstę Berlinga miłością swoją.

— — — — — — — — — — — —

W dwa tygodnie po balu borskim odbył się bal w Ekeby, najwspanialsza w świecie zabawa. Wspominając ją, odmładniały kobiety i odmładniali mężczyźni, śmiali się i radowali wielce.

Kawalerowie byli w tym czasie jedynowładcami w Ekeby, bowiem majorowa wędrowała kędyś o kiju żebraczym, z sakwą dziadowską na plecach, zaś major mieszkał w Sjö. Nie mógł nawet uczestniczyć

w balu, gdyż w Sjö właśnie wybuchła ospa, tedy nie chciał szerzyć dalej choroby.

Jakąż pełń uciechy zawarło w sobie tych dwanaście godzin, począwszy od pierwszego strzału korka butelki przy stole, aż do ostatniego tonu skrzypiec, późno, po północy. W otchłań przeszłości zapadły te godziny, uwieńczone diademem radości, rozpłomienione mocnem winem, wyszukanemi potrawami, uroczą muzyką, oraz przedziwnemi, żywemi obrazami. Przepadły kędyś, w zawrotnym, dzikim tańcu. Gdzież bo znaleźć tak gładkie posadzki, wykwintnych kawalerów i piękne damy!

O tak, zaprawdę, piękne kobiety minionych czasów, w salonach Ekeby roiło się od najpiękniejszych z pośród was! Była młoda hrabina Dohna, swawolnie wesoła, zawsze gotowa tańczyć i grać, jak przystało dwudziestolatce, były trzy piękne córki sędziego okręgowego z Munkerudu i wesołe panienki z Wergi, była też Anna Stjärnhök stokroć jeszcze piękniejsza teraz, bo owiana mgłą smutku od czasu onej nocy, kiedy ją ścigały wilki, było dużo, dużo innych, dotąd nie zapomnianych, które jednak niedługo niepamięć pochłonie, a była także piękna Marjanna Sinclair.

Zgodziła się łaskawie wziąć udział w zabawie kawalerów ta istota, słynna na cały świat, będąca gwiazdą dworu królewskiego i atrakcją hrabiowskich pałaców, królowa piękności, przyjmująca hołdy całego kraju, która zapalała serca miłością, samem zjawieniem się.

W czasach onych, honor Wermlandji jaśniał żywym blaskiem wielu świetnych nazwisk. Wesołe dzieci pięknej tej krainy mogły być dumne z niejednego, ile razy atoli wyliczano te skarby, nie zapominano nigdy wymienić Marjanny Sinclair.

Kraj cały rozbrzmiewał sławą jej zwycięstw. Rozpowiadano o diademach hrabiowskich, unoszących się nad jej głową, miljonach, składanych u jej stóp, rycerskich mieczach i wieńcach laurowych, co na nią zlewały blask swój.

Była zaś nietylko piękna, ale sprytna i oczytana, a najmędrsi ludzie epoki rozmawiali z nią chętnie. Nie będąc sama autorką, wkładała wiele swych myśli w utwory piszących przyjaciół i ożywały one w poezji.

Rzadko przebywała w Wermlandji, krainie niedźwiedzi, podróżując przez większą część życia. Ojciec jej, bogaty Melchior Sinclair, siedział z żoną w domu, w Björne, a Marjannę wysyłał ciągle do różnych wielkich miast, lub świetnych zamków, i radował się, opowiadając, ile wydawała pieniędzy. Oboje starzy grzali się w promieniach sławy córki.

Życie jej upływało na uciechach i hołdach. Powietrze wokół niej przepojone było miłością, miłość stanowiła jej światło i chleb powszedni.

Często, bardzo często kochała sama, ale nigdy tak długo, by z uczucia tego ukuć można było kajdany, wiążące na całe życie.

— Czekam, aż miłość przyjdzie jako zdobywca! — mawiała. — Dotąd nie przekroczyła nigdy wałów i nie przebyła rowu fortecznego. Czekam na miłość potężną, która mnie wzniesie ponad mnie samą, chcę zadrżeć przed potęgą miłości, a dotąd znam jeno miłość, z której się rozum mój natrząsa.

Obecność jej przydawała słowom ognia, a życia winu. Płomienna jej dusza wprawiała w szybszy ruch smyczek, a taniec stawał się lotniejszy, bardziej uroczy i powiewny, gdy małą stopką dotknęła posadzki.

Olśniewała w żywych obrazach, przepajały je tchem swym jej cudne usta...

Cicho, sza! Nie było to jej winą i nie miała wcale takiego zamiaru! Balkon, światło księżyca welon koronkowy, rycerski strój i śpiew były sprawcami wszystkiego. Młodzi ludzie byli całkiem niewinni.

Wszystko to, co tyle narobiło złego, w jak najlepszym podjęte zostało zamiarze. Mistrz Juljusz, znający się na wszystkiem, urządził żywy obraz poto, by Marjanna mogła ujawnić w pełni swe powaby.

Przeszło stu widzów zasiadło przed sceną, ustawioną w wielkiej sali, patrząc na żółty, hiszpański księżyc, sunący po ciemnem niebie. Ulicami Sewilli przemykał pewien Don Juan i przystanął pod okrytym bluszczem balkonem. Przebrany był za mnicha, ale z rękawa wystawała koronka mankietu, zaś z pod kuty błyskał koniec szpady.

Jął nucić następującą pieśń:

Nie nęci mnie rozkoszny nektar wina,
Całusem nie czaruje mnie dziewczyna,
O nie! O nie!
Jam mnich, wielbiciel jest Madonny,
Swiat ponęt jest mi dzisiaj całkiem płonny,
Wciąż modlę się!

Więc, choć miłości nocna sprzyja pora,
Nie wychodź tu, nie wychodź, o senora,
Daremny trud!
Jam mnich, jam czciciel jeno jest Madonny,
Me serce pokarm dla cię całkiem płonny,
Bo jest jak lód!

Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk, wyszła na balkon Marjanna w aksamitnej sukni, okryta koronkowym welonem. Pochylona przez parapet balkonu, zanuciła powoli, z ironją:

Pod balkon, żadni mnisi, ni prorocy,
Nie zwykli chodzić nigdy o północy,
Idź tedy precz!

Ale nagle dodała porywczo, z gorączkowem napięciem:

Z pod kuty sterczy, widzę, Boże drogi,
Błyszcząca szpada, tętnią też ostrogi,
To dziwna rzecz!

Na te słowa zrzucił mnich fałdzisty płaszcz i ukazał się Gösta, w stroju rycerskim, z jedwabiu i złota. Nie bacząc na słowa pięknej damy, wspiął się na jeden z filarów balkonu, przekroczył balustradę i padł, jak to zarządził mistrz Juljusz, do stóp Marjanny.

Uśmiechnęła się do niego uroczo, podała do pocałunku rączkę, potem zaś zatonęli w sobie rozkochanem spojrzeniem, a zasłona powoli opadła.

Patrzył na nią Gösta napoły jak poeta, napoły jak zwycięzca, a w spojrzeniu tem była głębia i szelmostwo jednocześnie. Błagał i groził jej oczyma, silny i giętki, płomienny i czarujący zarazem.

Znowu podniesiono zasłonę i opuszczono ją, a przez ten cały czas oboje trwali w bezruchu zupełnym.

Wkońcu umilkły oklaski, zasłona zwisła i nikt ich nie widział.

Nagle pochyliła się piękna Marjanna i pocałowała Göstę. Nie wiedziała, czemu to czyni, ale

działała pod przymusem. Otoczył ramieniem jej szyję i przycisnął ją do siebie, ona zaś całowała go raz po raz.

Winę ponosił księżyc, koronkowy welon, strój rycerski, śpiew, oklaski, słowem wszystko, zaś te biedne dzieci były zgoła niewinne. Nie zamierzali tego wcale uczynić. Ona nie odtrąciła wcale dla Gösty wirujących jej nad głową diademów hrabiowskich, ni miljonów składanych u stóp, on zaś nie zapomniał jeszcze Anny Stjärnhök. Nie, nie byli winni, bowiem żadne nie żywiło tego zamiaru.

Łagodny Löwenberg, załzawiony i uśmiechnięty jak zawsze, podnosił dnia tego i opuszczał zasłonę, jak mu to polecono. Przygnębiony wspomnieniem wielu przykrych przejść, nie zwracał uwagi na sprawy tego świata i nie znał ich, jak należy. Spostrzegłszy, że Gösta i Marjanna przybrali inną pozycję, pewny był, że jest to nowy żywy obraz i podniósł raz jeszcze zasłonę.

Młoda para na balkonie zorjentowała się dopiero w chwili, kiedy zagrzmiały ponowne oklaski.

Marjanna drgnęła i chciała się cofnąć, ale Gösta przytrzymał ją, szepcąc:

— Nie ruszaj się! Wszyscy pomyślą, że jest to dalszy ciąg żywego obrazu.

Czuł, jak drży ze strachu, a żar pocałunków zagasł na jej ustach.

— Nie bój się! — szepnął drugi raz. — Pięknym ustom całować wolno!

Nie mogli się poruszyć, bo zasłona opadła i podniosła się znowu, a za każdym razem sto par oczu na nich patrzyło i sto par rąk dawało oklaski.

Podniosły to widok para kochanków. Nikt też nie przypuszczał, by było w tem coś innego, nad teatralny efekt, nikt nie wiedział, że senora płonie od wstydu, a rycerz drży ze wzburzenia. Wszyscy pewni byli, iż tak wypada z programu.

Nakoniec znaleźli się za sceną. Marjanna odsunęła z czoła włosy i rzekła z westchnieniem:

— Nie rozumiem samej siebie!

— A fe, panno Marjanno! — zawołał Gösta, krzywiąc się i czyniąc gest niechęci. — Cóż to za gust całować Göstę Berlinga? Fe, do licha!

Roześmiała się mimowoli.

— Wszyscy wiedzą, — powiedziała — że Gösta Berlingowi oprzeć się niesposób. Moja wina nie jest tedy większa od winy innych dziewcząt.

Ułożyli, że zbagatelizują to, by nikt nie powziął podejrzenia, jak było istotnie.

— Czy mogę zaufać, że nigdy prawda nie wyjdzie na wierzch, panie Gösto? — spytała, zanim się udali na widownię.

— W zupełności, panno Marjanno! — odparł. — Rezydenci umieją milczeć, ręczę za nich!

Spuściła oczy, a dziwny uśmiech wybiegł na jej wargi.

— A gdyby, mimo wszystko wyszło na jaw, cóż wówczas pomyślą o mnie ludzie, panie Gösto?

— Nic nie pomyślą. Są pewni, że tak wypadało w roli i żeśmy dalej grali!

Jedno jeszcze pytanie niepokoiło ją, to też spytała z wymuszonym uśmiechem, spuszczając oczy:

— A co sądzi o tem sam pan Gösta?

— Sądzę, że panna Marjanna zakochała się we mnie! — odparł ze śmiechem.

— Proszę tak nie myśleć! — powiedziała, śmiejąc się także. — Chyba muszę przebić pana tym sztyletem hiszpańskim, by dać dowód, że tak nie jest.

— Drogie są pocałunki kobiet! — rzekł Gösta. — Czyż za pocałunki panny Marjanny trzeba płacić życiem?

Nagle padło nań z ócz pięknej dziewczyny spojrzenie, które odczuł istotnie, jak pchnięcie sztyletu.

— Radabym pana tu widzieć martwym, panie Gösto Berling! Martwym, rozumiesz pan? — zawołała.

Słowa te obudziły dawną tęsknotę poety.

— Ach! — powiedział. — Czemuż to jeno słowa, a nie strzały padające z ciemności, czemuż nie sztylety, czy trucizna? Szkoda, że nie mogą zniweczyć mego nikczemnego ciała i uwolnić duszy?

Odzyskawszy równowagę, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Frazesy! — potem zaś przyjęła jego ramię i poszli do gości.

Pozostali w kostjumach i triumf ich ponowił się, gdy zostali dostrzeżeni przez zebranych na sali. Zasypano ich pochwałami, a nikt nie miał najlżejszego podejrzenia.

Bal szedł swym torem dalej, ale Gösta uciekł z sali tanecznej. Spojrzenie Marjanny zraniło, jak stal jego serce. Zrozumiał, co miała na myśli. Kochać go było wstydem, rzeczą gorszą, niż śmierć. Postanowił zaprzestać tańca i nie patrzyć na piękne kobiety. Wiedział dobrze, że nie dla niego lśniły te oczy i kraśniały twarzyczki, nie dla niego płynęły rytmicznym tanem te lekkie nóżki i nie dla niego brzmiał stłumiony śmiech. Można było z nim tańczyć

i bawić się, ale żadna nie chciałaby na serjo pójść z nim przez życie.

Poeta poszedł do starszych panów, do palarni i siadł przy stole gry. Natrafił przypadkowo na stół, przy którym siedział potężny władca Björne. Grał, to znów trzymał naprzemian bank i zgromadził przed sobą całą górę monet sześcio i dwunasto-szylingowych.

Grano wysoko, ale Gösta podniósł jeszcze bardziej stawki, zielone papierki zamigotały, a góra pieniędzy przed potężnym Melchiorem Sinclairem rosła z każdą minutą.

Przed Göstą wyrosła jednak także kupka monet i banknotów i niedługo on sam jeden tylko podtrzymywał walkę z właścicielem Björne. Po pewnym czasie stało się nawet tak, że wielka góra pieniędzy, przeszła od Sinclaira do Gösty.

— Ano, Gösto! — zawołał bogacz ze śmiechem, przegrawszy wszystko co miał w sakiewce i portfelu. — Cóż teraz poczniemy? Wypróżniłeś mi kieszenie, a nie grywam nigdy pożyczonemi pieniędzmi, bo przyrzekłem to matce mojej.

Znalazł jednak po chwili wyjście. Przegrał zegarek, bobrowe futro i zamierzał postawić na kartę konia i sanki, gdy go powstrzymał Sintram.

— Postaw lepiej odrazu coś większego! — zawołał złośliwy właściciel Forsu. — Coś, co przełamie fatalny los!

— Djabeł wie, co mam postawić?

— Zagraj o serdeczną krew serca swego, Melchiorze, postaw na kartę córkę swoją!

— Może sobie na to śmiało pozwolić pan Sinclair! — zaśmiał się Gösta. — Tej wygranej nie zainkasuję nigdy!

Potężny Melchior nie mógł się również oprzeć wesołości. Nie miło mu było słyszeć tu, przy stole gry imię Marjanny, ale pomysł był tak szalony, że rozbroił wszelki gniew. Hm... oczywiście, mógł sobie na to pozwolić, by przegrać Marjannę do Gösty.

— Pamiętajże, Gösto, — objaśnił — że czynię to pod warunkiem uzyskania przez ciebie jej przyzwolenia! Ja stawiam na kartę jeno swe błogosławieństwo ojcowskie.

Gösta postawił ze swej strony całą wygraną, gra się zaczęła i wypadła na korzyść Gösty. Melchior Sinclair wstał. Trudno było oczywiście walczyć dalej z fatalizmem.

Jakżeżto, Gösto, czy wobec tego wszystkiego nie zabiło ci serce? Czyż nie rozumiesz woli losu? Cóż znaczyły pocałunki Marjanny? Cóż oznaczał jej gniew? Czyżeś już przestał być znawcą serc kobiecych? A w dodatku ta wygrana! Zrozumże, czego chce los, czego się miłość domaga! Dalejże, do dzieła, Gösto!

Ale Gösta nie był dnia tego w zdobywczym nastroju. Szemrał przeciw niezłomności losu. Czemuż, myślał — miłość syci się jeno miłością? Wiedział zresztą, jak się kończą te wszystkie słodkie piosenki. Miłość mógł uzyskać, ale nie żonę. Daremnie próbować.

Tymczasem minęła północ, policzki pięknych dam zaczęły blednąć, loki się rozkręcały, koronki uległy zmięciu. Starsze niewiasty wstały z kanap i oświadczyły, że bal trwał już dwanaście godzin, więc ostatni czas wracać do domu.

Skończyłaby się też była zaraz wesoła zabawa gdyby nie to, że sam Liliencrona ujął skrzypce i zagrał ostatnią polkę. Sanki podjeżdżały, stare damy

przywdziewały futra i kapuzy, panowie wiązali na szyjach szale i zapinali futrzane papucie.

Ale młodzież nie mogła się oderwać od tańca. Tańczono w ciepłych okryciach, szaleńczo, bez zastanowienia. Ile razy któryś z kawalerów sadzał damę, porywał ją natychmiast drugi.

Nawet osępiały Gösta został pociągnięty w ten wir. Chciał zapomnieć w tańcu o trosce i upokorzeniu, chciał się upoić życiem i rozweselić jak inni. Tańczył też tak, że mu wirowały w oczach ściany sali i myśli w głowie.

Jakąż to damę porwał z sobą? Lekka była, gibka i zdawało się, że płyną przez nich prądy ogniste, że trzaskają błyskawice od niej do niego i z powrotem. Tańczył z Marjanną.

Tymczasem w podwórzu siedział już w saniach Sintram z Forsu, zaś obok niego stał Melchior Sinclair. Możnowładcę niecierpliwiło, że musi czekać na Marjannę. Tupał po śniegu futrzanemi butami i zabijał ramionami, gdyż mróz nastał tęgi.

— Niedobrze się stało, Melchiorze, żeś przegrał Marjannę do Gösty! — powiedział Sintram. — On ci ją zabierze naprawdę!

— Co takiego?

Sintram ujął cugle, podniósł bicz, potem zaś rzekł:

— To całowanie w żywym obrazie wcale nie było w programie przedstawienia!

Potężny obszarnik wzniósł pięść do druzgoczącego ciosu, ale Sintrama już nie było. Ruszył pędem, smagając konia, i nie śmiał spojrzeć poza siebie. Gnał jak szalony, wiedział bowiem, że Melchior Sinclair ma krzepką dłoń, a małą cierpliwość.

Właściciel Björne wrócił do sali balowej i zobaczył córkę tańczącą z Göstą.

Ostatnia polka dzika była i namiętna. Kilka par pobladło, inne oblały się ciemnym rumieńcem. Kurz płynął, niby dym po sali, nisko spalone świece migotały w świecznikach, a pośród całego tego niesamowitego otoczenia sunęli Gösta i Marjanna niezmordowani, silni, królewscy, bez skazy w piękności swej, szczęśliwi, że mogą całą duszą i ciałem oddać się szałowi zawrotnego wiru.

Gdy Marjanna skończyła tańczyć i zapytała o rodziców, powiedziano jej, że odjechali do domu. Nie dała poznać zdziwienia, ubrała się spokojnie i wyszła. Damy w garderobie pewne były, że pojedzie własnemi sankami.

Ona zaś ruszyła gościńcem w cienkich, jedwabnych pantofelkach, nie żaląc się przed nikim. Nikt z gości nie poznał jej w ciemności. Niktby też nie przypuścił, że ta samotna podróżniczka, którą sanki raz po raz spychały w głębokie zaspy śnieżne nad rowem, jest Marjanną Sinclair. Gdy tylko mogła bez przeszkody iść środkiem gościńca, zaczęła biec. Biegła, póki jej starczyło tchu, potem zwolniła i biegła znowu. Pędził ją niesamowity, bolesny strach.

Odległość z Ekeby do Björne wynosiła zaledwo ćwierć mili. Marjanna dotarła też niedługo do domu, ale przybywszy, doznała wrażenia, że zabłądziła. Wszystkie drzwi od podwórza były zamknięte i światła pogaszone, tak że zaczęła przypuszczać, iż rodzice jeszcze nie wrócili.

Podeszła do drzwi wchodowych i zastukała kilka razy mocno. Chwyciła klamkę i zaczęła szarpać, tak że echo rozbrzmiało po całym domu. Nikt nie

przyszedł, kiedy jednak chciała puścić żelazną klamkę, zerwała sobie z ręki skórę, przymarzłą do metalu.

Potężny pan, Melchior Sinclair podążył do domu, by zamknąć przed córką drzwi. Oszołomiły go trunki, a gniew uczynił srogim. Nienawidził córki za to, że pokochała Göstę. Zamknął służbę w kuchni, a żonę w sypialni. Przysiągł uroczyście, że zabije tego, ktoby się poważył wpuścić Marjannę. A wiedzieli wszyscy, że słowa dotrzyma.

Nie widziano go jeszcze w takim gniewie. Nie zaznał też większego bólu w życiu. Gdyby Marjanna stanęła przed nim, zabiłby ją może.

Dawał jej złote ozdoby, jedwabne suknie, wykształcił ją i wyhodował jak najstaranniej. Była jego dumą i sławą. Podnosił na nią oczy z czcią, jakby miała koronę na głowie. Ach, ta królowa, ach ta bogini, ta ubóstwiana, piękna, dumna Marjanna! Czyż szczędził kiedykolwiek grosza dla niej? Czyż nie czuł się niegodnym być jej ojcem? Ach, Marjanno, Marjanno!

Musiał ją znienawidzić, gdyż zakochała się w Gösie i całowała go! Musiał ją odepchnąć, gdyż kochając takiego człowieka, ubliżyła jego dumie! Niechże sobie wraca do Ekeby, niech błaga sąsiadów o nocleg, niechaj śpi w śniegu... wszystko jedno... i tak została już splugawioną piękna Marjanna. Przepadła jej świetność! Przepadło też dostojeństwo jego własnego życia!

Leży w łóżku i słyszy jej pukanie do drzwi domu. Cóż go to obchodzi? On śpi! Tam, na dworze stoi ulicznica, która chce wyjść za wypędzonego proboszcza. Niema tu dla niej przytułku. Mógłby ją wpuścić, gdyby ją mniej kochał i mniej był z niej dumny.

Tak, tak, nie może jej odmówić ojcowskiego błogosławieństwa. Przegrał je. Ale za nic nie otworzy jej drzwi domu. Ach, Marjanno!

Dziewczyna stała dalej u drzwi. Wstrząsała w bezsilnym gniewie klamką, to znów padała na kolana, składając poranione dłonie i błagając przebaczenia.

Nikt jej nie słyszał, nie odpowiadał, nie otwierał.

Straszna chwila. Dreszcz mnie przejmuje gdy to opowiadam. Wróciła z balu, którego była królową. Była tak dumna, bogata, szczęśliwa, a w chwilę później popadła w bezgraniczną niedolę. Wygnana została z domu na straszny mróz. Nie bito jej, nie szydzono z niej, nie przeklinano, jeno wygnano z lodowatem, bezlitosnem okrucieństwem.

Przywodzę sobie na myśl tę mroźną, wygwieżdżoną noc, która ją otaczała, tę niezmierną, białą noc, o pustych rozłogach śniegu i cichych lasach. Wszystko spało, ona jeno stanowiła punkt żywy wśród tej śnieżnej bieli, a cały ból świata skupił się w tym punkcie właśnie. Ach Boże... to strasznie tak cierpieć samotnie, pośród stężałego w zamrozie świata!

Po raz pierwszy poznała okrucieństwo. Matce nie chciało się wyjść z łóżka, by ją ocalić, starzy służący, którzy kierowali pierwszemi jej krokami, słyszeli dobrze, a żaden nie ruszył palcem.

Jakiejże dopuściła się zbrodni i gdzie miała szukać miłosierdzia, jeśli nie tu? Nawet po dokonanem morderstwie, pukając tu, wierzyć mogła chyba w przebaczenie, stanąwszy tu jako ulicznica, okryta łachmanem, mogła przecież liczyć na serdeczne przyjęcie. Wszakże za temi drzwiami był jej dom i miłość ją czekać musiała.

A może ojciec uzna, że dość kary i otworzy?

— Ojcze! — wołała. — Wpuść mnie, drżę z zimna. Tutaj tak strasznie!

— Matko! Matko, któraś się tyle nachodziła koło mnie, uczyń kilka kroków dziś! Ty, któraś tyle przeczuwała nocy, zbudź się, zbudź, dziś tylko, już ci nie sprawię przykrości nigdy!

Tak woła i nadsłuchuje bez tchu, ale nikt nie nadchodzi, nie odpowiada.

Załamuje rozpacznie ręce, ale w oczach jej niema łez.

Niesamowicie cichy jest ten długi dom, o zamkniętych drzwiach i czarnych oknach. W cóż się teraz obróci opuszczona, napiętnowana na całe, całe życie? I to własny ojciec wypalił jej znak hańby na ramieniu!

— Ojcze! — zawołała ponownie. — Cóż się ze mną stanie? Ludzie mnie posądzą o najgorsze rzeczy!

Płakała teraz i lamentowała, a ciało jej sztywniało od mrozu.

Dziwne, że spaść może tak wielka niedola na człowieka, który stał przed chwilą tak wysoko! Łatwa to rzecz! Straszne jest życie! Któż bezpieczny w tej łodzi? Wkoło nas szaleją fale zatraty, jak fale morza czasu burzy, spinając się łakomie po ścianach wątłego stateczku. Chcą go przewrócić. Nigdzie oparcia, nigdzie lądu, nigdzie pewnego okrętu nawet, jak okiem sięgnąć sam tylko niezbadany przestwór nieba ponad oceanem zła.

Cicho! Cicho! Nareszcie. W sieni szeleszczą lekkie kroki.

— Czy to ty, mamo? — pyta.

— Ja, dziecko drogie!

— Czy mogę wejść?

— Ojciec nie chce cię wpuścić.

— Przybiegłam z Ekeby w cienkich trzewikach po śniegu, stoję tu już od godziny, zmarznę na śmierć! Czemuście odjechali?

— Dziecko moje, czemuż całowałaś Göstę?

— Powiedzże, mamo, ojcu, że go mimo to nie kocham. To był żart. Nie myślę wychodzić za Berlinga!

— Idź, dziecko, na folwark i proś, by cię przenocowano. Ojciec pijany i nie można z nim dojść do ładu. Zamknął mnie na górze, wymknęłam się, gdy zasnął. Zabije cię, gdy wrócisz teraz do domu.

— Matko, czyż mam iść do obcych? Jesteś więc równie okrutną jak ojciec? Jakże mogłaś pozwolić, by mnie wygnał? Jeśli nie otworzysz, położę się w śniegu!

Matka położyła dłoń na kluczu. W tej samej jednak chwili zatętniły schody pod ciężkiemi krokami i zabrzmiał ostry głos.

Marjanna usłyszała, że matka odchodzi, a ojciec ją klnie... potem zaś...

Usłyszała coś strasznego... w cichym domu wszystko słychać było wyraźnie.

Pochwyciła słuchem odgłos ciosu kijem, czy policzka, potem słaby szelest i znowu cios.

Bił matkę, straszliwy, mocarny Melchior Sinclair bił swoją żonę!

Pobladła z przerażenia, rzuciła się na ziemię i płakała, a łzy marznące w lód padały na próg rodzinnego domu.

— Łaski! — błagała. — Miłosierdzia! Wpuśćcież mnie, bym mogła podać grzbiet na ciosy! Ach, jakże

on mógł bić matkę zato, że nie chce dopuścić, by jej dziecko zamarzło w śniegu?

Straszne było tej nocy upokorzenie Marjanny. Niedawno uważała się za królewnę, teraz zaś leżała tu, jak smagana niewolnica.

Nagle ogarnął ją chłodny gniew. Raz jeszcze uderzyła zranioną ręką w drzwi i krzyknęła:

— Posłuchaj ty, który bijesz matkę moją! Posłuchaj, Melchiorze Sinclair! Będziesz niedługo płakał, tak, będziesz płakał gorzko!

Piękna Marjanna wyszła na gościniec, zdjęła futro i legła w śniegu, w czarnej, jedwabnej sukni, tworząc na bieli jaskrawą plamę. Leżąc, wyobrażała sobie, jak ojciec wyjdzie rano z domu i znajdzie ją tu. Pragnęła już tego tylko, by ją znalazł sam.

O śmierci, biały przyjacielu, więc prawdą jest, że przyjdziesz do mnie? O jakże to dobrze! Przyjdziesz i do mnie, najleniwszego z pracowników ziemi, ściągniesz mi z nóg trzewiki, wyjmiesz łyżkę z ręki, odbierzesz donicę z mąką i zedrzesz z mego ciała roboczą odzież. Rozciągniesz mnie łagodnie na łóżku zdobnem w koronki i przystroisz w długie, haftowane, białe szaty.

Nogi moje nie potrzebują już trzewików, ale ręce okryją śnieżne rękawiczki, których żadna praca nie zawala. Ukojona cudownie, prześnię tysiąc lat.

O wybawco, jam to najleniwszy pracownik tej ziemi, który marzy z rozkoszą o chwili, która go wprowadzi w królestwo twoje.

Położyłeś piękną Marjannę na swem łożu i usiadłeś obok niej, jak piastunka, usypiająca dziecko. Wie ta wierna starowina, co dobre dla ludzkich dzieci, bardzo musiało ją rozgniewać, że towarzysze zabaw

wpadli z krzykiem i zbudzili napoły zaśnioną dziecinę. Ogarnął ją też gniew wielki, gdy kawalerowie podnieśli Marjannę, a jeden z nich, przycisnąwszy ją do piersi, zrosił łzami lodowatą twarz dziewczyny.

Pogasły światła w Ekeby, goście wyjechali, a rezydenci obsiedli ostatnią, do połowy wypitą wazę ponczu.

Powstał Gösta, zadzwonił i wygłosił mowę ku czci dam przeminionych czasów.

— O was mówić należy, jak o niebiańskiej szczęśliwości, jesteście bowiem samem jeno pięknem i światłem. Wieczyście młode, urocze i słodkie, jak oczy matki, patrzącej na dziecię swoje. Miękko, niby wiewióreczki, zwisacie u szyi męża. Nigdy gniewem nie drga wam głos, nigdy czoła nie kryją zmarszczki troski, a ręka wasza zawsze miękka i delikatna. Dobre, święte jesteście, strojne posągi w domowej kaplicy. Mężczyźni leżą u nóg waszych, składając ofiary kadzidlane i modły zanosząc. Przez was to miłość cuda ziszcza, a nimb poezji promienisty nad waszą głową polata.

Zerwali się kawalerowie podnieceni winem i temi słowami, a krew im zawrzała na nowo rozradowaniem uciechy. Nawet stary wuj Eberhard i leniwy kum Kristoffer jęli żartować. Zaprzężono co prędzej konie do sanek i wszyscy ruszyli w ciemną noc, by złożyć hołd tym, którym nigdy dosyć hołdować nie można, by odegrać serenadę damom, których jasne oczy i rumiane policzki lśniły przed kilku jeszcze godzinami w wielkiej sali Ekeby.

Ale niedaleko zajechali kawalerowie, gdyż zaraz pod Björne znaleźli piękną Marjannę, leżącą na śniegu pod bramą wjazdową rodzinnego dworu.

Zadrżeli z gniewu, jakby znaleźli świętość, wyrzuconą za kościelne drzwi, wydało im się, że jakiś łotr poszarpał struny skrzypek Stradivariusa i połamał smyczek.

Gösta pogroził pięścią ciemnemu domowi i krzyknął:

— O, wy dzieci pomsty i gradu, wichry północne i niszczyciele raju boskiego!

Baerencreutz zaświecił rogową latarkę, a kawalerowie ujrzeli śmiertelnie bladą Marjannę, poranione ręce i łzy, zamarłe na jej twarzy, oraz rzęsach. Zaczęli lamentować jak dzieci, gdyż była nietylko świętością, nietylko skrzypcami, ale także piękną kobietą, która radowała ich serca.

Gösta padł obok niej w śnieg.

— Patrzcie! — zawołał. — Tu leży oblubienica moja! Przed paru godzinami dała mi pocałunek miłosny, a ojciec przyrzekł błogosławieństwo swoje. Leży i czeka na mnie w białem łożu.

Podniósł ją w silnych ramionach.

— Zawieziemy ją do Ekeby! — powiedział. — Jest teraz moją. W śniegu ją znalazłem i nie oddam już nikomu. Nie budźmy tych śpiących ludzi, nie jej miejsce bowiem poza drzwiami, o które poraniła sobie ręce!

Przystali ochotnie, Gösta złożył Marjannę w pierwszych saniach i usiadł obok niej, a Baerencreutz stanął z tyłu i ujął lejce.

— Natrzyj ją śniegiem! — rozkazał.

Zimno poraziło tylko jej członki, ale dzikie, nieposkromione serce biło mocno. Nie utraciła nawet przytomności i wiedziała całkiem dobrze, że ją kawa-

lerowie znaleźli, nie mogła się tylko ruszyć. Sztywna i nieruchoma leżała w sankach, podczas gdy Gösta nacierał ją śniegiem, to całując, to oblewając łzami. Pragnęła jeno bodaj podnieść rękę, by odwzajemnić jego pieszczoty.

Pamiętając wszystko, co zaszło, i myśląc tak jasno, jak nigdy przedtem, leżała jak martwa. Czuła teraz, że kocha Göstę. Czy to może kaprys tej jeno nocy, który rychło minie? Nie, kochała do już od długich lat... tak kochała go!

Porównała siebie samą z nim i innymi ludźmi Wermlandji. Wszyscy ci ludzie byli jak dzieci, poddające się każdej bieżącej zachciance. Żyli zewnętrznem życiem, a nic nie sięgło w głąb ich dusz. Ona zaś żyła, jakby pośród obcych, nigdy niezdolna zatonąć w czemś całkowicie. Kiedy kochała, to mimo największego wysiłku czuła, że połowa jej jaźni stoi niejako z boku i przygląda się jej z chłodnym, szyderczym uśmiechem. Tęskniła za namiętnością, któraby jej odebrała zmysły i porwała jak huragan. I tak się stało. Całując Göstę, po raz pierwszy utraciła panowanie nad sobą.

Ogarnęła ją teraz na nowo namiętność, a serce biło tak, że słyszała jego uderzenia. Czyż nie odzyska władzy w członkach? Dzikiej doznała radości na myśl, że ją wygnano z domu, i bez namysłu postanowiła poślubić Göstę. Czemuż była tak głupia i po całych latach zwalczała miłość swoją? Cóż to za rozkosz poddać się miłości i czuć szum krwi! Ach, czyż nigdy nie spadnie z niej ta martwota? Przedtem była wnętrznie jak z lodu, a jak płomień z wierzchu, teraz przeciwnie, ognista dusza tliła w ciele, objętem zamrozem.

Nagle uczuł Gösta na szyi ramiona i lekki uścisk.

Ledwo to zdołał rozpoznać, Marjannie zaś wydało się, że w dzikiem objęciu wyzwoliła tłumioną zdawna namiętność.

Gdy to ujrzał Baerencreutz, podniósł oczy ku niedźwiedzicy, błyszczącej na niebie, i patrzył na nią uparcie, pozwalając koniowi biec jak chciał, po znanej drodze.

STARE POJAZDY.

Przyjaciele moi! Jeślibyście te słowa czytali przypadkowo nocą, podobnie jak ja je piszę w nocnej ciszy, nie odetchnijcież, proszę, w tem miejscu z ulgą, sądząc, że zacni kawalerowie legli spokojnie spać, umieściwszy znalezioną Marjannę w łóżku, w najlepszym gościnnym pokoju, obok wielkiej sali.

Poszli istotnie spać i zasnęli nawet, ale nie było im dane spoczywać spokojnie do południa.

Nie zapominajmyż, że stara majorowa wędrowała tymczasem o kiju żebraczym po całej okolicy, a nie miała wcale zwyczaju troszczyć się o spoczynek znużonych grzeszników. Dziś tem mniej jeszcze mogła się z tem liczyć, albowiem postanowiła wygnać tej nocy kawalerów z Ekeby.

Minął czas jej królowania w blaskach szczęścia i rozsiewania radości, niby gwiazd po niebie. Włóczyła się po gościńcach, a posiadłości strzegli rezydenci, podobnie jak wiatr strzeże popiołu, lub promień słońca śniegu.

Czasem napotykali ją oni, pędząc saniami, przy brzęku janczarów, a majorowa wcale nie spuszczała przed nimi oczu. Hałaśliwi zawadjacy grozili jej pięściami, nagłym zwrotem konia zmuszali uciekać w głębokie, przydrożne zaspy, zaś major Fuchs splu-

wał zawsze trzykrotnie, by to spotkanie nie miało złych skutków.

Uważając ją za złośliwą czarownicę, nie mieli litości. Gdyby ją spotkało nieszczęście, nie trapiliby się tem, podobnie jak ktoś, strzelający w noc Walpurgi mosiężnemi guzikami, nie zważa, gdy jeden z nich przypadkiem trafi w przelatującą właśnie wiedźmę. Sądzili, że prześladując ją, ratują własne dusze. Ludzie często już katowali się straszliwie, wzajem, dla dobra dusz swoich.

Wyglądając oknem po pijatyce dla zbadania, czy noc spokojna i gwieździsta, widywali nieraz w podwórzu cień i wiedzieli, że to majorowa przyszła rozejrzeć się po ukochanem osiedlu swojem. Wybuchało w takich chwilach całe skrzydło rezydenckie urągliwym śmiechem, a drwinki dolatywały aż do nieszczęśliwej.

Biedni awanturnicy zaczęli być ludźmi pysznymi i bez serca, albowiem Sintram zasiał im nienawiść w dusze. Zaprawdę, gdyby majorowa została spokojnie w Ekeby, zbawieniu ich nie mogłoby zagrozić większe niebezpieczeństwo. W ucieczce ginie zawsze więcej wojowników, niźli w bitwie.

Majorowa nie gniewała się znów tak bardzo na szaleńców. Wróciwszy do władzy, wychłostałaby ich, jak niegrzeczne dzieci, a potem na nowo przypuściła do łask. Teraz atoli rządzili się oni w jej drogiej posiadłości, jak wilki w owczarni.

Niejeden przeżył taką smutną rzecz. Nie sama jeno majorowa patrzyła na upadek swego domu. Wszyscy współczujemy z boleścią ranionego zwierzęcia, widząc jak w gruz się wali dom lat dziecięcych. Czujemy się zbrodniarzami na widok mchu i pleśni

obrastających drzewa, chwastów na ścieżkach i radzibyśmy klęknąć na polach ongiś pięknych, rodzajnych i prosić, by przebaczyły krzywdę. Odwracamy oczy od koni, nie śmiąc im spojrzeć w oczy, nie mamy odwagi stanąć w bramie, gdy trzoda z pastwisk wraca. Żaden zakątek świata nie budzi tyle goryczy co dom rodzinny, chylący się do ruiny.

Ach, proszę was wszystkich, którzy posiadacie pola, łąki i rozkoszne ogrody kwietne, pielęgnujcież je starannie, wkładając w to miłość i pracę. Smutne to, zaprawdę, gdy przyroda doznaje smutku z winy człowieka.

Myśląc o tem, jak cierpiało dumne Ekeby czasu gospodarki rezydentów, pragnę, by majorowa osiągnęła swój cel i wydarła im posiadłość swoją.

Nie zamierzała sama wrócić do władzy, chciała tylko oczyścić Ekeby z tych szaleńców, jak pole z szarańczy, po której najściu trawa rosnąć przestaje.

Wędrując i żebrząc, myślała ciągle o matce i nabrała pewności, że nie wrócą dla niej lepsze czasy, dopóki nie zostanie z niej zdjęta klątwa. Nie miała dotąd wieści o śmierci staruszki, musiała tedy żyć jeszcze w odległych lasach swoich, mimo dziewięćdziesiątki zabiegając, aż do wyczerpania, zimą koło mleczywa, a latem koło mielerzy i wyczekując z utęsknieniem dnia dokonania prac żywota swego.

Majorowa utwierdziła się też w przekonaniu, że żyje ona poto jeno, by zdjąć klątwę z córki, bowiem umrzeć nie może matka, która wpędziła dziecko własne w taką niedolę.

Postanowiła tedy iść tam, by obie odzyskały spokój, wędrować długo przez ciemne bory i wzdłuż rzeki, aż do rodzinnego domu. Inaczej mowy być nie mogło

o spokoju. W tych ciężkich czasach niejeden ofiarował jej schronę u siebie i wierną przyjaźn, ale nie mogła się nigdzie zatrzymać. Szorstka i gniewna chodziła od osiedla do osiedla, gdyż ciężyła jej klątwa matczyna.

Przed udaniem się do matki, chciała jednak załatwić sprawę umiłowanego Ekeby. Za nic nie mogło ono dłużej zostawać w rękach lekkomyślnych niceponiów, niedołężnych pijaków i obojętnych marnotrawców darów bożych. Czyż miała iść, a za powrotem zastać zniszczenie, puste kuźnie, zagłodzone konie, rozbiegłą służbę? Nie, raz jeszcze chciała uczynić wysiłek i wypędzić kawalerów!

Wiedziała dobrze, że męża raduje to marnowanie mienia, ale znała go dosyć, by wiedzieć, że po odpędzeniu szarańczy nie zdobędzie się na to, by sprowadzić inną plagę. Gdy kawalerowie raz znikną, wiedziała to dobrze, obejmie wszystko dawny jej oficjalista, stary rządca i niebawem zaprowadzi dawny ład.

Dlategoto w ciągu długich nocy czarny jej cień włóczył się po wszystkich drogach, otaczających huty i przecinających pola. Odwiedzała komorników, rozmawiała szeptem w wielkim młynie z młynarzem i jego czeladzią, oraz obradowała, po ciemnych składach węgla z kowalami.

Wszyscy przysięgli, że jej dopomogą. Honor i znaczenie wielkich dóbr nie dopuszczały, by je zostawiać w ręku szubrawych kawalerów, którzy ich strzegli, jak wiatr strzeże popiołu, lub wilk stada owiec.

I tej to właśnie samej nocy, kiedy weseli rezydenci spali wyczerpani tańcem i pijatyką, tejże właśnie

nocy mieli zostać wygnani precz. Pozwoliła spełnić się mierze zuchwalstwa. Spoglądając ponuro, czekała dłużej jeszcze, aż kawalerowie wrócą z nocnej wycieczki, czekała w milczeniu, aż jej doniesiono, że zagasło ostatnie światło w rezydenckiem skrzydle, a wszystko w wielkiem dworzyszczu śpi. Wówczas wstała i wyszła. Była już piąta rano, ale wygwieżdżona, lutowa noc obejmowała jeszcze świat.

Majorowa kazała ludziom zebrać się pod rezydenckiem skrzydłem, sama zaś weszła w podwórze, zbliżyła się do budynku głównego, zapukała i została wpuszczona przez córkę proboszcza z Broby, z której zrobiła dzielną służebnę.

— Najserdeczniej witam jaśnie panią! — powiedziała dziewczyna, całując ją w rękę.

— Zgaś światło! — rozkazała. — Wszakże i po ciemku wszędzie trafię!

Zaczęła chodzić po cichym domu, od piwnic do strychu, żegnając się z nim. Cichemi krokami szła z pokoju do pokoju.

Rozmawiała ze wspomnieniami, a służąca, idąc za swą panią, nie łkała, nie wzdychała, ale łza po łzie toczyła się z jej oczu. Majorowa kazała jej otworzyć szafę z płótnem i srebrem, poczem wodziła dłonią po przepysznych, adamaszkowych obrusach i zastawie stołowej ze szlachetnego metalu. W komorze z pościelą dotykała stosów pierzyn i poduszek puchowych, dalej wszystkich sprzętów, warsztatów tkackich, kołowrotków i motków nici. Włożyła rękę w skrzynię z korzeniami i przesunęła ją po rzędach świec łojowych, zwisających od stropu.

— Już suche! — powiedziała. — Można je zdjąć i schować.

W piwnicy opukiwała beczki z winem i wodziła dłonią po szeregach flaszek, weszła do śpiżarni i kuchni, badając wszystko i dotykając różnych przedmiotów. Wyciągała ręce i żegnała się z domem swoim.

Wkońcu poszła do jadalni i pogładziła płytę wielkiego, składanego stołu.

— Niejeden najadł się tu do syta! — powiedziała.

Chodziła po wszystkich pokojach. Odnajdywała na dawnem miejscu długie i szerokie kanapy, gładziła zimny marmur konsol, o złoconych podstawach w kształcie gryfów, które dźwigały kosztowne zwierciadła.

— Bogaty to dom! — mówiła. — Wspaniały to był człowiek, który mnie tu uczynił panią i władczynią.

W wielkiej sali, gdzie niedawno wirowały pary, stały już w zupełnym porządku pod ścianami fotele o wysokich oparciach.

Przystąpiła do fortepianu i nacisnęła zlekka klawisz.

— Za moich czasów nie brakło też wesela i zabawy! — powiedziała.

Weszła również do pokoju gościnnego. Było tu całkiem ciemno. Szła omackiem i nagle dotknęła palcami twarzy służącej.

— Płaczesz? — spytała, poczuwszy łzy na dłoni.

Dziewczyna załkała w głos.

— O pani! — zawołała. — Droga pani moja! Oni zniszczą wszystko! Czemuż odeszłaś i zostawiłaś, o pani, cały dom w ich rękach?

Majorowa odsunęła kotarę okienną i wskazała podwórze.

— Czyż cię uczyłam płakać i lamentować? — spytała. — Patrz, podwórze roi się od ludzi. Jutro nie będzie w Ekeby jednego nawet rezydenta.

— A pani wróci? — spytała dziewczyna.

— Czas mój nie nadszedł jeszcze! — powiedziała majorowa. — Gościniec jest mym domem, rów przydrożny łożem. Ty jednak winnaś za mnie czuwać nad Ekeby, dziewczyno, dopóki nie powrócę.

Poszły dalej. Żadna nie wiedziała i nie pomyślała że Marjanna śpi w tym właśnie pokoju.

Nie spała też. Była całkiem przytomna, słyszała i zrozumiała wszystko. Leżąc w łóżku, śpiewała hymny ku czci miłości.

— O ty cudowna — myślała — o ty wspaniała, która raczyłaś podnieść mnie ku sobie. Niedolę straszną przemieniłaś mi w raj. Na żelaznej klamce rodzinnego domu poraniłam sobie ręce, na progu jego leżą łzy moje, ścięte w perły lodowe. Gniew mną wstrząsa chłodny, gdy wspomnę ciosy spadające na matkę moją. Chciałam przespać ten gniew w śnieżnym wale, ale ty przyszłaś ku mnie! O miłości, dziecię ognia, przyszłaś do mnie, przejętej zamrozem śmierci. Niczem zda mi się ta niedola moja, gdy ją porównam ze szęściem, jakie mi z niej wykwitło. Opadły ze mnie wszystkie więzy, nie mam ojca, matki, ni domu. Ludzie mnie posądzą o najgorsze i odwrócą się ode mnie. Niechże się spełni wola twoja, o miłości, czyż bowiem przystoi mi wywyższać się nad kochanka? Pójdziemy w świat ręka w rękę. Biedna jest oblubienica Gösty Berlinga, znalazł ją sobie w zaspie śnieżnej. To też założymy sobie dom nie w pięknych salach, ale chłopskiej chacie, na skraju lasu. Będę z nim razem stawiała mielerze, wraz z nim zastawiała

sieci na zające i cietrzewie, będę mu gotowała strawę i łatała odzież jego. O ukochany mój, czy sądzisz, że będę się smuciła i tęskniła, czekając na ciebie u skraju lasu? Tak się stanie. Ale nie będę się smuciła utratą bogactw, ni tęskniła do nich, jeno za tobą będę wyglądała, twoich będę wyczekiwała kroków odgłosu po leśnej ścieżynie, twego śpiewu nadsłuchiwała będę i czekała rychło wrócisz, z siekierą na ramieniu, o ukochany, o jedyny mój. Mogłabym tak czekać i tęsknić przez życie całe...

Leżała tak, nie śpiąc i nucąc hymny ku czci miłości, to też nie zmrużyła jeszcze oczu, gdy weszła majorowa.

Po jej odejściu, Marjanna wstała i ubrała się. Raz jeszcze musiała włożyć czarną suknię i cienkie, bałowe trzewiczki. Okryta kołdrą, jak szalem, wybiegła ponownie w czarną, straszną noc.

Cicho było, gwiazdy lśniły, zdawało się, że ta noc lutowa nigdy nie będzie miała końca, a mrok i mróz leżały na ziemi, długo długo, jeszcze po wschodzie i po stopieniu zasp, przez które brodziła Marjanna...

Wybiegła z Ekeby szukać pomocy. Nie mogła dopuścić, by wypędzono ludzi, którzy ją podnieśli ze śniegu i otwarli jej dom, oraz serca swoje. Postanowiła iść do Sjö, do majora i musiała się spieszyć. Najprędzej za godzinę mogła być tu z powrotem.

Pożegnawszy się z domem swoim, wyszła majorowa na podwórze do czekających na nią ludzi i zaraz zawrzała walka o skrzydło rezydenckie.

Majorowa ustawiła ludzi wokoło wysokiego, wąskiego budynku, gdzie na piętrze było słynne osiedle kawalerów. Spali w beztrosce zupełnej, w wiel-

kiej izbie o bielonych ścianach, gdzie stały czerwono malowane skrzynki wkoło wielkiego stołu, na którym pływały w kałużach wina karty. Spali wszyscy w łóżkach, osłonionych firankami w żółtą kratkę, i nie wiedzieli o niczem!

W stajni, przy pełnych żłobach spały konie kawalerów, śniąc o jazdach odbywanych za młodu. O jakże miło marzyć w dniach spokoju o czynach minionych, o wyprawach na jarmarki, kiedyto po całych dniach i nocach musiały stać pod gołem niebem, o wyścigach podczas powrotu z pasterki, oraz jazdach próbnych przed zamianą, kiedyto szaleni kawalerowie, puściwszy wodze luzem, wychyleni z sanek, albo leżący im niemal na grzbietach, wyrzucali rozgłośne przekleństwa. Spały w beztrosce zupełnej, wiedząc, że nigdy już nie porzucą pełnych żłobów Ekeby!

W starej, napoły rozwalonej wozowni, pełnej nieużytecznych już pojazdów i wysłużonych sań, mieści się śmieszny zbiór starych pojazdów.

Stoją tam zielono malowane, koszykowe sanie i czerwone, lub żółte wozy o bokach z desek. Jest tam też pierwsza karjolka, jaką widziała Wermlandja, łup wojenny Baerencreutza z roku 1819. Stoją tu najróżniejsze jednokonki, gigi na bujających, giętych w kształt łabędziej szyi resorach, karetki pocztowe, śmieszne narzędzia męki, z kozłem na drewnianych sprężynach. Można tam znaleźć wszystkie rozklekotane biedy, dorożki i pojazdy, które wytrzęsały dziadków naszych po gościńcach. Widać tu także długie sanie, mogące pomieścić wszystkich dwunastu kawalerów razem, karetowe sanie niezłomnego kuma Kristoffera, sanki rodzinne Örneclou, z pociętą przez mole niedźwiedzią skórą i wyblakłym herbem rodowym na

oparciu, widać też sanie zakończone ostrym dziobem. Mnóstwo tu tych szpiczastych sań.

Dużo kawalerów żyło w Ekeby i wielu tu pomarło. Nazwisk ich zapomniał świat, nie mają też miejsca w sercach ludzi, ale majorowa przechowywała pojazdy, któremi przybyli do dworu. Zebrała je wszystkie w tej właśnie, starej wozowni.

Stoją tam i śpią, a kurz osiada na nich grubą warstwą. Śruby i gwoździe tracą oparcie w zbutwiałem drzewie, farba łuszczy się i opada, a wyściółka poduszek wygląda dziurami, wygryzionemi przez mole. Dajcież nam spać i rozpaść się, powiadają stare pojazdy. Dość już długo podskakiwałyśmy po gościńcach, nasiąkając deszczem i śniegiem. Dajcież nam spokój! Dawno minął czas, gdyśmy wiozły młodych panów na pierwszy bal, dawno już temu, jak wyczyszczone i lśniące ruszałyśmy w pierwszą przejażdżkę po śniegu, lub niosły ochoczych bohaterów po rozmiękłych drogach do obozu w Trosnaes. Śpią sobie smacznie, a najnowsze i najlepsze nawet wiedzą, że nigdy już, nigdy nie opuszczą Ekeby.

Pęka skóra pokrycia, spadają obręcze z kół, sypią się zbutwiałe sprychy i śruby wylatują, ale stare pojazdy nic sobie nie robią z życia, chcą bowiem umrzeć i koniec. Kurz leży na nich już, niby całun pogrzebny, a pod jego powłoką starość dojrzewa i zagarnia władzę. W niezmąconem próżniactwie stoją tu i rozpadają się powoli. Nikt ich nie używa, a jednak niszczeją. Raz do roku otwierają się drzwi i wchodzi nowy towarzysz, przybywający na stały pobyt w Ekeby, potem drzwi zapadają z powrotem, a nowoprzybyłego ogarnia także znużenie, sen i starczy uwiąd. Rzucają się na niego myszy, mole, robaki i inne rabusie, on

zaś rdzewieje i rozpada się w ciszy bezsennej, a niezmąconej.

Tej jednak nocy lutowej kazała majorowa otworzyć naoścież drzwi starej wozowni. Wyciągnięto przy świetle latarń i świec stare pojazdy, będące własnością żyjących dziś w Ekeby rezydentów, starą karjolkę Baerencreutza, zdobne herbem sanki Örneclou i wąską karetkę kuma Kristoffera, w której siadywał skulony. Majorowa nie zważa, czy są to pojazdy letnie, czy zimowe, idzie jej o to jeno, by każdy dostał swą własność.

W stajni pobudzono też stare konie rezydentów, śpiące przy pełnych żłobach. Raz jeszcze marzenia wasze staną się prawdą, o beztroskie rumaki! Będziecie jadły stęchłe siano po stajniach karczem, będziecie drżały pod razami nahajek pijanych handlarzy i szalonym pędem biegły po lśniącym lodzie, na który strach wzbiera wstąpić.

Ładnie wyglądają teraz stare pojazdy. Małe, szare koniki góralskie zaprzęgają do kościstego, piętrowego gigu, a długonogie wierzchowce do niskich, szpiczastych sań. Stare zwierzęta parskają i rżą, gdy im zakładają twarde wędzidła w bezzębną paszczękę, a stare pojazdy trzeszczą i skrzypią. Należałoby tych starców niedołężnych zostawić w spokoju, niechby spali do końca świata. Niestety, dobyte zostają na światło dzienne sztywne kolana, porażone przednie nogi i choroby wszelkiego rodzaju.

Po pewnych wysiłkach parobcy zaprzęgają jednak wszystkie, potem zaś pytają majorowej, jaki pojazd dać Gösce Berlingowi, który, jak wie Bóg i wszyscy zresztą, przybył do Ekeby na dwukolnej biedzie węglowej, razem z majorową.

— Zaprzęgnąć Don Juana do najlepszych sanek, dać mu skórę niedźwiedzią i srebrne janczary! — rzekła, gdy zaś parobek stajenny jął szemrać, dodała: — Niema konia, któregobym nie dała za to, by się pozbyć tego człowieka! Pamiętajcież to sobie!

Zbudzono tedy pojazdy i konie, ale kawalerowie śpią dalej. Teraz oni zostaną wyprowadzeni na dwór, w czarną noc zimową. Ale większe jest to, zaprawdę, zuchwalstwo, niż sprawa z kulawemi końmi i zmurszałemi pojazdami. To śmiali, mocni, niebezpieczni męże, zahartowani w setkach przygód. Gotowi bronić się do ostatka, nie łatwo tedy dobyć ich z łóżek wbrew woli i sprowadzić do pojazdów.

Majorowa kazała podpalić stertę słomy stojącą tak blisko dworu, że śpiący musieli chyba zobaczyć łunę.

— Ta sterta moja, całe Ekeby jest moje! — powiedziała, gdy słoma buchnęła jasnem płomieniem. — Budźcież ich teraz!

Kawalerowie śpią jednak dalej, drzwi zaryglowawszy, a chociaż czereda ludzi woła gromko: — Gore! Gore! — śpią niefrasobliwie.

Ciężki młot kowala dudni po drzwiach, a oni śpią.

Twardo ugnieciona kula śnieżna rozbija szybę, wpada do pokoju i spełza po firance łóżka, a oni śpią smacznie.

Śni im się, że piękna dziewczyna rzuciła im chustkę, śnią o oklaskach po zapuszczeniu kurtyny, śnią o hałaśliwej pijatyce po północy. Trzebaby armatniego strzału i morza lodowatej wody, by ich zbudzić. Tańczyli, grali, śpiewali i urządzali widowisko. Opici winem, śmiertelnie znużeni, wpadli w sen głęboki, jak śmierć.

Ten sen błogosławiony byłby ich nawet ocalił. Parobkom zaczyna sie zdawać, że ta cisza, to podstęp. Za każdą ramą okienną stoi może rezydent z bronią w ręku gotów położyć trupem każdego, ktoby się wejść poważył! To chytrzy i wojowniczy ludzie, tedy milczenie ich musi coś oznaczać. Któż mógłby przypuścić, że dadzą się wziąć, jak niedźwiedź w jamie.

Ludzie krzyczą: — Gore! Gore! — krzyczą raz po razu, ale nadaremnie.

Wobec tego, że nikt nie ma odwagi, porywa majorowa siekierę i wyłamuje drzwi zewnętrzne, potem biegnie schodami, otwiera drzwi pokoju i woła — Gore! Gore!

Ten głos znajduje lepszy oddźwięk, niż ryki parobków. Nawykli słuchać go, zrywają się wszyscy kawalerowie z łóżek, ubierają spiesznie i zbiegają na podwórze.

Niestety, u wejścia stoi olbrzymi kowal oraz dwu tęgich w garści młynarczyków i wielka hańba spotyka kawalerów. Jednego po drugim łapią parobcy, obalają, wiążą ręce i nogi i niosą każdego do przeznaczonego dlań pojazdu. Żaden nie uszedł, wszyscy zostali pokonani, zarówno szorstki pułkownik Baerencreutz, jak silny kapitan Chrystjan Bergh i filozof, wuj Eberhard. Schwytano nawet niestrudzonego Göstę Berlinga. Powiódł się tedy zamach majorowej, bo mocarniejsza jest ona, zaprawdę, od wszystkich razem kawalerów.

Litość zbiera patrzeć, jak siedzą związani w starych, rozstrzęsionych pojazdach. Pospuszczali głowy, zerkając zpodełba, a podwórze tętni klątwami i wybuchami bezsilnego gniewu.

A majorowa chodzi od jednego do drugiego, mówiąc:

— Przysięgnij, że nie wrócisz do Ekeby!

— Niech cię piekło pochłonie, czarownico!

— Przysięgnij! — powtarza. — Inaczej wrzucę cię związanego do izby, gdzie się usmarzysz, albowiem postanowiłam spalić tej nocy całe skrzydło rezydenckie! Wiedz o tem!

— Nie wolno pani majorowej tego uczynić!

— Jakto nie wolno? Wszakże całe Ekeby jest moją własnością! Ty gałganie! Czy sądzisz, żem zapomniała, jakeś pluł na mnie na gościńcu? Należałoby cię spalić razem z innymi! Czyś ruszył bodaj palcem w mej obronie, gdy mnie wypędzano z domu? Przysięgaj!

Majorowa wygląda groźnie, chociaż może udaje większy gniew, niż go odczuwa naprawdę, koło niej zaś mnóstwo ludzi z ostremi toporami, to też kawalerowie zmuszeni są przysięgać, by nie stało się jeszcze większe nieszczęście.

Tymczasem jednak upłynęło dość czasu, by Marjanna dotarła do Sjö. Major wstawał przed brzaskiem, zastała go też w podwórzu, podczas karmienia niedźwiedzi. Nie tracąc wielu słów, major nałożył swym niedźwiedziom kagańce, wyprowadził je i podążył do Ekeby.

Marjanna ruszyła razem z nim. Była do ostatka wyczerpana, ale ujrzawszy łunę nad Ekeby, doznała gwałtownego wstrząsu trwogi.

Cóż to za noc! Mąż bije żonę, ojciec skazuje własne dziecko na zmarznięcie. Czyżby miała teraz jeszcze ta kobieta spalić nieprzyjaciół swoich, a stary major puścić niedźwiedzie na własną czeladź?

Przezwyciężyła znużenie, wyprzedziła majora i wróciła do Ekeby w chwili, gdy majorowa wraz z tłumem ludu stała u pojazdów powiązanych kawalerów. Zaczęła wołać co sił:

— Idzie major z niedźwiedziami!

Nastało wielkie przerażenie. Oczy wszystkich zwróciły się na majorową.

— Tyś go, widzę, sprowadziła! — rzekła do Marjanny.

— Uciekajcie, na miłość boską! — zawołała dziewczyna. — Nie wiem, co major zamierza, ale zabrał wszystkie swoje niedźwiedzie.

Wszyscy umilkli, zapatrzeni w majorową.

— Dziękuję wam za pomoc, dzieci moje! — powiedziała spokojnie do ludzi. — Wszystko, co zaszło tej nocy, tak zostało urządzone, że nikt z tego powodu nie popadnie w nieszczęście. Idźcież teraz do domu! Nie chcę, by tu ktoś zabijał, lub został zabity! Idźcież co prędzej!

Ale ludzie stali dalej.

Majorowa powiedziała Marjannie:

— Wiem, że jesteś zakochana. Działasz w szale miłosnym. Oby nie nadszedł dzień, w którym musiałabyś patrzeć bezsilna na upadek twego domu! Życzę ci, byś władała zawsze swym językiem i dłonią, gdy gniew przepoi ci duszę! Odejdźcież, drodzy moi, co prędzej! — zwróciła się ponownie do ludzi. — Teraz Bóg zostanie na straży Ekeby, ja bowiem idę do matki mojej. Ach, Marjanno, — dodała — gdy odzyskasz zmysły, Ekeby legnie w gruzach, a na całą okolicę przyjdzie niedola, wówczas wspomnij, coś zrobiła tej nocy i pośpiesz z pomocą biedakom.

Potem odeszła, otoczona tłumem.

Major nie zastał w podwórzu żywej duszy, prócz Marjanny i długiego korowodu pojazdów i koni. Smutny to był orszak, bo pojazdy, konie i właściciele jednako byli wyczerpani życiem.

Marjanna rozwiązywała jednego jeńca po drugim. Gryźli wargi i obracali w bok głowy, wstydząc się, jak nigdy dotąd. Hańby takiej nie zaznali jeszcze w życiu.

— I ze mną nie było lepiej, — mówiła Marjanna — gdym przed paru godzinami klęczała na schodach rodzicielskiego domu.

Nie mam zamiaru, czytelnicy moi, opowiadać, co się dalej działo tej nocy, dość że pojazdy wróciły do wozowni, konie do stajni, a kawalerowie do mieszkania swego. Niebawem zaróżowiło się niebo ponad górami od wschodniej strony i nadszedł dzień pogodny i spokojny. O ileż spokojniejsze są, zaiste, dni słoneczne od ciemnych nocy, w których osłonie żerują dzikie zwierzęta i wrzeszczą sowy.

Dodam tylko, że kawalerowie zastali jeszcze w pokoju trochę ponczu w wazie, tak że mogli napełnić szklanki i zaraz odzyskali fantazję.

— Niech żyje majorowa! — krzyknęli. — Hura!

— To kobieta niesłychana! Cóż lepszego, jak służyć jej i wielbić ją?

Smutne tylko, że szatan nią owładnął i że czyniła wszystko co mogła, by dusze kawalerów posyłać do piekła.

WIELKI NIEDZWIEDŹ Z GURLITY.

W ciemni lasu żyją zwierzęta, nieznające spokoju, o szczękach w ostre zbrojnych zęby i mocarnych pazurach, żądnych tętniącej krwią szyi, a oczy ich łyskają złowrogo.

Wilki wychodzą na łup nocą i pędzą za saniami chłopa, aż matka musi wziąć dziecko od łona i rzucić im, by ocalić życie własne i męża.

Żyje tam ryś, zwany „gepa", którego imienia nie dobrze jest w lesie wymawiać, a ten, kto to uczyni, winien wieczorem dobrze zamknąć drzwi i wszelkie otwory owczarni, gdyż inaczej „gepa" przybędzie na pewno. Niczem mu stroma ściana, bo ma pazury, niby ostre haki stalowe, a zwinny jest tak, że lada otwór starczy, by runął na owce. „Gepa" wbija zęby w szyję, ssie krew, szarpie, rozbija i nie ustanie, aż zbraknie łupu, aż ostatnia owca legnie trupem. Nazajutrz znajduje gospodarz wszystko wyniszczone, bo ryś nie zwykł zostawiać po sobie żywego zwierzęcia.

W borach żyje też sowa, hukająca nocą, a jeśli hukniesz w odpowiedzi, to przyleci cicho jak mara i wykłuje ci oczy, bowiem nie jest to ptak sprawiedliwy, ale dusza zaklęta.

Najgorszym jednak z mieszkańców lasu jest niedźwiedź, silny, niczem dwunastu chłopa, jeśli weń

wstąpi człowiecza dusza, to musisz doń strzelać jeno srebrną kulą. Taki go strach otacza, jak żadne inne zwierzę, i tylko srebrna kula daje mu radę. Moc w nim wielka żywie i czyni tak odpornym, że zwykły ołów na nic. Dzieci nie śpią, długo leżąc w łóżeczkach, i boją się tego potwora, którego wspomagają piekielne moce.

Ktoby napotkał przypadkiem w lesie takiego ludozwierza, misia, rudego niby bohater, niechże nie zmyka i nie broni się, ale legnie plackiem, jakby nie żył. Zdarzało się nieraz w wyobraźni dzieciom, że tak leżały, z niedźwiedziem nad sobą, czując gorący, straszny oddech jego, on zaś przewracał je łapami, a potem poszedł kopać im grób. Dzieci wstawały wówczas pocichutku i przemykały zręcznie przez gąszcz, zrazu wolno, potem zaś biegły co sił w nożętach, byle dalej.

Strach pomyśleć coby było, gdyby niedźwiedź domyślił się, że nie całkiem naprawdę zmarło któreś, albo gdyby nadkąsił z wielkiego głodu, albo spostrzegł, że wstało i pobiegł za biedactwem... strach pomyśleć!

Strach, jest to czarownica, co siedzi w ciemności i śpiewa człowiekowi do ucha pieśni czarodziejskie, a serce napełnia przeraźliwemi myślami. Stąd się bierze owo przygnębienie, tamujące życie i ćmiące rozblask pól i niw. Natura zła jest i podstępna, jak śpiący wąż, i dowierzać jej nie trzeba. Żaliż nie piękny jest Löffen o lśniących wodach, a przecież czyha na żer i rok w rok zabiera topielców. Wszak uroczo wabi las, a wierzyć mu niesposób, bowiem mieści niespokojne zwierzęta, opętane duszami czarownic i krwiożerczych rozbójników.

Strzeż się potoku szumiącego, bo żywie w nim choroba i śmierć, gdy brodzić w nim będziesz po zachodzie. Kukułka wesoło kuka z wiosną... prawda? Ale na jesieni przemienia się w okrutnego jastrzębia, o bystrych oczach i ostrych szponach. Nie dowierzaj też mchowi, wrzosom, ni górze! Natura zła jest i opętana przez moce piekielne, nienawidzące człowieka. Stopy bezpiecznie postawić nie możesz nigdzie i dziw zaiste, jak może ujść tym zakusom słabe plemię ludzkie.

Strach, to czarownica, co siedzi w ciemni wermlandzkich lasów, śpiewa zaklęte pieśni i ćmi rozblask niw i pól. Poraża radość życia. Moc jej wielka jest, wiem to, zaprawdę, gdyż w kołysce mojej była stal, a w kąpieli węgle żarzące.

Zresztą nie sądźcie, iż chcę opowiadać coś strasznego.

To jeno stara historja o wielkim niedźwiedziu w Gurlity i może sobie wierzyć w nią kto chce, jak to bywa zawsze w opowiadaniach myśliwskich.

— — — — — — — — — — — —

Niedźwiedź mieszkał na szczycie wspaniałej grani, zwanej Gurlitą, stromo i niedostępnie sterczącej z nad Löffenu, w górnej jego części. Wykrot obalonej jodły był ścianą, oraz dachem jego osiedla, gałęzie i krzewina słoniły je, a szpary uszczelniał śnieg. Spać sobie tam mógł spokojnie, od lata do lata.

Czyliż poetą i marzycielem jest ten kudłaty król lasów, ten kosooki zbój? Czyliż przespać chce mroźne noce i szare dni zimowe, a zbudzić się od szumu potoków i świergotu ptactwa? Leżeć chce pewnie, śniąc o wzgórzach poziomek pełnych, mrowiskach

smakowitego, drobnego ludku i białych jagniętach na zboczach gór. Chce ujść zimie życia, szczęśliwiec!

Wichr dmie i przemiata pomiędzy jedle, szaleni od głodu myszkują wilk i lis, czyż jeno misiowi wolno spać? Niechby wstał i poczuł, jak kąsa mróz, jak ciężko grzęznąć w śniegu... niechby wylazł z jamy!

Usłał sobie dobre leże, niby królewna z bajki, i jak ją królewicz zbudził pocałunkiem, tak go wiosna zbudzi. Chce, by go ze snu ocucił promień słońca, padający na koniec pyska, lub kropla topniejącego śniegu, co przenika futro. Biada temu, kto mu przedwcześnie sen przerwie.

Ale przypuśćmy, że ktoś nie liczy się z pretensjami pana lasów! Nagle spada nań chmara ołowianych lotek, które kłują, niby komary natrętne!

Słychać nagle krzyki, wrzawę, strzały, otrząsa się, przeciąga i, usunąwszy na bok krzaki, patrzy, co to takiego. Niezłe tany będzie miał stary zawadjaka. To nie wiosna hałasuje wokół legowiska, nie wiatr obala jedle i śniegiem wiruje, to rezydenci... kawalerowie z Ekeby.

Znani są dobrze królowi lasów. Pamięta on zaiste dobrze noc, kiedy to Baerencreutz i Fuchs zaczaili się nań w stodole chłopskiej, gdzie miał przyjść. Właśnie zdrzemnęli się nad kieliszkiem, gdy wpełzł ostrożnie przez sitowiany dach, ale ocuciło ich dobywanie z poza przegrody zabitej krowy i runęli nań ze strzelbami i nożami. Zabrali mu krowę, pozbawili oka, ale uszedł żywy.

Ho, ho znają się dobrze. Napadli nań innym razem, kiedy zagospodarował się na zimę wraz z małżonką i dziećmi, tu, na królewskiem dworzyszczu Gurlity, i napadli zgoła niespodzianie. Uciekł, co-

prawda, zmiótł co stało w drodze i pognał, kul nie bacząc, ale poraził go strzał w łopatkę i gdy wrócił do domu, zobaczył krew na śniegu. Dostojną małżonkę zamordowano, a dziatki uprowadzono do ludzkich osiedli, by tam służyły człowiekowi i były mu przyjaciółmi.

Dudni ziemia, rozpada zaspa, kryjąca wnijście do jamy i wypada z niej wielki niedźwiedź, wróg rezydentów. Miejcież się na baczności, mości Fuchsie, łowco niedźwiedzi, i pułkowniku Baerencreutz, mistrzu rabouge'a i ty, Gösto Berlingu, bohaterze stu przygód. Biada poetom, marzycielom i zdobywcom serc! Gösta stoi z bronią gotową do strzału, a miś sadzi prosto na niego. Czemuż nie strzela w szeroką pierś i o czemś rozmyśla, w chwili, gdy właśnie ma niedźwiedzia na muszce strzelby? Reszta narazie strzelać nie może. Czyżby sądził, że trzeba mu stać na baczność przed królem lasów?

Gösta w istocie stał, rozmyślając o Marjannie, złożonej w Ekeby chorobą, po owej nocy w śniegu spędzonej. Padła i ona ofiarą nienawiści, ciążącej na całej ziemi, a nim wstrząsa odraza ku sobie, że mógł mimo to iść, by zabijać.

Niedźwiedź wali na niego. Ślepy jest od noża jednego z rezydentów, chromy od kuli drugiego, rozsrożony, skudłaczony i samotny, od czasu postradania żony i dzieci, a Gösta patrzy nań. Nie chce odbierać życia biednemu, ściganemu zwierzęciu, rabować reszty tego, co ma po obrabowaniu przez ludzi.

— Niechże mnie zabije, nie ja jego! — pomyślał.

Niedźwiedź już o kilka kroków, Gösta stoi jak na paradzie, a potem nagle ustępuje z drogi i prezentuje broń przed królem ostępu.

Niedźwiedź pognał dalej, wiedząc, że nie czas na rozmowę, wpadł w las, przedarł się przez zaspy wysokości człowieka, zbiegł karkołomnemi żlebami na dół i przepadł bez śladu. Wszyscy stali dotąd gotowi, czekając na strzał Gösty, a teraz zaczęli palić za uciekinierem.

Ale wszystko na nic, krąg został przerwany, a niedźwiedź zczezł z kretesem.... Fuchs beszta, Baerencreutz klnie, a Gösta śmieje się wesoło z naiwnych kolegów, którzy przypuszczali, by człowiek jak on nieszczęśliwy, mógł uczynić krzywdę stworzeniu boskiemu!

Wielki niedźwiedź z Gurlity ocalał tedy, ale zbudzony ze snu, postanowił zalać chłopom sadła za skórę. Żaden niedźwiedź nie umie zręczniej rozszarpywać dachów niskich zagród bydlęcych i wypaść z zasadzki.

Mieszkańcy okolic górnego Löffenu nie byli w stanie obronić się przed rabusiem i posyłali raz po raz do rezydentów, by przyjechali położyć go już raz trupem.

Przez cały luty szukali go dzień po dniu i noc po nocy, ale wymykał się, z chytrością lisa łącząc rączość wilka. Gdy czyhali w jednem osiedlu, grasował w drugiem, gdy za nim tropili po lesie, ścigał jadących przez lód chłopów. Był to najzuchwalszy rabuś! Właził na strychy, wyjadał z garnków miód gospodyniom i zarzynał konie gospodarzy, wprost u sanek.

Dumając nad tem wszystkiem, dorozumiano się wreszcie, co to jest za niedźwiedź i dla czego Gösta nie mógł doń strzelać. Niesamowicie gadać o tem, a strasznie pomyśleć, ale nie był to, zaprawdę, nie-

dźwiedź pospolity i nikt, ktoby nie miał srebrnej kuli w lufie, zabić go nie był w stanie. Kula owa musiała zostać odlana ze srebra i śpiżu dzwonu, w noc czwartkową, na nowiu księżyca, w wieży kościelnej, ale tak, by nie wiedział o tem proboszcz, ni kościelny. Jakże trudno o taką kulę.

— — — — — — — — — — — —

Żył w Ekeby człowiek nad wszystkich innych zgryziony tem wszystkiem, oczywiście Anders Fuchs, wielki niedźwiedziobójca. Nie jadł i nie spał, trawiony rozpaczą, że nie może położyć niedźwiedzia trupem, i doszedł wkońcu także do przekonania, że poradzić tu może jeno srebrna kula.

Szorstki był w zachowaniu major Fuchs i wcale nie piękny. Ciało miał niezdarne, szeroką, czerwoną twarz o policzkach obwisłych i kilka podbródków. Górną, grubą wargę obsiadła mu czarna szczeć, a głowę sztywne, czarne włosy. Przytem nie marnował słów, ni czasu przy jedzeniu, a kobietom nie słał wabnych uśmiechów, ni spojrzeń. Pewny, że nie znajdzie nigdy podobającej mu się niewiasty, odłożył na bok miłość i wszelkie tego rodzaju baraszki. Dziwne też było, że wędrował teraz po księżycu, jakby szukał w nim powiernika spraw sercowych. Nie czynił tego zresztą wcale, ale myślał jeno o srebrnej kuli, którą odlać należało na nowiu.

Nadszedł wkońcu wieczór czwartkowy, kiedy księżyc, szeroki na dwa palce, wisi na niebie, zaraz po zachodzie słońca, przez parę godzin. Major Fuchs ruszył, nic nie mówiąc w Ekeby, zabierając do torby myśliwskiej stalowe krzesiwo, formę do kul i strzelbę. Poszedł wprost do broeńskiego kościoła, by zobaczyć,

czy szczęście zechce skłonić się ku zacnemu, jak on człowiekowi.

Kościół stał na wschodnim brzegu wąskiego sundu, pomiędzy górnym a dolnym Löffenem, a major musiał przejść przez most. Kroczył tedy zadumany prosto ku niemu, nie patrząc na wzgórza brobijskie, odcięte ostrym konturem na pogodnem niebie, ani też na skałę Gurlity, o krągłym wierzchu. Patrząc w ziemię, roztrząsał pytanie, w jaki sposób posiędzie klucz od bramy kościelnej, tak by nikt nie widział.

Wchodząc na most, usłyszał rozpaczne wrzaski i podniósł oczy.

Onego czasu był mały Niemiec, Faber, organistą w Broby. Był niski, sucherlawy i nikły pod każdym względem. Kościelny, Jan Larsen, tęgim był za to chłopem, ale go bieda gniotła, gdyż proboszcz brobijski zabrał mu podstępnie całe pięćset talarów, przy dziale majątkowym spuścizny ojcowskiej.

Kościelny zalecał się do siostry organisty, młodej Fabrówny, ale organista nie chciał przyzwolić na małżeństwo, to też nie byli wielkimi przyjaciółmi. Właśnie tego wieczora zdybał kościelny organistę na moście i rzucił się nań. Chwyciwszy go za piersi, trzymał w wyciągniętych rękach poza poręczą, klnąc się na wszystko, że go ciśnie do wody, jeśli mu nie da nadobnej dziewicy za żonę. Ale Niemczura nie dawał za wygranę i oponował wytrwale, mimo że widział pod sobą czarną czeluść wodną, pomiędzy białemi brzegami przerębli.

— Nie! Nie! — wrzeszczał co sił.

Kto wie, czyby kościelny nie wykonał pogróżki, gdyby w tej chwili nie wszedł na most major Fuchs.

Przerażony kościelny posadził organistę na moście i wziął nogi za pas.

Faber padł majorowi na szyję, dziękując za uratowanie życia, ale major strząsnął go z siebie z odrazą. Nie miał żadnego upodobania w Niemcach, od czasu, kiedy kwaterował w Putbusie na Rugji, za wojny pomorskiej. Nigdy jeszcze śmierć głodowa nie zajrzała mu tak zbliska w oczy, jak wówczas.

Mały Faber wyraził ochotę oskarżenia kościelnego o zamach morderczy przed naczelnikiem Scharlingiem, ale major objaśnił go, że nie warto chodzić, gdyż w tej okolicy zabicie Niemca nie warte złamanego szeląga i dla dowiedzenia, że tak jest, zaproponował mu, że go własnoręcznie ciśnie w wodę.

To uspokoiło całkiem małego Fabera, tak że zaprosił wybawcę do siebie na kiszkę smażoną i odleżałe piwo.

Major przystał, pomyślawszy, że organista musi mieć w domu klucz kościelny, i poszli ku wzgórzu, na którem stał kościół, plebanja, oraz domki kościelnego i organisty.

— Proszę przebaczyć! — powiedział Faber, wprowadzając majora do izby. — Niebardzo dziś u nas porządnie, ale było dużo roboty, gdyż właśnie razem z siostrą zarżnęliśmy koguta.

— Aj, aj! — wykrzyknął major.

Zaraz też wniosła ponętna Fabrówna odleżałe piwo w wielkich dzbanach glinianych. Wiadomo, że major niechętnem okiem patrzył na kobiety, ale ta dziewczyna wzbudziła w nim pewną życzliwość. Uroczo wyglądała w staniczku i czepeczku. Jasne, gładko zaczesane miała włosy, a samodziałowa sukienka była czyściuteńka. Krzątała się tak żywo

i miała tak rumiane, krągłe policzki, że majorowi przyszło do głowy, iż niezwłocznie zacząłby konkury, gdyby spotkał dziewczynę dwudziestopięcioletnią, jak ta właśnie. Ale mimo ruchliwości i ponęt wielu, Fabrówna miała zapłakane oczy i może to właśnie usposobiło łagodnie majora.

Mężczyźni jedli i pili, ona biegała tam i z powrotem, potem zaś podeszła, dygnęła i spytała brata:

— Jakże każecie, panie bracie, ustawić krowy w stajni?

— Umieść dwanaście po prawej, a jedenaście po lewej, tak by się bość nie mogły! — odparł mały Faber.

— Oj do licha! — zawołał major. — Widzę, macie mości Faber, sporo dobytku!

Organista miał właściwie tylko dwie krowy, ale nazwał jedną „dwanaście", zaś drugą „jedenaście", by wspanialej brzmiało, gdy o nich wspomni. Potem dowiedział się major, że organista przebudowuje stajnię, przeto krowy chodzą za dnia po polu, a nocują w kolebie.

Dziewczyna przystąpiła na chwilę ponownie do brata i rzekła z dygiem, że cieśla zapytuje, jak wysoka ma być stajnia.

— Zmierz krowy! — rozkazał. — Zmierz krowy!

Majorowi spodobała się ta odpowiedź.

W toku rozmowy spytał major organisty, czemu oczy siostry jego są tak czerwone, i dowiedział się że dziewczyna płacze, gdyż jej nie pozwala wyjść za kościelnego, który jest biedny i zadłużony.

Coraz to większa zaduma ogarniała majora, spijał dzban piwa po dzbanie i jadł kiszkę za kiszką całkiem bezwiednie, a organista patrzył z przerażeniem na ten

apetyt. Ale im więcej jadł i pił major, tem jaśniej mu było w głowie i coraz to większej nabierał ochoty przysłużyć się małej Fabrównie.

Był to tensam Major Fuchs, który razu pewnego zjadł biednej komornicy głowiznę, mającą starczyć na całe Święta Bożego Narodzenia.

Rozkoszował się dobrocią kiszki i postanowił dokazać tego, by oczy małej Fabrówny już nie płakały.

Przy tem wszystkiem, nie spuszczał oczu z wiszącego na ścianie klucza kościelnego, o wyginanem uchu, a gdy tylko Fabra zmożyło ciężkie piwsko, tak że chrapnął smacznie, major chwycił klucz, sięgnął po czapkę i wyszedł.

Wylazł zaraz omackiem na schody wieży kościelnej i dotarł, przy pomocy swej rogowej latarki do dzwonów, rozdziawiających nad nim olbrzymie płaszcze. Zdrapał pilnikiem trochę spiżu z dzwonu, dobył krzesiwa i formy do lania kul, ale nagle spostrzegł z przerażeniem, iż zapomniał całkiem o srebrze, co było rzeczą najważniejszą. Jeśli kula miała posiadać siłę, musiał ją ulać tu, we wieży. Wszystko dobrze, jest czwartek na nowiu i nikt nie wie, że tu siedzi... niestety bezradny całkiem. Major zaklął, aż jękły dzwony.

Zaraz potem usłyszał czyjeś kroki na schodach. Tak, w istocie, ktoś szedł na górę, ciężko stąpając.

Major stał i klął, aż dzwony wtórowały, ale zrobiło mu się nieswojo i jął dumać, kto to był ów nieproszony pomocnik, chcący wraz z nim lać kulę. Kroki zbliżały się. Ktoś szedł widocznie prosto na wieżę.

Major skrył się wśród belek rusztowania, zagasił latarkę i czekał. Nie czuł strachu, ale gniewało go to, że wszystko będzie na nic, gdy zostanie spostrze-

żony. Ledwo się schował, czyjaś twarz wyjrzała otworem w podłodze.

Poznał zaraz skąpego proboszcza z Broby. Oszalały niemal z żądzy, krył swe skarby po miejscach najdziwaczniejszych. Niósł w ręku paczkę banknotów, a sądząc, że nikt nie patrzy, podniósł deskę podłogi, położył pieniądze i odszedł zaraz spiesznie.

Poskoczył major do skrytki. Cóż za masa pieniędzy! Paczka przy paczce, a pomiędzy niemi, brunatne woreczki skórzane ze srebrem. Major wziął tyle jeno, by starczyło na kulę, a resztę zostawił.

Zeszedł niebawem ze srebrną kulą w lufie i jął rozmyślać, czy mu ta noc czwartkowa przyniesie jeszcze więcej pomyślnych rzeczy. Dziwy dzieją się wielkie w takie noce. Skierował kroki naprzód do mieszkania organisty, dumając czy przeklęty niedźwiedź wie, że krowy Fabera stoją dziś w nędznej kolebie, tak prawie jak w szczerem polu.

Tak... zaprawdę! Oto nadchodzi właśnie coś wielkiego, czarnego i zmierza naprzełaj prosto do koleby. Musi to być niedźwiedź.

Major podniósł broń do oka i chciał strzelać, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Przywiódł sobie na pamięć zapłakane oczy Fabrówny. Wspomniał, że ma dopomóc jej i kościelnemu, ale wielką to było dlań ofiarą, zrezygnować z zabicia niedźwiedzia, władcy Gurlity. Mawiał potem często, że nic mu w życiu nie sprawiło takiego trudu. Ponieważ atoli dziewczyna była zgrabna, mała i ponętna, musiał to uczynić.

Pobiegł coprędzej do kościelnego, wydobył go, napół nagiego z łóżka i rozkazał zastrzelić niedźwiedzia, myszkującego wokoło koleby organisty.

— Zastrzel niedźwiedzia, a da ci napewne siostrę! — powiedział — Zyskasz także ogólny szacunek, nie jest to bowiem zwierz zwyczajny i najwybitniejsi ludzie w okolicy uważaliby sobie za zaszczyt ubicie go.

Wcisnął mu w rękę własną broń z kulą srebrną i spiżową, odlaną na wieży, w czwartkową noc, na nowiu, a przytem dygotał z zazdrości, że nie on, lecz ktoś inny położy trupem króla lasów z Gurlity.

Kościelny zmierzył w niedźwiedzia... miły Boże! Mógłby raczej, mierząc tak, trafić w Wielką Niedźwiedzicę na niebie, nie zaś w zwierza włażącego już na dach faberowskiej koleby. Strzał huknął, aż Gurlita odpowiedziała echem.

Jak mierzył tak mierzył kościelny, dość że niedźwiedź padł na miejscu. Tak bywa zawsze ze srebrną kulą. Można strzelać do gwiazd, a trafia się zwierzynę w serce.

Wybiegli natychmiast ludzie z domów i zagród ciekawi co zaszło, gdyż żaden jeszcze strzał nie grzmotnął jak ten i nie zbudził tylu wiewiórek. Wszyscy zaczęli wysławiać kościelnego, gdyż niedźwiedź był istną plagą całej okolicy.

Wyjrzał też i mały Faber, ale major Fuchs zawiódł się na nim srodze. Mimo, że wszyscy wielbili kościelnego i że ponadto ocalił jęgo krowy, mały organista nie odczuł wcale podziwu, ni wdzięczności, nie rozwarł ramion i nie powitał zwycięzcy, jako bohatera i szwagra.

Namarszczył się major, zaczął tupać rozwścieczony taką nikczemnością i zaczął tłumaczyć małemu człowiekowi, o ciasnem sercu, doniosłość czynu. Ale słowa utykały mu w ustach, z gniewu, że nadaremnie poświęcił zaszczyt ubicia niedźwiedzia. Pojąć nie mógł,

by człowiek, który dokonał takiego bohaterstwa, nie zasługiwał na najdumniejszą oblubienicę świata.

Kościelny, oraz paru parobczaków poszli po nóż i zaczęli go ostrzyć, w celu doraźnego zdjęcia skóry ze zwierza, inni wrócili do łóżek, a major został, by dopilnować sprawy.

Po namyśle udał się raz jeszcze do kościoła, otwarł bramę, wylazł po stromych schodach, budząc zaśnione gołębie i dotarł do dzwonów.

Po pewnym czasie, w toku zdejmowania z niedźwiedzia skóry znaleziono w jego paszczy zwitek banknotów. Suma wynosiła okrągło pięćset talarów. Nie sposób wyjaśnić jak się to stało, ale był to widać niedźwiedź niezwykły, a przeto pieniądze przyznano bez oporu jego pogromcy.

Wieść rozeszła się zaraz rano, a mały Faber oprzytomniał jakoś, zrozumiał bez trudu doniosłość bohaterskiego czynu i oświadczył, że dumny będzie nazwać kościelnego szwagrem swoim.

Major wrócił do Ekeby w piątek, po obfitej uczcie niedźwiedziej u kościelnego i zaręczynach u organisty. Ale był smutny, nie odczuwał żadnego wesela z powodu zwycięstwa nad wrogiem i nie cieszyła go wspaniała skóra, otrzymana od kościelnego w podarku.

Sądziłby ktoś, że żal mu było powabnej dziewczyny?... O nie, nie ten był powód żałoby. Bolało go jeno, że padł mocarny, jednooki władca Gurlity, a on doń nie strzelał.

Wróciwszy do rezydenckiego skrzydła, cisnął bez słowa skórę pomiędzy siedzących u kominka kawalerów. Nie wtajemniczył ich wcale w swe przygody i dopiero dużo później wydobyli zeń prawdę. Nie

zdradził też proboszcza brobijskiego, który pewnie nie domyślił się nigdy kradzieży.

Rezydenci obejrzeli uważnie skórę.

— Pyszna jest! — zawyrokował Baerencreutz — Chciałbym wiedzieć w jaki sposób ten drab został zbudzony? A może ubiłeś go w jaskini?

— Zabito go na polach broeńskich!

— Hm... — zauważył Gosta — Był to zwierz, zwierz, co się zowie, ale nie tak wielki, jak jest niedźwiedź Gurlity.

— Gdyby był jednooki — dodał Kevenhüller — sądziłbym, żeś naprawdę ubił gurlitskiego króla lasów, ale ten drab nie ma ani śladu rany, ni blizny na oku, to też nie może nim być.

Major zaczął wyklinać głupotę swoją, ale po chwili rozpromienił się tak, że twarz mu niemal wypiękniała. A więc król lasów nie padł z ręki innego człowieka!

— Boże! Jakże jesteś dobry! — powiedział do siebie i złożył ręce.

WYSPRZEDAŻ W BJÖRNE.

Nieraz, będąc dziećmi dziwowaliśmy się opowiadaniom starszych.

— Czyż każdego dnia był bal za waszych lat młodych? — pytaliśmy — Czy całe życie było jedną jeno bajką? Czy w czasach owych, każda dama była piękna i godna miłości? Czy po każdym balu porywał jednę z nich Gösta Berling?

Starcy potrząsali czcigodnemi głowami i zaczynali opowiadać, jak to mruczały kołowrotki, trzaskały warsztaty tkackie, jak się krzątano w kuchni, młócono na klepisku i rąbano drzewo po lasach. Zaraz jednak wpadli z powrotem w dawny ton. Sanki zajeżdżały przed ganek, weseli, młodzi ludzie mknęli przez ciemne bory, wirował taniec i pękały struny skrzypiec. Zdala dolatał huk walących się drzew, od rozpętania żywiołów wybuchały pożary, wzbierały potoki, a wilki czmychały, wyjąc dokoła osiedli. Pęd ośmionogich rumaków rozbijał w puch wszelaką szczęśliwość, kędy przebiegły dzikość rozjarzała się w sercach mężczyzn, a blade kobiety uciekały z domów i zagród.

Siedzieliśmy, bywało, zdumieni, trwożni, a szczęśliwi zarazem.

— Cóż za ludzie! — myśleliśmy — Takich dziś się uświadczyć w świecie.

— Czyż nie myśleli nad tem, co czynią, ludzie czasów onych? — pytaliśmy.

— Myśleli... myśleli, czemużby nie? — brzmiała odpowiedź starców.

— Chyba nie tak, jak my? — stwierdzali chórem młodzi, a starzy nie wiedzieli zgoła o co rzecz idzie.

Mieliśmy na myśli onego ducha samokrytyki, tę stworę, która w nas obrała siedlisko, lodowatą, o długich piszczelach rąk, co siedząc w najciemniejszym kącie rozskubuje nas, jak stare baby robiące szarpie z wełny, czy jedwabiu.

Rozskubały zaiste te palce kościane całe nasze ja, na kupę strzępów, niwecząc najszczytniejsze uczucia i najbezpośredniejsze myśli. Wszystko co powiedziane czy uczynione zostało, wszystko zbadała ta stwora niesamowita, przenikła lodowatemi oczyma i wykrzywiając usta szyderczo, mawiała raz poraz:

— Patrzcież! Same strzępy... łachmany... nic więcej!

Pośród tamtych ludzi zdarzali się jednak także, chętni otwierać duszę onemu lodookiemu straszydłu. Rozsiadało się w nich, badając źródła czynów i drwiąc z dobra i zła. Wszystko rozumiało, niczego nie potępiało, węsząc jeno wokół i mieląc na otręby każde drgnienie serca, oraz mrożąc siły, tak że paraliż ogarniał do cna.

Piękna Marjanna miała w sobie tego demona samokrytyki i czuła, że gdzie stąpi, czy co powie, śmiechem wybucha. Życie jej zmieniło się w przedstawienie, którego sama była jeno widzem. Przestała być człowiekiem, nie czuła, nie radowała się i nie kochała, jeno grała rolę Marjanny Sinclaire, a samokrytyka, siedząc na widowni śledziła jej grę lodowemi oczyma i skubała ciągle pracowicie palcami.

Rozpadła się na dwie połówki. Jedna część: ja spoglądała, blada, odradzająca i wzgardliwa, na to co druga czyni, nie dając jej nigdy życzliwego słowa.

Gdzież się atoli podział ów strażnik źródeł życia, owej nocy, kiedy poznała jego pełnię? Gdzież był, gdy całowała Göstę, wobec stu świadków, gdzież był, gdy padła z rozpaczą w śnieg, by umrzeć? Lodowe oczy jego mgłą zaszły, a śmiech szyderczy zczezł od żaru namiętności, który zapalił duszę. Tętent czarodziejskiej gonitwy duchów zgłuszył wszystko, a onej, strasznej nocy Marjanna była człowiekiem prawdziwym.

Kiedy podnosiła z wysiłkiem ręce, by objąć Göstę za szyję, o ty bóstwo samozaprzeczenia, musiałoś chyba przybrać postać Baerencreutza, który podniósł oczy na gwiazdy, tej nocy sił ci zbrakło. Leżałoś martwe, gdy śpiewała hymny miłości, gdy biegła do Sjö po majora i gdy ujrzała czerwień łuny nad czubami topol.

Potężne ptaki, orły namiętności, spadły ci na kark, wbiły szpony i cisnęły cię, duchu lodaty, w nieznaną dal. Legł martwy i rozbity. A dumne ptaki poleciały dalej szlakiem, którego obliczyć i wyśledzić nikt nie zdoła. Ale niebawem dźwignął się duch samokrytyki z odmętu i wrócił na dawne leże w duszy Marjanny.

Przez cały luty leżała w Ekeby chora, zaraziwszy się ospą w Sjö. Wyczerpaną, przeziębłą napadło i zwyciężyło łatwo owo straszne choróbsko, ale pod koniec miesiąca zaczęło jej wracać zdrowie. Słaba była i oszpecona, tak że nikt jej już piękną Marjanną nie mógł nazwać.

Sama jednak tylko Marjanna i pielęgniarka jej wiedziały o tej stracie, która miała okryć żałobą całą Wermlandję, jakby szło o najcenniejszy skarb kraju.

Nie wiedzieli o tem kawalerowie, nie dopuszczani, oczywiście do chorej na ospę.

Kiedyż atoli silniejszą jest samokrytyka, jak nie w czasie powolnego wracania do zdrowia? Siedzi wytrwale, wytrzeszcza lodowate ślepie i rusza palcami, skupiąc wszystko, a jeśli się lepiej przypatrzeć, to przeziera przez tę stworę bladą druga, przez drugą trzecia i dużo innych, a wszystkie drwiąco śmieją się ze siebie wzajem i z całego świata.

Marjanna leżała, patrząc na siebie tem mnóstwem lodowatych, tępych oczu, a wszystkie dawne uczucia zamarły w niej.

Leżała, grając rolę chorej, nieszczęśliwej, zakochanej i rolę mścicielki. Była tem wszystkiem, a wszystko to było rolą.

Spojrzenie lodowatych oczu zmieniało wszystko w rolę. Czuwały nad nią, wiedząc że nad niemi czuwają drugie... trzecie i tak dalej, w nieskończoność.

Zapadło w sen czarodziejski, wszystko. Przez jedną jeno noc zdolna była nienawidzieć płomiennie i oddać się miłości... nie dłużej. Teraz nie wiedziała nawet, czy kocha Göstę. Pragnęła go zobaczyć z ciekawości, czy będzie w stanie spowodować, by zapomniała samej siebie.

Przez ciąg trwania choroby jedną miała jeno myśl jasną, to jest by zataić swą chorobę. Nie chciała widzieć rodziców, nie chciała zgody z ojcem, w przypuszczeniu, że pożałuje swego czynu na wieść, iż chora ciężko. Poleciła tedy powiedzieć rodzicom i wszystkim, że cierpi, jak nieraz w Björne, na oczy i dla tego musi siedzieć przy zapuszczonych firankach. Zabroniła pielęgniarce mówić jak jest chora, a rezy-

dentom nie dozwoliła sprowadzać lekarza z Karlsztadu. Umotywowała to lekkim przebiegiem choroby i tem, że apteczka podręczna w Ekeby posiada wszelkie potrzebne środki.

Nie przyszło jej do głowy, by mogła umrzeć, leżała tylko, czekając wyzdrowienia, by jechać z Göstą do proboszcza i zamówić zapowiedzi.

Minęła teraz gorączka i choroba, wrócił jej chłód i równowaga i nabrała przekonania, że w tym świecie głupców, jest jedyną, mądrą osobą. Nie czuła nienawiści, ni miłości. Rozumiała ojca i wszystkich, a zrozumienie wyklucza nienawiść.

Doszło ją, że Melchior Sinclaire urządza wysprzedaż w Björne, by zniszczyć całe mienie i nic jej nie zostawić w spadku. Mówiono, że zamierza przeprowadzić to gruntownie, naprzód sprzedać wszystkie meble i sprzęty domowe, potem bydło i narzędzia gospodarcze, a w końcu pozbyć się majątku ziemskiego, pieniądze złożyć w wielki wór i zatopić w Löffenie. W dziedzictwie miała otrzymać ruinę zupełną. Na wieść o tem skinęła głową z uśmiechem i uznała, że stosownie do swego charakteru, nie mógł postąpić inaczej.

Dziwiło ją wielce, iż mogła nucić kiedyś hymn miłości. Marzyła niedawno o chatce wieśniaczej i sercu ukochanego... teraz wydało jej się to niepojętem.

Pragnęła być naturalną, znużona tą nieskończenie długą grą. Nie doznawała nigdy silnych uczuć. Niemal obojętną była jej utrata piękności, ale drżała przed cudzą litością.

Choć na sekundę zapomnieć o sobie! Jeden jakiś bodaj czyn, czy gest wolny od wyrachowania!

Pewnego dnia, gdy wywietrzono pokój i oczyszczono z zarazy, legła ubrana na sofie i kazała poprosić do siebie Göstę. Zawiadomiono ją, że pojechał do Björne na wysprzedaż.

Była to, zaprawdę, rzecz niezwykła! Miano wysprzedać stary, zamożny dom, to też z wielkiej odległości zjechali kupcy.

Potężny Melchior Sinclaire zrzucił cały dobytek na kupę w wielkiej sali. Tysiące przeróżnych rzeczy leżały górami, aż pod sufit. On sam, jak anioł zniszczenia krążył po domu i zwlekał wszystko, co można było sprzedać. Zostawił w spokoju tylko czarne garnki kuchenne, drewniane stołki, cynowe dzbany i miedziane rondle, to bowiem nie przypominało Marjanny. Ale niewiele było takich przedmiotów.

Wtargnąwszy do pokoju córki, przewrócił do góry nogami wszystko. Wyrzucił szafkę z lalkami, książkami, mały stołeczek, umyślnie dla niej zrobiony, przedmioty stroju, suknie, sofkę i łóżko.

Potem zaczął chodzić z pokoju do pokoju, porywając i wlokąc do sali aukcyjnej przedmioty, które mu się nie spodobały. Dźwigał je, stękał pod ciężarem kanap, stołów marmurowych, ale nie ustawał. W sali piętrzyło się coraz to bardziej, on zaś rozbijał szafy, wywlekał stare, cenne srebra rodzinne i ciskał na kupę. Marjanna dotykała ich! Precz z tem! Znosił naręcza śnieżnych adamaszków, plon pracy członkiń rodziny, gromadzony latami. Precz z tem! Marjanna nie była godną posiadania tych rzeczy!... Stawiał góry porcelany, tłukąc tuzinami talerze i stare, szerokie filiżanki z wypalanemi herbami. Precz z tem! Rosły pod sufit stosy pierzyn i poduszek puchowych,

w których tonęło się, jak we fali. Precz z tem! Marjanna spała na tej pościeli.

Spozierał wściekle po starych meblach. Nie było jednego fotelu, na którymby nie siadywała, obrazu, na któryby nie patrzyła, świecznika, któryby jej nie oświetlał, zwierciadła, w któremby się nie przezierała. Zaciskał pięści, grożąc onym wspomnieniom. Porozbijałby to wszystko chętnie w trzaski, maczugą.

Umyślił jednak dotkliwszą zemstę, mianowicie wysprzedaż zupełną. Niechże biorą to obcy! Niech zostanie uwalane rękami wyrobników, niech padnie ofiarą obojętnych, dalekich ludzi. Widywał nieraz po chłopskich chatach takie kupne graty, zbeszczeszczone, zupełnie jak piękna córka jego. Precz z nimi! Niech stoją z podartemi poduszkami, wyłażącą ze środka wyściółką, otartem złoceniem, połamane i spękane, niech tęsknią do domu! Precz! Na wszystkie świata strony chciał je rozproszyć, by tego żadna już ręka zgromadzić napowrót nie mogła.

Zaczęto nakoniec licytację w przepełnionej chaotycznie sali.

Ustawiono w poprzek długi stół, sprzedający zajął miejsce i zaczął wywoływać. U stołu siedzieli pisarze i notowali wszystko, a obok nich rozparł się Melchior Sinclaire, postawiwszy przy sobie baryłkę wódki.

W drugim końcu sali, w sieni i w podwórzu, tłoczyli się kupujący.

Rozgwar panował wesoły, wybuchały śmiechy, padały oferty i licytacja toczyła się żywo. Melchior Sinclaire siedział przy baryłce, jedynej własności swojej, napół pijany, na pół oszalały z włosami zjeżonemi wokół czerwonej twarzy, a zakrwawione oczy

biegały groźnie. Wykrzykiwał i śmiał się, jakby w najlepszym humorze, a każdego, kto złożył dobrą ofertę, wołał do siebie i częstował wódką.

Widział go też Gösta wmieszany w ciżbę, ale unikał zbliżenia. Widok to był niesamowity, a serce mu ściskało przeczucie nieszczęścia.

Dziwiło go, że nigdzie nie dostrzega matki Marjanny i w końcu ruszył szukać jej bezwiednie, jakby pchnięty nakazem losu.

Minął dużo drzwi zanim ją znalazł. Mocarny władca Björne był niecierpliwy i nie znosił żalów i łez kobiecych. Znudziło go szlochanie żony, opłakującej ruinę domu. Wściekł się, że rozpacza nad bielizną, kiedy straciła nierównie więcej, bo samą córkę i ścigał ją, zacisnąwszy pięści, po całym domu, aż do kuchni, aż do śpiżarni.

Nie mogąc dotrzeć dalej, poprzestał na tem, widząc, że siedzi pod schodami czekając bicia, czy nawet śmierci. Zostawił ją tam, zamknął, a klucz schował do kieszeni. Nie mogła zginąć z głodu, więc postanowił, że tu czekać ma końca licytacji. Miał teraz spokój, nie drażniła mu już uszu skargami.

Zamknięta w śpiżarni, wylazła po czemś, wysoko, do małego okienka pod powałą i zobaczyła twarz Gösty, przechodzącego kuchennym kurytarzem. I on zobaczył panią Gustawę.

— Co tam robi ciocia?*) — spytał Gösta.

— Zamknął mnie! — odparła.

— Mąż?

*) Sposób mówienia do osób starszych w Szwecji, gdy nie chce się powiedzieć „ty", ani „pani". Niemieckiego „Sie" nie zna język szwedzki.

— Tak! Myślałam już, że mnie zabije. Idźże Gösto, wyjmij klucz z wielkiej sali. Nadaje się do tego zamku. Wypuść mnie!

Gösta spełnił rozkaz i niebawem znaleźli się oboje w pustej kuchni.

— Czemuż się ciocia nie kazała puścić którejś ze służących? — spytał Gösta.

— Nie myślę zdradzać tajemnicy zamku od drzwi śpiżarni, nie miałabym bowiem chwili spokoju! Zresztą uporządkowałam tymczasem górną półkę, bo straszny był tam nieład. Nie wiem doprawdy, jak mogłam to zaniedbać.

— Ciocia ma tyle zajęcia! — powiedział na jej usprawiedliwienie.

To prawda! — odparła — Gdybym sama nie przypilnowała, w całym domu ani jedno wrzeciono, ani jeden kołowrotek nie byłby czynny...

Urwała nagle i otarła łzę.

— Ach, miły Boże! — westchnęła — Gadam tu na wiatr, a pewnie nie będę miała za chwilę żadnego zajęcia. On sprzedaje wszystko co posiadamy.

— Wielkie to nieszczęście! — odparł z bolem.

— Pamiętasz pewnie Gösto, wielkie zwierciadło w salonie. Rzecz śliczna, z jednej sztuki, na ramie ni śladu otarcia pozłótki. Dostałem je od matki, ale on i to chce sprzedać!

— Oszalał!

— Tak... to prawda! Oszalał i pewnie nie ustanie, aż zostaniemy wyrzuceni na gościniec, zmuszeni żebrać, jak majorowa.

— Nie dojdzie do tego chyba! — powiedział.

— O tak Gösto! Odchodząc z Ekeby wyprorokowała nam to majorowa. Sprawdza się nieszczęście.

Nie dopuściłaby za nic do szaleństwa, gdyby tu była... Wyobraź sobie... własne swe rodzinne filiżanki sprzedaje... Nie zgodziłaby się na to za nic majorowa.

— Cóż mu się stało? — spytał Gösta.

— Wściekł się z powodu, że Marjanna nie wróciła do domu. Czekał i czekał ciągle. Chodził po alei całemi dniami i czekał. Tęsknił tak bardzo, że aż stracił zmysły. Ale nie wolno mi tak mówić.

— Marjanna myśli, że się na nią gniewa.

— Nie myśli tak, zna go, ale duma nie pozwala jej uczynić pierwszego kroku. Oboje są twardzi i butni, a na mnie odbija się wszystko. Jestem, jakby pomiędzy dwoma młyńskiemi kamieniami.

— Ciocia wie chyba, że Marjanna chce mnie poślubić.

— Ach Gösto! Nie uczyni tego nigdy! Drażni cię tylko. Jest zbyt rozpieszczona, by wychodzić za człowieka biednego i zanadto dumna. Idź i powiedz, by zaraz wracała, gdyż inaczej straci całą ojcowiznę. Sprzedaje wszystko za bezcen i nic nie zostanie.

Te słowa rozgniewały Göstę. Siedząc na kuchennym stole, myślała tylko o porcelanie i zwierciadle.

— Powinnaby się ciocia wstydzić! — zawołał — Naprzód wypędzacie z domu córkę, potem zaś sądzicie, że nie wraca przez złość! Posądzacie ją też, że porzuci tego, którego kocha dlatego, że jej niszczycie dziedzictwo.

— Drogi Gösto! — odparła — Nie gniewajże się jeszcze i ty w dodatku! Nie wiem doprawdy już co mówię. Chciałam otworzyć drzwi Marjannie, ale odciągnął mnie przemocą. Wszyscy w domu twierdzą, że nic nie wiem. Chętnie oddałabym ci Marjannę, gdybym wiedziała, że ją uszczęśliwisz. Ale nie łatwa to rzecz uszczęśliwić kobietę, drogi Gösto!

Spojrzał na nią. Jakże mógł przemawiać szorstko do pani Gustawy! Była zastraszona i wyczerpana, ale miała dobre serce.

— Ciocia nie pyta wcale o Marjannę? — powiedział.

Wybuchła łzami.

— A nie pogniewasz się, jeśli spytam? Od pierwszej zaraz chwili chciałam pytać. Wiem tylko, że żyje. Nie dostałam nawet pozdrowienia, kiedym jej posłała rzeczy, więc sądziłam, że zabroniliście jej tego.

Gösta nie mógł dłużej wytrzymać. Był człowiekiem szalonym, popędliwym i Bóg musiał czasem wysyłać za nim w pościgu wilki swoje, by go utrzymać w ryzach, ale łzy tej starowiny gorsze były od wilków. Opowiedział tedy wszystko.

— Marjanna przez cały czas chorowała na ospę. Dziś miała poraz pierwszy przejść z łóżką na kanapę. Nie widziałem jej od tej, pierwszej nocy.

Pani Gustawa skoczyła na równe nogi. Zostawiła Göstę i pobiegła, nie rzekłszy słowa, do męża.

Zebrani w sali spostrzegli, że mu coś żywo szepce do ucha. Poczerwieniał bardziej jeszcze i skręcił kurek beczułki, tak że wódka zaczęła cieknąć na ziemię.

Pani Gustawa przyniosła widać ważne wieści, gdyż licytacja utknęła nagle. Młotek sprzedawcy przestał spadać, ścichło skrobanie piór pisarzy i nie słychać było ofert kupców.

Po chwili ocknął się Melchior Sinclaire z zadumy i zawołał:

— No... prędzej!

I licytacja poszła dalej swoim trybem.

Zapłakana pani Gustawa wróciła do czekającego w kuchni Gösty.

— Nie pomogło nic a nic! — zawołała — Myślałam, że da pokój, dowiedziawszy się o chorobie Marjanny, ale sprzedaje dalej. Czyni to jednak teraz tylko dlatego, że mu wstyd ustać.

Gösta wzruszył ramionami, pożegnał ją i wyszedł. W sieni napotkał Sintrama.

— Djabelnie zabawna historja! — wykrzyknął Sintram, zacierając ręce — Mistrz z ciebie prawdziwy, Gösto! Czegóżeś to narobił!

— Niedługo będzie tu jeszcze zabawniej! — szepnął mu Gösta — Proboszcz z Broby przywiózł pełne sanie pieniędzy. Chce podobno kupić całe Björne za gotówkę. Zobaczymy, jaką minę zrobi potężny Melchior.

Sintram wciągnął głowę w ramiona i śmiał się długo, bez dźwięku, wnętrznym śmiechem, potem zaś poszedł do sali i przystąpił do Melchiora.

— Jeśli chcesz wódki Sintramie, — powiedział doń Melchior — to poproszę, u djaska, naprzód!

— Masz zawsze szczęście braciszku! — rzekł mu Sintram — Pewien człowiek przywiózł pełne sanie pieniędzy, chce zakupić Björne, wraz z inwentarzem żywym i martwym. Inni zań licytują, on zaś siedzi przyczajony w kątku, bo taki jest układ, że dopiero po licytacji wylezie na światło dzienne, jako pan wszystkiego.

— Dam ci kieliszek za fatygę, ale powiedz, kto to taki!

Sintram ujął kieliszek, ale zanim dał odpowiedź, cofnął się o kilka kroków.

— To pono proboszcz z Broby, braciszku!

Melchior Sinclaire miał lepszych od proboszcza przyjaciół. Od całych lat wiedli ze sobą spory. Krą-

żyły wieści, że Melchior czatował nieraz w ciemku, po drogach i wracający proboszcz dostawał niezłe cięgi kijem, z rąk właściciela Björne, który go zwał łupieżcą chłopów i skąpcem.

Sintram odstąpił przezornie wstecz, ale nie całkiem uszedł zemście Melchiora, bowiem dostał w czoło kieliszkiem, a beczułka ciśnięta pod nogi omal go nie obaliła na ziemię. Potem jednak nastąpiło coś, co serce jego jeszcze długo radowało.

— Proboszcz z Broby chce posiąść moje Björne? — zaryczał Sinclaire — A wy stoicie tu i wyłapujecie dlań jedno po drugiem? Wstydźcie się, psy wściekłe!

Chwycił lichtarz i kałamarz i cisnął w tłum. Cała gorycz serca wyzwoliła się teraz. Wygrażał kupującym pięściami, wył i ciskał w nich wszystkiem, co miał pod ręką. Kieliszki i butelki od wódki zawirowały w powietrzu.

— Licytacja skończona! — ryczał — Jak długo żyję nie dostanie w pazury proboszcz z Broby mego Björne! Precz! Wynoście się wszyscy! Nauczę was, co znaczy kupować dla proboszcza z Broby!

Przyskoczył do sprzedającego i pisarzy, oni zaś uciekli, obalając w pośpiechu stół, a Melchior zaczął miotać się, jak szalony w ciżbie.

Nastało zamieszanie wielkie. Paręset ludzi cisnęło się w popłochu do drzwi, ze strachu przed jednym, oszalałym Melchiorem. Stał teraz w miejscu powtarzając grzmiąco:

— Precz! Precz!

Miotał obelgi i kręcił nad głową stołkiem, niby maczugą bojową.

Potem ruszył naprzód, wyparł tłum do sieni, gdy zaś ostatni z przybyszów znalazł się na schodach,

wrócił do sali, zamknął drzwi, wyciągnął ze sterty rupieci materac, kilka poduszek, legł na nich i zasnął. Zbudził się aż drugiego dnia.

Wróciwszy do domu, dowiedział się Gösta, że Marjanna chce z nim mówić. Było mu to na rękę, gdyż właśnie dumał, jakby się z nią zobaczyć.

Gdy go wprowadzono do ciemnego pokoju stał chwilę przy drzwiach, nie mogąc jej dojrzyć.

Zostań gdzie jesteś, Gösto! — powiedziała — Zbliżać się do mnie niebezpiecznie.

Ale Gösta, który biegł tu po schodach, drżąc z niecierpliwości i tęsknoty, nie zważał na możliwość zarazy. Pałał ochotą zobaczenia ukochanej.

Była tak piękna. Nikt nie posiadał takich miękkich włosów, jasnego, promiennego czoła i twarzy, mieniącej się falowaniem toczystych linji.

Wspomniał brwi, otro zarysowane, niby prążki lilji, cudny kształt nosa, łukiem wygięte usta, owal policzków i brody. Uprzytomnił sobie delikatną płeć, matowy blask skóry i błękit źrenic w bieli oczu.

Cudną była umiłowana Gösty! A jakież serce gorące kryła jej pierś. Pod dumą i wykwintem postaci tail się bezmiar oddania i ofiary. Patrzeć, było rozkoszą niewysłowioną.

Przybiegł tu co sił, a ona sądziła, że będzie stał u drzwi! Za chwilę znalazł się przy niej i padł na kolana obok kanapy.

Chciał ją zobaczyć, ucałować i pożegnać. Kochał ją, czuł, że nigdy kochać nie przestanie, ale serce jego nawykło już do tego, że po niem deptano.

Gdzież miał szukać tej róży pozbawionej podpory i korzeni, którąby mógł wziąć i nazwać swoją? Zaprawdę, nie danem mu będzie zatrzymać dla siebie

nawet tej, którą znalazł porzuconą i napoły martwą pośród drogi. Kiedyż miłość jego zanuci pieśń tak szczytną, że nie zmiesza jej żaden ton fałszu, kiedyż serce jego wrośnie w grunt, przez nikogo innego nie pożądany z niepokojem i tęsknotą?

Dumał, jak ma się z nią pożegnać.

— Wielka troska zapanowała w domu twoim! — chciał powiedzieć — Serce mi krwawi na tę myśl. Musisz wracać do domu i doprowadzić ojca do rozsądku. Matce zagraża ciągle niebezpieczeństwo! Musisz wracać ukochana!

Miał na ustach takie słowa wyrzeczenia się, ale nie zostały wypowiedziane.

Padł na kolana przy jej łożu, ujął w obie dłonie jej głowę i ucałował. Spojrzał i uczuł, że nie może mówić. Serce biło, jakby chciało rozsadzić pierś.

Ospa zeszpeciła piękne oblicze, skóra zgrubiała i osypana została dziobami i bliznami. Krew nie miała już nigdy przezierać na policzkach, a błękitne żyłki czoła znikły na zawsze. Oczy zagasłe przysłaniały nabrzmiałe powieki. Ni śladu brwi nie zostało, a biała emalja oczu pożółkła.

Wszystko zniszczało. Śmiałe linje zgrubiały i ociężały strasznie.

Wielu opłakiwało potem zniknioną piękność Marjanny Sinclaire, ale pierwszy człowiek, króry zobaczył tę ruinę nie poddał się bolowi. Nie wysłowione uczucia przepoiły duszę jego, im dłużej patrzył tem goręcej biło mu serce, a miłość wzbierała, niby rzeka na wiosnę. Płomienne były jej fale, a wystąpiły na oczach jako łzy, jako westchnienia na ustach, oraz drżenie całego ciała.

Zapragnął bronić jej, nagrodzić wszystko, być jej niewolnikiem i obrońcą!

Silną jest miłość po przejściu ogniowego chrztu cierpienia. Nie mógł teraz mówić o rezygnacji i rozstaniu. Chciał jej oddać życie i gotów był dla niej na śmiertelny grzech.

Nie rzekł jednego, rozsądnego słowa, płakał tylko i całował ją długo, aż stara pielęgiarka oświadczyła, że czas mu odejść.

Gdy poszedł, leżała Marjanna bez ruchu i pomyślała, wspomniawszy jak był wzruszony:

— Dobrze jest być aż tak kochaną.

Tak kochaną? Cóż jednak czuła ona sama? Ach... nic! Mniej nawet niż nic!

Czyż zmarła miłość jej, czy uciekła dokądś, czy może ukryła się w sercu? Może siedziała tam, w najciemniejszym kątku i drżała od zamrozu lodowatych oczu i śmiechu wzgardy, napoły zadławiona kościanymi palcami potwora.

— Miłości moja! — westchnęła — dziecko serca mego! Żali żyjesz jeszcze, czy zmarłaś, wraz z pięknością?

— — — — — — — — — — — —

Następnego ranka powiedział właściciel Björne do żony:

— Zrób mi zaraz porządek w domu, Gustawo! Jadę po Marjannę!

— Dobrze, drogi Melchiorze! Zrobię porządek! — odrzekła.

W ten sposób wszystko zostało wyjaśnione, a w godzinę potem jechał potężny pan Björne, do Ekeby.

Trudno sobie było wyobrazić wspanialszego i uprzejmiejszego ziemianina nad Melchiora, kiedy tak

siedział w saniach karetowych, o spuszczonej budzie, przybrany w najlepsze futro i najpiękniejszy szal. Włosy miał przyczesane gładko i rozdzielone na głowie, ale twarz bladą, a rysy zapadłe.

Niezrównanym blaskiem lśniło wszystko, tego pogodnego dnia lutowego. Śnieg migotał, jak oczy młodych dziewcząt, gdy zagrają do tańca. Brzozy sięgały czerwonawemi gałązkami w niebo, a z niektórych zwisały małe, przejrzyste sople.

Nastrój panował świętalny, konie tańczyły i wyrzucały przednie nogi, a woźnica strzelał z bata.

Niebawem sanie stanęły przed bramą pałacu, a służący wybiegł na podjazd.

— Czy są w domu panowie? — spytał Melchior Sinclaire.

— Pojechali tropić wielkiego niedźwiedzia na Gurlitę.

— Wszyscy razem?

— Wszyscy, jaśnie panie! Jednych zwabił niedźwiedź, a drugich zapasy, jakie wzięto ze sobą.

Dziedzic Björne zaśmiał się, aż echo poszło po pustym dziedzińcu i dał służącemu talara, za sprytną odpowiedź.

— Powiedzże córce mojej, proszę, że przyjechałem po nią! Niech się nie boi mrozu, postawi się budę i wziąłem dla niej wilczurę.

— Może jaśnie pan raczy wstąpić?

— Nie, dobrze mi tu!

Służący poszedł, a Melchior przysposobił się na czekanie. Był dziś tak rozpromieniony, że nic go wytrącić nie mogło z tego nastroju. Z góry wiedział, że czekać musi, gdyż może Marjanna nie wstała jeszcze. Dla rozrywki jął spoglądać wokoło.

U szczytu dachu wisiał duży sopel, z którym borykało się słońce. Zaczynało od góry, chcąc by kropla zbiegła po soplu i spadła, ale zaledwo odbyła połowę drogi kostniała na nowo. Słonce wysilało się nadaremnie. Nagle, jeden promyk wziął na kieł, ni stąd, ni z owąd zaczął prażyć w sam koniec sopla i... udało mu się, za chwilę spadła na ziemie mała kropelka.

Dziedzic zaśmiał się i rzekł do promyka:

— Wcale mądra z ciebie szelma!

Podwórze było ciche i puste, z domu nie dolatał najlżejszy szmer. Ale Melchior czekał cierpliwie, wiedząc ile czasu potrzeba kobiecie na ubranie.

Siedział i spoglądał na gołębnik. Był okratowany na zimę, aby jastrząb nie mógł chwytać gołębi. Od czasu do czasu któryś z ptaków wyścibiał łebek przez oczka kraty.

— Czeka na wiosnę! — powiedział Melchior — Ale musi być cierpliwym.

Gołąb przychodził do kraty tak regularnie, że czekający dobył zegarka i zaczął liczyć. Punktualnie co trzy minuty jawił się łeb ptaka.

— O nie, mój drogi! — powiedział mu — Wiosna nie może nadejść za trzy minuty! Musisz się nauczyć cierpliwości.

I on musiał czekać, ale miał pod dostatkiem czasu.

Konie grzebały zrazu kopytami w śniegu, ale znużone staniem i słońcem, zazierającem im w oczy zetknęły się głowami i zasnęły. Stangret siedział na koźle wyprostowany, sztywny z biczem i lejcami w rękach i spał, głośno chrapiąc.

Ale dziedzic nie spał. Nigdy mu się mniej, niż dziś spać nie chciało i czuł się wyśmienicie, czekając

wesoło. Marjanna była chora, przyjść prędzej nie mogła, ale nadejdzie zaraz. Oczywiście przyjdzie i wszystko będzie znowu dobrze.

Przekonała się, że nie czuje gniewu, bo wszakże przybył osobiście i to karetowemi sańmi, parą koni!

U wylotu ula urządził mały ptaszek szatańską wprost zasadzkę. Chcąc dostać coś na śniadanie, usiadł i pukał dziobem po deszczułce. Wewnątrz ula wisiały pszczoły wielkiem, czarnem gronem u stropu, ale panował tu porządek wzorowy. Szafarze wydzielali porcje, a podczaszowie krążyli z nektarem i ambrozją od ust do ust. Pszczoły tkwiące w środku, wyłaziły raz po raz na wierzch, ustępując następnym ciepłego zakątka.

Nagle usłyszały pukanie i ogarnęła je ciekawość. Czy to wróg, czy przyjaciel? A może zagraża państwu jakieś niebezpieczeństwo? Królowa uczuła wyrzuty sumienia i nie chciała czekać. A może to pukają duchy pomordowanych trutni? — Idź i zobacz! — rozkazała odźwiernej. Wydawszy okrzyk: — Niech żyje królowa! — wyleciała i... pac... schwycił ją ptak w dziób. Wyciągnął szyję, smakował, rozkoszował się strawą, a potem jął pukać na nowo. Widząc, że wysłanka nie wraca z wieścią, wysyłała królowa jedną furtjankę po drugiej, ale ginęły wszystkie. Niewiadomo kto puka! Hu! Bardzo nieprzyjemnie zrobiło się w ulu. Pewnie duchy pomsty grasują wokoło. Ach, gdybyż nie słyszeć, móc poskromić ciekawość i czekać cierpliwie!

Potężny dziedzic śmiał się do łez, z głupich pszczół i chytrego ptaszka na desce siedzącego.

Nie sztuka czekać będąc pewny swego i mogąc się rozerwać różnemi rzeczami.

Słońce zaczęło staczać się ku zachodowi. Melchior Sinclaire spojrzał na zegarek. Była trzecia, a matka czekała z obiadem od dwunastej.

W tej właśnie chwili nadszedł służący i powiedział, że panna Marjanna prosi jaśnie pana. Wziął wilczurę na ramię i wszedł rozpromieniony na schody.

Słysząc ciężkie kroki ojca, nie wiedziała jeszcze, czy pojedzie z nim. Chciała jeno położyć kres temu czekaniu.

Sądziła, że kawalerowie wrócą, ale nie wracali, musiała tedy sama rzecz załatwić, gdyż znieść nie mogła dłuższej zwłoki.

Pewną była, że ojciec odjedzie po dziesięciu minutach rozwścieczony, albo wyważy drzwi i podpali dom.

On jednak czekał uśmiechnięty. Nie czuła doń nienawiści, ni miłości, tylko głos wnętrzny ostrzegał ją przed popadnięciem w jego moc na nowo. Chciała też dotrzymać słowa Göście.

Gdybyż choć zasnął, zaniepokoił się, zdradził jakąś wątpliwość, czy podjechał w cień! Czekał atoli pełen radości, całkiem pewny wygranej, tak że działało to zaraźliwie. Wiedział, że postawi na swojem.

Marjannę rozbolała głowa i nerwy jej dokuczać zaczęły. Nie mogła zaznać spokoju, jak długo czekał. Wydało jej się, że wolą swoją ściąga ją ze schodów, na dół.

Postanowiła rozmówić się z nim przynajmniej.

Kazała podnieść story i legła tak, by światło padało prosto na twarz. Był to rodzaj próby. Ale dnia tego, Melchior Sinclaire był dziwnym wprost człowiekiem.

Zobaczywszy córkę, nie drgnął, nie wydał okrzyku, jakby nie dostrzegł w niej najmniejszej zmiany. Wiedziała, jak dumny był z jej piękności, a mimoto nie przejawił w niczem rozczarowania. Zapanował nad sobą, by jej nie zasmucić. To ją wzruszyło do głębi i zrozumiała, czemu matka kochała, mimo wszystko, tego człowieka.

Nie zdradził śladu powątpiewania. Nie rzekł słowa wyrzutu, ni usprawiedliwienia.

— Okryję cię wilczurą, Marjanno! — powiedział — Jest ciepła, bo leżała przez cały czas na mych kolanach.

Mimoto podszedł do kominka i ogrzał futro. Potem pomógł jej wstać, okrył, zarzucił na głowę szal i skrzyżowawszy go na piersiach, związał z tyłu końce.

Poddawała się bez oporu, czując, jak miło dać się pielęgnować i ochraniać. Jakże to wygodnie, nie chcieć czegoś samej. Dogadzało to jej, zwłaszcza jako chorej, nie posiadającej jednego własnego uczucia, ni własnej myśli.

Zamknąwszy oczy, westchnęła, potrosze w poczuciu ulgi, a także smutku. Brała rozbrat z życiem rzeczywistem. Ale mogło jej to być obojętne, bo przecież nie umiała żyć, jeno grać komedję.

— — — — — — — — — — — —

W kilka dni później postarała się matka, by Marjanna mogła pomówić z Göstą. Wysłała posłańca do Ekeby pod nieobecność męża i wprowadziła go do pokoju córki.

Gösta wszedł, ale nie powitał Marjanny, ani wyrzekł słowa. Stojąc u drzwi milczał, jak uzuchwalony wyrostek.

— Gösto! — zawołała ze swego fotelu.

— Tak się zowię! — odparł.

— Chodźże do mnie, Gösto, chodź blisko!

Podszedł, nie podnosząc oczu.

— Bliżej... bliżej! Uklęknij tu, przy mnie!

— Cóż to ma wszystko znaczyć, na miły Bóg? — powiedział, ale spełnił polecenie.

— Chcę ci tylko powiedzieć Gösto, że dobrze się stało, iż wróciłam do domu.

— Miejmyż nadzieję, że panna Marjanna nie zostanie ponownie wyrzucona na śnieg!

— Ach Gösto! Czyż mnie już nie kochasz? Wydaję ci się pewnie za brzydką!

Przyciągnął do siebie jej głowę i pocałował, ale chłodnym pozostał dalej.

Bawiło ją to w gruncie rzeczy, że był zazdrosny o rodziców. Ale pomyślała, że to minie. Rada była zdobyć go z powrotem, nie wiedząc poco. Pamiętała, że zdołał uwolnić ją od siebie samej i czuła, że jest to jedyny człowiek, któremuby się to raz jeszcze powieść mogło.

Zaczęła tedy mówić, zdecydowana pozyskać go sobie. Powiedziała, że nie ma zamiaru porzucać go na stałe, ale przez czas pewien muszą, dla zachowania pozorów, nie widywać się. Wskazała na to, że sam uznał ojca za wpółoszalałego, a także wyraził obawę o matkę, i wyraziła przypuszczenie, że aprobuje jej powrót do domu.

Wysłuchawszy, dał Gösta upust złości swojej. Oświadczył wprost, że już może dać pokój komedji, gdyż nie ma zamiaru być dalej jej pajacem. Opuściła go, w tej samej chwili, gdy otwarły jej się bramy domu, tedy kochać jej nie może. Wróciwszy z polowania nie zastał ni jej samej, ni słowa pożegnania, czy

bodaj zawiadomienia, tak że zdrętwiał i omal nie padł na miejscu trupem. Osoby zdolnej tak ranić, kochać nie sposób. Nie kochała go też nigdy, ale jest poprostu kokietką i chciała mieć pod ręką kogoś, ktoby ją całował i pieścił.

Spytała, czy naprawdę wierzy, by z nawyku pieściła się i całowała z mężczyznami?

Odparł, że wierzy, bo kobiety nie są tak święte, jak z pozoru sądzić można. Samolubstwo i kokieterja, to cała ich treść! Ponownie przypomniał, czego doznał, wróciwszy z polowania. Wydało mu się, że brodzi po lodowatej wodzie i tego bolu nie zapomni nigdy. Nigdy już nigdy nie pozwoli sobie na to, by być człowiekiem.

Starała mu się wyjaśnić przebieg wszystkiego i dowieść, że była i jest mu wierną.

Odparł, że to rzecz obojętna, gdyż jej już nie kocha. Jako egoistka nie kochała go nigdy i odeszła bez słowa pożegnania.

Wracał do tego ciągle, a ją to niemal bawiło. Rozumiała gniew jego i nie brała go za złe. Zrazu nie obawiała się też rzeczywistego zerwania, ale potem ogarnął ją niepokój. Czyżby nastąpiła w nim istotnie taka zmiana, że jej już kochać nie mógł?

— Gösto! Czyż byłam egoistką, idąc do Sjö po majora? — spytała — Wiedziałam przecież, że panuje tam ospa. Zaprawdę, nie jest też wcale miło, brnąć po śniegu w cienkich trzewikach balowych.

— Miłość żyje miłością jeno, nie zaś przysługami i dobrodziejstwami! — odparł Gösta.

— Chcesz przeto, byśmy sobie byli w przyszłości całkiem obcymi?

— Tak! Chcę tego!

— Gösta Berling jest kapryśny.

— Tak powiadają.

Był zimny, jak lód i nie chciał odtajać. Ona była też w gruncie rzeczy równie zimna, a samokrytyka drwiła z usiłowań okazania się zakochaną.

— Gösto! — powiedziała, czyniąc ostatni wysiłek — Nie skrzywdziłam cię nigdy rozmyślnie, choć ci się tak zdawało. Proszę, przebacz mi!

— Nie mogę przebaczyć.

Wiedziała, że mogłaby go odzyskać, dysponując jednem bodaj wyłącznem uczuciem. Zagrała namiętną. Lodowate oczy samokrytyki drwiły dalej, ale spróbowała na wszelki wypadek, nie chcąc go utracić.

— Gösto! Nie odchodź zagniewany! Zważ, jak jestem oszpecona! Nikt mnie już kochać nie zechce!

— I ja cię już nie kocham! — odpowiedział — Musisz przystać na deptanie swego serca, jak depcesz po sercach innych.

— Gösto! Nie kochałam nikogo, prócz ciebie! Przebacz i nie opuszczaj mnie! Jesteś jedynym człowiekiem, który może ocalić mnie od samej siebie!

Odsunął ją porywczo.

— Mijasz się z prawdą! — rzekł z lodowatym spokojem — Nie wiem czego odemnie chcesz, ale czuję, że kłamiesz! Czemużto usiłujesz mnie przytrzymać? Jesteś tak bogata, że ci nigdy nie zbraknie konkurentów.

Rzekłszy to, wyszedł.

Ledwie zapadły drzwi, serce Marjanny zapałało tęsknotą oraz bolem wielkim i dostojnym.

Miłość, dziecię jej serca, wypełzła z zakamarków duszy, gdzie tkwiła obezwładniona lodowatemi oczyma. Teraz wyszła na jaw, z tęsknotą oczekiwana,... teraz,

kiedy było zapóźno. Poważna była, prawdziwa, potężna, a ból i żałość dźwigały jej płaszcz królewski.

Uświadomiwszy sobie, że Gösta opuścił ją naprawdę, uczuła Marjanna ból wprost fizyczny, a tak gwałtowny, że ją niemal oszołomił. Przycisnęła rękami serce i siedziała długo bez ruchu, walcząc z bolem i nie płacząc wcale.

Cierpiała teraz nie aktorka, ale ona sama.

Czemuż ojciec ją zabrał, skoro miłość jej nie zmarła, tylko skutkiem choroby utraciła swą moc.

Ach... czemuż go postradać musiała z powodu, iż ocknęła się po niewczasie!

Był jedynym władcą jej serca i od niego wszystko znieść była gotowa. Okrucieństwo i gniewne słowa czyniły jeno pokorniejszą jej miłość. Gdyby ją bił, wijąc się jak pies, całowałaby mu ręce.

Nie wiedziała co począć, by doznać ulgi w straszliwym bólu.

Chwyciła pióro i zaczęła pisać gorączkowo. Zrazu pisała o miłości i jej utracie, potem błagała, by ją wrócił, lub choćby zlitował się. Stworzyła coś w rodzaju wiersza.

Skończywszy pomyślała, że gdyby to przeczytał, uwierzyłby, że go kocha. Czemużby tedy nie posłać? Postanowiła to uczynić nazajutrz, pewna, że go skłoni do powrotu.

Dnia następnego walczyła i pasowała się ze sobą. To co napisała wydało jej się bardzo liche, a nawet głupie. Gdzież rym i rytm? Zwyczajna proza i nic więcej! Wyśmiałby napewno te wiersze. Zbudziła się też duma. Jeśli jej nie kochał, poniżyłaby się, żebrząc o jego miłość.

Rozsądek podniósł również głowę i oświadczył, że winna się cieszyć z tego zerwania stosunków z Göstą, gdyż smutny by był ich wynik.

Ale serce tak cierpiało, że dała pierwszeństwo uczuciu. Trzeciego dnia po uświadomieniu sobie miłości, włożyła wiersz w kopertę i nakreśliła na niej nazwisko Gösty. Ale nie wysłała listu, gdyż zanim się zdecydowała doszła ją taka wieść o Gösście, że powzięła przekonanie, iż już zapóźno na to, by go odzyskać.

Stało się troską jej życia, że się spóźniła i zmarnowała czas, a cały ból wyraził się w okrzyku:

— Ach czemuż czekałam przez tyle dni?

Te napisane słowa miały jej wrócić szczęście, a przynajmniej prawdę życia. Pewną była, że zdołałaby go przywieść z powrotem.

Ale troska sprawiła ten sam skutek co miłość. Uczyniła ją człowiekiem prawdziwym, zdolnym do oddania się rzeczywiście, w pełni w złem, czy dobrem. Płomienne uczucia popłynęły swobodnie przez jej duszę, nie tamowane już teraz przez samokrytykę.

I stało się, że mimo oszpecenia, wielu oddało jej miłość swoją.

Podobno nie mogła jednak nigdy zapomnieć całkiem Gösty i nosiła po nim żałobę, jak po roztrwonionem życiu.

Dawno poszły już w niepamięć biedne wiersze, swego czasu czytywane powszechnie. Leżą oto przedemną, spisane na pożółkłym papierze, o pobladłym atramencie i mieszczą w sobie coś wzruszającego. Słowa te wyrażają pustkę życia i odpisuję je z drżeniem, jakby posiadały mistyczną siłę.

Przeczytajcie je proszę i pomyślcie nad nimi. Któż wie jakiby odniosły skutek, gdyby zostały wysłane. Są tak namiętne, że świadczą o prawdziwem uczuciu.

Wzruszają serdecznością, mimo swej niezdarnej nieforemności, ale któżby chciał je widzieć zakute w rymy i rytmy! A jednak, jakże boleśnie pomyśleć, że właśnie ta wada zpowodowała, iż nie zostały wysłane.

Przeczytajcież, proszę i pokochajcie je. Pisał to człowiek w chwili wielkiego cierpienia.

Nie kochałaś nigdy ... naprawdę!
Czemuż pragniesz rozkoszy miłości?
Wstrząs namiętny przeminął na zawsze.
Będziesz teraz, o duszo spokojna!
Już nie wzlecisz do nieba, wysoko!
Ciesz się duszo, bo spokój mieć będziesz,
Nie zapadniesz w otchłanie cierpienia
Nigdy, przenigdy już!

Kochałaś może, kochałaś, ile nie spłonęło,
Serce twe nigdy wielką pożogą:
Spaliła namiętność niw trawy,
Przeleciał parny wicher chwili,
Zawisły dymu opony, błysnęły płomienie;
Przelękłe zawrzasły niebiańskie ptaszęta,
Ale wróciły do domu. Nie płoniesz już,
Płonąć niezdolnaś, na zawsze!

Kochałaś, kochałaś przez chwilę,
Lecz głosu nie pojmiesz miłości...
Już moce twej duszy w niewoli,

Jak dzieci do miejsca przykute,
Ze szkolnej się ławy nie wyrwą
Na wolność, na świat, zabawę.
Nikt ich nie woła!
Jak zapomniane placówki,
Czekają, a nikt ich nie woła!

Odszedł, przepadł
Ten, który dać ci miał rozkosz,
Któregoś kochała, jak uczył,
Wysoko latając, pod niebo!
Już niema tego człowieka,
Który ci jedyną dał schronę w powodzi.
Odszedł, on, władający
Kluczem serca twego!

O jedno cię tylko, o jedno proszę kochanku:
Oto nie rzucaj mi nienawiści brzemienia.
Z wszystkiego co słabe, najsłabsze jest serce czło-
Jakżeby żyć mogło, trawione [wieka!
Tą myślą, że rany zadaje drugiemu?

Chceszli mnie zabić, kochanku,
Nie trzeba sztyletu, trucizny, postronka,
Wystarczy mi wiedzieć jedynie,
Że chcesz, bym znikła z tej ziemi,
A legnę w mogile.

Dałeś mi życia treść całą... miłość mi dałeś.
Teraz dar wielki zabierasz, wiem o tem,
Lecz nie daj miast tego, nienawiści!
Tak kocham to życie. Pamiętaj!
Tak kocham!... Nienawiść zabija!

MŁODA HRABINA.

Młoda hrabina sypiała do dziesiątej i chciała mieć świeże, codziennie pieczywo do śniadania. Młoda hrabina haftowała i czytała wiersze. Nie znała się na kuchni, ni tkaniu. Była ona rozpieszczonem dzieckiem.

Promienie jej wesołości oblewały wszystkich światłem. Wybaczano jej długi sen i świeże pieczywo, gdyż była wprost rozrzutna w dobrych czynach, a uprzejma dla każdego.

Ojciec młodej hrabiny, szlachcic szwedzki, spędził całe życie we Włoszech, ulegając czarowi kraju i jego pięknych kobiet. Hrabia Henryk Dohna poznał podczas podróży swej, córki jego i przywiózł sobie jednę z nich do domu, jako żonę.

Z dawien dawna mówiła tylko po szwedzku i była tak źle wychowana, że lubiła wszystko, co szwedzkie, oraz czuła się doskonale w kraju niedźwiedzi. Namiętnie lubiła taniec i wszystkie rozrywki zwyczajne na wybrzeżach Löffenu, jakby tu przyszła na świat. Jednego jej tylko brakło.... nie umiała być hrabiną. Młodej hrabinie brakowało całkiem sztywności i pogardliwego dostojeństwa.

Starsi zwłaszcza panowie zachwycali się nią niezmiernie i mieli do niej słabość. Ile razy była na

balu zawsze mawiali do swych żon, sędzia z Munkerudu, dziekan z Bro, Melchior Sinclaire, lub kapitan z Vergi i to w największem zaufaniu, że gdyby napotkali hrabinę jakieś czterdzieści lat temu... to...

— Ach, w czasach tych nie było jej jeszcze na świecie! — odpowiadały starsze panie, a ujrzawszy hrabinę, czyniły jej żartobliwe wymówki, że im odbiera serca mężów.

Starsze panie spoglądały na młodą kobietę z pewnem zatroskaniem, wspominając hrabinę Märtę. Przybywszy do Borgu była równie wesoła, dobra i lubiana, później jednak stała się próżną i żądną zabawy kokietką, która rozrywki przenosiła nad wszystko.

— Szkoda, że nie ma męża, któryby ją zasadził do pracy! — mówiły między sobą.

— Szkoda, że nie umie władać warsztatem tkackim. Jest to wielka pociecha w różnych troskach i praca absorbująca całą myśl uratowała już niejedną kobietę.

Młoda hrabina radaby też była zostać dzielną gospodynią. Uznawała, że powinna być szczęśliwą małżonką i zawiadywać sprawnie domem. W towarzystwie trzymała się też chętnie starszych.

— Henryk chce, bym się wyrobiła na zapobiegliwą panią domu, — mawiała — jaką była jego matka. Nauczcież mnie tedy tkactwa!

Starsze panie wzdychały dwukrotnie na te słowa. Po pierwsze, jakże mógł Henryk mówić, że matka jego była dzielną panią domu... a powtóre... jakże trudno wtajemniczyć, to nieświadome dziecko, w tak trudną sztukę! Już same techniczne nazwy różnych części warsztatu wywołują zawrót głowy, a cóż do-

piero, gdy się zacznie mówić o „sieraczku", „samodziale" i „drelichu".

Dziwuje się każdy, kto ujrzy hrabinę, że mogła poślubić głupiego hrabiego Henryka.

Straszna bieda głupiemu, w każdej okoliczności i miejscu, ale najbardziej doskwiera każdemu głupota w Wermlandji.

Mimo, że mu dopiero minęło dwadzieścia lat, mnóstwo historyjek krąży o głupocie hrabiego Henryka. Opowiadano na przykład jego rozmowę z Anną Stjärnhök, podczas jazdy sankami.

— Jesteś piękna, Anno! — powiedział.

— To głupstwo, Henryku!

— Jesteś najpiękniejszą w całej Wermlandji!

— Nie, tak nie jest!

— Jesteś w każdym razie najpiękniejszą w tych sankach! Nie zaprzeczysz chyba?

W istocie zaprzeczyć nie mogła, gdyż hr. Henryk był równie brzydki, jak głupi. Powiadano, że głowa jego przechodziła przez paręset lat, dziedzictwem, z jednego na drugiego członka rodziny i dla tego mózg został do tego stopnia zużyty przez przodków. Oczywiście! Jeśli tą samą głową posługiwał się choćby tylko dziad i ojciec jego, zrozumieć łatwo, dla czego ma tak rzadkie włosy, podbródek tak ostry, a wargi tak cienkie i bezkrwiste.

Otaczali go dowcipnisie, wyciągając na głupstwa i puszczając je dalej, w poprawnem wydaniu. Na szczęście nie spostrzegał tego, był nieustannie uroczysty, pełen namaszczenia i dziwiło go, czemu wszyscy nie są tacy sami. Powaga była mu wrodzona, poruszał się miarowo, kroczył sztywnie i chcąc obrócić głowę, obracał się całem ciałem.

Jednak, mimo jego starczej głowy kochała go żona. Poznawszy hrabiego w Rzymie, nie wiedziała, że jest takim męczennikiem głupoty swojej. Owiewał go wówczas czar młodości, a znajomość ich miała tło nader romantyczne. Opowiadała nieraz, jakiego porwanie jej przez hrabiego Henryka, narobiło hałasu pośród kardynałów i mnichów, rozwścieklonych tem, że przeszła na protestantyzm. Wzburzony tłum obległ pałac ojca, Henryka ścigali bandyci, a siostry i matka błagały, by zaniechała tego związku. Ojciec zawrzał gniewem wobec uroszczeń włoskiej bandy, oświadczył że może dać córkę, komu chce, i polecił Henrykowi porwać ją. Nie mogąc wziąć ślubu w domu, schronili się, idąc chyłkiem ciasnemi uliczkami, do szwedzkiego konsulatu. Tam hrabina przeszła na protestantyzm, wzięła ślub i została wyprawiona na północ w zamkniętym powozie, sprzężonym w ogniste rumaki.

— Nie było czasu na zapowiedzi — mawiała hrabina — i bardzo mi nieswojo zrobiło się podczas tego ślubu w biurze, miast w którymś z naszych pięknych kościołów, ale inaczej nie zostałabym żoną Henryka. Tam, we Włoszech, wszyscy są tak popędliwi, zarówno ojciec, jak mama, kardynałowie i mnisi. Dlatego musieliśmy się kryć, gdyż zabitoby nas oboje, jedynie w celu ocalenia mojej duszy. Henryka uważano za straceńca.

Hrabina kochała męża żyjąc z nim w ojczyźnie, spokojnie, w borskim pałacu. Miłym był jej blask starego nazwiska, długi szereg słynnych przodków, a także to, że przy niej Henryk zatracał sztywność i przemawiał łagodniej. Zresztą kochał ją, rozpieszczał i wreszcie... była przecież żoną jego, a chyba żona powinna kochać męża swego.

Odpowiadał pozatem jej ideałowi mężczyzny, by uczciwy, prawdomowny i dotrzymywał słowa, jak przystało prawdziwemu szlachcicowi.

— — — — — — — — — — —

Dnia ósmego marca obchodził naczelnik urzędu, Scharling, urodziny. W domu jego pełno było gości. Ze wschodu i zachodu nadciągali znajomi i nieznajomi, proszeni i nieproszeni, a wszyscy byli mile witani. Starczyło na wszystkich jadła i napitku, a sala taneczna pomieścić mogła zwolenników pląsów z siedmiu parafji.

Oczywiście przybyła także młoda hrabina, której nie zbrakło nigdzie, gdy szło o tańce i rozrywki.

Ale opuściła ją zwykła wesołość, jakby przeczuwała, że teraz na nią kolej porzucenia cichego życia baśni i że zostanie porwana dzikim szałem wypadków. Jadąc na przyjęcie patrzyła na zachodzące słońce, które opadało, nie zostawiając złotych pasm na chmurach. Szary zmierzch słał się wszędzie, a zimny wiatr gnał po polach. Zapatrzyła się w tę walkę dnia z nocą, która przepajała strachem każdą żywą istotę. Konie pędziły z ostatnim ładunkiem chrustu, by się coprędzej znaleźć pod dachem, rębacze spieszyli z lasu, a dziewczęta folwarczne porzucały robotę. W gęstwie lasu porykiwały dzikie zwierzęta. Minął dzień jaśni i wesela ludzkiego.

Barwy nikły, światłość gasła, a wokół wszystko tonęło w szarym, pozbawionym piękna mroku. Młoda kobieta doznawała przeczucia, że jak natura, zapadnie w niemoc i poniesie klęskę, tracąc purpurę i złoto serca, jaśń jego i siłę.

— O biedne, omdlałe serce moje! — myślała — Ogarnie cię i zdusi mrok głuchy i zostanie twym

władcą. Życie wyda mi się wówczas brzydkie i ponure, jakiem jest może w istocie, włosy posiwieją, grzbiet się skrzywi, a mózg stępieje.

W tej chwili sanki skręciły w podwórze domu naczelnika urzędu, a spojrzenie hrabiny padło na okratowane okienko w budynku bocznym, z którego wyzierała twarz o złych oczach.

Była to majorowa z Ekeby, a młoda kobieta uczuła, że przepadła na dziś cała jej radość. Można się radować, gdy troska i ból dalekie i mgliste, trudniej dużo jednak, spojrzawszy im w twarz, zachować wesołość.

Hrabina wiedziała, że naczelnik uwięził majorowę z powodu gwałtu, popełnionego pamiętnej nocy w Ekeby i że ma być sądzona. Nie spodziewała się jednak, że ją trzymają tutaj w domu, tak blisko balowej sali, iż można z okien patrzyć w głąb jej więzienia i że winowajczyni słyszy muzykę i rozgwar zabawy. Myśl o niej pozbawiła hrabinę wszelakiej radości.

Tańczyła wprawdzie walce i kadryle, menuety i anglezy, ale pomiędzy jednym tańcem, a drugim podchodziła do okna i spoglądała na budynek przeciwległy. W stancyjce majorowej było światło, tak że widziała jak chodzi tam i z powrotem, bez końca. Za każdem takiem spojrzeniem nogi hrabiny posuwały się wolniej w tańcu, a uśmiech utykał jej w piersi.

Gospodyni domu spostrzegła, że ściera wilgoć ze szyby i wygląda, więc zbliżyła się do niej.

— Ach, cóż za nieszczęście! — szepnęła hrabinie.

— Tak... tak... nie mam wprost siły tańczyć, z tego właśnie powodu! — odparła również cicho.

— Nie nasza to wina, że tu siedzi podczas zabawy naszej — powiedziała pani Scharling. — Trzymano ją dotąd w więzieniu karlsztadzkiem, ale ma się niedługo odbyć rozprawa, więc została tu przewieziona. Nie mogliśmy jej umieszczać przecież w zwykłej celi więziennej i dlatego zamknął ją mąż w tkalni, w oficynie. Byłabym jej oddała mój pokój, ale goście zajęli cały dom. Pani hrabina nie zna jej, ale dla nas wszystkich była jakby matką i królową. Cóż sobie teraz myśli o naszych tańcach, będąc sama w takiej niedoli? Na szczęście, mało kto wie, że tu jest.

— Jakże ją było można aresztować? — spytała hrabina ostro.

— Zupełna racja! Zupełna racja! Ale musieliśmy to zrobić dla zapobieżenia większemu jeszcze o wiele nieszczęściu. Wolno jej, oczywiście podpalić własny próg słomy i wygnać rezydentów, ale major zaczął poprostu polować na nią i kto wie coby było zaszło, gdyby nie została zamknięta. Mąż miał sporo nieprzyjemności z tego powodu w Karlsztadzie, dano mu wyraźnie do poznania, że powinien patrzyć przez palce na to co się stało w Ekeby, ale wedle sumienia nie mógł postąpić inaczej.

— Pewnie zostanie teraz zasądzona? — spytała hrabina.

— O nie, uwolnią ją napewnę, ale straszne miała przejścia w ostatnich czasach. Oby tylko nie pomieszało jej to w głowie. Proszę tylko pomyśleć... potężna pani na Ekeby... a teraz zbrodniarka! Zdaniem mojem, najlepiej byłoby ją puścić, albo dać sposobność ucieczki.

— Niechże jej to pani ułatwi! — powiedziała hrabina.

— Każdemu innemu przystoi to uczynić, ale nie naczelnikowi urzędu i jego żonie! — szepnęła pani Scharling — Wszakże my... musimy... jej pilnować. Zwłaszcza dzisiejszej nocy, kiedy jest u nas tylu obcych, musieliśmy postawić straż i zaryglować drzwi. Cieszyłoby nas jednak oboje bardzo, gdyby jej ktoś dopomógł do zniknięcia.

— Czyżby i mnie nie było wolno z nią pomówić? — spytała hrabina.

Pani Scharling ujęła ją żywo za rękę i pociągnęła za sobą. W sieni okryły się szalami i ruszyły spiesznie przez podwórze.

— Może nie zechce nawet mówić z nami! — powiedziała naczelnikowa — Ale będzie przynajmniej wiedziała, żeśmy o niej nie zapomniały.

Minąwszy pierwszą izbę, gdzie dwaj strażnicy pilnowali zaryglowanych drzwi, dotarły bez przeszkód do majorowej. Zamknięto ją w dawnej, nie używanej tkalni, pełnej starych warsztatów. Służyła ona też czasem za więzienie, toteż miała okratowane okna i mocne zamki u drzwi.

Nie bacząc przybyłych, chodziła majorowa dalej Długą dziś odbyła drogę. Wyobraziła sobie poprostu, że musi przejść trzydzieści mil, dzielących ją od matki która czeka na nią w lasach elfdalskich.

Nie miała czasu spoczywać. Matka liczyła już dziewięćdziesiąt lat i długo pewnie nie pożyje.

Wymierzała na łokcie rozmiary izby i chodząc liczyła je. Potem łokcie przerachowywała na węzły, a węzły na mile.

Długą i przykrą wydała jej się ta droga, a jednak spoczywać nie chciała. Brodziła po głębokich zaspach, słyszała poszum wiekuistych lasów, nocowała w kurnych

chatach fińskich i szałasach węglarzy. Często też, nie napotkawszy ludzkich osiedli, musiała łamać gałęzie na legowisko i spać między korzeniami obalonej jedli.

Na koniec dotarła do celu, przebyła trzydzieści mil, las się rozwarł, zobaczyła budynki na śniegu, posłyszała szum wodospadu i ten znany dźwięk powiedział jej, że jest w domu.

Ujrzała ją matka, a widząc że jest, jak chciała tego sama, żebraczką, ruszyła naprzeciw córki...

Doszedłszy w myślach do tego punktu, podniosła majorowa głowę, obejrzała się, spostrzegła zamknięte drzwi i uświadomiła sobie gdzie jest.

Zadała sobie pytanie, czy to początki obłędu i usiadła dumać i wypoczywać. Za chwilę jednak ruszyła dalej, licząc łokcie, węzły, mile, nocując w chatach i nie dając sobie spocząć po całych dniach, aż przebędzie owych trzydzieści mil. Przez cały niemal czas pobytu w więzieniu nie spała.

Przybyłe kobiety spozierały ze strachem na majorową. Hrabina nie zapomniała już tego widoku i nieraz budziła się po nocach, zapłakana, jęcząc i zawodząc żałośnie.

Straszne zaszły zmiany w starej kobiecie. Włosy jej zrzedły, a cienkie kosmyki zastąpiły dawne warkocze. Twarz jej zapadła i nabrała ostrego wyrazu, a odzież była brudna i poszarpana. Mimoto nie znikły wszystkie cechy wielkiej damy, tak że budziła nie litość, lecz szacunek.

Hrabinę uderzyły ponad wszystko, oczy jej zapadłe i jakby ku wnętrzu zwrócone, nie pozbawione jeszcze przytomności. Ale rychło mogły zajść mgłą szaleństwa i nie było wykluczone, że majorowa rzuci się za chwilę na obie kobiety z rękami i paznokciami.

Stały przez pewien czas, czekając, aż majorowa zatrzymała się nagle przed hrabiną i spojrzała na nią surowo. Hrabina cofnęła się i chwyciła za ramię panią Scharling.

Wyraz twarzy majorowej ożył nagle, a oczy błysnęły przytomnie.

— Nie... nie, — powiedziała, uśmiechając się — tak źle nie jest ze mną jeszcze, droga moja pani.

Poprosiła, by usiadły, zajęła sama miejsce i przybrała zachowanie staromodnej matrony, jak ongiś na balach w Ekeby, czy przyjęciach dworskich w Karlsztadzie. Zapomniała zupełnie łachmanów i więzienia i stała się na nowo najdumniejszą i najbogatszą kobietą Wermlandji.

— Droga hrabino, — powiedziała — cóż panią skłoniło opuszczać bal i przychodzić do starej, samotnej kobiety? Zaprawdę, zbyt pani łaskawa!

Hrabina Elżbieta nie była w stanie odpowiedzieć skutkiem wzruszenia, a pani Scharling oświadczyła za nią, że tańczyć nie może na myśl o losie majorowej.

— Droga pani Scharling! — powiedziała majorowa — Więc aż do tego doszło, że przeszkadzam młodym w uciesze? Nie płacz nademną, droga, kochana hrabino! — dodała — Zasłużyłam na los mój. Wszakże uzna pani chyba, że nie wolno bić własnej matki?...

— Jakto?

Majorowa urwała i rzekła, gładząc jasne, kędzierzawe włosy młodej kobiety.

— Dziecko... dziecko! Jakże mogłaś wychodzić za tego głupiego Henryka Dohnę?

— Kocham go...

— Ach, tak... tak! — odparła majorowa — Jesteś jeno dobre dziecko i nic więcej. Płaczesz wraz ze smutnymi, a śmiejesz się z wesołemi. Zjawi się pierwszy lepszy ze słowami: Kocham cię! Ty zaś musisz przystać. Tak... tak! Idź pani, idź dalej tańczyć. Tańcz droga hrabina i raduj się. W pani niema śladu zła!

— Chciałabym czemś dopomóc pani majorowej!

— Dziecko! — odpowiedziała uroczyście — Żyła swego czasu w Ekeby stara kobieta, która dzierżyła wichry niebiosów w garści. Teraz siedzi w więzieniu, a wichry hulają swobodnie. Czyż więc dziwne, że po całym kraju szaleją burze?

Jestem stara, hrabino i znam się na burzach. Wiem, że często nadciąga wielki huragan boży. Niszczy raz wielkie, drugi raz małe państwa, nie zapominając o żadnem, gdy nań przyjdzie czas. Burza ta gromi zarówno mocnych, jak słabych. Przedziwna to rzecz, widzieć bożą pomstę.

Wiejże, wiej po ziemi burzo pańska! Rozebrzmijcież powietrze i wody głosami struchlałymi! Uczyńcież huragan przeraźniejszym jeszcze! Niech drżą chwiejące się ściany, niech pękają rdzawe zamki i padają w gruz zbutwiałe domy!

Postrach ogarnie kraj cały. Gniadzka ptasie strząśnięte zostaną z drzew. Krogulcze gniazdo runie z trzaskiem, a wszystko, aż do gniazda sowiego w szczelinie skalnej, zwieje język sykliwy wichru.

Sądzimy, że u nas wszystko idzie dobrze, ale to nieprawda! Trzeba nam bardzo wichru bożego. Rozumiem to i nie żalę się. Teraz jednak pora mi, już iść do matki.

Zwisła nagle wyczerpana na krześle.

— Idź, idź droga pani! — powiedziała — Nie mam czasu, iść muszę. Ale strzeż się tych, którzy przylecą na skrzydłach wichru!

Zaczęła znowu chodzić, rysy jej zwiotczały, spojrzenie cofnęło się w głąb, a hrabina i pani Scharling zrozumiały, że muszą odejść.

Wróciwszy na salę taneczną podeszła hrabina wprost do Gösty i powiedziała:

— Przynoszę panu pozdrowienie od majorowej. Ma ona nadzieję, że ją pan wyzwoli z więzienia.

— Złudna to nadzieja, pani hrabino!

— Ach, dopomóż jej pan!

Gösta spochmurniał.

— Nie! — rzekł stanowczo — Z jakiegoż to powodu miałbym jej dopomagać? Czyż winienem jej wdzięczność? Wszystko co uczyniła, obróciło mi się w nieszczęście.

— Ależ panie Berling...

— Gdyby nie ona, — zawołał porywczo — spałbym teraz w wieczystych lasach! Czyż mam dla niej ważyć życie za to, że mnie zrobiła rezydentem w Ekeby? Zaprawdę, nie jest to zbyt dostojne stanowisko!

Bez słowa odwróciła się od niego. Gniew nią wstrząsnął.

Poszła na swoje miejsce, gorzko dumając o rezydentach. Przybyli tu z puzonem i skrzypcami i grają aż do pęknięcia, strun nie myśląc o tem, że uwięziona słyszy to. Przybyli tańczyć, aż do podarcia trzewików, niebaczni, że dobrodziejka ich widzi cienie obdarowywanych, co przemykają przez zapocone szyby! Ach, jakiż ten świat marny i brzydki! Niedola i oschłość serca przysłoniły duszę młodej kobiety!

Po chwili zbliżył się Gösta i poprosił ją do tańca.

Powiedziała: Nie! Poprostu... nie!

— Pani hrabina nie chce tańczyć ze mną? — spytał zapłoniony.

— Ani z panem tańczyć nie będę, ani z żadnym kawalerem! — odparła.

— Czyż niegodni jesteśmy tego zaszczytu?

— To nie zaszczyt, panie Berling! Nie sprawia mi jednak przyjemności taniec z ludźmi, którzy zapomnieli obowiązku wdzięczności.

Gösta obrócił się na obcasie nim skończyła i odszedł.

Wiele osób słyszało te słowa i wszyscy przyznali słuszność hrabinie. Niewdzięczność i obojętność kawalerów wywoływały zdawna oburzenie ogółu.

Tego wieczoru był Gösta niebezpieczniejszy od dzikiego zwierza. Od kiedy nie zastał, za powrotem z polowania, Marjanny, nosił w sercu krwawiącą ranę. Radby był dziś skrzywdzić kogoś brutalnie i szerzyć cierpienie i ból wokół.

Jeśli chce, stanie się zadość jej woli, pomyślał, ale nie będę jej szczędził. Hrabina lubi porywanie, niechże ma tedy uciechę. Goście była na rękę awantura. Wszakże już przez tydzień opłakiwał utratę kobiety! Aż nadto żałoby! Przywołał Baerencreutza, Chrystjana Bergha, oraz nieleniwego do przygód kuma Kristoffera i zaczęli wszyscy radzić, jakby wziąć pomstę za dotknięty honór rezydentów.

Zabawa dobiegła końca. Długi szereg sań zajechał pod dwór. Panowie wdziali futra, a damy szukały rozpaczliwie okryć, wśród chaosu szatni.

Hrabinie pilno było opuścić przykry bal i wyprzedziła inne kobiety. Właśnie stała na środku po-

koju, spoglądając z uśmiechem na bieganinę innych, gdy w progu stanął Gösta.

Żadnemu mężczyźnie nie wolno w takiej chwili wchodzić tu, gdzie damy podpinają właśnie wysoko suknie i chronią od mięcia pod futrami, sztywne hafty i lamówki.

Nie bacząc ostrzegawczych wykrzyków, skoczył Gösta ku hrabinie, porwał ją na ręce i wybiegł do sieni, a stamtąd na schody.

Mimo krzyków pań spieszących za nim, wsadził zdobycz w sanki. Widziały jak wskakuje, usłyszały trzask bata i para znikła. Poznały w woźnicy Baerencreutza, poznały też konia... Don Juana! Przerażone wielce przywołały mężczyzn na pomoc.

Nie tracąc czasu, każdy pobiegł do sanek. Z hrabią na czele zaczęli polowanie na rabusiów.

Gösta atoli siedział rozparty w sankach i śpiewał na całe gardło pieśń o miłości i różach. Zapomniał wszelkiej troski porwany szaleństwem. Przyciskał hrabinę, która się nie broniła, ale tuliła pobladłą twarzyczkę do niego.

Cóż ma czynić mężczyzna, kiedy widzi na piersiach bladą twarzyczkę kobiecą, o włosach odrzuconych wstecz i powiekach opadłych na swawolne oczy?

Musi, oczywiście, całować blade usta, zamknięte oczy i białe czoło!

Zbudziło to młodą kobietę i elastycznie, niby sprężyna, odskoczyła w bok. Musiał wytężyć wszystkie siły, by jej przeszkodzić w wyskoczeniu i wcisnąć pokonaną i drżącą w kąt sanek.

— Widzisz! — zawołał do Baerencreutza — Pani hrabina jest trzecią damą, którą tej zimy uwozi Don Juan. Ale tamte wieszały mi się u szyi, całowały, ona

zaś nie chce, bym ją całował, ni tańczył z nią. Czy możesz się wyznać w kobietach, Baerencreutz?

Kiedy Gösta porywał hrabinę, kobiety krzyczały, a mężczyźni klęli, dziwnie nieswojo zrobiło się strażnikom majorowej.

— Cóż to znaczy? — pytali się wzajem — Czemuż wszyscy krzyczą?

Nagle ktoś rozwarł drzwi i krzyknął:

— Uciekła! Porwali ją rezydenci!

Oszaleli z trwogi strażnicy pobiegli, nie badając czy porwano majorową, czy kogoś innego.

Mieli szczęście, gdyż znaleźli miejsce w jednych sankach i ujechali dobry kawał, zanim się spostrzegli kogo ścigają.

Tymczasem poszli najspokojniej Bergh i kum Kristoffer do drzwi więzienia, oderwali zamek i wypuścili majorową.

Wyszła. Oni zaś stali po obu stronach drzwi jak słupy, nie patrząc na nią.

— Czekają zaprzężone sanki! — powiedzieli.

Podeszła, siadła i odjechała, nie ścigana przez nikogo. Nikt też nie wiedział dokąd zmierza.

Don Juan wpadł ze wzgórza borbijskiego na lód Löffenu i pędził w cwał, a lodowaty podmuch wiatru rumienił policzki jadących. Brzęczały janczary, lśniły gwiazdy, a sino biały śnieg migotał przedziwnie.

Göstę ogarnął nastrój poetycki.

— Takie to jest już życie, mój Baerencreutzu! — powiedział — Podobnie jak Don Juan z tą damą, ucieka też czas z ludźmi. Ty jesteś gorzka konieczność, która kieruje pojazdem. Ja jestem pożądaniem, które więzi wolę i ściąga bezwładem, coraz to niżej.

— Nie gadaj tyle! — ryknął Baerencreutz — Następują nam już na pięty!

Rzekłszy to, śmignął Don Juana, a koń pomknął jak szalony.

— Tam wilki, a tu zdobycz! — zawołał Gösta — Don Juanie, drogi przyjacielu, wyobraź sobie, że jesteś młodym łosiem. Pędź przez gęstwę, brodź po bagniskach, skacz z urwisk, przepływaj jezioro z dumnie podniesioną głową i uchodź do zbawczej ciemni jodłowego lasu. Don Juanie, stary łowco kobiet, bądź młodym łosiem!

Dzikie serce Gösty lubowało się tą błyskawiczną jazdą, a krzyki ścigających były mu pieśnią triumfu. Nie posiadał się z uciechy widząc, że hrabina drży ze strachu, aż jej zęby kłapią.

Nagle puścił ją, wstał i krzyknął, powiewając czapką:

— Jam jest Gösta Berling! Pan tysięcy pocałunków i trzynastu tysięcy listów miłosnych! Hurra! Niech żyje Gösta Berling. Łapaj go, kto zdoła!

Za chwilę szeptał hrabinie:

— Czyż nie cudna to jazda? Czyż nie królewska? Za Löffenem jest wenerskie jezioro, poza niem morze. Wszędzie bezkres równi, siny lód, a dalej jeszcze świat pełen blasków. Grzmi lód i pęka, za nami wrzaski pogoni, z nieba spadają gwiazdy, brzęczą janczary... Naprzód! Naprzód! Wszakże miło pani jechać tak ze mną, hrabino?

Puścił ją, ona go zaś odepchnęła.

Za moment padł jej do nóg.

— Jestem nędznik! Ale czemuż drażniłaś mnie, hrabino? Byłaś tak pyszna i sądziłaś, że cię ręka rezydencka dosięgnąć nie zdoła. Wszystko panią kocha,

ziemia i niebo. Czemuż obciążałaś jeszcze kamieniem tego, kim ziemia i niebo gardzi?

Ujął jej rękę i przyłożył sobie do twarzy.

— Ach! — powiedział — Gdybyś pani wiedziała, co znaczy czuć się wyklętym! Takiemu całkiem wszystko jedno, co czyni.

W tej chwili zauważył, że ma obnażone ręce, dobył więc wielkich, futrzanych rękawic i włożył jej. Uspokoiło go to, usiadł jak najdalej mógł i powiedział:

— Proszę się nie bać, hrabino. Spojrz pani sama i przekonaj się, dokąd jedziemy. Zrozumie zaraz pani, że niema mowy o żadnem niebezpieczeństwie.

Była dotąd niemal bezprzytomna ze strachu, ale w tej chwili spostrzegła, że jadą po lodzie, a niedługo zaczął wdzierać się zadyszany Don Juan na wzgórze borskie. W końcu stanęli u podjazdu pałacu i pomogli hrabinie wysiąść.

Spostrzegłszy, że ich otacza służba, uczuła nawrót odwagi i opanowała się.

— Weź konia, Andersen! — powiedziała — Panowie odwieźli mnie do domu, ale zapewne zechcą wstąpić na chwilę. Hrabia zaraz nadjedzie.

Służymy pani hrabinie! — powiedział Gösta i wysiadł zaraz. Baerencreutz rzucił bez namysłu lejce służącemu. Hrabina poszła przodem i wprowadziła gości, źle maskując radość swą z owego pochwycenia kawalerów w pułapkę.

Pewną była, że zawahają się przed ewentualnością spotkania z jej mężem. A więc nie wiedzieli, jak jest surowy i sprawiedliwy? Nie boją się kary za porwanie i zmuszenie do jazdy z nimi. Cieszyła się na to, jak im mąż jej zabroni przekraczać progu swego domu, jak ich wobec służby napiętnuje, zakazując otwierać

im bram Borgu. Czekała na to, że mąż potępi czyn wobec niej i majorowej, ich dobrodziejki.

Pewną była, że człowiek tak czuły dla żony spuści słuszny gniew na głowy prześladowców, a miłość rozpłomieni jego słowa. Jakżeby mógł pozwolić porywać ją jastrzębiom, niby wróbla. Mała kobiecina dygotała żądzą zemsty od stóp do głowy i czekała na męża, by dał wyraz temu, co odczuwała w swej niemocy.

Pułkownik Baerencreutz o siwych wąsach, poszedł bez ceremonji do jadalni, by ogrzać się przy kominku, na którym, mimo późnej godziny płonął suty ogień.

Gösta trzymał się na uboczu w cieniu i patrzył na hrabinę, z której służący zdejmował futro. Uczuł nagle wesołość nie zaznaną od lat całych i nabrał pewności, że w ciele tem mieszka przepiękna dusza.

Długo spała, ale wyjrzy kiedyś na światłość dnia, a Gösta był rad bardzo, że odkrył niewinność, czystość i nieświadomość złego. Omal nie roześmiał się, widząc jak jest zła, czerwona i jak marszczy czoło.

— Sama nie wiesz, jak jesteś dobra i łagodna! — pomyślał.

Wiedział, że nigdy zewnętrzna strona jej własnej jaźni, nie oceni w pełni strony wnętrznej. Uczuł, że od tej chwili musi zostać jej czcicielem i służyć jej, jak wszystkiemu, co piękne i boskie.

Ale nie żałował ostrego z nią postąpienia, bo gdyby się nie bała, nie odpychała go i nie czuła oburzenia, nie dowiedziałby się nigdy, co za wielki duch w niej mieszka.

Uważał ją za oddaną wyłącznie tańcom i rozrywce, a fakt, że wyszła za głupiego, świadczył też fatalnie.

Postanowił, że odtąd będzie aż do śmierci jej psem i niewolnikiem, jak zwykł był mawiać kapitan Chrystjan.

Gösta siedział w pobliżu drzwi ze złożonemi rękami i odprawiał rodzaj nabożeństwa. Tak podniosłego nastroju nie przeżył od chwili pierwszego, poetyckiego natchnienia. Nie zwrócił nawet uwagi na to, że do sali wszedł hrabia Dohna wraz z czeredą innych, wyklinających głupie żarty kawalerów.

Zostawił Baerencreutzowi przyjemność pierwszego starcia, gdyż sam miał co innego do roboty. Rycerz stu przygód, stał spokojnie przy kominie, oparłszy łokieć i jedną stopę o kratę i patrzył z pod oka na wpadających do sali.

— Cóż to wszystko znaczy? — zaryczał mały hrabia, zwracając się do niego.

— To znaczy, — odparł pułkownik — że, jak długo będą istnieć kobietki, nie zbraknie im durniów do wodzenia za nos.

Mały hrabia sponsowiał.

— Pytam, co to znaczy? — powtórzył.

— I ja o to pytam! — oświadczył Baerencreutz — Otóż pozwolę sobie prosić o wyjaśnienie, czemu małżonka hrabiego Henryka Dohny nie chce tańczyć z Göstą Berlingiem?

Hrabia spojrzał pytająco na żonę.

— Nie mogłam, Henryku! — zawołała — Nie mogłam tańczyć z żadnym z kawalerów, gdyż opuścili majorową i pozwolili jej marnieć w więzieniu.

Mały hrabia wyprostował się jeszcze bardziej i odrzucił wstecz starczą głowinę swoją.

— My, kawalerowie, — rzekł Baerencreutz — nie pozwalamy sobie urągać. Kto z nami nie chce

tańczyć, musi się sankować. Zresztą pani hrabina nie została wcale uszkodzona i należałoby zakończyć na tem.

— Nie! — zawołał hrabia — Nie należy zakończyć na tem. Odpowiadam za postępki mej żony, to też pytam, czemu Gösta Berling nie zażądał odemnie satysfakcji, kiedy został obrażony?

Baerencreutz uśmiechnął się i rzekł:

— Któż prosi o pozwolenie lisa, gdy chce mu ściągnąć skórę?

Hrabia położył dłoń na wąskiej piersi.

— Powiadają, że jestem człowiek sprawiedliwy — oświadczył. — Często sądzę służbę moją. Czemużbym nie miał odbyć sądu nad żoną? Kawalerom nie przysługuje prawo karania i dlatego unieważniam i anuluję karę, którą jej wymierzyli... Czy rozumiecie łaskawi panowie?... Kara ta, nie miała poprostu wcale miejsca!

Hrabia wykrzyknął to donośnym falsetem.

Baerencreutz rzucił spojrzenie po sali i spostrzegł, że wszyscy śmieją się pokryjomu z głupiego hrabiego, wszyscy, a głównie Sintram, Daniel Bendiles i Dahlberg.

Hrabina nie mogła odrazu zrozumieć słów męża. Cóż to właściwie unieważniał? Czyż jej strach, przyciskanie do piersi przez Göstę, dzikie śpiewy, słowa, ogniste pocałunki... czyż to wszystko miało odtąd stracić istnienie?

— Ależ Henryku...

— Milcz! — krzyknął ostro i wyprostował się do kazania moralnego. — Biada ci kobieto, — zaczął — iżeś się uczynić chciała sędzią mężczyzn! Biada ci także kobieto, będąca żoną moją, iże obrażasz tych, których dłoń ściskam ja, mąż twój. Cóż ci do tego,

że kawalerowie wtrącili majorową do więzienia? Czyż nie mieli prawa? Nie pojmiesz nigdy, jak to dotyka serce każdego mężczyzny, gdy się dowie o wiarołomstwie kobiety. Czyż zamierzasz także pójść tą ślizką drogą, że ją bierzesz w obronę?

— Ależ Henryku!...

Kwiliła jak dziecko i wyciągając ramiona, odpędzała szkaradne słowa, których w tej ostrej formie nigdy dotąd nie słyszała. Była bezbronną, pośród tych twardych mężczyzn, a jedyny obrońca zwracał się przeciw niej. Już chyba nigdy nie rozjaśni się w jej sercu.

— Ależ Henryku, miałeś mnie przecież bronić! — zawołała.

Teraz, kiedy było zapóźno, zbudził się Gösta, ale nie wiedząc jak sprawa stoi, mimo wielkiej chęci pomagania, nie mógł stawać pomiędzy mężem, a żoną.

— Gdzie jest Gösta Berling? — spytał hrabia.

— Tu jestem! — odparł i spróbował wszystko obrócić w żart. — Pan hrabia zapewne skończył mowę, ja jednak spałem przez cały czas i żałuję, ale nie wiem nic, a nic. Co by pan hrabia powiedział na to, gdybyśmy się rozjechali do domów i pozwolili państwu iść na spoczynek?

— Gösto Berlingu! — powiedział hrabia — Z uwagi na to, iż żona moja obraziła cię przez odmowę tańczenia, rozkazuję niniejszem, by cię przeprosiła i pocałowała w rękę!

— Drogi hrabio — odparł Gösta z uśmiechem. — Czyż ręka taka jak moja nadaje się do całowania przez młodą damę? Wczoraj dopiero splamiła się krwią łosia, jutro będzie może czarna po jakiejś bijatyce z węglarzem. Hrabia wygłosił wyrok szla-

chetny i wspaniałomyślny! Jest mi to dostateczną nagrodą! Chodź Baerencreutz!

Hrabia zastąpił mu drogę.

— Nie odchodź! — powiedział. — Żona moja winna mi posłuszeństwo. Chcę, by się dowiedziała, do czego prowadzi czyn samowolny.

Gösta stał niepewny, a hrabina pobladła, ale nie ruszała się z miejsca.

— Idź! — powiedział jej.

— Nie mogę, Henryku!

— Możesz! — oświadczył twardo. — Możesz napewne! Ale może też chcesz mnie zmusić, bym się pojedynkował z człowiekiem, którego przez kaprys znosić nie możesz. Uczynię to, niezawodnie, jeśli odmówisz zadośćuczynienia. Kobiety lubią, by się z ich powodu zabijali mężczyźni. Nie chcesz naprawić błędu... pani hrabino... doskonale, stanę do pojedynku i za parę godzin przyniosą ci krwawe zwłoki.

Przeszyła go długiem, badawczem spojrzeniem i zrozumiała jasno, że jest bezdennie głupi, tchórzliwy, nadęty pychą i próżnością, słowem najmarniejszy pod słońcem człowiek.

— Bądź spokojny! — odparła lodowato. — Uczynię co chcesz!

Teraz atoli Gösta oburzył się.

— Nie wolno pani tego uczynić! — zawołał — Jesteś pani słabem jeno dzieckiem... dusza pani tak czysta... jakże mogłabyś całować ręce moje? Nie zbliżę się już do pani, bowiem przynoszę śmierć i zniszczenie wszystkiemu, co dobre i niewinne. Proszę, nie dotykaj mnie pani, boję się, jak ogień wody... Proszę, nie czyń pani tego!

Założył ręce na plecy.

— To mi nie zaszkodzi, panie Berling! Teraz już mi jest wszystko jedno! Proszę o przebaczenie i racz pan pozwolić, bym ucałowała twe ręce!

Gösta trzymał dalej ręce na plecach, rozglądał się po sali i przemykał ku drzwiom.

— Jeśli nie przyjmiesz zadosyćuczynienia, jakie ci daje moja żona, będziesz się musiał ze mną bić, Gösto, a pozatem nałożę ci jeszcze dotkliwszą karę! — rzekł hrabia.

Hrabina wzruszyła ramiona i szepnęła Goście:

— Oszalał z tchórzostwa! Pozwól pan, bym spełniła to, czego chce. Obojętne jest mi upokorzenie! Pan zresztą chciałeś tego od początku!

— Chciałem? Sądzi pani, żem chciał panią upokorzyć? Przekona się pani, iż tego nie chciałem! Nie będzie pani całować rąk moich.

Pobiegł z kominka i wsadził obie dłonie w ogień. Objęły je płomienie, skóra ściągnęła się, paznokcie zaczęły pękać, ale w tej chwili chwycił go Baerencreutz za kołnierz i cisnął na środek sali. Zatoczył się w jakiś fotel i siadł, zawstydzony swym postępkiem. Będzie pewna, że kierowała nim próżność ... tak, czyn taki wobec tylu ludzi musiał wyglądać na akt próżności. Nikomu nie przyszło nawet do głowy niebezpieczeństwo.

Chciał wstać, ale nim tego dokazał, klęczała już przy nim hrabina, oglądając czerwone, poczerniałe od dymu ręce i wołając:

— Będę, zaprawdę całowała te ręce, gdy jeno nie będą tak poranione i chore!

Na widok wielkich bąbli, podnoszących skórę wybuchnęła płaczem.

Dostąpiła objawienia niepojętej wspaniałości. Nigdy nie przypuszczałaby, że może się stać na ziemi coś podobnego i to z jej powodu... dla niej! Więc żyli jeszcze ludzie jak on, mocarny w dobrem i złem, mąż wielkich czynów, słów i świetnych zalet! Bohater! Bohater... z innej zaiste gliny ulepiony, niewolnik zachcianki, uległy każdej chwili, ale niezmiernie silny, straszliwy i nie znający przed niczem strachu.

Przez cały wieczór przygnębiona była, nie dostrzegając nic, prócz troski nikczemności i okrucieństwa. Teraz poweselała, uczuła się pełnym człowiekiem! Władczyni zmierzchu pierzchła, wróciły barwy, a światłość objęła wszystko.

— — — — — — — — — — — —

Niebawem dowiedziała się hrabina o uwolnieniu majorowej, wydała tedy zaraz wielki obiad ku czci kawalerów, a z Göstą Berlingiem zawarła przyjaźń długotrwałą.

BAJKI O DUCHACH.

O, wy, dzieci nowych czasów! Nic wam opowiedzieć nie mogę, prócz zapomnianej starzyzny. Owego czasu zajmowała ona malców, zebranych wkoło ogniska, oraz parobków i wyrobników, krających wieczorem, po pracy, grube skibki chleba z masłem, oraz starszych panów, gdy popijając grog i kołysząc się w fotelach, wspominali dawne czasy.

Gdy dziecko osłucha się tych baśni, widzi w przelatujących po niebie chmurach postacie kawalerów, pędzących przez widnokrąg, w gwiazdach, świece borskiego pałacu, zaś mruk kołowrotka przypomina im wyraźnie przędzącą Ulrykę Dillner. Takie to urojenia przepajają głowinę dziecka.

Jeśli ktoś posłał takie dziecko przez ciemny kurytarz do lamusu po chusty, albo suche placki, to biegło ono zawsze co sił, dążąc coprędzej ku kuchni. W ciemku jawiły im się zawsze opowieści o złym dziedzicu Forsu, którym władał djabeł.

Popioły złego Sintrama dawno leżą na cmentarzu svartsjoeńskim, a nikt nie wierzy, by dusza jego spoczywała w Panu, jak świadczy napis grobowy.

Kiedy żył, przybywała doń często w niedzielne, dżdżyste popołudnie ciężka, w czarne konie sprzężona kareta, a elegancki, czarno ubrany jegomość zabawiał

gospodarza grą w karty i kości, nieraz aż do północy i dłużej. Kiedy odjeżdżał o świcie, zostawiał zawsze jakiś złowrogi dar.

Dopóki Sintram żył na świecie, chadzały przed nim duchy. Ludzie doznawali ostrzeżeń, pojazd dudnił po podwórzu, trzaskało z bata, głosy słychać było na schodach, otwierano bramę domu i zatrzaskiwano z powrotem, ludzi i psy budził ten hałas, ale nie jawił się nikt... Były to jeno znaki i wróżby.

Straszni to ludzie, zostający jak Sintram w szatańskiej mocy. Cóż to naprzykład był za ogromny pies we dworze, za życia właściciela Forsu? Oczy mu błyszczały, a ogromny, czerwony ozór zwisł z dyszącej paszczy. Pewnego dnia podczas obiadu zaskrobał do drzwi kuchennych, przerażając dziewczęta służebne, a jeden z parobków porwał płonącą głownię i wepchał mu w pysk. Zwierz uciekł z wyciem, buchając dymem i iskrami z paszczy, oraz zostawiając na drodze lśniące, ogniste ślady.

To też spieszno było dzieciom przebiegać ciemny kurytarz. Cóżby się stało, gdyby na przykład któreś napotkało tam, w ciemnym kącie tego, którego imienia wymówić nie śmiały. Nikt nie był bezpieczny od niego, chociaż właściwie, ukazywał się jeno złym ludziom. Ale Ulryka Dillner i Anna Stjärnhök mogły opowiedzieć całą historję takiego spotkania.

— — — — — — — — — — — —

Przyjaciele drodzy, co tańczycie i śmiejecie się, błagam was, czyńcie to ostrożniej i ciszej, gdyż do wielkich mogłoby dojść nieszczęść, gdybyście miast po podłodze, stąpali po sercach ludzkich jedwabnemi trzewikami, o cienkich podeszwach, a śmiechem swym wpędzili w rozpacz duszę.

Niezawodnie musiały nastąpić takie cieńkie trzewiczki na serce Ulryki, oraz śmiech tańczących oszołomił ją tak, że zapragnęła ślepo zostać mężatką. Zgodziła się teraz nagle na małżeństwo ze złym Sintramem, poszła jako żona jego do Forsu i wzięła rozbrat z dawnemi przyjaciółki z Vergi, oraz troską o chleb powszedni.

Małżeństwo to zawarto na łeb na szyję. W Wielkanoc oświadczył się Sintram, a w lutym było wesele.

Anna Stjärnhök, mieszkająca teraz u kapitana Uggli, zastąpiła z wielką korzyścią starą pannę, tak że Ulryka mogła wyruszyć bez wyrzutów sumienia.

Nie doznawała też wyrzutów, ale czuła żal wielki, albowiem w niesamowite dostała się miejsce. Wielkie, puste pokoje przerażały ją, za każdym zmierzchem czuła drżączkę i tęskniła straszliwie.

Najgorsze były niedzielne popołudnia, trwające w nieskończoność, podobnie jak trawiące ją myśli.

Pewnej niedzieli nie wrócił Sintram na obiad z kościoła, a Ulryka poszła do salonu i usiadła przy fortepianie. Była to jej ostatnia pociecha. Fortepian z wymalowanym pośrodku wieka pasterzem, grającym na flecie i pasterką, był jej spuścizną po rodzicach i powiernikiem w trosce wszelakiej.

W utrapieniu atoli choćby największem, grywała zawsze... polkę.

Nie umiała nic innego, a polki tej nauczyła się, zanim palce jej zakrzepły w skurczu, na garnku, czy rękojeści noża kuchennego. Poza tą polką nie umiała nic a nic, żadnego marsza żałobnego, namiętnej sonaty, czy choćby tęsknej pieśni ludowej.

Grywała ją też zawsze, mając coś zwierzyć staremu fortepianowi, czy to w radosnym, czy smutnym będąc nastroju. Grała podczas swego wesela, potem przybywszy do domu męża i teraz także.

Stare struny wiedziały, jak bardzo jest nieszczęśliwa!

Przejeżdżający drogą mogliby sądzić, że właściciel Forsu daje bal, tak wesoło brzmiała bowiem muzyka Ulryki. Utrzymywała też nią beztroskę w Verdze, a wypłaszała głód. Wszyscy ulegali czarowi tańca, gdy grać zaczęła, ośmdziesięcioletni starcy biegli do sali, niepomni reumatyzmu i bezsiły. Polka brzmiała radośnie, ale Ulryka płakała.

Żyła w otoczeniu kąsających zwierząt i niechętnej służby, bez życzliwego człowieka obok siebie i tę rozpaczną tęsknotę wyrażała właśnie polką.

Nikt tu nie pamiętał, że jest żoną Sintrama, a zwano ją stale panną Dillner. Dlatego to wyrażała polką żal i skruchę za chęć pozyskania tytułu mężatki.

Stara Ulryka grała, nie zważając, że mogą pęknąć struny. Akordy musiały wyłuszczyć sporo rzeczy, skargi zubożałych chłopów, klątwy wyzyskiwanych robotników, urągowiska butnej służby, a zwłaszcza hańbiące piętno żony złego człowieka.

Tę polkę tańczył Gösta z młodą hrabiną Dohna, Marjanna Sinclaire z licznymi wielbicielami swymi, a także ongiś, majorowa z pięknym Altringerem. Grając, widziała te wszystkie nadobne pary, złączone tanecznym oplotem, a wesele ich owiewało także i ją, toteż płonęły jej policzki i błyszczały oczy. Teraz wszystko minęło, a biedna polka musiała głuszyć rozliczne wspomnienia.

Ulryka grała tego dnia, chcąc zgłuszyć strach.

Nagle zauważyła, że mąż wrócił do domu. Usłyszała jak wszedł i usiadł w fotelu biegunowym. Ulryka znała dobrze odgłosy i skrzypy tego fotelu, tak że nie potrzebowała się oglądać nawet.

Grała, a kołysanie towarzyszyło jej muzyce. Niebawem nie słyszała już tonów, jeno samo kołysanie.

Biedna, opuszczona wśród nieprzyjaciół Ulryka, miała jeno fortepian za pocieszyciela, a on wygrywał jej szaleńcze kaskady śmiechu na pogrzebie i pijackie piosenki w kościele.

Słuchając tego kołysania uczuła, że fortepian drwi teraz z jej skargi i urwała w pół taktu. Podniósłszy głowę, spojrzała na fotel biegunowy.

Za moment padła zemdlona. W fotelu nie siedział jej mąż, ale ten... którego imienia nie wymawiają dzieci, a pomarłyby niezawodnie zaraz, spotkawszy go na ciemnym strychu.

— — — — — — — — — — — —

Niewiadomo, czy może ujść mocy czaru ten, komu duszę przepoiły baśnie... Wiatr nocny smaga rośliny egzotyczne na balkonie, niebo zwisa czarne ponad długiemi pasmami gór, siedzę, pisząc przy podniesionych storach, choć jestem stara i nibyto mądra, jednak czuję dreszcz lekki, jak ongiś, kiedy poraz pierwszy słyszałam tę historję. Raz poraz spozieram po kątach, czy gdzie nie czyha ktoś schowany i wychodzę na balkon zobaczyć, czy nie zaziera przez kratę czarna głowa. Strach ten nie opuszcza mnie i w nocy nabiera takiej mocy, że muszę nakrywać się z głową.

Już dzieckiem będąc, nie mogłam pojąć, jak Ulryka Dillner przeżyła to poobiedzie, gdyż przechodziłoby to moje siły.

Na szczęście znalazła ją niedługo na podłodze Anna Stjärnhök, przybyła w odwiedziny i przywróciła do przytomności. Ze mną nie byłoby tak łatwo poszło i zmarłabym napewne.

Niechże wam los oszczędzi, przyjaciele, tego bolu, byście widzieli łzy w oczach starca, głowę jego, szukającą schrony na piersi waszej, i ręce wyciągnięte błagalnie, w chwili, gdy nic poradzić nie możecie.

Czemże są skargi młodych? Mają siły i nadzieje! Ale jakże boli skarga bezsilna tych, którzy byli ongiś podporą naszych, pierwszych kroków.

Anna Stjärnhök słuchała wyrzekań Ulryki i nie widziała dla niej żadnego wyjścia. Starowina płakała, drżała, twarz jej przecinały liczne zmarszczki dwa razy głębsze, niż zazwyczaj, loki porozwijały jej się od wilgoci łez, a całą, chudą postać wstrząsało łkanie.

Na koniec położyła Anna kres jej rozpaczy, postanowiwszy zabrać ją do Vergi. Była żoną Sintrama, ale w Forsie nie mogła zostać dalej, w żaden sposób bez utracenia rozumu.

Starowinę przeraziła ta decyzja i rozradowała jednocześnie, ale nie miała odwagi uciekać z domu męża. Gótów był wysłać za nią potwornego psa.

Anna przezwyciężyła jej niechęć żartami i pogróżkami, a po upływie pół godziny starowina siedziała już w sankach. Anna powoziła sama, przynaglając raz po raz starą Disę. Drogi rozmiękły, gdyż był to koniec marca, ale Ulryka czuła wielką ulgę, siedząc w znanych sankach i mając przed sobą starą, znajomą kobyłę, która tyle niemal co ona lat strawiła na służbie w Verdze.

Stara ta niewolnica pracy, posiadała dobry humor i wrodzoną pogodę, toteż pod Arvidstorpen prze-

stała płakać, pod Högbergiem śmiała się już, a gdy przejeżdżała przez Munkeby, utonąwszy we wspomnieniach, opowiadała swej towarzyszce różności, z czasu pobytu u hrabiny w Swanholmie.

Znalazły się teraz na terenie skalistym i bezludnym, na północ od Munkeby. Droga wiła się i pięła po wszystkich wzniesieniach, potem spadała pionowo niemal w dolinę i znowu szukała zbocza, po którem mogłaby się dostać na górę.

Miały właśnie wjechać ze wzgórza westratorpskiego, gdy nagle stara Ulryka zmilkła i chwytając ramię Anny, wskazała jej oczyma wielkiego psa, siedzącego na skraju drogi.

— Patrz! — zawołała.

Ale pies uciekł w las, zanim go Anna dobrze zobaczyła.

— Spiesz! Spiesz ile tylko możesz! — powiedziała Ulryka. — Teraz dowie się Sintram, że ja tutaj jestem.

Anna usiłowała wyśmiać jej obawy, ale starowina zaręczyła:

— Niedługo posłyszymy dzwonek jego sani, jeszcze za nim wyjedziemy na najbliższe wzgórze.

Właśnie, w chwili, kiedy stara Disa sapała ze zmęczenia, na szczycie elofskiego pagórka zabrzmiały dzwonki sań.

Ulryka utraciła całkiem równowagę. Drżała, łkała i żaliła się, zupełnie jak przedtem we Forsie. Anna chciała ponaglić do pośpiechu Disę, ale szkapa obróciła głowę zdziwiona, jakby z wyrzutem, że przecież wie dobrze, w którem miejscu trzeba biec, a gdzie iść stępa. Nie potrzebowała, by ją ktoś uczył

ciągnąć sanki, przy dwudziestoletniej praktyce i znajomości całej okolicy.

Dzwonienie zbliżało się.

— To on... znam jego dzwonki! — jęczała Ulryka.

Dzwonienie to rosło tak nagle i nienaturalnie, jakby czerwony koń Sintrama dotykał już głową sani vergijskich, to znów słabło zupełnie. Dolatało z lewej i prawej strony drogi, ale kobiety nikogo nie widziały, jakby je ścigał sam jeno ten dźwięk.

Kiedy się wraca nocą, po zebraniu towarzyskiem, dzwonki śpiewają, nucą i opowiadają, a las brzmi echem. Tak było i teraz, a Anna pragnęła już ukazania się prześladowcy i jego konia, gdyż samo dzwonienie było wprost nieznośne. Nie bała się jak zawsze, ale dokuczało jej to dzwonienie bez końca.

— Te dzwonki dręczą mnie! — powiedziała, a dzwonki podjęły zaraz wyrazy i powtarzały je na przeróżne tony.

Anna jechała tędy niedawno, ścigana przez wilki, ale nie bała się, chociaż widziała błyskające kły i sądziła, że zostanie rozszarpana. Nie zaznała jednak piękniejszej nocy. Piękny i silny był koń u sanek, piękny i silny towarzysz przygody.

Ach... jakaż inna ta stara szkapa i drżąca starowina! Bezsilna, a doprowadzona do ostateczności dzwonieniem, stanęła.

Wysiadła ze sanek, chcąc sprawę zakończyć! Nie miała potrzeby uciekać, jakby się bała nikczemnika.

Na koniec dojrzała w gęstniejącym mroku głowę konia, potem całego konia, sanki i samego Sintrama. Ale nie wyglądało to, jakby nadjechało drogą, jeno

jakby powstawało na miejscu w zarysach, wynurzając się z mroku, w miarę jak części były wykończone.

Anna rzuciła lejce Ulryce i podeszła do Sintrama, który zatrzymał konia.

— A... cóż za szczęśliwe zdarzenie! — powiedział — Droga panno Stjärnhök, niechże pani pozwoli, że wsadzę pani do sanek mego towarzysza podróży. Chce on dziś jeszcze być w Verdze, mnie zaś spieszno do domu.

— Gdzież ten towarzysz? — spytała.

Sintram odpiął fartuch i pokazał Annie człowieka, który spał, leżąc na dnie sań.

— Jest on trochę pijany, ale cóż to szkodzi? Śpi sobie i basta. Zresztą dobry to znajomy pani, panno Stjärnhök... Gösta Berling.

Anna zadrżała.

— Powiem tylko tyle — rzekł Sintram — że kto opuszcza osobę kochaną, oddaje ją djabłu w posiadanie. Tak i ja dostałem się w jego szpony. Oczywiście, każdy sądzi, że czyni dobrze... rezygnować, to dobrze... kochać, to źle!

— Cóż to wszystko znaczy? — spytała wstrząśnięta do głębi.

— Nie powinna pani była odsuwać od siebie Gösty...

— Tak chciał Bóg.

— Acha!... właśnie... rezygnacja, to dobra rzecz, a kochanie, zła. Poczciwy Bóg, nie chce widzieć ludzi szczęśliwymi. Posyła za nimi wilki. Ale przypuśćmy, że to nie Bóg je posłał, panno Anno. Czyż nie mogłem równie dobrze, ja sam posłać swe szare owieczki za młodą parą? Może posłałem wilki, nie

chcąc tracić człowieka, który jest moją własnością? Przypuśćmyż tedy, że nie Bóg posłał wilki.

— Nie kuś mnie pan, bym zwątpiła, gdyż w takim razie już po mnie!

— Przypatrz się pani! — powiedział pochylony nad śpiącym Göstą — Spojrzyj jeno na jego palec serdeczny. Taka rana zagoić się nie może. Wzięliśmy z tego palca krew dla spisania umowy. Jest mój. W krwi mieści się siła wielka. Jest mój. Miłość go jeno może okupić, ale to rzecz daremna.

Anna walczyła ze zmorą, która ją ogarnęła. Wiedziała, że to szaleństwo, że nie można duszy zapisywać szatanowi, ale to rozumowanie pozostało bez skutku na jej myśli. Zatopiona w mroku i milczeniu lasu, nie była w stanie otrząsnąć z siebie zmory.

— Czy panna Anna sądzi może, że on już nic nie wart? Tak nie jest! Nie dręczył chłopów, nie oszukiwał biednych przyjaciół, nie grał fałszywie i nie był kochankiem mężatki.

— Jesteś pan sam djabeł! — zawołała.

— Pomieniajmy się, panno Anno! Weź pani Göstę i wyjdź za niego, a właścicielom Vergi daj trochę pieniędzy. Odstąpię go pani, gdyż jest mój. Wyobraź pani sobie, że nie Bóg wysłał owej nocy wilki i przystań na zamianę.

— Cóż pan chcesz za to?

Sintram skrzywił się.

— Ach... bagatelkę... poprzestanę na drobnostce... Chcę dostać tylko tę starowinę, którą masz pani w sankach.

— Szatanie! Kusicielu! — zawołała — Precz ode mnie! Czyż mam opuszczać starą przyjaciółkę, która

mi zaufała? Mamże ci ją oddać, byś ją przyprawił o szaleństwo?

— Spokojnie! Spokojnie! Panno Anno, proszę się zastanowić. Oto jest do wyboru piękny, wolny, młody mężczyzna i stara, zamężna kobieta. Jedno z dwojga dostać muszę! Kogóż mi tedy pani zostawi, panno Anno?

Anna roześmiała się rozpacznie.

— Czyż pan Sintram handluje na zamian duszami, niby końmi na jarmarku w Broby?

— Tak... akuratnie tak! Ale jeśli panna Anna woli, możemy wziąć pod rozwagę także i honor rodu Stjärnhöków.

Powiedziawszy to, zaczął głośno wołać swej żony, siedzącej w sankach Anny, a starowina, ku wielkiemu jej przerażeniu wyszła z sanek i zbliżyła się doń drżąca, ale posłuszna.

— Ho... ho! Cóż za posłuszna żonka! — powiedział Sintram — Panna Anna nie ma tego chyba za złe, jeśli przychodzi na zawołanie męża. Teraz dobędę Göstę z mych sanek i zostawię go pani... na zawsze... na zawsze... Jeśli pani chce, może go teraz wziąć sobie!

Pochylił się po Göstę, ale Anna zbliżyła się doń tak, że niemal dotknęła go twarzą, wpiła weń spojrzenie i syknęła, jak dzikie zwierzę.

— Jedź w imię boże do domu! Czy wiesz, kto tam czeka na ciebie, siedząc w biegunowym fotelu, przy stole? Czyż ośmielisz się kazać mu czekać długo?

Ku ogromnemu przerażeniu Anny, słowa te uczyniły wielkie wrażenie na Sintramie. Szarpnął lejce,

obrócił sanki i odjechał galopem, okładając konia batem i krzycząc, by go ponaglić do biegu. Przepaścistem zboczem gnał Sintram na złamanie karku, a z pod płoz sani i podków konia leciały skry, mimo cienkiej warstwy marcowego śniegu.

Zostawszy we dwie, nie przemówiły słowa. Ulryka drżała, przerażona dzikiem spojrzeniem Anny, a Anna nie miała co mówić do biednej starowiny, za którą poświęciła ukochanego.

Radaby była płakać, szaleć, taczać się po drodze i sypać na głowę piasek i śnieg. Dotąd doznawała podniosłej świadomości ofiary, teraz atoli czuła jeno gorycz. Cóż znaczyło poświęcić miłość swoją, w porównaniu do wydania ukochanego na zatracenie?

W milczeniu dotarły do Vergi. Gdy jednak otwarły drzwi do salonu, Anna Stjärnhök zemdlała, poraz pierwszy i ostatni w życiu. Przy stole siedział Sintram z Göstą i rozmawiali najspokojniej w świecie. Gęste kłęby dymu napełniały pokój, tak że musieli tu spędzić co najmniej godzinę.

Anna zemdlała, ale Ulryka nie. Zmiarkowała ona zaraz, że ten, który ich ścigał na gościńcu, to nie był prawdziwy Sintram.

Kapitan i jego żona załatwili potem sprawę ze złym Sintramem w ten sposób, że Ulryka została w Verdze.

Oświadczył, że wcale nie zamierza doprowadzić jej do pomieszania zmysłów.

— — — — — — — — — — — —

O, wy dzieci czasów późniejszych! Nie domagam się, by ktoś wierzył tym starym opowieściom, które

mogą być kłamstwem i wymysłem. Ale kiedyż stanie się kłamstwem i głupstwem skrucha, poruszająca serca, co jęczy, jak podłoga pod biegunami fotelu w domu Sintrama, oraz powątpiewanie, co brzęczy jak dzwonki sań w uszach Anny Stjärnhök... kiedyż to przemieni się w nicość?

Radabym, by tak stać się mogło!

DZIEJE EBBY DOHNA.

Strzeż się wkraczać na piękny przylądek, u wschodniego brzegu Löffenu, oblanego łagodnemi falami zatoki, gdzie stoi dumny pałac borski.

Znikąd nie wydaje się jezioro piękniejszem, jak z samego cypla tego przylądka. Nigdzie nie jest wspanialsze o wschodzie, kiedy się z mgieł wynurza, lub o zachodzie, gdy na nie patrzeć z okna małego gabinetu, gdzie tyle wspomnień żyje.

A mimoto powtarzam:

— Nie chodź tam!

Może ogarnie cię ochota przebywania stale w tych przepojonych smutkiem komnatach, może zakupisz tę posiadłość i zamieszkasz tu młody i szczęśliwy z nowozaślubioną żoną.

Nie... nie... lepiej nie oglądać pięknego przylądka, gdyż w Borgu szczęście nie zwykło mieszkać. Wiedz, że choćbyś przybył bogaty i szczęśliwy, to niebawem i twoje łzy polejąsię na przesiąkłą łzami podłogę, a ściany, które odbiły echo tylu już westchnień i okrzyków skargi, rozebrzmią twojemi żalami.

Smutne przeznaczenie ciąży na tym pałacu. Zda się leży tam pochowane nieszczęście, nie mogące znaleźć spokoju w grobie, które wstaje ciągle straszyć żywych. Gdybym była właścicielką Borgu, kazałabym

rozkopać kamienisty grunt lasu jodłowego, piwnice i czarną ziemię pól, by znaleźć objedzony przez robaki szkielet czarownicy i złożyć go w poświęconej ziemi cmentarza svartsjoeńskiego. Nie żałowałabym też na pogrzeb, ni obfitych datków dzwonnikom, proboszczowi i kościelnemu za długie dzwonienie z wielką energją w ukołysaniu jej na sen wieczny.

Gdyby to nie pomogło, podpaliłabym poprostu ściany, by nikt już nie uległ pokusie zamieszkania w przybytku niedoli, a jeno sroki dostałyby pozwolenie uwicia nowych gniazd na zczerniałem pogorzelisku.

Przygnębiłby mnie jeszcze widok pożaru, w syku, dymie i skrach usłyszałabym pewnie skargi bezdomnych teraz wspomnień, zaś w niebieskich płomykach na szczytach, dostrzegłabym zapewne wypędzone duchy domowe. Patrząc na to niweczące nieszczęście, zapłakałabym nawet może, jakbym miała przed oczyma świątynię starych bogów wydaną na pastwę płomieni.

Ale na cóż prorokować, gdy ono jeszcze nie nadeszło i kruk złowieszczy nie może iść w zawody z puszczykami lasu. Stoi jeszcze pałac borski oblany marcowem słońcem, na cyplu przylądka pod ochroną potężnych jodeł parku i rysuje się ostro na bieli pól. Z wnętrza zaś dolata wesoły śmiech młodej hrabiny Elżbiety.

Co niedzieli udaje się ona do svartsjoeńskiego kościoła, a po nabożeństwie zaprasza do pałacu kilka osób, najczęściej zaś naczelnika z Munkerudu, jego żonę, rodzinę kapitana z Vergi, kapelana i złego Sintrama.

Gösta Berling przybywa także pieszo przez lód do Svartsjö i również otrzymuje zaproszenie do Borgu. Czemużby go nie miała zaprosić?

Nie wiedziała wcale, że plotkarki zaczęły już szeptać o tych częstych wizytach Gösty na wschodnim brzegu jeziora. Czynił to w celu zobaczenia hrabiny, a może także, by popić z Sintramem, ale o tem ostatniem już mniej plotkowano. Wszyscy wiedzieli, że ma ciało z żelaza, natomiast serce zgoła inne i nie może patrzeć na jasne włosy kobiece, zwite wokoł jasnego czoła i w błyszczące oczy, nie zakochawszy się zaraz.

Hrabina jest mu życzliwą i nic w tem dziwnego, gdyż okazuje to wszystkim. Zbiera w pałacu obtargane żebrzące dzieci, ile razy zaś napotka starca idącego pieszo, zatrzymuje się i bierze go w sanki.

Gösta przesiaduje chętnie w błękitnym gabineciku, skąd tak uroczy ściele się widok ku północy po jeziorze i czytuje jej poezję. Cóż w tem złego? Nie zapomina przecież, że ona jest hrabiną, on zaś biednym, bezdomnym awanturnikiem, czci ją i poważa, jak przystało z istotą wyższą. Równie dobrze mógłby chcieć zakochać się w królowej Sabie, której wizerunek zdobi ambonę svartjoeńskiego kościoła.

Pragnął mieć jeno sposobność służenia jej jako paź, przypinać łyżwy do nóg, trzymać motek nici i kierować sankami. Mowy między nimi o miłości być nie mogło, ale Gösta rozkoszował się właśnie takiem niewinnem, romantycznem marzeniem.

Hrabia był to człowiek cichy, spokojny, a Gösta żywy i ochoczy i to pociągało hrabinę. Kto na nią spoglądał, nie mógł przypuszczać, by kryła w sercu niedozwoloną miłość. Oddaną była jeno tańcom, weselu i chciała usunąć ze ziemi wszelkie przeszkody góry, skały, rzeki, morza, uczynić ją gładką, jak posadzka balowej sali, by móc hasać po całej powierzchni,

w cienkich, jedwabnych trzewiczkach, od kołyski, aż do grobu.

Ale plotka nie szczędzi młodych kobiet.

Po obiedzie w hrabskim pałacu panowie udawali się do gabinetu hrabiego, gdzie palili, lub spali, zaś starsze damy zapadały w miękkie fotele salonu i składały czcigodne głowy na wysokich oparciach. Zaś hrabina i Anna Stjärnhök toczyły w błękitnym gabinecie nieskończone rozmowy poufne.

Siedziały tu obie również onej niedzieli, kiedy to Anna Stjärnhök przywiozła do Wergi Ulrykę Dillner.

Nie było na całym świecie nieszczęśliwszej dziewczyny. Znikła cała jej wesołość, oraz powabny opór stawiany wszystkim, w każdej okoliczności, gdy ktoś sobie za wiele pozwalał.

Zapadło w półcień nieświadomości wszystko co się jej przydarzyło w powrotnej drodze do domu, pozostawiając jedno jeno wrażenie, które jej zatruwało duszę.

Tak, trucizną była ta myśl.

— A jeśli to nie Bóg uczynił! — szeptała do siebie raz poraz — A jeśli nie on właśnie posłał wilki?

Pragnęła znaku i cudu, spoglądała po niebie i ziemi, ale z żadnej chmury nie sterczał palec, by jej wskazać drogę. Nie kroczył przed nią słup mgły, ni ognia.

Siedząc w błękitnym gabinecie przed hrabiną, zauważyła mały pęczek niebieskich anemonów, który trzymała w ręku.

Błyskawicą przeszyła ją świadomość pochodzenia tych kwiatków. Wiedziała gdzie rosły i kto je zerwał.

Pytać było zbytecznem. Nigdzie, prócz lasku brzozowego na zboczach wzgórka ekebijskiego nad jeziorem, niema już od początku kwietnia anemonów.

Zapatrzyła się w te błękitne gwiazdki, lubiane przez wszystkich, zwiastunki szczęścia, piękna i dobra, a jednocześnie uczuła w sercu gniew głuchy, jak grzmot i obezwładniający jak grom.

— Jakiemże prawem — pomyślała — ma hrabina Dohna w ręku błękitne anemony zerwane na wzgórzu Ekeby?

Wszyscy, Sintram, hrabina, słowem każdy z ludzi kusili Göstę, by się dopuścił rzeczy złej, postanowiła go tedy bronić przed wszystkimi, choćby przyszło wytoczyć krew własnego serca.

Uczuła, że nim opuści błękitny gabinet, musi wyrwać z ręki hrabiny ten pęk anemonów, rzucić go o ziemię, zdeptać i rozgnieść na nic.

Zaczęła walkę z niebieskiemi gwiazdkami. W salonie siedziały czcigodne damy, sparte o wezgłowia foteli, panowie w gabinecie hrabiego pykali spokojnie z fajek, wszystko było ciche i rozleniwione, a w błękitnym gabinecie zawrzała rozpaczliwa walka.

Ach, jakże dobrze czynią ci, którzy nie mając się broni milczą, czekają, koją swe serca i pozwalają działać Bogu. Serce błądzi zawsze, zawsze nowe zło pogarsza jeszcze zło dawne.

Annie Stjärnhök wydało się teraz, że dostrzega palec pośród chmur.

— Anno! — powiedziała hrabina — opowiedz mi jakąś historyjkę.

— O czem mam mówić?

— Ach! — odparła hrabina, gładząc dłonią kwiatki — Czyż nie znasz jakiejś historyjki miłosnej?

— Nie znam nic, gdzieby szło o miłość.

— Nie mów tak. Przecież istnieje Ekeby i pełno w niem kawalerów.

— Tak! — rzekła Anna — Istnieje miejscowość, zwana Ekeby i pełno tam ludzi, którzy wysysają siły żywotne kraju, czynią wszystkich niezdolnymi do uczciwej pracy, uwodzą młodzież i najlepszych z pośród mężczyzn sprowadzają na manowce. Czy chcesz, bym o nich mówiła? Bym ci o nich opowiedziała historyjkę miłosną?

— Tak, chcę! Lubię kawalerów!

Anna Stjärnhök zaczęła mówić krótkiemi zdaniami, jakby czytała stary psalm, a piersi jej rozsadzały gwałtowne uczucia. Głos drżał namiętnością, a zatrwożona hrabina słuchała z zaciekawieniem.

— Czemże jest miłość, czem wierność rezydenta z Ekeby? Ma jednę kochankę dziś, drugą jutro, jednę na zachodzie, inną na wschodzie. Nic mu za wysokie, ni zbyt niskie. Dziś hrabina, jutro żebraczka uliczna! Serce jego szerokie, jak nic w świecie. Biada jednak nieszczęsnej, która pokocha kawalera z Ekeby! Musi go podnosić z rowu, gdzie leży pijany, musi w milczeniu znieść, gdy przegra w karty dom jej dzieci, musi się godzić na jego zaloty do innych kobiet. Ach, Elżbieto, uczciwa kobieta powinna odmówić kawalerowi tańca, cisnąć na ziemię i zdeptać kwiaty od niego otrzymane, a jeśli pokocha, umrzeć raczej, niźli iść z nim do ślubu. Pomiędzy kawalerami był pewien proboszcz, za pijaństwo wyrzucony z plebanji. Przychodził pijany do kościoła i wypijał wino mszalne. Czyś o nim słyszała?

— Nie.

— Po wyrzuceniu z probostwa włóczył się, jako żebrak po drogach i pił na umór, a nawet kradł, by mieć na wódkę.

— Jak się nazywa?

— Niema go już w Ekeby. Majorowa wzięła go w opiekę, dała mu odzież i namówiła twą teściową, by go wzięła za nauczyciela dla męża twego, młodego hrabiego Henryka.

— Wypędzonego proboszcza?

— O, był to człowiek młody, silny i wykształcony. Nie można mu było nic zarzucić, o ile nie pił. Hrabina Märta była pobłażliwa, a przytem bawiło ją, że robi na złość dziekanowi i kapelanom. Ale nakazała, by dzieciom nie mówiono o tem, czem był dawniej, gdyż syn straciłby dlań szacunek, a córka nie zniosłaby go, gdyż była to osoba wprost święta.

Przybył więc do Borgu. Stał zawsze przy samych drzwiach, siadał na krawędzi krzesła, milczał przy stole, a gdy przybywali goście, uciekał do parku.

Tam atoli spotykał często hrabiankę Ebbę Dohna, lubiącą samotność. Unikała ona hucznych przyjęć, jakie odbywały się w pałacu od śmierci starego hrabiego i nie spoglądała wyzywająco na ludzi. Była łagodna, płochliwa i wyglądała na dziecko, mimo lat ośmnastu, ale ciemne oczy i różowe policzki czyniły ją piękną. Szczupła i nieco pochylona, miała małe, wąskie dłonie, które odpowiadały zlekka jeno na uścisk, a usta milczały, jak żadne może inne. Głos cichy, miękki, nadawał zwolna wymawianym słowom brzmienie niezmiernie piękne, świeże, ciepłe i podobne do końcowego akordu pieśni.

Różniła się od innych. Stopa jej dotykała ziemi zlekka, jakby była wygnanką na ziemi, a oczy miała spuszczone, by nic nie przeszkadzało jej w patrzeniu na obrazy wnętrzne. W młodości już duszą odwróciła się od ziemi.

Gdy była dzieckiem opowiadała jej babka baśnie. Siedziała raz u kominka, ale bajek nie stało. Przeżyły się, jakby spłonęły w ogniu życia i wspaniałości, bohaterowie polegli, a królewny zamieniły się w węgiel... aż do następnego zmartwychwstania. Ale rączka małej gładziła kolano babki, okryte jedwabiem, tą dziwną materją, która pod dotknięciem kwili jak ptak. Ruch ten oznaczał prośbę, gdyż nie prosiła nigdy słowami, jak inne dzieci.

Wobec tego zaczęła staruszka opowiadać o małym chłopczyku w ziemi żydowskiej, który urodził się, by zostać wielkim królem. Śpiew aniołów towarzyszył jego przyjściu na świat, wiedzeni gwiazdą niebieską przybyli doń uczeni ze wschodu, niosąc złoto i kadzidło, a wszyscy starzy ludzie prorokowali mu wielkość. Dziecko to stało się piękniejszem i mądrzejszem od innych, gdy zaś chłopczyk doszedł lat dwunastu, prześcignął mądrością arcykapłana i biegłych w Piśmie.

Potem opowiedziała staruszka o najpiękniejszej rzeczy, jaką widziała ziemia, to jest o życiu tego dziecka pośród ludzi złych, którzy go uznać za króla nie chcieli.

Opowiadała, jak dorósłszy, czynił cuda, kochany przez wszystko na ziemi, prócz ludzi. Ryby dały się łapać w jego sieci, chleb napełniał mu kosze, woda zaś na jego życzenie przemieniała się w wino.

Ale ludzie nie posadzili go, jako króla na tron, i nie dali złotej korony na głowę. Nie otoczyli go licznym dworem, ale kazali mu żyć pośród siebie, jakby był żebrakiem.

Mimoto wielki król dobry był dla nich, leczył chorych, przywracał wzrok ślepcom i budził zmarłych.

Nietylko go nie chcieli mieć królem, ale nasłali nań zbirów, schwytali, dali szyderczo koronę z cierni i trzcinę, ubrali w czerwoną szatę i włożywszy krzyż na ramiona, kazali mu wlec go na miejsce stracenia. Wielki król lubił góry, nocą wstępował na nie i rozmawiał z mieszkańcami nieba, zaś za dnia siadywał na ich zboczach i nauczał ludzi. Oni zaś zawiedli go właśnie na górę, by mu zadać śmierć. Przebili mu gwoździmi ręce i nogi i powiesili na krzyżu dobrego króla, jak gdyby był złoczyńcą i zbójem.

Lud drwił zeń, a jeno matka płakała i przyjaciele żałowali, że musi umierać, zanim został królem.

Żałowała go też martwa przyroda. Słońce utraciło blask, góry drżały, pękła na pół zasłona w świątyni i rozwarły się groby, by mogli wyjść zmarli dla okazania swego bólu...

Słuchając tego, łkała mała dziewczynka z głową ukrytą na łonie babki, jakby jej pęknąć miało serce.

— Nie płacz drogie dziecko, — powiedziała jej babka, — dobry król wstał z grobu i udał się do ojca swego w niebie.

— Czy nigdy nie został królem? — pytała płacząc.

— Siedzi po prawicy Boga w niebie! — opowiadała babka.

Ale to jej nie uspokoiło. Płakała rozpacznie i długo, jak tylko dziecko płakać potrafi.

— Czemużto byli dlań ludzie tak źli? — pytała. — Czemu im wolno było to zrobić?

Staruszkę przeraził niemal nadmierny ból dziecka.

— Babciu — prosiła mała Ebba — przyznaj, żeś niedokładnie opowiedziała, musiał być inny koniec! Powiedz, że oni nie byli tak źli dla dobrego króla! Powiedz, że został on tu, na ziemi królem!

Otoczyła rękami szyję babki i płakała dalej.

— Moje dziecko — odparła, by ją pocieszyć. — Ludzie wiedzą, że on wróci, że ziemię całą posiądzie i założy piękne królestwo, trwające tysiąc lat. Wówczas dzikie zwierzęta staną się dobre. małe dzieci igrać będą mogły ze żmijami, a niedźwiedź i owca paść się zaczną zgodnie obok siebie. Ludzie też przestaną sobie dokuczać, włócznie zamienią w kosy, a miecze w lemiesze. Wszędzie zapanuje radość i wesele, gdyż dobrzy obejmą dziedzictwo ziemi.

Na te słowa rozpogodziła się twarzyczka małej.

— Czy dobry król dostanie tron? — spytała.

— Tak, złoty tron, droga moja!

— I służbę i dworzan i złotą koronę?

— Tak, dziecinko!

— A czy prędko wróci?

— Nikt tego nie wie.

— Czy wolno mi będzie siedzieć u stóp jego na stołeczku?

— Wolno ci będzie.

— O jakże jestem szczęśliwa! — zawołała.

Co wieczora, przez całą zimę siadywały u ognia i rozmawiały o dobrym królu i jego państwie. Mała Ebba marzyła po całych dniach i nocach o tysiącletniem królestwie i stroiła je we wszystkie piękności, jakie jeno wymyśleć była w stanie.

Tak zawsze bywa z milczącemi dziećmi. Noszą one w sobie marzenia, których wypowiedzieć nie śmią. Przedziwne myśli snują się pod miękkim włosem, a ciemne oczy dostrzegają mnóstwo rzeczy pod spuszczonemi powiekami. Niejedna urocza dziewczyna ma narzeczonego w niebie i pragnie siedzieć u stóp jego, namaszczając mu nogi i ocierając je włosami.

Ebba nie śmiała wyjawiać myśli swoich, ale od pamiętnego dnia żyła jeno myślą o powrocie Pana i jego tysiącletniem królestwie.

Kiedy wieczorem zaczynało płonąć na zachodzie niebo, jakby rozwierało bramy zaświatów, marzyła, że może teraz właśnie wyjdzie, otoczony rzeszą aniołów i pozwoli jej dotknąć rąbka szaty. Rozmyślała też o pobożnych niewiastach, które kochając go jak ona, zarzucają na głowę welon zakonny, nie podnoszą oczu od ziemi i zamknięte w szarych celach trwają — zapatrzone w jaśniejące zwidy dusz własnych.

Taką wyrosła i taką była w porze, kiedy spotkała nowego nauczyciela na ścieżce samotnego parku.

Nie chcę go przedstawiać gorszym, niż muszę. Przypuszczam tedy, że pokochał tę dziewczynę, która go niebawem obrała za towarzysza przechadzek. Przypuszczam nawet, że mu odrosły dawne skrzydła, kiedy przestawał z istotą milczącą, która się nikomu dotąd nie zwierzyła, że stał się z powrotem jak dziecko dobry i pobożny.

Chociaż jednak kochał ją, nie wolno mu było dać jej swej miłości, jako rzeczy małej wagi, ni snuć żadnych zamiarów. Cóż miał ten wyrzutek, ten wypędzony proboszcz do czynienia z hrabskiem dzieckiem, które mu zaufało, wtajemniczając w marzenia swoje? Wszakże był pijakiem, który wróci do nałogu przy lada sposobności. Czegoż chciał od tej narzeczonej Chrystusa? Winien był raczej uciec daleko, zostać żebrakiem, czy złodziejem i włóczęgą, jak przechadzać się po alejach parku i wracać do zbożnego życia, bo wszakże tego co było, nic przekreślić nie jest w stanie, a obecność jego wywołać musiała miłość Ebby Dohna.

Nie sądź zresztą, że miał wygląd biednego pijaczyny, o bladych policzkach i czerwonych oczach. Postać jego była wspaniała, piękna, silna, królewska, a zdrowie miał żelazne, zdolne stawić czoło wszelkim nadużyciom.

— Czy żyje jeszcze? — spytała hrabina.

— O... nie... pewnie już zmarł! To zaszło tak bardzo dawno!

Anna Stjärnhök uczuła strach przed tem co czyni, postanowiła zataić, kto jest tym człowiekiem i wmówić w hrabinę, że dawno zmarł.

— Wówczas był bardzo jeszcze młody! — dodała — Obudziła się w nim na nowo chęć do życia, a posiadał płomienną wymowę i wrażliwe serce.

Pewnego dnia zaczął mówić Ebbie o miłości swojej, ona zaś nie odpowiedziała, wyznała jeno, o czem rozmawiały z babką zimowemi wieczorami i dała opis kraju swych marzeń. Potem zaś zażądała, by złożył ślubowanie, że zostanie głosicielem bożego słowa i jednym z tych, którzy przysposabiają powrót królestwa bożego na ziemi.

Cóż miał czynić? Jako wygnany proboszcz wiedział, iż zamkniętą ma tę właśnie drogę, jakiej żądała. Nie, nie śmiał wyznać prawdy i zasmucać tej, którą kochał. Przyobiecał tedy wszystko.

Nie potrzebowali innego porozumienia, on zaś pewien był, że zostanie kiedyś jego żoną. Pocałunków, ni pieszczot nie znała ich miłość, ledwo śmiał się do niej zbliżyć, gdyż była wrażliwa, jak kwiat. Czasem podnosła jeno nań oczy, lub tuliła się doń, gdy siedzieli na werandzie w księżycową noc, on zaś całował niepostrzeżenie jej włosy.

Grzechem jego było, jak widzisz, że zapomniał przeszłości i przyszłości. Mógł wymazać z pamięci to, że jest biedny i niewysokiego rodu, ale winien był uświadomić sobie, iż nadejdzie dzień, kiedy go Ebba pokocha, kiedy zacznie się walka nieba ze ziemią i narzeczona chrystusowa będzie musiała wybrać pomiędzy władcą tysiącletniego królestwa, niebiańskim, a ziemskim oblubieńcem. A sił nie miała na walkę taką.

Minęło lato, jesień i zima. Za nastaniem odwilży wiosennych zachorowała Ebba. Wezbrane strumienie huczały, jak wodospady, wzgórza zlodowaciały, a drogi stały się nie do przebycia pojazdem, ni sankami.

Hrabina Dohna chciała posłać do Karlsztadu po lekarza, ale nikt ze służby prośbą, ni groźbą nie dawał się nakłonić do ruszenia w drogę. Padła na kolana przed stangretem, ale odmówił. Popędliwa w bólu, czy radości hrabina Märta dostała spazmów i histerycznego ataku ze strachu o córkę.

Ebba zapadła na zapalenie płuc i groziła jej śmierć, a lekarza przywieść nie było można.

Nauczyciel pojechał do Karlsztadu, mimo że podróż wymagała narażenia życia. Przedostał się przez spiętrzone zwały kry, karkołomne, zlodowaciałe pagórki, nieraz rąbiąc stopnie dla konia w ścianach lodu, to znów wyciągając pojazd z przepaścistej gliny. Podobno lekarz nie chciał jechać, a uczynił to dopiero, gdy mu przyłożył pistolet do piersi.

Gdy wrócił, hrabina omal że mu do nóg nie padła, wołając:

— Mów pan czego chcesz, pieniędzy, córki... bierz co ci się podoba!

— Proszę o córkę, pani hrabino! — odparł nauczyciel.

Anna Stjärnhök umilkła nagle.

— I cóż? — spytała hrabina Elżbieta.

— Niema co dalej opowiadać! — rzekła Anna w wielkiej niepewności. Zaliczała się do owych, wiecznie niezdecydowanych osób, którym wszystko wydaje się raz dobre, a raz złe. Teraz żałowała już, że zaczęła tę opowieść.

— Chyba kpisz ze mnie Anno? — powiedziała hrabina — Wszakże wiesz dobrze, że ja muszę usłyszeć koniec.

— Nie jest ciekawy! — zauważyła Anna — Nadeszła dla Ebby godzina walki nieba ze ziemią, a obie miłości zwarły się w zapasach.

Hrabina Märta opowiedziała córce o niebezpiecznej podróży nauczyciela i oświadczyła, że w nagrodę przyrzekła mu jej rękę.

Ebba była wówczas już o tyle zdrowa, że leżała ubrana na sofie, blada tylko, bezsilna i bardziej jeszcze, niż zazwyczaj milcząca.

Usłyszawszy słowa matki podniosła na nią oczy z żalem i wyrzutem, mówiąc:

— Oddałaś mnie, mamo, wypędzonemu proboszczowi, człowiekowi, który utracił prawo być sługą bożym, a stał się złodziejem i żebrakiem.

— Dziecko moje! Któż ci to powiedział? Sądziłam, że nie wiesz nic!

— Dowiedziałam się przypadkiem. Goście rozmawiali o tem, tego samego dnia, kiedym zachorowała.

— Ależ dziecko! Zważ, że on ci ocalił życie!

— Pamiętam o tem jeno, że mnie oszukał. Powinien był powiedzieć kim jest.

— Twierdzi, że go kochasz.

— Kochałam go. Ale kochać nie mogę człowieka, który mnie oszukał.

— Jakżeto oszukał cię?

— Nie zrozumiesz tego mamo!

Ebba nie chciała mówić z matką o tysiącletniem królestwie bożem, w którego urzeczywistnieniu miał jej pomagać ukochany.

— Ebbo, — powiedziała hrabina Märta — jeśli go kochasz, nie powinnaś zważać czem ongiś był, ale wyjść za niego. Człowiek biorący za żonę hrabiankę Dohna, będzie tak potężny i bogaty, że świat przebaczy mu błędy młodości. Pamiętaj przytem, żem mu dała słowo.

Dziewczyna zbladła śmiertelnie.

— Matko! — powiedziała — wydając mnie za niego oddalasz mnie od Boga!

— Postanowiłam cię uszczęśliwić, — oświadczyła hrabina Märta — a wiem, że z nim szczęśliwą będziesz. Wszakże udało ci się już przerobić go na świętego. Zapomnę o różnicach stanu, a także o tem, że jest biedny i potępiony przez ludzi, by ci dać możność uratowania go. Wiesz, że nie zważam na stare przesądy.

Wszystko to powiedziała dlatego, że nie cierpiała, by się ktoś sprzeciwiał jej woli. Może też miała taki pogląd. Trudno było wyrozumieć na dobre hrabinę Märtę.

Diewczyna leżała długo jeszcze na sofie po odejściu matki, walcząc ze sobą. Ale w boju nieba ze ziemią, zwyciężył ukochany wieku dziecięcego. Z kanapy swej ujrzała płomienny zachód słońca. Wzięła to za pozdrowienie dobrego króla, ponieważ zaś nie czuła sił, by mu zostać wierną w życiu, postanowiła

umrzeć. Nie mogła uczynić inaczej, gdyż matka żądała, by była żoną człowieka, który nie mógł zostać sługą dobrego króla.

Podeszła od okna, otwarła je i stanęła w zimnem, wilgotnem powietrzu, które przejęło zamrozem lodowatym jej biedne, schorowane ciało.

Nie trudno było Ebbie o śmierć. Musiała nastąpić w razie nawrotu choroby i tak się też stało.

Nikt prócz mnie nie wiedział, że pragnęła śmierci, Elżbieto! Zastałam ją u okna, słyszałam jej majaczenia gorączkowe i byłam przy niej, jak chciała, do ostatniej chwili.

Widziałam jak umierając wyciągnęła ramiona do zachodzącego słońca, z uśmiechem takim, jakby witała kogoś idącego na spotkanie z tej powodzi światła. Poleciła mi, bym zaniosła ostatnie pozdrowienie temu, którego kochała i prosiła o przebaczenie, że żoną jego zostać nie mogła, gdyż nie zezwolił na to dobry król.

Ale nie miałam odwagi powiedzieć temu człowiekowi, że jest mordercą, nie miałam siły obarczyć go takiem brzemieniem. A jednak mordercą był w istocie, wszak prawda Elżbieto, gdyż podstępem zdobył jej miłość!

Hrabina dawno już przestała bawić się kwiatkami. W tej chwili wstała, a anemony spadły na ziemię.

— Anno! — rzekła — Przez cały ciąg opowiadania zwodziłaś mnie. Twierdzisz, że to stara historja i że człowiek ten nie żyje. Tymczasem wiem przecież, że Ebba zmarła ledwo pięć lat temu, a także sama, jak powiadasz, byłaś świadkiem wszystkiego. Nie jesteś przecież stara! Powiedz mi nazwisko tego człowieka!

Anna Stjärnhök wybuchła śmiechem.

— Chciałaś historyjki miłosnej, przeto opowiedziałam ci coś, w czem nie brakło ni powodu do łez, ni niepokoju.

— Więc to nieprawda?

— Czysty wymysł, od początku do końca!

— Jesteś nieznośna Anno!

— Może być. Ale wiedz także, że wcale nie jestem szczęśliwa. No, dość tego, damy się już obudziły, a panowie wrócili do salonu. Chodźmyż do nich!

W progu spotkały Göstę Berlinga, który przyszedł dowiedzieć się, co robią.

— Musicie panie pozwolić mi ponudzić się trochę! — powiedział ze śmiechem — Nie potrwa to dłużej, niż dziesięć minut, ale radbym przeczytać paniom wiersz!

Opowiedział, że minionej nocy miał sen tak żywy, jak nigdy dotąd. Marzyło mu się, iż pisze wiersze. Zwano go dotąd poetą, ale przezwisko to nosił niewinnie, bowiem nie miał na sumieniu ni jednego wiersza. Zeszłej atoli nocy wstał i napoły jeno przytomny siadł pisać. Rano znalazł na biurku spory poemat, czego zgoła się nie spodziewał po sobie. Rzekłszy to, zaczął czytać:

Zeszedł księżyc, nadeszła godzina
Budząca w duszy marzenia.
Oblany światłem, srebrem powleczony
Błyszczy dach werandy winem okryty.
Wiatr kołysze lilji kielichem,
Na stopniach werandy siedzą pospołu
Młodzi i starzy, a dawne pieśni,
Żyjące w sercach, brzmią z cicha,
Jakby przedwieczy niosły pozdrowienie.

Z grzędy rezedy woń dolata,
Cienie pierzchają z chwiejnych krzewów gałęzi,
Idąc po trawie, co lśni rosą wieczoru.
Duch wzlatać się stara w niebiosy,
Z nocy ciała do światła krainy,
Ponad chmury, nad zoztocz powietrza,
Kędyś w światy, w śródgwiezdne przestrzenie.
Któż zdoła uczucia stłumić w noc taką,
Gdy go cienie ogarną i wonie?
Jak liść zwiędły zejdziemy ze świata,
Jako płatek po róży okwicie,
Nie złamani przez burzę, ni gromy.
Jako akord przebrzmiany jedynie,
Cisi, niemi, jak zwiani jesienią.
Bądźmyż radzi tym bożym rozkazom,
Co nam ścieżki wskazały wśród świata.
Wszakże skon, to życia nagroda,
Zejdźmyż cicho, jak liść, co opada.
Nietoperz przeleciał bez szmeru,
I znów wraca w promieniach księżyca.
Tłucze on się jak żywa zagadka,
Serca mędrców i głupców trawiąca,
W ból brzemienna, a wieczna jak miłość.
Dokąd dążym przez życia manowce,
Kędyż cel nam wytknięty przyświeca?
Nikt, zaprawdę, nie pozna dróg ducha!
Prędzej ptaka wyśledzićby loty...
Tak dumałem, a ona w tej chwili,
Na mej piersi złożyła swą głowę
I szepnęła: Choć dusza odlata
Gdzieś w przedwieczne obszary przestrzeni,
Ja od ciebie nie pójdę, kochany,
Nie ulecę od ciebie na wieki,

Bo to straszne, ach straszne cierpienie,
Ta rozłąka, okrutna na zawsze!
Dziś ostatni ci mówię raz jeszcze,
Że cię kocham nad wszystko na świecie!
Przeszły lata, od tego wieczoru,
Znowu widzę, ach miejsce tosamo,
Gdzieśmy wówczas siedzieli, szeptając,
Gdziem całował jej usta i oczy.
Znowu błyszczy poświatą weranda,
Znowu księżyc przyświeca srebrzysty
I wspominam tę naszą rozłąkę
I ostatnie wyrazy dziewczęcia.
Ach, okrutna jest siła wspomnienia!
Jakąż zdołam odpłacić pokutą,
Żem w niewinnej dziecięcej tej piersi
Wzniecił miłość głęboką do siebie?

— Gösto! — powiedziała Anna żartobliwie, chociaż strach ściskał ją za gardło — Powiadają, że przeżyłeś sam jeden więcej poematów, niżli ich napisali wszyscy poeci nasi. Czyń tak dalej, radzę ci! Ten wiersz, to jeno wypracowanie, dokonane w nocy.

— Ostry z ciebie sędzia.

— Czyż ci nie wstyd czytać nam o śmierci i cierpieniu?

Gösta nie słuchał jej i patrzył nieustannie na hrabinę. Siedziała sztywna i nieruchoma jak posąg, jakby za moment zemdleć miała.

Wreszcie wyrzuciła z trudem wielkim:

— Idź!

— Kto ma iść? — spytał — Czy ja?

— Proboszcz ma sobie iść!

— Elżbieto! Milczże! — zawołała Anna.

— Zapity proboszcz winien opuścić mój dom!

— Anno! Anno! — powiedział Gösta. — Cóż to wszystko zzaczy?

— Anno! — poleciła hrabina. — Wyjaśnij mu!

— Nie, hrabino! — rzekł stanowczo — Chcę to usłyszeć od pani!

Zacięła zęby, chąc się opanować.

— Panie Berling! — rzekła podchodząc doń — Masz pan przedziwny talent. Sprawiasz pan, że ludzie zapominają, kim pan jesteś. Nie wiedziałam tego sama do teraz. Anna Stjärnhök opowiedziała mi w tej właśnie chwili o dziejach Ebby Dohna, która ściągnęła na siebie śmierć przekonawszy się, że człowiek ukochany nie jest jej godnym. Z poematu pańskiego powzięłam przekonanie, że pan właśnie jesteś tym człowiekiem. Nie pojmuję doprawdy, jak pan śmiesz pokazywać się na oczy porządnej kobiecie! Nie rozumiem tego! Czy wyraziłam myśl swą już jasno, panie Berling?

— Pani hrabina jasno wyraziła swą myśl, — odparł — toteż słowo jeno dodam na swe usprawiedliwienie. Byłem przekonany, że pani zna moje życie i nie taiłem nigdy niczego. Ale nie jest wcale miłą rzeczą słuchać, jak wszyscy wykrzykują na głos o nieszczęściu całego życia naszego, a już trudno to chyba samemu głosić.

Wyszedł, a w tej chwili rozdeptała hrabina Dohna drobną stopą bukiecik anemonów.

— Uczyniłaś, com chciała! — powiedziała Anna — Ale przyjaźń nasza skończona! Nie przebaczę ci nigdy okrucieństwa twego. Odepchnęłaś go, wyszydziłaś i zraniłaś jego duszę, ja zaś chętnie poszłabym za nim w razie potrzeby do więzienia, lub na dolę żebraczą.

Będę go strzegła i chroniła. Uczyniłaś com chciała, ale ci tego nie przebaczę nigdy!

— Anno! Anno! — zawołała hrabina.

— Nie sądź, że z radością opowiadałam ci to wszystko. Wyrywałam sobie kawałami serce z piersi.

— Czemużeś to uczyniła?

— Czemu? Oto nie chciałam... nie chciałam, by on został kochankiem zamężnej kobiety!

MAMZEL MARJA.

Cicho... sza!

Coś mi brzęczy ponad głową. Pewnie przyleciała pszczoła.

Ach nie! Cicho... sza! Cóż za zapach! Przysięgam, że pachną lewkonje, lawenda, bez i narcyzy. Wielką rozkoszą przepaja zapach taki w jesienny, szary wieczór, wśród miasta. Ile razy wspomnę o pewnym, niezrównanym zakątku ziemi, czuję zaraz woń, słyszę brzęk i ni stąd, ni zowąd znajduję się w małym, kwadratowym ogródku pełnym kwiatów, ujętym w ligustrowe żywopłoty. Po rogach widnieją altanki bzu o wąskich ławkach, a ścieżka usypana białym piaskiem biegnie wokoło grządek, w kształcie serc i gwiazd. Z trzech stron las otacza ten ogród. Tu obok stoją, napoły kulturowane drzewa liściaste o pięknych kwiatach, których woń miesza się z zapachem bzu, potem widać brzozy, a za niemi las szpilkowy, prawdziwy las milczący, ciemny, wysokopienny i porosły mchem.

Po stronie czwartej, stoi mały, szary domek.

Ogródek ów był przed sześdziesięciu laty własnością starej pani Moräus, utrzymującej się z haftu. Obok tego chodziła gotować po włościańskich zagrodach w razie uroczystości.

Drodzy przyjaciele! Życzę wam dużo dobrego, ale nadewszystko krosien i takiego małego ogródka kwietnego. Krosna muszą być staromodne, wielkie, by na nich haftować mogło odrazu pięć, czy sześć osób. W takim razie współzawodniczy się ze sobą w pośpiechu i najładniejszych ściegach, zajada pieczone jabłka, gra w gry towarzyskie, a śmiech rozbrzmiewa tak donośnie, że przerażone wiewiórki spadają z drzew. Życzę wam takich krosien na zimę, a ogródka na lato! Nie pragnę dla was ogrodu wielkiego, który więcej pochłania pieniędzy niż daje radości, jeno małego, dla własnoręcznej uprawy. Pośród grzęd muszą tam stać krzaki róż, u nóg waszych snuć się muszą niezabudki, a wielkokwiatowy mak siać się sam będzie wszędzie, po brzegach grządek i na środku ścieżek, wreszcie musi tam być ławka darniowa, brunatna od słońca, na której siedzeniu i sparciu wyrasta koniczyna i mniszek żółty.

Stara pani Moräus posiadała różności. Miała trzy wesołe, pracowite córki i mały domek przy drodze. Miała też mały zapasik grosza na dnie starej skrzyni, grube, jedwabne szale, fotele z wysokiem wezgłowiem, oraz doświadczenie w wielu rzeczach, potrzebnych temu, kto zarabiać musi na chleb powszedni. Najlepsze jednak z wszystkich rzeczy były wielkie krosna, które całemi latami dawały jej zarobek, oraz ogródek, który ją radował w porze letniej. Dodać jeszcze trzeba, że pani Moräus miała lokatorkę, mieszkającą na poddaszu, małą, cherlawą, czterdziestoletnią osobę, zwaną mamzel Marją. Wyrobiła sobie ona pogląd na wszystko, jak to bywa u osób samotnych, które nieustannie dumają nad tem, co ich oczy oglądały kiedyś.

Mamzel Marja wierzyła, że miłość jest przyczyną wszelakiego zła na tej smutnej ziemi.

— Popadłabym w ostatnią biedę! — mawiała — Jestem stara i brzydka! O, niechże mnie Bóg chroni od zakochania się.

Po całych dniach siedziała na poddaszu pani Moräus, robiąc siatkowe firanki i kapy, które sprzedawała chłopom i po dworkach okolicznych. Gromadziła grosz, by ziścić swe marzenia, mianowicie kupić mały domek na wzgórzu, naprzeciw kościoła svartsjoeńskiego, skąd był widok rozległy wokoło. O miłości słyszeć nie chciała.

Ile razy rozbrzmiewały skrzypki grajka, który siedząc na płocie u rozstoja przygrywał polkę młodzieży, kręcącej się w fali kurzu, mamzel Marja nakładała drogi przez las, by tylko nie widzieć i nie słyszeć niczego.

W drugie święto Bożego Narodzenia przychodziły oblubienice chłopki, czasem po pięć i sześć naraz, do pani Moräus, która je ubierała do ślubu przy pomocy córek. Miały na głowach wianki mirtowe, wysokie, przybrane perłami korony, paski z jedwabiu, strojne w róże własnej roboty i spodnice z wieńcem kwiatów sztucznych u dołu. Wówczas mamzel Marja zamykała się u siebie, by nie widzieć, jak je ubierano ku czci miłości.

Panny Moräus siadywały zimowemi wieczorami u krosien w przytulnym saloniku, pieczone jabłka skwierczały, przychodzili w odwiedziny Gösta Berling i dobry Ferdynand, drażniąc się z dziewczętami, wyciągając nitki z igieł i przeszkadzając, tak że stawiały krzywe ściegi. Cały pokój rozbrzmiewał śmiechem, paplaniną, przekomarzaniem, a dłonie spotykały się

pod krosnami. Wówczas mamzel Marja składała swą siatkę i szła na górę, gdyż nienawidziła miłości i wszystkich jej przejawów.

Znała natomiast zbrodnie miłości i umiała o nich opowiadać. Pojąć nie mogła, że Amor śmie jeszcze pokazywać się na ziemi, mimo skarg opuszczonych, klątw tych, których uczynił występnymi, oraz krzyków rozpaczy zakutych przezeń w kajdany. Dziwiła się, iż ulata dotąd tak lekko na skrzydłach, niestrącony w przepaść troską i wstydem.

Była i ona, jak wszyscy kiedyś młodą, ale miłości nie mogła znosić nigdy. Nie dała się ponieść tańcowi, czy ulec pieszczocie. Gitara matki wisiała bez strun i zakurzona na strychu, a nigdy nie nuciła pieśni do jej akordów.

W oknie poddasza stały matczyne doniczki róż, ale podlewała je skąpo, niecierpiała bowiem kwiatów, dzieci miłości. Listki zwisały pokryte kurzem, pająki snuły w nich sieci, a pąki nie rozwierały się nigdy. Mamzel Marja nader też rzadko schodziła do ogrodu pani Moräus, gdzie latały motyle, śpiewały ptaki, kwiaty wabiły wonią i gdzie wszystko mówiło o przeklętej miłości.

Zdarzyło się, że gmina svartsjoeńska sprawiła do kościoła nowe organy. Fakt ten zaszedł latem, przed rozgospodarowaniem się kawalerów. Przybył młody organmistrz i zamieszkał u pani Moräus, w drugim pokoiku, na poddaszu, obok mamzel Marji.

Zbudował organy, a miały one przedziwny ton. Potężne trąby rozbrzmiewały znagła, niewiadomo jakim sposobem, przerywając nieraz łagodny śpiew, a dzieci zaczynały płakać ze strachu.

Młody organmistrz nie był może nader biegły w swej sztuce, posiadał natomiast wesołe usposobienie, błyszczące oczy i uprzejmie przemawiał do wszystkich starych czy młodych, biednych czy bogatych. Niebawem stał się przyjacielem wszystkich w domu... nawet więcej niż przyjacielem.

Wróciwszy wieczór z roboty, trzymał pani Moräus motek przędzy, pracował wraz z dziewczętami w ogrodzie, deklamował „Aksela", śpiewał „Fritjofa", podnosił mamzel Marji kłębek ile razy upadł na ziemię, a nawet doprowadził do porządku stary jej zegar stołowy, tak że chodził na nowo.

Na każdej zabawie tańczył z wszystkiemi, od najstarszej kobiety do małej dziewczynki, a ile razy przydarzyło mu się coś niemiłego, siadał przy pierwszej lepszej kobiecie i zwierzał się jej. Był to mężczyzna, o jakim marzą we śnie serca kobiece. Nie mówił z żadną o miłości, ale po kilkotygodniowym pobycie na poddaszu pani Moräus, zakochały się w nim wszystkie trzy dziewczęta, a nawet mamzel Marja musiała przyznać, że daremne stały się wszystkie jej modlitwy.

Nastał czas cierpienia i radości. Łzy spadały na krosna, zamazując linje kredą ciągnione, wieczorami siadywały często blade marzycielki po altankach bzowych, a nawet gitara mamzel Marji dostała nowe struny i stara panna nuciła dawne pieśni, wyuczone od matki.

Młody atoli organmistrz chodził swobodnie, w beztrosce zupełnej po świecie, śmiał się i czynił przysługi wszystkim stęsknionym kobietom, które kłóciły się o niego podczas gdy był przy robocie w kościele. Nadszedł wreszcie dzień jego odjazdu.

Pojazd stanął pod bramą, włożono pakunki i młodzian zaczął się żegnać. Pocałował w rękę panią Moräus, objął po kolei trzy dziewczęta i wycałował im policzki. Sam też płakał, gdyż żal mu było opuszczać dom, gdzie przeżył tak świetlane lato. W końcu obejrzał się za mamzel Marją.

Ubrana w najlepszą suknię zeszła po wąskich schodach. Gitara na jedwabnej wstędze zwisała jej przez piersi, w ręku zaś niosła pęk róż miesięcznych rozkwitłych tego roku w doniczkach matki.

Stanąwszy przed młodzieńcem zaczęła brzękać i zanuciła:

Odjeżdżasz od nas, bywaj zdrów!
Lecz wróć niedługo, wróćże znów!
Pamiętaj żeś nam miłym był,
Że cię kochamy z całych sił...

Potem zatknęła mu na piersiach bukiet, pocałowała w same usta i uciekła coprędzej po schodach. Tak uczyniła biedna, stara panna!

Zemściła się na niej miłość, czyniąc pośmiewiskiem, ale mamzel Marja nie urągała jej odtąd nigdy, nie porzuciła gitary i podlewała starannie matczyne doniczki róż.

— Lepiej smucić się i kochać, — mawiała — niż żyć bez miłości w weselu.

Tymczasem czas płynął, majorową wygnano z Ekeby, kawalerowie objęli ster spraw, a w końcu, jak opowiedziałam, Gösta Berling odczytał hrabinie Elżbiecie pewien poemat i został wygnany z Borgu.

Podobno wychodzący Gösta zobaczył u drzwi kilkoro sanek zajeżdżających właśnie. W pierwszych siedziała małego wzrostu dama, a widok jej uczynił mu jeszcze czarniejszą tę czarną godzinę życia. Szybko

odszedł, by go nie poznała, ale uniósł przeczucie jakiegoś nieszczęścia. Czyżby ta rozmowa z hrabiną Elżbietą wyczarowała przybyłą? Nieszczęścia chadzają zwykle w parze.

Zbiegła się służba, zaczęto odpinać futrzane pokrowce i skórzane opony. Przybyła w istocie Märta Dohna, słynąca szeroko w okolicy.

Była to najweselsza i najlekkomyślniejsza pod słońcem kobieta. Światowość uczyniła ją królową i osadziła na tronie uciechy. Poddanymi jej były zabawy wszelakie i żarciki. Grę, tany i przygody otrzymała losem życia, a chociaż dosięgała pięćdziesiątki, nie liczyła lat. Mawiała, że ten jest stary, kto nie może się już śmiać i tańczyć. Nie czuła brzemienia lat.

Przez całą jej młodość, radość nie całkiem pewnie siedziała na tronie, ale owo chwianie się czyniło życie jej Królewskiej Mości tem zabawniejszem jeszcze. Jednego dnia urządziła podwieczorek w apartamentach dworskich sztokholmskiego zamku, nazajutrz tańczyła w Paryżu, ubrana we frak, uzbrojona w sękatą laskę, odwiedziła Napoleona w obozie, żeglowała okrętem Nelsona po błękitnem Morzu Śródziemnem, wzięła udział w kongresie wiedeńskim, a w sam dzień słynnej bitwy, ruszyła mimo wszystko, do Brukseli na bal. Wszędy, gdzie panowała radość, panowała również jej ulubienica, hrabina Märta Dohna. Czegóż nie widziała, czego nie przeżyła! Tańczyła wokoło tronów, grała w ecarté o całe księstwa i śmiała się, gdy niszczące wojny obracały Europę w perzynę.

Ile razy radość traciła chwilowo siedzibę swoją, udawała sie na pewien czas do starego pałacu hrabskiego nad Löffenem. Tam też zajechała, kiedy, za

czasów świętego przymierza władcy i dwory osmutnieli wielce. W tym to właśnie czasie uznała hrabina Märta za stosowne uczynić Göstę Berlinga nauczycielem syna swego. Czuła się tu dobrze, a radość nie miała chyba piękniejszego przybytku. Panował tu śpiew i zabawy, mnóstwo było żądnych przygód mężczyzn i pięknych, wesołych kobiet, nie brakło uczt i balów, przejażdżek łodziami żaglowemi po jeziorze, przy księżycu i szlichtad przez ciemne bory, nie zbrakło też wstrząsających wydarzeń, miłości, uciech i cierpienia. Od śmierci córki, to znaczy od lat pięciu, przestała hrabina Märta bywać w Borgu, teraz przybyła jednak zobaczyć, jak żyje jej synowa pośród lasów jodłowych, zasp śnieżnych i niedźwiedzi. Uznała za swój obowiązek przekonać się, czy głupi Henryk nie zanudził na śmierć żony i postanowiła być aniołem łagodności dla całego domu. Wiozła jaśń słońca i szczęście starannie zapakowane w czterdziestu skórzanych kufrach, wesołość była jej garderobianą, żart stangretem, a zabawa damą przyboczną.

Wbiegła na schody i została przyjęta z otwartemi ramionami. Apartamenty jej w parterze były gotowe, toteż niebawem znalazło się tam, jedno po drugiem, wszystko: komerdyner, garderobiana, dama do towarzystwa, czterdzieści skórzanych kufrów, trzydzieści pudeł z kapeluszami, nesesery, szale i futra. Zapanował w całym domu ruch, zamykano i otwierano drzwi, biegano po schodach — słowem każdy musiał spostrzec, że przyjechała hrabina Märta.

— — — — — — — — — — — —

Nastał piękny wieczór wiosenny, przedziwny wieczór, mimo że był dopiero kwiecień i lody jeszcze

nie stopniały. Mamzel Marja siedziała u siebie przy otwartem oknie, brząkała na gitarze i śpiewała.

Zatopiona w granie i wspomnienia, nie żauważyła, że przed domkiem zatrzymał się powóz. Siedziała w nim hrabina Märta patrząc z rozciekawieniem na starą pannę, która przygrywała na gitarze zawieszonej przez piersi i wzniósłszy w niebo oczy, nuciła stare, oklepane pieśni. Hrabina wysiadła w końcu i weszła do pokoju, gdzie siedziały u krosien dziewczęta. Nie była dumna, gdyż owiał ją wiatr rewolucji i tchnął świeże powietrze w płuca.

Zamówiła u pani Moräus hafty, pochwaliła dziewczęta, rozejrzała się po ogródku i jęła opowiadać o przygodach podróży, gdyż zawsze miewała przygody. Wreszcie odważyła się wyjść po straszliwie wąskich schodach i złożyła mamzel Marji wizytę na poddaszu.

Objęła czarnemi oczyma samotną, małą istotę i zaczęła do niej mówić melodyjnym, przymilnym głosem. Kupiła firanki. Nie mogła żyć w pałacu borskim bez siatkowych firanek mamzel Marji we wszystkich oknach i bez jej kap na wszystkich stołach.

Potem wzięła jej gitarę i śpiewała o miłości i weselu. Naopowiadała jej przeróżnych historyjek wciągając w sam wir świata i śmiała się tak, że zaczęły śpiewać przemarzłe jeszcze ptaki ogródka. Twarz hrabiny Märty, mimo nadpsutej szminką cery i rysów wyuzdanej zmysłowości w kątach ust, wydała się mamzel Marji tak piękną, że dziwiło ją, iż znika w małem lusterku ściennem, gdy się odeń odwróci, a nie zostaje na szklistej powierzchni na zawsze. Odchodząc ucałowała hrabina starą pannę i zaprosiła ją do Borgu.

Serce mamzel Marji puste było, niby jaskółcze gniazdo w Boże Narodzenie. Wolną będąc, jak każdy stary, puszczony na swobodę jeniec, marzyła o kajdanach.

Zaczął się teraz dla mamzel Marji czas radości i cierpienia jednocześnie, ale trwał jeno tydzień. Hrabina zabierała ją co chwila do Borgu, odgrywała przed nią komedję i naopowiadała tyle o swych kochankach, że stara panna śmiała się, jak nigdy w życiu. Zaprzyjaźniły się i niebawem hrabina poznała historję młodego organmistrza i scenę pożegnania. Doprowadziła do tego, że mamzel Marja przygrywała o zmierzchu, w błękitnym gabinecie na gitarze i śpiewała pieśni miłosne. Patrząc na chude, suche palce i brzydką głowę starej panny, zarysowaną na czerwonem niebie zachodu, mawiała hrabina, że biedna mamzel Marja przypomina rozmarzoną burgrabiankę. Wszystkie pieśni mówiły o zakochanych pasterzach i okrutnych pasterkach, a mamzel Marja śpiewała je głosem tak cienkim, że hrabina, jak to każdy zrozumie, miała niezmierną uciechę z całej tej komedji.

Wobec przybycia matki pana domu, wydano, oczywiście, wspaniałą ucztę w pałacu borskim. Jak zawsze, panowała wielka wesołość w gronie biesiadników, które było nieliczne, gdyż przybyli jeno najbliżsi sąsiedzi.

Sala jadalna była w parterze, więc po uczcie goście nie poszli na piętro, lecz udali się do apartamentów hrabiny Märty, położonych tutaj również. Hrabina ujęła gitarę mamzel Marji i zaczęła grać i śpiewać. Wesołą była hrabina Märta, umiała naśladować głosy i gesty ludzi, tego zaś wieczoru wpadło jej do głowy udawać mamzel Marję. Podniosła oczy w niebo i zanuciła cienkim, chrypliwym głosem.

— Nie! Nie! Pani hrabino! — zawołała błagalnie stara panna. Ale hrabinie sprawiało to przyjemność, a goście śmiali się, chociaż czuli krzywdę biednej mamzel Marji.

Hrabina wzięła z czarki garść suchych liści różanych, przybrała tragiczną postawę, przystąpiła do starej panny i zaśpiewała:

Odjeżdżasz od nas, bywaj zdrów!
Lecz wróć niedługo, wróćże znów!
Pamiętaj, żeś nam miłym był,
Że cię kochamy z całych sił...

Skończywszy, wysypała jej liście na głowę. Goście śmiali się, a mamzel Marja, ogarnięta gniewem, wyglądała, jakby chciała wydrapać hrabinie oczy.

— Jesteś złą kobietą Märto Dohna! — zawołała — Żadna uczciwa osoba nie powinnaby się z tobą wdawać!

Na te słowa gniew zatrząsł również hrabiną i krzyknęła:

— Wyrzucić mi precz mamzel! Mam dość jej szaleństw!

— Pójdę sobie! — odparła — Ale wpierw proszę mi zapłacić za wzięte firanki.

— Za to paskudztwo? — krzyknęła hrabina — Za te łachmany ona chce jeszcze pieniędzy? Weź sobie z powrotem! Nie chcę patrzeć na te okropności!

Hrabina zaczęła zrywać firanki i kapy i rzuciła z pasją wielką kupę pod nogi mamzel Marji.

Następnego dnia poprosiła młoda hrabina teściową, by się pogodziła z mamzel Marją, ale nie przystała. Wobec tego hrabina Elżbieta pojechała do starej panny, kupiła cały, jaki miała zapas firanek i zawie-

siła je na pierwszem piętrze. Było to wielkiem dla mamzel Marji zadośćuczynieniem.

Hrabina Märta czyniła zrazu przytyki do upodobania synowej w siatkowych firankach, potem jednak zamilkła. Umiała bowiem, jako osoba wysoce uzdolniona, kryć swój gniew całemi latami i przechowywać w stanie świeżym.

KUM KRISTOFFER.

Na górze, w skrzydle kawalerskiem, żył stary ptak drapieżny. Siedział zawsze przy kominku i pilnował, by ogień nie zagasł. Był rozczochrany i szpakowaty. Mała głowa o wielkim nosie i zagasłych napoły oczach pochylała się smutnie na cienkiej, chudej szyji, ujętej w futrzany kołnierz. Dziki ten ptak nosił zimą i latem futro.

Zaliczał się do stada, szybującego ponad Europą za wielkim cesarzem, dziś atoli nikt już nie mógł odgadnąć, jakie wówczas nosił imię i rangę. W Wermlandji wiedziano tylko, że brał udział w wielkiej wojnie, że odbył krwawe bitwy i opuścił po roku 1815 niewdzięczną ojczyznę swoją. Szwedzki następca tronu wziął go w opiekę i poradził, by znikł w dalekiej Wermlandji. Czasy nastały takie, że zwolennicy tego, przed którym drżała Europa, radzi byli, że nikt nie zna ich nazwiska.

Dał on słowo następcy tronu, że nie opuści, bez konieczności, miejsca pobytu i nie powie, kim jest, poczem zjawił się w Ekeby z listem arcyksięcia do majora i został ulokowany w rezydenckiem skrzydle.

Łamano sobie zrazu głowę, jaka to znana osobistość kryje się pod przybranem nazwiskiem, z biegiem atoli czasu stał się prawdziwym Wermlandczy-

kiem i rezydentem. Zwano go kumem Kristoferem, nie wiedząc dobrze, skąd się wzięło to miano.

Nie łatwa to jednak rzecz dla drapieżnego ptaka żyć w klatce. Nawykł do czegoś innego nad skakanie ze szczebla na szczebel i jedzenia z ręki karmiciela. Krew jego, podniecana niegdyś grozą śmierci i grzmotem bitew, znosić nie mogła tępoty pokoju.

Coprawda, inni kawalerowie nie byli także obłaskawionem ptactwem, nikt jednak nie burzył się jak kum Kristoffer. Jedno jeno polowanie na niedźwiedzia i kobieta... jedyna kobieta... mogły mu ożywić ducha.

Odżył po raz ostatni, przed dziesięciu laty, zobaczywszy po raz pierwszy hrabinę Märtę, podówczas już wdowę, kobietę niebezpieczną i zwodniczą jak wojna, podniecającą jak śmierć, pełną werwy i życia. Pokochał ją.

Minęło lat pięć, jak ją po raz ostatni widział i nie mógł wziąć za żonę. Siedział samotny, starzał się i siwiał, obumierając zwolna, niby orzeł w niewoli. Z każdym rokiem stawał się chudszy i bardziej skostniały. Właził coraz głębiej we futro i przysuwał się do ognia.

— — — — — — — — — — — —

Siedzi i teraz przemarzły, rozczochrany, siwy, w dniu, kiedy wieczorem oddane zostaną strzały wielkanocne. Wszyscy kawalerowie wyjechali, on został przy piecu.

Ach, kumie Kristoferze, czyż nic nie wiesz?

Wszakże nadeszła wiosna, przyroda zbudziła się z ołowianego snu, a w niebieskawych obłokach wirują stwory motyloskrzydłe, igrając powabnie. Wy-

glądają z chmur, liczne jak kwiecie dzikiego głogu i wołają na wszystkie świata strony: radujcie się wszyscy, nadeszła wiosna!

Ale kum Kristofer siedzi nieruchomy i o niczem nie wie. Głowę pochylił na kościste dłonie i śni o deszczu kul, oraz drzewie sławy, co rośnie na polu bitwy. Róże mu kwitną i wawrzyny w duszy, nie potrzebujące wcale maja.

Biedny, stary cudzoziemiec z rezydenckiego skrzydła, bez swej ziemi, nie słyszący ni słowa w ojczystym języku, którego losem będzie grób bezimienny na broeńskim cmentarzu! Cóż winien, że jest orłem zrodzonym poto, by ścigać i zabijać?

Kumie Kristoferze! Zbyt długo siedziałeś i marzyłeś w skrzydle rezydentów! Wstań i wychyl puhar pieniący życia! Wszakże dziś właśnie nadszedł list królewski ze szwedzką pieczęcią, pod adresem majora, ale treść jego ciebie dotyczy. Dziwnie wyglądałeś ptaku drapieżny czytając list ten. Oczy ci rozbłysły, a głowa podniosła się w górę. Otwarta klatka, masz przed sobą świat cały i skrzydła rozpostrzeć możesz.

Kum Kristofer sięga na samo dno skrzyni. Dobywa starannie przechowanego uniformu, haftowanego złotem i ubiera się weń. Na głowę wdziewa zdobny piórami kapelusz i odjeżdża z Ekeby na wspaniałym, białym rumaku.

To całkiem co innego, jak siedzieć za piecem. Kum Kristofer uczuł, że nadeszła wiosna.

Wspina się w strzemionach i zmusza konia do galopu. Dolman podszyty futrem polata z wiatrem i powiewają pióra. Odmłodniał jak ziemia, zbudził się po długim śnie zimowym. Stare złoto połyska.

Zuchowata twarz pod trójgraniastym kapeluszem błyszczy dumą.

Przedziwna to jazda! Pod stopami jego wytryskają źródła i kwitną anemony. Przelotne ptaki krzyczą i radują się jego wolnością. Cała przyroda bierze udział w radości jego.

Jedzie wspaniały, jako zwycięzca. Sama wiosna pędzi przodem na lotnej chmurze. Lekka jest, wesoła, a dmie w róg, on zaś rozradowany podskakuje w siodle. A wokół kuma Kristofera tłoczy się cały sztab na rączych koniach. Szczęście stoi za nim w strzemionach, dzieląc chwałę tej jazdy na ognistym arabczyku.

Przedziwna to, zaprawdę, jazda i przedziwny jeździec. Tuż za nim woła drozd leśny:

— Dokądże to zdążasz kumie Kristoferze? Dokądże pędzisz?

— Do Borgu! W konkury! — odpowiada.

— Nie jedź do Borgu! Nie jedź tam! Kawalerowie nie mają trosk na głowie! — woła za nim drozd.

Ale on nie baczy przestrogi. Pędzi na przełaj, a w końcu przybywa. Zeskakuje z siodła i wiodą go do hrabiny.

Wszystko dzieje się po myśli. Hrabina Märta jest mu łaskawą. Kum Kristofer czuje, że zgodziłaby się podzielić jego słynne nazwisko i osiąść w jego zamku. Siedzi, nie mówi nic i zwleka z pokazaniem królewskiego listu. Raduje go ta zwłoka.

Rozmawiają, hrabina opowiada mu różne historje, on zaś śmieje się i podziwia wszystko. Siedzą właśnie w komnacie, gdzie hrabina Elżbieta zawiesiła siatkowe firanki mamzel Marji. Toteż hrabina Märta opowiada mu ich dzieje.

— Otóż tak złą jestem, spojrz pan! — kończy — Tu wiszą owe firanki, za pokutę dla mnie. Szkaradna robota siatkowa! Pokuta moja nie ma granic!

Wielki wojownik, kum Kristofer patrzy na nią błyszczącemi oczyma.

— Ja także jestem biedny i stary! — powiada — Ja także przez lat dziesięć siedziałem pod piecem i tęskniłem za ukochaną. Czy jaśnie pani i z tego także raczy drwić?

— O nie! To całkiem inna sprawa! — odpowiada hrabina.

— Bóg mi zabrał szczęście i ojczyznę i musiałam jeść chleb obcych ludzi! — rzekł kum Kristofer poważnym głosem — Nauczyłam się szanować biedę.

— Pan także? — zawołała hrabina, podnosząc ręce — O jakże cnotliwi są dziś ludzie. Boże drogi, jakże cnotliwymi stali się wszyscy!

— To prawda! — rzekł kum Kristofer — Proszę zapamiętać me słowa. Jeśliby mi Bóg powrócił władzę i bogactwo, uczynię zeń lepszy użytek, niżbym miał je dzielić z damą światową, z osobą umalowaną, a bez serca, która urąga nędzy.

— Zupełną rację masz pan, kumie Kristoferze! — przyznała.

Powiedziawszy to wstał i odjechał do Ekeby. Ale nie leciały już za nim duchy, ni wołanie drozda i nie widział już wiosny roześmianej.

Przybył do Ekeby w tejże właśnie chwili, kiedy oddawano strzały wielkanocne i palono „czarownicę". Wielkanocna, tak zwana czarownica, to wielka, słomiana kukła, z głową szmacianą i rysami twarzy nakreślonemi węglem. Ubrana w łachmany biednej komornicy, ma przy boku długie cęgi od ognia

i miotłę, zaś na szyi róg z maścią. Była właśnie gotowa jechać na Bläkullę*).

Major Fuchs raz po razu nabijał strzelbę i palił w powietrze. Potem zbudowano wielki stos chrustu, rzucono nań czarownicę i spalono. Kawalerowie czynili wszystko co mogli, by starym obyczajem zniweczyć siłę złego ducha.

Kum Kristofer patrzył ponuro przez chwilę, potem dobył z poza wyłogu rękawa wielki list królewski i cisnął go w płomienie. Czemu to uczynił, niewiadomo. Wyobraził sobie może, że na stosie spłonęła hrabina Märta. Może też pomyślał, że już nic nie pozostało na ziemi cennego, skoro ta kobieta, którą kochał przez lat tyle, była jeno kukłą ze słomy i łachmanów.

Wrócił do skrzydła rezydenckiego, zapalił świecę i schował uniform. Usiadł przy piecu, jak przedtem. Z dniem każdym był bardziej rozczochrany i siwy. Obumierał zwolna, jak stary ptak drapieżny w niewoli.

Niewola jego skończyła się, ale nie chciał używać swobody. Świat mu stanął otworem, mógł ruszyć na pole sławy i zacząć nowe życie, ale zbrakło mu już siły do rozpostarcia skrzydeł.

*) Róg z maścią czarodziejską, jest to jeden z przyborów czarownic podczas jazdy na Bläkullę, czyli szwedzką Łysą Górę.

DROGI ZYCIA.

Uciążliwe są drogi, któremi tu na ziemi musi wędrować człowiek.

Idą przez pustynie, bagna i góry.

Czemuż troska musi iść, aż się zabłąka w pustyni, zapadnie w bagno, lub spadnie z góry? Gdzież się podziały małe kwieciarki i królewny, pod których stopą kwiaty rosły, gdzie przepadły istoty siejące kwiaty na ścieżki uciążliwe?

Gösta Berling, poeta, postanowił ożenić się. Jął szukać oblubienicy biednej i bez znaczenia, jaka przystała szalonemu proboszczowi. Kochały go piękne kobiety wysokiego rodu, im atoli nie wolno już starać się o niego. Wyklęty szukać musi sobie żony pomiędzy parjasami. Kogóż atoli znajdzie i wybierze?

Zjawia się czasem w Ekeby dziewczyna z samotnej miejscowości pośród gór, przynosząc na sprzedaż miotły. Panuje tam taka nędza, że dużo ludzi nie jest przy pełnych zmysłach, a młoda miotlarka zalicza się do nich właśnie.

Ale jest piękna. Gęste czarne włosy splecione ma w dwa warkocze, tak grube, że ledwo zmieścić się mogą na jej głowie, policzki jej są pełne, nos niezbyt długi, a oczy niebieskie. Przypomina melan-

cholijny typ pięknych madonn, na jaki natrafić można jeszcze nad Löffenem.

Gösta znalazł sobie tedy narzeczoną. Napół szalona miotlarka, to w sam raz żona dla szalonego proboszcza. Trudno o coś lepszego i trzeba jeno jechać po obrączki ślubne do Karlsztadu. Mieszkańcy wybrzeży löffeńskich będą mieli wesoły dzień. Uśmieją się znowu do syta z Gösty Berlinga, jego zaręczyn i ślubu z miotlarką. Będzie wielka radość! Któż kiedy wymyślił lepszy figiel?

Uciążliwe są drogi, któremi musi tu na ziemi wędrować człowiek, pustynne są, wiodą przez bagna i góry.

Wyklęty iść musi drogą wyklętych, drogą gniewu, troski i nieszczęścia. Upada i ginie, nie zwracając niczyjej uwagi, nikt mu nie poda dłoni, ni rzeźwiącego napoju, a kwieciareczki i królewny nie sypią kwiatów na twardą ścieżkę, którą stąpa.

Młoda, dobra hrabina z Borgu nie przeszkadzała wcale zamysłom Gösty Berlinga, pamiętna swej dobrej sławy, gniewu męża i nienawiści teściowej.

Modliła się zań tylko podczas długich nabożeństw w svartsjoeńskim kościele, płakiwała nad nim i troskała się, ale nie mogła mu sypać kwiatów na ścieżkę wyklętego, podać kropli wody rzeźwiącej, ni wstrzymać dotknięciem nad brzegiem przepaści.

Gösta nie stroił swej wybranej w jedwabie i klejnoty, ale pozwalał jej wędrować z miotłami od dworu do dworu i chciał ogłosić zaręczyny dopiero wobec znakomitych panów i dam całej okolicy, podczas wielkiej uczty w Ekeby. Miał ją wówczas przyprowadzić z kuchni, gdzie spoczywała po wędrówce brudną, okrytą kurzem, obdartą może, rozczochraną,

z obłędnem spojrzeniem i słowami nieprzytomnemi na ustach. Chciał spytać gości, czy stosowną obrał sobie narzeczoną i czy nie może być dumnym szalony proboszcz z tak pięknej oblubienicy, o rozmarzonych oczach. Miał zamiar zataić to przed wszystkimi, ale wieść doszła do hrabiny Elżbiety.

Cóż mogła jednak na to poradzić? Nadszedł dzień zaręczyn, zmierzch się już uczynił. Hrabina stała w błękitnym gabinecie, spoglądając ku północy i mimo łez w oczach, oraz mgły wydawało jej się, że widzi Ekeby. Dostrzegała wyraźnie wielki, trzypiętrowy dom z rzędami oświetlonych okien, wyobraziła sobie, jak nalewają szampana, brzmią toasty, a Gösta Berling ogłasza swe zaręczyny z miotlarką.

Czyż zawróciłby z drogi parjasów, gdyby dotknęła jego ramienia i spojrzała życzliwie? Jedno słowo z jej ust pchnęło go do czynu rozpaczy — czyż drugie mogłoby go powstrzymać?

Zadrżała na myśl o krzywdzie tej biednej dziewczyny, która zostanie zwabioną, poto, by być zabawką na krótki dzień jeden, może. Albo też... tu przejął ją strach gdy wspomniała grzech, jaki popełnia na sobie samym Gösta... albo też stanie się ona łańcuchem wieczystym u nóg jego, który mu nie dozwoli wzlatać wzwyż.

Po rozwadze, uznała się winną wszystkiemu, gdyż słowem swem pchnęła go na drogę zatraty. Powołaną będąc, by błogosławić i łagodzić, wplotła cierń nowy do korony grzesznika.

Postanowiła, że każe zaprząc do sanek kare konie, przejedzie przez Löffen, wpadnie do sali, stanie pzzed nim, powie, że nim nie gardzi i nie wiedziała sama wówczas co mówi. Uczuła zaraz, że nie po-

trafi tego uczynić, że się zawstydzi i słowa wypowiedzieć nie zdoła. Jako mężatka musiała być ostrożną. Powstałyby plotki. Ale jeśli tego nie uczyni, cóż się stanie?

Pędziło ją z domu.

Przyszło jej jednak na myśl, że o tej porze roku żaden koń nie zdoła przebyć jeziora. Lód zaczął topnieć, odstał już od brzegów, popękał i przybrał brzydki wygląd. Woda tryskała z pośród kier, potworzyły się czarne sadzawki, a gdzieniegdzie jeno błyszczał lód biały. Większa część jeziora szara była i brudna od roztopu, a ścieżki snuły się po niem, jako czarne, długie pasy.

Trudno myśleć o podróży! Czyż zezwoliłaby na to świekra, hrabina Märta? Po całych wieczorach musiała przesiadywać z nią w salonie i słuchać dawnych historyjek dworskich, w których lubowała się hrabina.

Noc nadeszła, mąż wyjechał, była wolna.

Jechać nie mogła i nie śmiała, ale strach pędził ją z domu. Nie mogła uczynić inaczej.

Uciążliwe są ścieżki ludzkie na tej ziemi, wiodą przez pustynie, moczary i górskie zbocza.

Z czemże atoli porównać tę drogę po topniejącym lodzie? A jednak jest to właśnie droga nadobnych kwieciarek, niepewna, śliska droga tych, którzy leczyć chcą zadane rany, droga naprawy win, lekka droga szybkich nóg, bystrego oka i mężnego, rozmiłowanego serca.

Już po północy dotarła hrabina do wybrzeża Ekeby. Idąc po lodzie padała, skakała przez szczeliny przemykała lekko po roztopach, ślizgała się, pełzła. Ciężka to była podróż i płakała nieraz gorzko. Zmokła i wyczerpała siły, a samotność, ciemń i pustka obciążyły

jej myśli. Tuż pod Ekeby musiała brząć ku brzegowi w głębokiej na stopę wodzie, a wyszedłszy na brzeg nie miała odwagi uczynić cośkolwiek. Siadła na kamieniu i zaczęła płakać ze znużenia i bezradności.

Strasznemi drogami kroczą ludzie, a małe kwieciarki padają często obok swego koszyka, właśnie w chwili kiedy dotarły do tych, którym ścieżkę kwiatami usłać miały.

Młoda, wytworna dama była bohaterką czarującą wprost. Nie przebyła atoli drogi takiej w ojczyźnie swojej. Cóż tedy dziwnego, że siadła teraz na brzegu niesamowitego, strasznego jeziora, znużona i nieszczęśliwa i jęła myśleć o czarownych w kwiecie przybranych ścieżkach południowej krainy, gdzie na świat przyszła.

Północ, czy południe, nie stanowiło to w tej chwili dla niej różnicy. Stojąc na rozstaju życia nie płakała z tęsknoty za ojczyzną. Młoda kwieciarka bohaterka znużona, płakała dlatego, że nie czuła sił dotrzeć do tego, któremu drogę miał usiać kwiatami, płakała, sądząc, że przybyła za późno.

Nagle przebiegło koło niej wybrzeżem kilku ludzi nie widząc jej, zaś ona posłyszała jak jeden zawołał:

— Jeśli tama padnie, kuźnia stracona.

— I młyn i warsztaty i domy wokoło kuźni! — dodał inny.

Ożywiona świeżem męstwem ruszyła za nimi.

— — — — — — — — — — — —

Młyn i kuźnia ekebijska stały na wąskim przylądku, oblanym potokiem björksoeńskim. Spadał on pieniąc się, na przylądek, w gwałtownych skokach, tak że musiano tu zbudować potężną, łamiącą prąd

tamę dla ochrony uprawnych pól. Ale tama była stara, nadbutwiała, a w Ekeby rządzili kawalerowie. Tańczyli, radowali się, a żadnemu nie przyszło do głowy popatrzeć, jakie spustoszenia poczynił mróz i ząb czasu w starej, kamiennej tamie.

Tymczasem przyszła wiosna i tama zaczęła drżeć w posadach.

Wodospad pod Ekeby to potężne, granitowe schody, przez które pędzi potok björksoeński. Zawrotnym ruchem rzucają się fale, biją o siebie, miotają pianą pękają na skałach, na pniach naniesionego drzewa, stają dęba, wznoszą grzywy i rycząc pędzą dalej i dalej.

Upojone odzyskaną wolnością, oszalałe wiosną, tłuką fale kamienny mur. Nadbiegają zadyszane, jęcząc piętrzą się i cofają, jakby po uderzeniu o kamienie białogrzywemi głowami. Wre burza straszliwa, odłamki kier służą za puklerze, pnie za tarany, wszystko to wali w biedny, stary mur, który wygląda, jakby ostrzegał i wołał: Baczność! Fala cofa się na chwilę, a jednocześnie spada w dół, z hukiem, w głąb potoka wielki kamień od tamy oderwany.

Zdaje się jakby to przestraszyło fale. Milkną, radują się, odbywają naradę, potem zaś ruszają do nowego ataku, świeżem ożywione męstwem. Porywają kry, pniaki i niewyczerpane w podstępach prowadzą dalej dzieło zniszczenia.

— Niechby tylko padła tama, — powiadają sobie — dostaniemy się łatwo do kuźni i młyna!

Nadchodzi dzień wolności! Znikną ludzie i ich dzieła. Uczernili nas oni i usmolili węglami, oprószyli mąką, nałożyli jarzmo pracy, jak wołom, zmusili kręcić się wkoło, zamknęli, zatamowali nam bieg, przykazali

obracać ciężkie koła i nieść zwaliste kloce drzewa. Nadchodzi teraz czas wolności!

Bije swobody godzina! Słuchajcież fale jeziora björksoeńskiego, słuchajcież bracia i siostry, w bagniskach i moczarach, siklawach górskich i strumykach. Podążcież naszym śladem, złączcie się z nami i dopomóżcie strzaskać jarzmo stuletnie. Niech padnie zapora tyranji. Śmierć i zagłada Ekeby!

Posłuszne fale dążą, pędzą przez granitowe schody i tłukąc głowami o tamę, pomagają ją zwalić. Upojone odzyskaną wolnością wiosenną, silne, męskie, podmywają kamień po kamieniu, warstwę ziemi po warstwie i opłukują ją, wstrząsając chwiejną tamą.

Czemuż atoli pozwalają ludzie szaleć dzikim falom bez oporu? Czyż wymarło doszczętnie Ekeby?

Nie. Zbiegła się gromada ludzi, ale nie mogą się widzieć wśród ciemnej nocy i nie wiedzą dokąd iść. Słów własnych nie słyszą w huku wodospadu, straszliwym trzasku pękających kier i zderzających się pni. Dzikie rozpętanie fal ogarnęło także umysły, zatracili wszyscy myśl i przytomność.

Zaczęły bić dzwony fabryczne. Niechże słucha kto ma uszy! Bliscy jesteśmy zagłady, my zamieszkali przy ekebijskiej kuźni. Potok wali na nas, tama drży i chwieje się, młyn zagrożony, oraz bliskie są zniszczenia nędzne domy nasze, które mimo ich nędzy, kochamy bardzo.

Falom wydaje się pewnie, że dzwony zwołują towarzyszy ich, gdyż nie widać człowieka. Atoli po lasach i nad moczarami nastaje ruch. Dzwony wołają: Na pomoc! Na pomoc! Fale odpowiadają: — Spieszcie się bracia i siostry! Bliska już chwila

wolności! Szumiące fale i dzwony fabryczne głoszą chwałę, rozkwit i śmierć Ekeby.

Raz po razu spieszą posłańcy do kawalerów, do pałacu.

Czyż są jednak w nastroju, by myśleć o kuźni i młynie? W wielkiej sali biesiadują goście setkami, a miotlarka czeka w kuchni. Nadszedł moment przedziwnej niespodzianki. Szampan perli się w szklankach, a Juljusz wstaje, by wygłosić uroczystą mowę. Starzy awanturnicy z Ekeby radują się, myśląc o osłupieniu, jakie ogarnie zebranych.

W ciemni, idzie po lodzie Löffenu hrabina Dohna, by rzec ostrzegawcze słowo Goście, potok sposobi zagładę sławie i honorowi Ekeby, a w wielkiej sali panuje napięcie oczekiwania. Błyszczą światła, wino płynie i nikt nie myśli o tem, co się dzieje w burzliwą, ciemną noc wiosenną.

Nadszedł moment ostatni. Gösta wstał i ruszył po narzeczoną. Idąc przedsionkiem stanął u szeroko rozwartych drzwi głównych, wyjrzał i usłyszał.

Usłyszał dzwony, łomot wodospadu, huk pękającego lodu, trzask tłukących o siebie pni i trjumfalny hymn zwycięskich fal.

Zapomniawszy wszystkiego wypadł w ciemń. Niechże sobie czekają napełnione szklanki, do dnia ostatecznego sądu, niechże czeka narzeczona, niech zagaśnie mowa na ustach mistrza Juljusza! Nie zostaną dziś zamienione pierścionki zaręczynowe i zdumienie nie ogarnie gości.

Biada buntowniczym falom! Przyszła godzina prawdziwej walki. Gösta pobiegł nad wodospad, rozpierzchła gromada dostała wodza, obrońca stanął na murze i zaczęła się walka uporna.

Jął wołać na tłum, rozkazywał i rozdzielał czynności.

— Światła! Przedewszystkiem potrzeba nam światła. Rogowa latarka młynarza nie wystarczy. Zbierajcież suche gałęzie, znoście je na wzgórze i rozpalcie ognisko! To robota dla kobiet i dzieci. Prędko! Prędko! Ognisko niech zapłonie ogromne! Da ono znać ludziom daleko i przyjdą na pomoc. Baczcież, by nie zagasło. Znoście słomę, susz i gałęzie, niech płomienie biją wysoko...

A tu oto robota dla mężczyzn! Trzeba drzewa i belek na zbudowanie tamy ratunkowej. Musimy ją wsunąć przed mur kamienny. Prędko, prędko do dzieła! Budujcie mocno. Miejcie w pogotowiu głazy i wory z piaskiem, by spuścić na dół rusztowanie. Niech walą siekiery, młoty, niech się wżerają świdry w mocne, zdrowe belki, niech skrzypią piły!

Gdzież chłopcy? Chodźcież tu drapichrusty! Weźcie żerdzie i osęki i dalejże do dzieła! Właźcie na tamę, to nic, że was opryskają fale! Odpierajcie ich ataki, które łamią mur. Odsuwajcie na bok pniaki i kry lodowe, jeśli niema innej rady, kładźcie się i trzymajcie rękami kamienie. Obejmujcie je stalowym uściskiem! Walczcież bębny, nicponie, urwipołcie, draby! Dalejże wszyscy na mur! Musimy walczyć o każdą piędź ziemi!

Gösta stał na krawędzi tamy, opryskiwany ciągle pianą, a mur kamienny chwiał mu się pod nogami. Ryczały fale, ale dzikie serce jego rozkoszowało się niebezpieczeństwem, grozą i walką. Śmiał się, rzucił chłopcom dowcipy, zaprawdę, nie przeżył weselszej nocy.

Dzieło ratunku postępowało raźnie, wysoko w niebo biły płomienie ogniska, tętniły siekiery, a tama trzymała się jeszcze.

Zbiegli się także inni kawalerowie i goście, nadciągnęli z pobliża i zdala ludzie, a wszyscy pracowali podsycając ognisko, ciosali drzewo, napełniali wory piaskiem, spychali kry i fale z kamiennego muru.

Wreszcie skończono tamę obronną i miano ją spuścić przed łamacza fal. Trzeba było mieć w pogotowiu głazy, wory, bosaki, liny i osęki pilnować, by niczego nie porwała woda, ziścić zwycięstwo człowieka i zakuć ponownie w dyby zbuntowane fale.

Nagle, w decydującym momencie spostrzegł Gösta postać kobiecą, siedzącą na kamieniu nadbrzeżnym. Nie mógł jej widzieć dobrze przy migotliwem świetle ogniska, poprzez mgłę i pianę, ale spojrzeniem wracał ku niej ciągle. Pewny był, że ta kobieta ma mu coś powiedzieć.

Sama jedna tylko siedziała nieruchoma pośród setek pracujących, a oczy Gösty wracały do niej ustawicznie, tak że nie widział, prócz niej, nikogo.

Piana ją opryskiwała, fale zwilżały jej stopy i przemokła nawskroś. Ubrana ciemno, z szalem na głowie, z głową opartą na rękach, siedziała skulona, patrząc bezustannie na Göstę, stojącego na łamaczu fal. Te wpatrzone weń oczy pociągały go i wabiły. Chociaż nie widział twarzy, nie przestawał ni na chwilę myśleć o siedzącej pośród spienionej wody.

— Widocznie wodnica jeziora löffeńskiego przedostała się aż tu, do potoka, by mnie wtrącić w nieszczęście! — pomyślał — Siedzi i wabi, muszę ją tedy odpędzić.

Naraz wydało mu się, że te wszystkie, białogrzywe fale, to służba czarnej wodnicy, która je zagrzewa do walki.

— Muszę ją koniecznie odpędzić! — powiedział sobie.

Chwycił bosak, skoczył na ląd i ruszył przeciw kobiecie, opuszczając miejsce wodza na szczycie tamy. Pewny był, że moce głębin wystąpiły przeciw niemu. Zresztą nie wiedział już nic, czuł tylko, że musi odegnać daleko tę istotę od brzegu Elfu.

Ach Gösto, czemuż to porzuciłeś swe dzieło, w tej właśnie chwili, kiedy długi korowód ludzi dźwiga na tamę drewnianą zaporę, by ją spuścić przed kamienny mur. Mają głazy i wory z piaskiem, by ją obciążyć, są gotowi i czekają rozkazu. Gdzież jest wódz? Nie słychać jego głosu, co rozkazuje i włada.

Tymczasem Gösta polował na wodnicę. Ujrzała jak mierzy w nią bosakiem i wstała przerażona. Uczyniła ruch, jakby chciała skoczyć w wodę, ale potem uciekła w stronę lądu.

— Wodnico! — krzyknął, pędząc i potrząsając nad nią okutym drągiem, ona zaś uciekła w gęstwę krzaków, ale nie mogąc się przedrzeć stanęła.

Gösta rzucił bosak i ujął ją za ramię.

— Późno dziś jakoś za domem pani hrabina! — powiedział.

— Proszę, puść mnie pan! — odparła — muszę wracać!

Usłuchał natychmiast i odwrócił się.

Była jednak nietylko wytworną damą, ale także dobrą niezmiernie istotą, która cierpiała bardzo, iż wpędzić mogła kogoś w rozpacz. Była też kwieciarką z koszykiem pełnym róż, dla sypania pod nogi

wędrowców, przeto pożałowała zaraz, podeszła i dotknęła ręki Gösty.

— Przyszłam, — zaczęła trwożnie — przyszłam do pana... Ach panie Berling, wszakże nie uczyniłeś pan jeszcze tego... powiedz pan, że nie... Przeraziłam się, widząc że pan za mną biegnie, a jednak szukałam pana właśnie. Chciałam prosić, byś zapomniał o tem co powiedziałam niedawno i bywał u nas, jak poprzód.

— Jakże pani hrabina tu przybyła?

Zaśmiała się nerwowo.

— Wiedziałam, że przybędę za późno, ale nie chciałam wspominać nikomu o tem, a zresztą nie można teraz przez jezioro jechać, jak pan wie.

— Pani szła przez jezioro?

— Oczywiście! Ale powiedzże pan, czyś się już zaręczył? Pojmie pan, że zależy mi na tem, by tak nie było. To źle, a mam uczucie że jestem wszystkiemu winna. Czemuż pan tak wielkie przypisywał znaczenie mym słowom? Jestem obca i nie znam obyczajów kraju. Tak pusto w Borgu od kiedy pan bywać przestał, panie Berling!

Gösta stał pośród mokrego krzewia na bagnistym gruncie, a wydawało mu się, że go ktoś obsypuje mnóstwem róż. Aż po kolana brodził w różach błyszczących i wdychiwał ich woń.

— Czy się to już stało? — spytała ponownie.

Czuł, że musi odpowiedzieć i położyć kres trwodze, chociaż tak mu rozkosznie uświadamiać sobie to. Jakiemże ciepłem i jaśnią przejmuje go myśl, że szła tak długo, tak przemokła, zziębła, że drży ze strachu, a w głosie jej czuć łzy.

— Nie! — odparł wreszcie — Nie zaręczyłem się.

Pochwyciła jego dłoń i jęła gładzić.

— Jakżem szczęśliwa! — powiedziała, pierś jej ściśnięta dotąd trwogą podniosła się westchnieniem ulgi, a z oczu popłynęły łzy.

Drogę poety zasypały kwiaty. Stopniała w jego sercu cała ciemń, złość i uraza.

— O, jakże pani dobra! — powiedział — Jakże dobra!

Tuż obok niego fale zagrażały całej wspaniałości i sławie Ekeby. Ludziom zbrakło wodza, nie stało człowieka, który im dodawał męstwa i nadziei. Padł z hukiem potężny łamacz fal, bałwany zakryły go i ruszyły zwycięskie na przylądek, gdzie stała kuźnia i młyn. Ludzie zaprzestali pracować i nie opierając się falom, rozpierzchli się, ogarnięci jeno żądzą ratowania swego mienia.

Młodzi ludzie uznali, że wszystko w porządku i Gösta postanowił oczywiście odprowadzić hrabinę. Nie mógł jej przecież zostawić w mroku nocy, a także pozwolić iść samej przez lód. Obojgu na myśl nawet nie przyszło, że Gösta potrzebny jest teraz w kuźni. Szczęśliwi się czuli z powodu wznowienia przyjaźni.

Zdaje się, jakoby w tych młodych sercach zakwitła miłość, któż to jednak wiedzieć może? Baśń ich życia doszła mnie w urywkach jeno, toteż nie wiem niemal nic z tego, co mieściły ich dusze. Trudno mi też objaśnić motywy ich czynów. Wiem tylko, że hrabina postawiła tej nocy na kartę zdrowie swe, cześć i sławę, by dotrzeć do biedaka, w celu skierowania go na właściwą drogę, zaś Gösta dopuścił do katastrofy, podkopującej byt ulubionej posiadłości, by dotrzymać towarzystwa tej, która dlań przezwyciężyła strach przed śmiercią, hańbą i karą.

Nieraz szłam za nimi myślą po lodzie, kędy szli w noc straszliwą, która zakończyła się tak dobrze. Nie było w ich duszach chyba nic skrytego, coby musieli tłumić i odpędzać podczas tej wędrówki wesołej, kiedy opowiadali sobie wydarzenia, jakie zaszły przez czas rozłąki.

Gösta został na nowo niewolnikiem i paziem hrabiny, klęczącym u jej nóg, ona zaś damą jego. Byli weseli i szczęśliwi, a żadne nie wspomniało słowem o miłości. Brodzili, śmiejąc się, po wodzie, śmiali się, znalazłszy drogę, śmiali się, błądząc, ślizgając się, padając, wstając, słowem śmiali się nieustannie.

Życie było im na nowo piękną zabawą, oni zaś przypominali dzieci, które zwaśnione, gniewały się na siebie przez czas pewien. Jakże miła zgoda i rozpoczynanie na nowo zabawy!

Zaczęły biegać plotki, a z czasem, wieści o wyprawie hrabiny dotarły do Anny Stjärnhök.

— Widać Bóg ma niejedną strzałę w kołczanie! — powiedziała sobie — Ukoję tedy serce swoje i zostanę tu, gdzie jestem potrzebna. I bez mojej pomocy potrafi Bóg zrobić człowieka z Gösty Berlinga.

POKUTA.

Drodzy przyjaciele! Ustąpcież, proszę, z drogi cicho, pełni uznania, jeśli napotkacie na drodze biedaka, człowieka smutnego, z kapeluszem opadłym na tył głowy, który trzewiki niesie w ręku, by nogi jego nie miały ochrony przeciw żarowi słońca i kamieniom, słowem gdy napotkacie bezbronnego, rozmyślnie zdanego na wszelkie zło. Jest to pokutnik, wędrujący do świętego grobu.

Pokutnik ma płaszcz zgrzebny na plecach, a żyje chlebem i wodą, choćby był królem. Iść musi, jechać mu nie wolno, żebrze i nic nie posiada. Śpi pośród ostów i suwa się na kolanach po kamieniach nagrobnych. Biczuje się węzłowatą nahajką, a rozkosz znajduje w cierpieniu i radość w męce.

Hrabina Elżbieta nosiła także zgrzebny płaszcz i kroczyła ciernistą ścieżką. Serce oskarżało ją. Pożądała nędzy i biedy, niby ciepłej kąpieli, toteż zstępowała radośnie w cienie życia.

Mąż jej, młody człowiek o starczej głowie wrócił rano, po owej nocy, kiedy rozszalały potok zniszczył młyn ekebijski i kuźnię. Hrabina Märta zawezwała go zaraz i opowiedziała dziwną przygodę.

— Żona twa, Henryku, spędziła całą noc poza domem. Po wielogodzinnej nieobecności, wróciła w to-

warzystwie pewnego mężczyzny. Słyszałem jak wychodziła, choć tego nie pragnęła. Po powrocie, mężczyzna ów, którego znam, powiedział jej: Dobranoc! Zwodzi cię, Henryku, owa, pozornie święta kobieta, która zawiesza wszędzie siatkowe firanki, poto tylko, by mi dokuczyć. Nigdy cię nie kochała, biedny chłopcze. Ojciec chciał ją dobrze wydać za mąż. Wzięła cię dla majątku jedynie.

Była tak wymowna, że Henryk stracił równowagę. Chciał wnieść podanie o rozwód i odesłać żonę rodzicom.

— Nie, synu drogi! — oświadczyła matka — To by ją doprowadziło do zupełnego upadku. Jest rozpieszczona i źle została wychowana. Ja się nią zajmę i sprowadzę na drogę obowiązku.

Hrabia polecił zawezwać żonę i oświadczył jej, że ma odtąd pełnić rozkazy teściowej. Nastąpiła przedziwna scena, a komedji takiej nie widziały chyba mury tego, smutkowi poświęconego domu.

Posypały się brzydkie słowa. Hrabia wznosił ręce, wymyślając Bogu, że zezwolił tarzać w błocie nazwisko jego kobiecie bezwstydnej. Groził jej i pytał, jaką karę uważa za odpowiednią wobec tak strasznej zbrodni.

Nie bała się wcale męża, pewna, że postąpiła dobrze. Odparła, iż straszliwy katar, jakiego się nabawiła uważa za karę dostateczną.

— Elżbieto! — zawołała hrabina Märta — Z tego żartować nie wolno!

— Nie mogłyśmy się nigdy porozumieć, — odparła — odnośnie do tego, co brać należy poważnie, lub żartobliwie.

— Chyba przyznasz jednak, — zauważyła teściowa — że uczciwa kobieta nie opuszcza domu nocą, by włóczyć się ze znanym awanturnikiem!

Hrabina Elżbieta zrozumiała teraz, że teściowa chce ją wpędzić w wielkie nieszczęście i stanęła do walki z nią.

— Henryku, — poprosiła — nie dozwól matce swej stawać pomiędzy nami! Opowiem ci, jak się wszystko stało. Jesteś sprawiedliwy i nie potępisz mnie niesłusznie. Przekonasz się, żem postąpiła po myśli twych nauk.

Hrabia przyzwolił niemem skinieniem, a hrabina Elżbieta objaśniła, w jaki sposób pchnęła Göstę Berlinga na złą drogę. Opowiedziawszy, co zaszło w błękitnym gabinecie, zakończyła wyznaniem, że sumienie nakazało jej ratować człowieka, którego skrzywdziła.

— Nie miałam prawa potępiać go, — oświadczyła — a mąż mój sam mnie nauczył, że niema zbyt wielkiej ofiary, gdy idzie o naprawienie zła! Wszak prawda, Henryku?

Henryk zwrócił się ku matce.

— Cóż ty na to, mamo? — spytał. Mała jego główka zesztywniała od dostojeństwa, a na wąskiem czole wystąpiły majestatyczne zmarszczki.

— Anna Stjärnhök — odparła hrabina Märta — jest mądrą dziewczyną i wiedziała dobrze, czemu opowiada Elżbiecie tę historję.

— Raczysz mnie mamo nie rozumieć! — rzekł Henryk — Pytam, co sądzisz o tej właśnie historji, iż hrabina Märta Dohna starała się namówić mą siostrę, by została żoną wygnanego proboszcza?

Hrabina Märta milczała przez chwilę. Ach, jakże głupim był Henryk! Wszedł na całkiem mylny trop.

Pies zaczął gonić myśliwego, puszczając wolno zająca. Ale za moment opanowała zakłopotanie.

— Drogi synu, — powiedziała wzruszając ramionami — mamy wszelkie powody rzucić zasłonę niepamięci na te wszystkie stare historje, a także wszelki rozgłos byłby do niczego. Człowiek ten zginął prawdopodobnie ubiegłej nocy.

Powiedziała to łagodnie i złośliwie, ale ni jedno słowo nie było prawdą.

— Elżbieta spała dziś długo i nie słyszała, że rozesłano ludzi na poszukiwanie za panem Göstą Berlingiem. Nie wrócił on do Ekeby i zachodzi obawa, że utonął. Lód puścił dziś rano. O, popatrzcież, burza strzaskała go w kawałki.

Elżbieta wyjrzała. Jezioro było niemal wolne od lodu. Uczuła wstyd. Chciała ujść sprawiedliwości bożej, skłamała, jęła się obłudy i przywdziała szatę niewinności.

Zrozpaczona padła przed mężem na kolana, a z piersi jej wyrwało wyznanie:

— Sądź mnie i odepchnij! Kochałam go! Wyrywam sobie włosy i drę suknie z rozpaczy. Wszystko mi niczem, gdy on nie żyje. Pocóż się bronić? Powiem całą prawdę. Odjęłam miłość swą mężowi i uległam pokusie niedozwolonej miłości.

Młoda desperatka legła u stóp sędziów, mówiąc im wszystko, pożądając męczeństwa i hańby. Nie mogła jeno zmusić piorunu, by spadł na jej głowę.

O tak! Powiedz też mężowi, jak cię przeraził napór namiętności i jakiem drżałaś oburzeniem, na nikczemność serca twego. Milszem by ci było spotkanie z duchami cmentarza, niż demonami własnej piersi.

Powiedz im, jak odepchnięta z przed bożego oblicza, niegodną się czułaś chodzić po ziemi. Walczyłaś, modląc się i płacząc, wołałaś o pomoc do Boga, przyzywałaś Syna bożego, który wypędzał złe duchy, by cię ocalił od zatraty.

Powiedz im też, żeś sądziła, iż najlepiej wszystko ukryć. Niktby nie dowiedział się, jak złą jesteś, a nawet Bóg by to przebaczył, gdyż byłaś pewną, że pełnisz jego wolę, spiesząc na ratunek ukochanego. Nie wiedział o twej miłości, ty również nie wiedziałaś, co dobre, a co złe, sam Bóg to wiedział i wydał wyrok na twego umiłowanego. Wskazał ci drogę zbawczej pokuty.

Powiedz im też, że wiesz, iż zbawienia niema w zatajeniu. Demony lubią ciemność. Niechże sędziowie twoi ujmą pletnię, kara będzie ci balsamem na rany grzechu, a serce twe pożąda cierpienia. Powiedz im to wszystko, klęcząc i łamiąc ręce, głosem rozpaczy składając wyznanie i dzikim śmiechem witając karę i pohańbienie. Czyń tak, aż mąż podniesie cię z ziemi.

Henryk rzekł:

— Zachowuj się, jak przystało hrabinie Dohna, inaczej zmuszony będę poprosić matkę, by cię ukarała.

— Czyń ze mną, co chcesz!

Na te słowa zapadł wyrok hrabiego:

— Matka moja ujęła się za tobą, przeto pozwalam ci mieszkać w domu moim. W przyszłości jednak ona będzie rozkazywała, ty zaś musisz słuchać.

— — — — — — — — — — — —

Oto droga pokuty!

Młoda hrabina została najostatniejszą ze służebnic. Ach, na jakże długo!

Jakże długo zdoła uginać się dumne serce, jakże długo milczeć będą niecierpliwe usta, a porywcza dłoń hamować się potrafi?

Miłą nad wyraz jest niedola upokorzenia. Gdy grzbiet boli od ciężkiej pracy, milczy serce, a sen przychodzi rychło do leżącego na słomie.

Elżbieta sławiła jako dobrodziejkę starą hrabinę, choć się zmieniała dla niej w szatana dręczyciela. Bowiem zło nie wygasło w niej jeszcze. To nic, że śmiertelnie znużoną budziła o czwartej i zmuszała nie wprawną do pracy nad siły u warsztatu tkackiego! Pokutnica nie miałaby dość siły sama władać tak żwawo pletnią.

Podczas wielkiego prania wiosennego musiała hrabina stanąć u cebra pralni, a teściowa doglądała jej roboty.

— Wystygła już woda! — mawiała — dolejcież wrzątku!

Kazała lać gorącą wodę na ręce Elżbiety.

Innym znów razem, w dzień chłodny płukać musiała wraz z praczkami bieliznę nad brzegiem jeziora. Przelatywały deszcze, tak że przemakała do nitki, a suknie ciężyły jej ołowiem. Przytem, od ciężkiej pracy kijanką pękała jej skóra na rękach i krew tryskała z pod delikatnych paznogci.

Ale nie żaliła się nigdy, chwaląc jeno Boga, a cierpienie było rozkoszą dla jej pokutniczego serca. Twarde węzły pletni, jak listki róży spadały na plecy ochotnej.

Dowiedziała się rychło, że Gösta Berling żyje. Teściowa chciała ją tylko zmusić do wyznania. Ale widać taką była wola Boga! W ten sposób skierował on grzesznicę na drogę pokuty.

Niepokoiło ją tylko, co się stanie z teściową, której serce z jej właśnie przyczyny Bóg uczynił twardem. Ale przypuszczała, że będzie sądzona łagodnie, albowiem musiała być złą, by dopomóc grzesznicy w odzyskaniu miłości bożej.

Elżbieta nie wiedziała, że okrucieństwo stanowi rozkosz dla duszy, która wyczerpała wszystkie inne rozkosze. Popędliwy, w ciemni żyjący człowiek, który nie może zażyć pochlebstwa, pieszczot, upojeń tańca, czy gry, ustępuje w głąb instynktu i sięga po okrucieństwo, które stanowi źródło uciechy dla stępiałych nerwów. Człowiek taki dręczy zwierzęta i ludzi.

Hrabina Märta nie wiedziała, jak jest złą, sądziła jeno, że karze lekkomyślną małżonkę i nieraz nocą wymyślała coraz to nowe męki. Bezczeszcząc świątynię, przemieniała dobrodziejstwo pracy w udrękę, w karę.

Pewnego wieczoru obchodziła cały dom, a Elżbieta szła za nią z świecą, bez lichtarza w ręku.

— Świeca dopaliła się! — powiedziała Elżbieta.

— Jeśli tak, to niech się teraz pali lichtarz! — odparła teściowa.

Poszły dalej, aż knot zagasł w spieczonej dłoni Elżbiety.

Wszystko to były jednak drobiazgi. Hrabina Märta wymyślała tortury duszy, przewyższające znacznie mękę ciała. Zaprosiła gości i kazała ich obsługiwać Elżbiecie u własnego stołu.

Był to wielki dzień pokuty. Obcy ujrzeli jej poniżenie, przekonali się, że niema już prawa do miejsca u stołu męża.

Sądziła, że patrzyć na nią będą z zimną popardą. Ale milczeli i byli zakłopotani wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Ona zaś kładła to wszystko na głowę swoją jak żarzące węgle. — Czyż zgrzeszyła aż tak bardzo? Czyż hańbi wszystkich swą obecnością? — spytała siebie.

Nagle przyszła pokusa. Anna Stjärnhök, dawna przyjaciółka i naczelnik z Munkerudu, siedzący obok niej, objęli ją, gdy do nich podeszła, odebrali półmisek, podsunęli krzesło i puścić nie chcieli.

— Usiądź przy nas, drogie dziecko! — rzekł naczelnik — nie uczyniłaś nic złego.

Wszyscy goście oświadczyli jednogłośnie, słysząc to, że opuszczą dom, jeśli Elżbieta nie usiądzie przy stole. Oburzali się na hrabinę Märtę i mówili, że nie są skłonni tańczyć jak im zagra. Błaznami tak łatwo ich nie zrobi, jak głupiego syna!

— Drodzy przyjaciele, nie bądźcież tak miłosierni! — powiedziała — Zmuszacie mnie przez to, bym sama głosiła grzech własny. Pokochałam grzesznie pewnego człowieka!

— Ależ dziecko! — odparli — Nie wiesz nawet, co znaczy grzech i nie wiesz, jak jesteś niewinna. Gösta Berling nie wiedział zgoła o twej miłości. Zajmij przynależne ci w domu miejsce, nic bowiem złego nie uczyniłaś!

Podtrzymywali przez czas pewien jej odwagę i weselili się jak dzieci, a śmiech i żarty rozbrzmiały wokoło. Porywczy, łatwo popadający w rozczulenie ludzie byli dobrzy, ale mimoto stanowili narzędzie kusiciela. Wmawiali w nią, że jest męczennicą i urągali hrabinie Märcie, jakby była starą czarownicą. Nie wiedzieli jednak, że dusza jej pożąda oczyszczenia i że serce skłania pokutnicę szukać ostrych kamieni na drodze i żaru słońca.

Czasem musiała Elżbieta siedzieć przez cały dzień przy krowach, a hrabina Märta opowiadała jej o Göście Berlingu, wygnanym proboszczu i awanturniku. Gdy nie stało wspomnień, wymyślała różności, bacząc jeno, by imię jego brzmiało cały dzień w uszach synowej. Bała się tego najbardziej i w dni takie czuła całe brzemię pokuty. Uświadamiała też sobie, że miłość jej nie zamiera i że prędzej chyba umrze sama. Siły ją opuszczały i często zapadała na zdrowiu.

— Gdzież się chowa twój rycerz? — spytała teściowa urągliwie — Co dnia spodziewam się, że przybędzie na czele kawalerów. Czemuż nie zdobędzie pałacu, nie posadzi cię na tronie, a mnie i męża twego nie wtrąci do lochu? Czyżby już zapomniał o tobie?

Odczuwała niemal chęć bronić go i wyznać, że sama wzbroniła mu spieszyć z pomocą, ale nie przerywała milczenia, czując się tak lepiej.

Z dniem każdym żarła ją coraz to bardziej gorączka, a słabły siły, tak, że ledwo mogąc utrzymać się na nogach, zapragnęła umrzeć. Największa moc życia, miłość i radość wyjrzeć nie śmiały, spętane i potępione, a Elżbieta nie odczuwała już nawet strachu przed męką.

— — — — — — — — — — — —

Mąż zapomniał jakoby o jej istnieniu. Po całych dniach zamknięty u siebie, studjował nieczytelne rękopisy i plamiste druki.

Odczytywał dyplomy szlacheckie na pergaminie, opatrzone wielkiemi pieczęciami z czerwonego wosku, zamknięte w toczonych puszkach drewnianych. Odcyfrował znaki herbowe z liljami w białem polu i cyframi w niebieskiem. Znał się na tem i umiał wszystko wyjaśnić. Czytał bez końca mowy pogrzebne i do-

komenty osobiste rodu Dohnów, oraz opisy czynów, przyrównywanych do dzieł bohaterów Izraela i bogów Grecji.

Lubował się zawsze w starożytnościach. O młodej żonie przestał teraz myśleć.

Słowa hrabiny zabiły w nim wszelką miłość. — Wzięła cię tylko dla majątku! — Tego nie zniesie żaden mężczyzna, to musi wszelkie uczucia zgładzić. Obojętne mu było, co się z nią dzieje. Wiedział, że matka zwróciła Elżbietę na drogę obowiązku i podziwiał matkę.

Niedola Elżbiety trwała przez miesiąc, ale nie odbywało się to w tak intensywny sposób, jak wygląda w skrócie na papierze. Zachowywała ona zewnętrzny spokój i raz tylko wybuchła na wieść o śmierci Gösty, ale takie ją trapiły wyrzuty sumienia z powodu niedochowania miłości mężowi, że dałaby się na śmierć zadręczyć teściowej, gdyby nie słowa starej klucznicy, posłyszane pewnego wieczoru:

— Pani hrabina musi koniecznie pomówić z panem hrabią! — zachęcała ją — Pani hrabina takie dziecko jeszcze! Nie wie pani sama, do czego to wszystko zmierza, ale ja widzę dobrze, że się źle skończy!

Tego jednak właśnie nie mogła wyznać mężowi, jak długo żywił przeciw niej ciężkie podejrzenie.

Tejże nocy ubrała się cicho i wyszła z domu. Miała odzież dziewczyny wiejskiej i zawiniątko pod pachą. Chciała uciec i nie wrócić już nigdy, ale nie z powodu udręczeń, jeno dlatego, że jak sądziła, Bóg dał jej znak, iż może iść, by zachować zdrowie i siły ciała.

Nie ruszyła na zachód, przez jezioro, gdzie mieszkał ukochany, a także nie ku północy, gdzie miała licznych

przyjaciół. Nie zwróciła się na południe, kędy wdali był jej dom rodzicielski, ale na wschód, gdzie nie było przyjaciela, znajomego, pomocy, schrony, ni pociechy.

Krok jej nie był lekki i swobodny, gdyż nie czuła się pogodzoną z Bogiem, ale miło jej było, że odtąd pośród obcych dźwigać będzie brzemię swego grzechu. Pragnęła spojrzeń obojętnych, niby zimnej stali przyłożonej na nabrzmiały członek.

Chciała iść tak długo, aż napotka nędzną chatkę pod lasem. Miała zamiar powiedzieć:

— Jestem biedna, rodzice wygnali mnie. Dajcież mi schronę, aż zdołam zarobić na życie. Mam trochę pieniędzy.

Wędrowała jasną nocą czerwcową. Maj cały ubiegł jej na ciężkich utrapieniach, ten maj rozkoszny, kiedy to jasna zieleń brzóz miesza się z ciemnią jodłowych lasów, a poprzez jezioro płynie zdala wiatr ciepłem przesycony.

Uczuła, że jest mniej wdzięczna od innych, gdyż jednem słowem nie uczciła tego pięknego miesiąca, niosącego tyle darów.

— Kochany jasny maju! — mówiła — Czyś widział dziecko na łonie matki, słuchające bajek? Jak długo matka opowiada o straszliwych walkach i wielkich udręczeniach pięknych królewien, dziecko uważa i trzyma główkę do góry, gdy jednak zaczyna o słońcu i szczęściu, zamyka oczy, pochyla się na pierś matki i zasypia.

Otóż ja jestem takiem dzieckiem, piękny maju! Niechże inni słuchają o kwiatach i pogodzie, ja wolę ciemną noc, pełną duchów i przygód, ciemne losy i smutku pełne namiętności zbłąkanego serca.

ZELAZO EKEBIJSKIE.

Nastała wiosna i cała Wermlandja wysyłać miała żelazo do Göteborgu.

W Ekeby nie było atoli żelaza. Jesienią przeszkadzała długotrwała susza, a z wiosną zaczęło się panowanie rezydentów.

Za ich czasów po skalistych granitowych progach björksoeńskiego potoku nie spływała woda ale mocne, gorzkie piwo, a Löffen napełniała wódka. Za ich czasów kuźnie nie przerabiały rudy, ale kowale stali rozebrani, w drewniakach przy ogniu i obracali na ogromnych rożnach pieczenie, zaś pomocnicy szpikowane kapłony trzymali w wielkich obcęgach nad ogniem. Za tych czasów tańczono po wszystkich wzgórzach, sypiano na tokarniach, a grano w karty na kowadłach. W czasach tych nie kuto żelaza w Ekeby.

Ale gdy wiosna nastała, zaczęto w kantorach göteborskich czekać na żelazo ekebijskie, dobyto kontrakty pozawierane z majorem i majorową, przyrzekające całe setki centnarów i dziwowano się wielce.

Cóż obchodzić mogły kawalerów kontrakty majorowej? Podtrzymywali oni nieustannie w toku uciechy wszelakie, muzykę na skrzypcach i biesiady i dbali o to, by tańczono po wszystkich wzgórzach.

Nadeszło żelazo z Stömne i Sölje, nadeszło też z Kymsbergu, drogą przez wrzosowisko i jezioro wenerskie. Z Uddcholmu i Munkeforcu wysłały żelazo wszystkie posiadłości, tylko żelaza z Ekeby nie było.

Czyżby Ekeby nie było już najważniejszą hutą Wermlandji? Czyż nikt nie czuwa nad sławą starej firmy? Nie! Ekeby posiadają kawalerowie, dbający o to jeno, by tańczono po wszystkich wzgórzach. Na nic innego nie stać ich marnych umysłów.

Ale wodospady, strumienie, promy rzeki, szluzy i przystanie pytają zdumione:

— Czyliż nie nadejdzie żelazo z Ekeby?

W głębi ciemnych lasów zaczynają się śmiać mielerze, wielkie głowy młotów nachylają się ku sobie i drwią, a szyby kopalniane rozdziawiają szerokie gęby, wtórując im śmiechem szyderszym.

— Czyż to słychana rzecz! Niema żelaza w Ekeby! W najlepszych hutach Wermlandji zabrakło żelaza!

Dalejże lekkomyślnicy! Dalejże bezdomni i włóczędzy! Nie dozwólcie, by taka hańba spadła na Ekeby! Jest to wszakże jedyny wasz przytułek na ziemi, niezrównanie piękne miejsce, o którem myśląc, łzy ronicie, powstańcież tedy kawalerowie na ratunek Ekeby!

W Ekeby coprawda spoczywały młoty, ale w sześciu innych hutach szła pewnie praca, a żelaza więcej jest niźli potrzeba.

Gösta wyruszył rozmówić się z zawiadowcami sześciu posiadłości.

Uznał, że niema co pytać o to w Högforsie, położonem nad björksoeńskim potokiem, tuż przy Ekeby, tak że wpływy rządów rezydenckich oddziaływały bezpośrednio na tę miejscowość. Ruszył tedy parę mil

dalej na północ i dotarł do Lötaforsu. Była to posiadłość piękna, zaiste. Górny Loeffen rozlewał się szeroko po jednej stronie, po drugiej zaś sterczała grań Gurlity w romantycznem otoczeniu lasów, jak przystało takiej górze. Ale w kuźni nie pracowano przez cały rok z powodu zepsucia wielkiego koła rozpędowego.

— Czemuż nie doprowadzono tego do porządku? — spytał.

— Jedyny w okolicy cieśla, zdolny naprawić koło, był zajęty gdzieindziej! — odpowiedział zarządca — Nie mogliśmy ukuć ni jednego ładunku kruszcu.

— Trzeba było sprowadzić cieślę.

— Sprowadzić? Posyłaliśmy poń codziennie, ale nie mógł wrócić. Miał mnóstwo zajęcia około naprawy altan i kręgielni w Ekeby.

Gösta uświadomił sobie zaraz, czego doświadczy w tej podróży.

Pojechał dalej, do Björnidetu. I ta posiadłość była pięknie położona, tak że możnaby tam wystawić pałac. Duży dom mieszkalny panował nad półkolistą doliną, otoczoną z trzech stron potężnemi górami, zaś z czwartej zamkniętej Löffenem. Gösta zauważył, że trudno o piękniejsze miejsce na spacery przy księżycu i marzenia. Ścieżką wzdłuż elfu można było obok wodospadu dotrzeć aż do samej kuźni, wykutej w skalnem podziemiu. Czyż jednak było tam żelazo?

Nie, oczywiście nie. Zbrakło węgla, a z Ekeby nie przysłano pieniędzy na zapłacenie węglarza, ani furmanek pod też węgle. Przez całą zimę kopalnia stała bezczynnie.

Gösta pojechał spiesznie ku południowi i stanął w Han, na wschodniem wybrzeżu, potem ruszył do

Löfftaforsu, zapadłego w lasy i Elgforsu, ale tam lepiej mu się nie powiodło. Nigdzie nie było żelaza i to jak się wydawało z winy samych rezydentów.

W Elgforsie, małej hucie na wschodzie, tem uroczem miejscu, pociągającem ludzi, przepyszne zawsze bywały polowania i mnóstwo łowiono ryb. Na tych przylądkach i w tych lasach brzozowych można było dowoli dumać przez dzień cały. Panowała tam cisza i pokój taki, jakby poza pełną troski i niepokoju ziemią.

Duchy pokoju tam panujące utrudniały jednak zazwyczaj dojazd, tak że Gösta i Don Juan niemało się natrudzili w drodze.

Zarządca tej huty był Gustaw Bendix, a czoło jego pokryły poważne zmarszczki na wieść o celu przyjazdu Gösty.

— W innych hutach nie macie pewnie nic? — spytał.

— Nic, a nic!

— Szubrawcy! — zawołał — Kłamią, jak najęci wszyscy! Ni jeden wóz nie przejechał tej zimy przez moje lasy. Całe żelazo, wierz mi, Gösto, jest już w Göteborgu.

Gösta nabrał otuchy. Niewiele sobie rokował po Bendixie, teraz atoli pewny był, że znajdzie tu żelazo.

Bendix ujął go za rękę i poprowadził do kantoru.

— Pokażę ci coś przedziwnego, drogi bracie! — rzekł stary żartowniś, dobywając z szuflady dwa małe pilniki stalowe.

— Zgadnij, gdzie to znalazłem? — spytał z wielką powagą.

Gösta nie mógł odgadnąć.

— Przypatrz się! — rzekł wyjmując z tej samej szuflady dużego, zdechłego szczura i pokazując mu, że miast zwykłych zębów przednich, ma stalowe pilniki.

— Cóż powiesz, bracie na to? Wielka to niesprawiedliwość ze strony Boga. Taki szczur może jeść żelazo. I czynią to, te małe djabły. Zjadły wszystko żelazo, tak że nie zostało ni jednej sztaby. Wczoraj znalazłem magazyn pusty, zostało tylko kilka wiorów i zdechły szczur. Ale te pilniki miał w paszczy, toteż zaraz zrozumiałem, co się stało. Może chcesz te pilniki? Są to bardzo ciekawe okazy.

Rzekłszy to, zwrócił się zatroskany do Gösty skulonego na krześle biurowem i gotowego śmiać się na wieść, że szczury zjadają żelazo, choć nieraz słyszał o tem po różnych hutach.

Gösta wrócił do Ekeby, a kawalerowie pochylili głowy zawstydzeni i smutni, patrząc na kilka cetnarów posiadanego kruszcu. Wydało im się, że przyroda urąga, ziemia wzdycha, a trawa i kwiaty płaczą z powodu ruiny ekebijskiej sławy.

— — — — — — — — — — — —

Na cóż atoli wielu słów i zdziwienia. Jest żelazo z Ekeby!

Czeka u brzegu Klarelfu załadowane na galary, gotowe płynąć, iść na wagę w Korlostadzie i żeglować szkutami wenernejskiemi do Göteborgu. Sława Ekeby szalona.

Jakże to możliwe? Wszakże w Ekeby znalazło się ledwo kilka cetnarów kruszcu, a po innych hutach nie było nic. Jakże tedy możliwe, by można spławić na wagę korlostadzką niezmierne ilości żelaza? Spytać o to trzeba kawalerów.

Znajdowali się oni sami na pokładzie ciężkich, brzydkich statków i chcieli osobiście przewieść żelazo, tak by go nie tknął żaden ze zwyczajnych przewoźników. Udali się na pokład, zabierając flaszki, kosze z zapasami, trąbki, skrzypce, strzelby, wędki i karty. Postanowili uczynić wszystko dla miłego żelaza i nie opuścić go, póki nie znajdzie się w göteborskiej przystani. Sami chcieli je spławić, wyładować, władać żaglami i wiosłami, a stać ich na to, by dokonać tego zadania. Wszakże znali każdą łowicę, prąd i skadę wenernejskiego jeziora, a sterem i liną żaglową władali równie dobrze, jak skrzypcami, czy koniem.

Żaden nie został na miejscu. Wujaszek Eberhard wstał od pultu, kum Kristoffer wylazł z za pieca, a ruszył nawet łagodny Löwenberg. Gdy szło o honor Ekeby, nie mógł się lenić nikt z pośród kawalerów.

Niedobrze jest dla Löwenberga patrzeć na Klarelf. Od trzydziestusiedmiu lat nie widział go, nie wsiadł w czółno, nie mogąc znieść widoku błyszczącej powierzchni jezior i szarych rzek. Przywodziło mu to smutne wspomnienia i dlatego unikał widoku wody, teraz jednak i on nie mógł wytrzymać. Szło o honor Ekeby. Przed trzydziestusiedmiu laty utonęła w Klarelfie narzeczona Löwenberga i od tego czasu nie tęgą miał głowę.

Patrząc teraz na prąd wody, uczuł rosnące coraz to bardziej oszołomienie. Szara rzeka o połyskliwych, białych falach wydała mu się wielkim wężem o srebrnej łusce, czatującym na łup. Wysokie, żółte, piaszczyste, skąpo porosłe brzegi były mu ścianami pułapki, na której dnie wił się wąż, zaś droga przebijająca je i idąca ku wybrzeży, gdzie czekały promy, wejściem do morderczej jaskini.

Mały człowieczek stał z rozwartemi szeroko, niebieskiemi oczyma, biała broda powiewała w wietrze, a lekko zarumienione zawsze policzki jego były teraz blade ze strachu. Pewny był całkiem, że ktoś nadejdzie tą drogą i rzuci się w paszczę czychającego węża.

Kawalerowie zaczęli się sposobić do odbicia od brzegu. Ujęli już długie żerdzie, któremi mieli odepchnąć galary, gdy nagle zawołał Löwenberg:

— Czekajcie! Na miłość boską, czekajcie!

Zrozumieli, że mu się zaczyna mącić w głowie od pierwszego ruchu galaru, ale bezwiednie opuścili żerdzie, on zaś, jakby powiadomiony, że ktoś nadejdzie drogą i musi rzucić się w wodę, wzniósł ostrzegawczo rękę. Wydawało mu się, że widzi nadchodzącą osobę.

Jak wiadomo, zdarzają się w życiu spotkania jak to, które nastąpiło teraz właśnie. Kto zdolny dziwić się, niechże się dziwi, że kawalerowie mieli promy u brzegu Klarelfu tegoż właśnie ranka, który nastąpił po nocnej ucieczce hrabiny Elżbiety. Dziwniejszem byłoby jednak chyba, gdyby młoda kobieta nie znalazła nigdzie pomocy. Zdarzyło się tak, że wędrując przez całą noc, doszła do przewozu właśnie w chwili, kiedy kawalerowie chcieli odbić od brzegu. Stojąc bez ruchu, patrzyli, jak rozmawia z przewoźnikiem, odwiązującym czółno. Była ubrana po wiejsku i nie wiedzieli, że to ona, mimoto wydała im się znaną. Właśnie w tej chwili chmura kurzawy zamajaczyła na drodze, a wśród niej ukazała się żółta kolasa. Elżbieta odrazu zrozumiała, że ją wysłano po nią z Borgu i że zostanie odnalezioną. Nie było już sposobu ujść niepostrzeżenie czółnem, a jedyną schronę stanowiły

galary kawalerów. Toteż wskoczyła na pierwszy z brzega, nie patrząc, kto się na nim znajduje. I dobrze się stało, gdyż inaczej wolałaby zginąć pod kopytami koni, jak szukać tu ocalenia.

Gdy była już na statku, zaczęła wołać:

— Skryjcie mnie! Skryjcie mnie!

Potem potknęła się i padła na ładunek. Kawalerowie poprosili, by się uspokoiła, odbili szybko od brzegu, wyprowadzając statki na prąd, a w tejże chwili dojechała do przystani kolasa.

Siedzieli w niej hrabia Henryk i hrabina Märta. Hrabia pobiegł do przewoźnika, chcąc spytać, czy nie widział jego żony. Ponieważ jednak wstyd mu było powiedzieć, że zbiegła, rzekł tylko:

— Coś mi zginęło!

— Tak? — odparł chłopak.

— Powiadam, że mi coś zginęło! Czyście nic nie widział czegoś?

— O co jaśnie pan pyta?

— Mniejsza z tem! Coś mi zginęło. Przytem czyście przewozili dziś kogo?

Oczywiście nie mógł dostać odpowiedzi, a hrabina Märta musiała się sama rozmówić z przewoźnikiem i w minutę później wiedziała, że zbiegła płynie na sunących zwolna galarach.

— Cóż to za ludzie znajdują się na galarach?

— To są kawalerowie, jak ich tu zwiemy wszyscy.

— Ach! — powiedziała hrabina — żona twoja w dobrych jest rękach, Henryku. Możemy spokojnie wracać do domu.

— — — — — — — — — — — —

Ale na galarach nie panowała wcale taka radość, jak sądziła hrabina Märta. Dopóki nie znikła żółta

olasa, młoda kobieta siedziała skulona na ładunku, nie ruszała się i patrzyła w wodę.

Gdy pojazd zawrócił, poznała widocznie kawalerów, bo zerwała się i uczyniła gest, jakby chciała uciekać, tak że najbliżej stojący musieli ją wstrzymać. Jękła i siadła z powrotem.

Kawalerowie nie śmieli mówić do niej, ni zadawać pytań. Zdawało się, że bliską jest obłędu.

Po chwili zaczęli odczuwać brzemię odpowiedzialności. Samo już żelazo był to ciężar wielki dla nienawykłych ramion, teraz zaś mieli wziąć na siebie troskę o młodą damę wysokiego rodu, która uciekła od męża.

Podczas zabaw w zimie przywodziła ona temu i owemu na pamięć młodszą siostrzyczkę, kochaną swego czasu. Każdy postępował za młodu z małą ostrożnie, a mówiąc baczył, by nie użyć brzydkiego słowa. Ile razy chłopczyk biegł za nią lub śpiewał nieprzystojnie, rzucał się nań i bił co wlazło, by siostra nie posłyszała nic złego, nie doznała krzywdy i nie zetknęła się z nienawiścią, lub przemocą.

Hrabina Elżbieta była wesołą siostrzyczką wszystkich kawalerów. Kładąc drobne rączki w ich dłonie, zdawała się mówić: — Przekonaj się, jak jestem delikatna, strzeż mnie przed innymi i samym sobą! — Byli też rycerscy, jak długo się z nią stykali.

Teraz patrzeli przerażeni, nie poznając zgoła. Była zmieniona, wychudła, kark zatracił krągłość linji, a twarz stała się przeźroczysta. Musiała uderzyć o coś podczas nocnej wędrówki, gdyż chwilami występowała na skroni kropla krwi, a jasne, faliste włosy zlepione były skrzepłą krwią. Odzież miała brudną od długiego brodzenia po mokradłach i rosie,

a trzewiki w bardzo złym stanie. Kawalerowie spoglądali z przykrem uczuciem na tę nieznajomą. Hrabina Elżbieta nie miała tak błyszczących oczu. Biedna ich siostrzyczka była bliską szaleństwa. Wydawało się, jakby dusza przybyła z innego świata walczyła o władanie jej ciałem.

Nie potrzebowali się jednak troszczyć, co z nią poczną. Zbudziły się w niej dawne myśli. Nadeszła znowu pokusa, Bóg ją doświadczał, znalazła się wśród przyjaciół i szło o to, czy porzuci drogę pokuty.

Skoczyła na równe nogi i zawołała, że musi odejść.

Próbowali ją uspokajać, zaręczali, że niema się czego bać, gdyż ochronią ją przed prześladowaniem.

Prosiła, by jej pozwolili wsiąść w małe czółno, przywiązane z tyłu do galaru, dobić do brzegu i iść dalej w swoją stronę.

Nie zgodzili się, przedkładając, że lepiej jej będzie z nimi. Są wprawdzie — jak mówili — biedakami, ale znajdą sposób dopomożenia jej.

Zaczęła łamać ręce i prosić, by ją puścili, ale nie spełnili tej prośby, widząc, że jest słaba i wyczerpana tak, iż padnie na drodze.

Gösta Berling stał w pewnem oddaleniu i patrzał w wodę. Sądził, że może młoda kobieta nie radaby go widzieć. Nie wiedział tego, ale myśli jego hasały i śmiały się. Nikt nie wie, gdzie się Elżbieta znajduje, myślał, będę ją mógł tedy zabrać do Ekeby. Schowamy ją tam i będziemy się z nią dobrze obchodzili. Zostanie naszą królową, będzie rządziła, pilnie strzeżona, a może odzyska szczęście. Starzy rezydenci uznają ją za córkę swoją, ona zaś uszlachetni nas wszystkich, będziemy pijali tylko orszadę i gadali po

francusku, gdy zaś minie wasz rok... Ha, wówczas znajdzie się jakaś rada.

Nie śmiał uświadomić sam sobie, że ją kocha. Posiąść jej bez grzechu nie mógł, a ściągać na niziny zła nie chciał. Radował się jeno marzeniami, że ją schowa w Ekeby, że będzie dla niej dobry i pozwoli zakosztować wszelakich dóbr tego świata.

Zbudził się jednak z tych snów, gdyż hrabina była trwożna, a w słowach jej przebijała rozpacz. Padła pośród kawalerów na kolana i błagała, by jej dopomogli do dalszej wędrówki.

— Bóg mi nie przebaczył jeszcze! — wołała — Muszę iść!

Gösta spostrzegł, że żaden z rezydentów nie zdoła jej usłuchać i że to musi uczynić sam. On właśnie, który ją kochał.

Ruszył ku niej, z takim trudem, jak gdyby każdy członek jego ciała stawiał opór woli i powiedział, że ją przewiezie na drugi brzeg.

Wstała natychmiast, on zaś zaniósł ją do czółna, przewiózł i wysadził na ląd, na wąską ścieżynę.

— Cóż się z panią stanie, pani hrabino! — powiedział.

Wskazała z powagą na niebo.

— Gdyby pani znalazła się w potrzebie...

Nie mógł dalej mówić, ale zrozumiała go.

— Doniosę panu, gdy będę potrzebowała pomocy.

— Radbym chronić panią przed wszelakiem złem! — dodał po chwili.

Podała mu rękę na pożegnanie, on zaś nie był w stanie rzecz słowa. Dłoń jej była zimna i wiotka.

Hrabina słuchała już tylko wnętrznego głosu, który jej nakazywał unikać ludzi. Nie uświada-

miała sobie niemal, że kocha człowieka stojącego przed nią.

Odeszła, on powrócił do towarzyszy, gdy zaś stanął na galarze drżał ze znużenia, wyczerpania i bezsiły, jakby dokonał najcięższej w życiu pracy.

Przez kilka jeszcze dni trzymał się, nie tracąc odwagi, aż honor Ekeby został uratowany. Dowiózł żelazo na wagę w Karnikenäs, poczem na długi czas utracił siły i radość życia.

Dopóki był na pokładzie kawalerowie nie spostrzegli zmiany, gdyż trzymał nerwy na wodzy, był rzeźwy i beztroski, dla uratowania honoru Ekeby. Śmiałe przedsięwzięcie nie udałoby się im napewno, gdyby je podejmowali smutni i bez werwy.

Wieść niesie, że kawalerowie mieli na galarach znacznie więcej piasku, niż żelaza, że dostarczali ciągle ten sam ładunek na wagę, aż do pełnej ilości kilkuset cetnarów, dalej, że kierownik wagi i jego ludzie zapijali i zajadali nieźle, korzystając z przywiezionych zapasów. Jeśli tak było, to każdy zrozumie, że wesoło musiało się dziać na galarach.

Któż zdoła sprawdzić to dziś. W każdym razie Gösta nie miał czasu na smutek, chociaż nie odczuwał radości z powodu przygody i niebezpieczeństwa. Dopiero skończywszy wszystko padł złamany.

— O Ekeby, ziemio tęsknoty mojej! — powtarzał sobie. — Niech błyszczy sława twoja!

Kawalerowie dostali pokwitowanie z urzędu wagi i załadowali swe żelazo na szkutę wenernejską. Zazwyczaj fachowi przewoźnicy dostawiali towar do Göteborga, a sprzedający je Wermelandczycy nie troszczyli się już o nie, mając potwierdzenie odbioru. Ale kawalerowie nie chcieli załatwiać sprawy w po-

łowie jeno i postanowili jechać do samego Göteborgu.

W drodze spotkał ich wypadek. Burza zerwała się w nocy, pozbawiona steru szkuta wpadła na skałę, rozbiła się i cały drogocenny ładunek zatonął. Poszły na dno trąbki, karty i puste flaszki, cóż to jednak znaczyło wobec straty cennego żelaza. Mimo wszystko, honor Ekeby ocalał. Żelazo zostało oddane na wagę, a chociaż major musiał zawiadomić kupców göteborskich, że wobec straty żelaza rezygnuje z zapłaty, nie stanowiło to nic ważnego. Ekeby było bogate, a honor jego ocalał w pełni.

Przystanie, szluzy, kopalnie, mielerze, szkuty i galary szeptały, coprawda, dziwne rzeczy. Po lasach szumiały plotki, że cała wyprawa była jeno marnem oszustwem, a w Wermlandji twierdzono, iż na galarach było jeno parę nędznych cetnarów, zaś rozbicie urządzono z rozmysłem. I cóż stąd? Śmiały czyn godny to był figiel, iście kawalerski, a rzecz taka szkodzić nie mogła wcale sławie Ekeby!

Dawne to czasy. Może kawalerowie kupili gdzieś żelazo, albo znaleźli je w magazynach, o czem przedtem nie wiedzieli. Rzeczy tego rodzaju zbadać trudno. Kierownik wagi w każdym razie nie chciał słuchać o możliwości oszustwa, a znał się na tem chyba.

Po powrocie do domu dowiedzieli się kawalerowie wielkiej nowiny. Oto unieważnione zostało małżeństwo hrabiego Dohny. Hrabia wysłał do Włoch pełnomocnika swego, celem zebrania dowodów, że zaślubiny odbyły się nieformalnie. Wrócił on w lecie z dostatecznym materjałem. Nie wiadomo, na czem polegał i nie badajmy tego, gdyż stare legendy należy szanować, jak pół zwiędłe róże, które tracą liście

ściśnięte w ręku. Podobno ślub dał nieupoważniony do tego kapłan. Nie wiem już dobrze, dość że sąd broeński uznał małżeństwo hrabiego Dohny z Elżbietą Thurn za niebyłe.

Nic o tem nie wiedziała jednak młoda kobieta, mieszkająca pośród chłopów, w odległych stronach, a niewiadomo było nawet dobrze, czy wogóle żyje.

OSIEDLE LILIENCRONY.

Pośród kawalerów żył jeden, którego zwałam zawsze wielkim muzykiem. Był to rosły, kościsty mężczyzna, z wielką głową i czerwonemi, bujnemi włosami. W owym czasie nie przekroczył jeszcze pewnie czterdziestki, ale kanciasta twarz i spokojne zachowanie się czyniło go z pozoru starszym. Był to człowiek dobroduszny, jeno smutny.

Pewnego popołudnia wziął pod pachę skrzypce i opuścił Ekeby, nie żegnając się z nikim, chociaż miał zamiar nie wracać. Od czasu nieszczęścia hrabiny Elżbiety nie mógł znieść Ekeby. Szedł bez odpoczynku przez cały dzień i noc, aż dotarł rano o świtaniu do małej posiadłości Löfdali, która była jego własnością.

Nikt nie zbudził się jeszcze skutkiem wczesnej pory dnia. Liliencrona usiadł na zielonej murawie, przed domem mieszkalnym i zapatrzył się na swoje osiedle. Wielki Boże, czyż mogła istnieć na ziemi piękniejsza posiadłość! Trawnik pokrywała piękna, jak nigdzie chyba, murawa. Pasły się tu owce, drepciły dzieciaki z zabawkami, a jednak trawnik był zawsze jednako gęsty i zielony. Nigdy go nie koszono, ale conajmniej raz w tygodniu gospodyni umiatała słomę, gałęzie i zeschłe liście. Stąpił na

żwirową ścieżkę, ale zaraz zeszedł z niej, spostrzegłszy jakie spustoszenie porobiły jego wielkie nogi na świeżo przez dzieci wygracowanej wieczorem drożynie. Jakże tu wszystko bujnie rosło! Sześć czeremch pilnujących podwórza miały wysokość buków, a korony, jak dęby. Nie widziano chyba dotąd drzew takich. Przysłaniały ich pnie żółte sploty pnączy, a białe kiście kwietne pośród ciemnego listowia przypominały gwiazdy nieba. Przedziwne drzewa. Niedaleko rosła stara wierzba tak gruba, żeby jej dwu ludzi nie objęło. Wypróchniała i pękła, a piorun pozbawił jej korony, ale nie chcąc umierać, puszczała co wiosny zielone pędy ze szczelin pnia, na dowód że żyje.

Drzewo u wschodniego narożnika przysłaniało cały dom. Kryty sitowiem dach usypany był białem kwieciem. W dali, na polu stały w grupach brzozy, otaczające ten raj. Miały najrozmaitsze kształty, jakby umyślnie naśladowały różne drzewa. Jedne podobne były do rozłożystych lip, gęste i bujne, drugie strzelały w górę niby topole, a w końcu inne jeszcze udawały wierzby płaczące. Każda była inna, ale wszystkie piękne.

Liliencrona obszedł dom wokoło. Ogród był tak piękny, że przystanął, oddychając głęboko. Kwitły jabłonie. Widział je i po innych posiadłościach, ale nigdzie nie kwitły jak tu, gdzie na nie patrzył od młodości. Szedł ostrożnie ścieżkami, złożywszy ręce.

Ziemia była biała i drzewa białe, z różowym gdzieniegdzie jeno nalotem. Nie napotkał dawno czegoś równie pięknego jak tu, gdzie znał każde drzewo, niby rodzeństwo i towarzysza zabaw. Kwiaty jabłoni owocujących późno, były całkiem białe, letnich różowe, a rajskie jabłka kwitły purpurowo. Naj-

piękniej spisała się stara dziczka, cierpka, której jabłek nikt jeść nie chciał. Nie żałując kwiatów, przybrała wprost w porannem słońcu wygląd zaspy śnieżnej.

Był wczesny ranek, rosa lśniła na liściach, kurz został doszczętnie zmyty, a poprzez las ciemniejący opodal skradały się pierwsze promienie słońca, okrywając purpurą szczyty jedli. Lekka mgła snuła się przepięknym welonem po rozłogach koniczyny, łanach żyta i jęczmienia, a cienie były ostre jak w księżycową noc.

Obejrzał skrupulatnie wielkie grzędy jarzyn, pocięte ścieżkami, wiedząc że pracy tej dokonała żona wraz z służebnemi. Kobiety bronowały, nawoziły, pełły i uprawiały ziemię, aż się stała lekka i rodzajna. Wyciągały potem grzędy pod sznur, odcinały kwadraty, a w końcu udeptywały ścieżki i siały, aż wszystkie kwadraty były pełne. Dzieci pomagały i czyniła im wielką radość ta praca, chociaż nużyło je chylanie się i wyciąganie na dół rąk. Wynik był jednak bardzo pomyślny, jak łatwo pojąć.

Teraz wszystko rosło.

Niech Bóg błogosławi roślinom! Groch stał zuchwale i zadzierał głowę w górę, z pośród grubych liścieni, a korzonki buraków drążyły w najlepsze ziemię. Wesołą zwłaszcza minę miała nać pietruszki, wychylająca się z pod ziemi, jakby grała z życiem w chowankę.

Gdzieniegdzie widniały grządki trochę krzywe, zasiane próbkami wszystkiego, po czem poznać dało się łatwo ogródki dzieci.

Liliencrona wziął skrzypce pod brodę i zaczął grać, a ptaki skryte w wysokich krzakach, słoniących

ogród od północy, zaśpiewały. Nie mogło milczeć żadne, obdarzone głosem stworzenie w ten piękny ranek. Smyczek poruszał się sam.

Liliencrona chodził po ogrodzie, grając i rozmyślając:

— Nie, zaprawdę, niema na ziemi piękniejszego zakątka! Czemże jest Ekeby wobec Löfdali? Dom mój wprawdzie kryty jest sitowiem i ma jedno jeno pięterko, stoi u skraju lasu, tuż pod górą, niema tu nic nadzwyczajnego, niema jeziora, wodospadu, łąk nadbrzeżnych, ni parku, ale jakże wszystko piękne! Dom to dobry, spokojny, gdzie żyć łatwo, bez nienawiści, goryczy, gdzie wszystko wyrównywa łagodność. Takim powinien być każdy dom.

Gospodyni spała w pokoju od ogrodu. Zbudzona nagle pozostała bez ruchu, uśmiechnięta i zasłuchana. Muzyka zbliżała się coraz to bardziej i grajek stanął pod jej oknem. Wiedziała, że mąż w ten sposób, zazwyczaj, przybywa po jakiemś większem wydarzeniu, czy dzikim figlu w Ekeby.

Stał oto, spowiadając się i prosząc o przebaczenie. Opowiadał o siłach, które go odciągnęły znowu od osób najdroższych, od niej i dzieci, chociaż kocha, naprawdę je kocha.

Przy tem graniu wstała i ubrała się, nie wiedząc dobrze, co czyni. Przepełniała ją muzyka jego.

— Nie wywabił mnie dostatek — grał — ni miłość dla innej kobiety, ani wreszcie żądza sławy, jeno zmienność życia, piękno jego, gorycz i bogactwo, które odczuwać muszę. Ale dość mam tego, jestem przesycony i wyczerpany. Nie opuszczę już domu. Przebacz i bądź wyrozumiałą!

Odsunęła firankę, otwarła okno i ukazała mu piękne, dobre oblicze swoje.

Była dobra i mądra, a spojrzenie jej, jak spojrzenie słońca, błogosławiło wszystko, na co padło.

Kierowała wszystkiem, strzegła, by rosło i bujało i nosiła w sobie szczęście.

Wspiął się do niej na deskę okienną, szczęśliwy, jak kochanek.

Potem objął ją, wziął na ręce i zaniósł pod jabłonie, gdzie zaczął opowiadać, jak wszystko ładne, pokazując grządki dzieci i młodą nać pietruszki.

Gdy dzieci wstały, ogarnął je zachwyt z powodu przybycia ojca. Wzięły go w wyłączne posiadanie, pokazując wszystkie nowe i uwagi godne rzeczy. Musiał oglądać mały młynek na strumieniu, gniazdo we wierzbie i młode karasie w stawie, pływające tysiącami, tuż pod powierzchnią wody.

Potem rodzice i dzieci ruszyli na daleką przechadzkę w pole. Musiał podziwiać gęstość młodego żyta, koniczyny i kiełkujące ziemniaki.

Po powrocie zwiedził kuchnię, obejrzał nowonarodzone cielęta i owce, szukał jaj i dawał koniom cukier.

Dzieci trzymały go przez cały dzień, zaniedbując naukę i pracę wszelką, a włócząc się jeno z ojcem.

Wieczór grał im polki, a przez cały dzień był im tak dobrym towarzyszem, że zasnęły, prosząc Boga, by został na zawsze.

Został też przez cały tydzień i był wesoły, jak dziecko. Zakochany w żonie, dzieciach i wszystkiem w domu, nie myślał o Ekeby.

Potem jednak znikł pewnego dnia, nie mogąc znieść tyle szczęścia. Ekeby było mu stokroć mniej warte, ale znajdywało się w wirze zdarzeń.

Tam mógł marzyć i grać o różnościach! Tam nic go nie dzieliło od czynów kawalerów, tam miał długi Löffen i legendarną baśń życia.

Tymczasem w posiadłości jego szło wszystko właściwym trybem, rosło i dojrzewało pod strażą łagodnej pani domu. Wszyscy żyli tu cicho, szczęśliwie, bez goryczy i sporu, skargi ni cierpienia, a każda rzecz i sprawa toczyła się swoją koleją. Cóż poradzić na to, że pan domu tęsknił za życiem w Ekeby, czyż żalić się nań, jak na słońce, co zachodzi w każdą noc, zostawiając ziemię w ciemności.

Prócz uległości nic nie jest niezwalczone, a nic też nie odnosi tak bezwzględnego zwycięstwa, jak cierpliwość.

CZAROWNICA Z GÓR.

Czarownica z gór dalekich przybyła nad brzegi Löffenu. Miała krągłe plecy, była niska, a ubranie jej stanowił kaftan skórzany i pas srebrem kuty. Niewiadomo czemu od wilczych nor przyszła w osiedla ludzkie i czego szukała pośród zielonych równi.

Mimo bogactwa swego żebrała, chciwie gromadząc datki. W górach niedostępnych miała skrzynie srebra, po górskich wąwozach pasły się trzody owiec i złotorogich krów, będące jej własnością, a mimoto chodziła w drewniakach, natłuszczonym, skórzanym, kaftanie, którego barwny rąbek przeświecał przez wiekowy brud napychała fajkę mchem i żebrała u najbiedniejszych. Djabeł sam winien obdarzać jeno taką babę, nie dziękującą nigdy i nigdy nie sytą.

Stara była. Nikt nie mógł powiedzieć, przed ilu laty poświata młodości opromieniała tę twarz czarną, błyszczącą od tłuszczu, o płaskim nosie i wąskich oczach, łyskających niby skry z popiołu. Kiedyżto, siedząc przed szałasem kosiarza, odpowiadała na rogu miłosnemu graniu zakochanego pasterza? Żyła od kilkuset lat, najstarsi pamiętali, że się włóczyła po całym kraju, a taką samą widzieli ją ich ojcowie za swych lat młodych. Ja sama, która to piszę, widziałam ją i pewnie dotąd nie zmarła.

Mocarna była ta córka Fina, znającego się na czarach i nieugięta. Kroczyła twardo szerokiemi stopy po żwirze dróg, sprowadzała grad, kierowała piorunami, umiała na błędne drogi sprowadzać krowy i szczuć wilki na owce. Słowem, dużo czyniła złego, a dobrego nie wiele, toteż należało żyć z nią w zgodzie. Jeśli żebrała o kozę, to trzeba ją było dać, gdyż inaczej mógł paść koń, spłonąć dom, zachorzeć krowa, umrzeć dziecko, albo oszaleć oszczędna i porządna gospodyni domu.

Nikomu nie była miła, a jednak każdy witał ją z uśmiechem. Nie wiedziano, poco przybywa, choć pewnym był każdy, że nie idzie jej wyłącznie o napełnienie sakwy dziadowskiej. Zło i różne znaki jawiły się wraz z nią, lisy i wilki wyły o zmierzchu, a szkaradne, czarne i żółte robactwo, spluwające jadem, przyłaziło z lasu, aż pod progi domostw.

Dumna była prastarą wiedzą tajemną, mocarne runy wyrzezane miała na lasce, której za nic w świecie dać z ręki nie chciała, śpiewała czarodziejskie pieśni, warzyła czarodziejskie napoje, oddawała czarodziejskie strzały po przez jezioro i wiązała węzły na burzę.

Cóż myślała o ludziach okolicznych? Dla niej, która wierzyła w Tora, pogromcę olbrzymów i potężne fińskie bożyszcza, byli Chrześcijanie tem, czem swojskie psy wiejskie wobec wilków. A jednak przychodziła często z gór przyjrzeć się ich karlim obyczajom. Ludzie drżeli na jej widok, ona zaś chodziła pośród nich pewna i spokojna, pamiętna swej sławy i władzy i jak kot ufa swym pazurom, ufała mądrości swej, oraz mocy pieśni boskich, a czarodziejskich. Jako król jakiś władała postrachem i była niezwyciężona.

Przeszedłszy wiele miejscowości, dotarła do Borgu i weszła bez wahania w bramę hrabskiego pałacu. Pogardzając schodami kuchennemi, kroczyła ku terasie, otoczonej kwiatami tak pewnie, jakby szła połoniną górską.

Zdarzyło się, że hrabina Märta wyszła właśnie zażyć prześlicznego dnia czerwcowego, a jednocześnie dziewczęta służebne niosły z wędzarni na drągu świeżo uwędzone szynki i połcie słoniny do śpiżarni. Przystanęły, a jedna spytała:

— Może jaśnie pani obejrzy szynki, czy dostatecznie są uwędzone.

Hrabina, zarządzająca gospodarstwem w Borgu, pochyliła się przez balustradę, chcąc obejrzeć wędliny, a w tejże chwili Finka położyła rękę na jednej szynce.

Przepyszna była, tłusta pachnąca jałowcem, istny kąsek dla bogów! Czarownicy zachciało się tej szynki.

Nie poniżała się do prośby i żebraniny. Wszakże z jej łaski rosły zioła i żyli ludzie, mogła sprowadzać mróz, burzę i powódź. Pocóż miała żebrać? Poprostu brała, czego jej się zachciało i koniec.

Ale hrabina Märta nie znała potęgi czarownicy.

— Idź precz, starucho! — zawołała.

— Daj mi tę szynkę! — rzekła czarownica.

— Oszalałaś chyba! — krzyknęła hrabina i kazała dziewczętom odnieść wędliny do śpiżarni.

Oczy staruchy rozbłysły gniewem i pożądaniem.

— Daj mi tę brunatną szynkę! — powtórzyła — Albo źle z tobą będzie!

— Wolę dać ją srokom! — odparła hrabina.

Czarowica zadrżała z gniewu. Podniosła kij z runami i wstrząsnęła nim groźnie, wymawiając

dziwne słowa. Włosy jej się zjeżyły, oczy sypnęły skrami a twarz wykrzywił skurcz.

— Ciebie samą zjedzą sroki! — zawołała po chwili.

Potem odeszła, mrucząc klątwy i wymachując kijem. Zwróciła się ku domowi, nie idąc dalej na na południe. Córa dziczy dopełniła swego celu, dla którego zeszła z gór.

Hrabina Märta została na terasie, śmiejąc się z szaleńczych ruchów wiedźmy, ale niedługo śmiech zamilkł na jej ustach. Ptaki nadleciały. Nie wierzyła oczom własnym. Nadleciały w istocie sroki, które ją miały zjeść.

Z parku i ogrodu nadleciały tuzinami, wyciągając szpony i rozwierając chciwe dzioby, wrzeszcząc i piszcząc. Przed oczyma hrabiny zamigotały czarno białe pióra, stała oszołomiona w chmurze ptactwa, którego skrzydła lśniły metalicznie w słońcu. Coraz to więcej srok napływało z całej okolicy, szumiąc lotkami złowrogo. Tuż przy oczach miała setki pazurów. Musiała uciec do sieni, skryć się za drzwi, nieprzytomna, ogłuszona wrzaskami i biciem skrzydeł.

Została w ten sposób odcięta od słońca, lata i całej radości życia. Żyć jej teraz padło za zamkniętemi drzwiami i spuszczonemi storami, wśród rozpaczy i strachu, graniczącego z obłędem.

Samo to opowiadanie, chociaż prawdziwe i stwierdzone, przez setki żyjących dotąd ludzi, wyda się szaleństwem, chociaż wszyscy wiedzą o tej legendzie.

Ptaki obsiadły balustradę terasy i cały dach pałacu, czekając na zjawienie się hrabiny. Pobudowały gniazda w parku i zostały tu na stałe, a nie sposób ich było odpędzić. Strzelanie pogorszało jeszcze sprawę, gdyż za każdą, która padła, nadlaty-

wało dziesięć nowych. Czasem wielkie stado ruszało na żer, ale zostawała liczna straż, a ile razy hrabina pokazała się, uchyliła story, lub spróbowała wyjść za próg, rzucała się na nią wrzeszcząca chmura i musiała uciekać do pokoju najodleglejszego.

Pędziła życie w sypialni, poza czerwoną salą i nieraz opowiadano mi, że owego czasu strasznego pokój ten wyglądał nader smutnie. Ciężkie portjery u drzwi i okien wisiały, podłogę pokryto grubemi dywanami, a ludzie chodzili cicho i mówili szeptem.

W sercu hrabiny zamieszkał blady strach, włosy jej osiwiały, twarz pokryły zmarszczki, a w ciągu miesiąca stała się staruszką. Nie mogła się oprzeć temu przerażeniu. W nocy zrywała się z krzykiem ze snu, sądząc, że sroki ją napadają. Nie wpuszczała ludzi, pewna, że za każdym wchodzącym przyleci stado wrogów, siedziała tedy zazwyczaj samotna, niema, zakrywając rękami oczy, kołysząc się w fotelu, chora, zrozpaczona i obezwładniona zaduchem, od czasu do czasu zrywając się z krzykiem i wyrzucając skargi.

Trudno o smutniejsze życie i każdy litował się nad biedaczką.

Nie mam więcej do opowiadania o niej, a to, com przytoczyła, dobre nie było. Mam niemal wyrzuty sumienia. Była dobroduszna i wesoła za młodu i dużom słyszała, nie zamieszczonych tu co prawda, arcyuciesznych historyjek.

Nie wiedziała jeno, że dusza wciąż łaknie. Zabawą i głupstwem żyć nie może. Jeśli zaś nie dostanie innego pożywienia, rozdziera zrazu, jak dzikie zwierzę innych, a potem samą siebie.

LATO.

Lato tego roku było upalne, jak lato obecne, kiedy to piszę. Nastała przepiękna pora roku.

Właśnie w tym czasie smucił się i cierpiał zły Sintram we Forsie. Gniewał go długi, słoneczny dzień i klęska ciemności, smucił wspaniały majestat listowia drzew i bujny kobierzec zaścielający ziemię.

Wszystko wypiękniało. Najbardziej szara i kamienista droga była teraz obrzeżona kwiatami, fioletową wyczką i żółtym lwizębem.

Lato panowało w pełni, dzwony broeńskiego kościoła słały swe akordy aż do Forsu, pokój objął wszystko, a Sintram zawrzał gniewem, że Bóg i ludzie śmią zapominać o jego istnieniu. Postanowił także pójść do kościoła, pokazać się rozradowanym i przywieść na pamięć ciemń beznadziejną, dzień bez zmartwychwstania, oraz zimę bez wiosny.

Włożył wilczą szubę i futrzane rękawice, zaprzągł do sanek czerwonego konia i przypiął do uprzęży janczary. Tak wyposażony, jakby przy trzydziestu stopniach mrozu, pojechał. Zgrzyt pod płozami sań przywodził mu mróz na myśl, a pianę na zadzie konia brał za szron. Nie było mu gorąco, gdyż promieniował chłód, jak słońce żar promieniuje.

Jechał rozległą równią na północ od broeńskiego kościoła. Wielkie, jasne wsi leżały wokół i pola ze skowronkami pod niebem. Nigdzie nie słyszałem takich skowronków, dziwi mnie też, jak mógł ogłuchnąć na ich śpiew.

Niejedno złościłoby go w drodze, gdyby patrzył. Przed chatami stały pochylone brzózki, a ściany widne przez otwarte okna przybrane były zielenią.

Najmniejsza żebraczka niosła gałązkę bzu, a chłopki miały pęczki kwiecia u chustek.

Okryte kwiatami drzewa i krzewy wieńczyły osiedla, a trawa była zdeptana od wesołego tańca, jakim czczono święto lata.

Po Löffenie płynęły liczne tratwy z drzewem, widniały na nich białe żagle, mimo braku wiatru, rozwinięte na uroczystość, a szczyty mostów zdobiły wieńce.

Drogami, do Bro wiodącemi szli do kościoła ludzie, a zwłaszcza kobiety przystrojone były odświętnie i miały nowe suknie z samodziału.

Wszyscy cieszyli się nieustannie pokojem świętalnym, ciepłem, nadzieją plonów, poziomkami, które zaczęły się rumienić przy drodze, mówili o pogodzie, śpiewie skowronków i powtarzali:

— Zaprawdę, jest to dzień Pański!

Wtem nadjechał Sintram. Klął, machał biczem nad grzbietem ociekającego potem konia, piasek zgrzytał szkaradnie pod płozami sań, a ostry brzęk jańczarów głuszył dzwony. Czoło jego okrywały zmarszczki gniewu.

Przybyli do kościoła zdumieli się, jakby na widok wcielonego djabła. A więc nawet w święto i pod-

czas lata nie podobna zapomnieć o ciemnie i złem. Ciężko, zaprawdę, jest żyć na ziemi.

Ludzie oczekujący początku nabożeństwa w cieniu kościelnego muru i na nagrobkach patrzyli w cichem zdumieniu, jak kroczył ku bramie. Przed chwilą rozradowani latem i rozkoszujący się życiem, doznali wrażenia, że nadchodzi tajemnicze jakieś nieszczęście.

Gdy szedł środkiem tłumu, zauważono z zabobonnym strachem sposób jego pozdrowienia i każdy, pominięty przezeń bardzo był temu rad, gdyż witał tych jeno, którzy mu służyli. Zdjął nisko czapkę przed proboszczem brobijskim, uniósł ją jeno zlekka mijając Marjannę Sinclaire i kawalerów, nie pozdrowił zaś wcale dziekana broeńskiego, ni naczelnika urzędu.

Sintram wszedł do kościoła, siadł na swojem miejscu i cisnął na ławkę rękawice, tak że głośno szczękły wilcze pazury, wszyte w skórę. Jednocześnie zemdlało na widok kosmatej postaci kilka kobiet siedzących przed nim i musiano je wynieść z kościoła.

Nikt nie śmiał wygnać Sintrama z kościoła, chociaż przeszkadzał w nabożeństwie wiernym, gdyż bano go się ogólnie.

Daremnie mówił dziekan o jasnem święcie lata. Nikt go nie słuchał, a wszyscy myśleli jeno o złem, o zimnie i tajemniczem nieszczęściu, którego zwiastunem był niesamowity dziedzic Forsu.

Po nabożeństwie udał się Sintram na zbocze kościelnego wzgórza i zaczął wodzić oczyma po wybrzeżu brobijskiem, trzech przylądkach zachodnich i głęboko po Löffenu. Wszyscy widzieli jak zaciśniętą pięścią grozi jezioru i zielonym wzgórzom. Potem zwrócił się na południe, śląc spojrzenie aż tam, gdzie

zdawała się kończyć powierzchnia wody, a wreszcie ku północy ku Gurlicie i Björdinet. Obracał się wkoło, zwijał pięść i groził, a wszyscy czuli, że dzierży w dłoni pioruny, które cisnąłby, gdyby jeno mógł, na spokojną okolicę, szerząc śmierć i rozpacz. Serce jego tak teraz przesiąkło złem, że radowało się jeno zagładą. Oszalały tą żądzą, srożył się nad wszystkimi, a ludzie nie znając przyczyn, szerzyli najdziwniejsze pogłoski. Opowiadano, że kiedy kościelny chciał zamknąć drzwi świątyni, klucz pękł na zwitku papieru, który był listem, skierowanym do istoty nie z tego świata.

Szeptano sobie, co było na tym papierze. Dziekan spalił go, ale kościelny podpatrzył czerwone litery na czarnem tle i powiedział, że Sintram chciał zniweczyć całą okolicę, widną z wieży brobijskiego kościoła, tak by las porósł kościół, a niedźwiedź i lis zamieszkał w ludzkich osiedlach. Pola miały leżeć odłogiem, a głosu koguta, ni psa słyszeć już tu nie miano. Nieszczęście to było służbą na rzecz złego ducha i Sintram przyrzekał, iż tego dokona.

Zasępili się wszyscy myślą o przyszłości, wiedząc jak potężne jest zło, jak nienawidzi tego co żyje, jak bezlitośnie radeby zamienić w dzicz całą równię, choćby przyszło wziąć do pomocy zarazę, głód, czy wojnę, celem wygnania precz każdego, kto miłuje uczciwą, pokojową pracę.

MUZYKA.

Dopomógłszy hrabinie Elżbiecie do odejścia, zapadł Gösta w smutek wielki, a widząc to, postanowili kawalerowie szukać pomocy u muzyki, gdyż potężna bogini, niejednego już pocieszyć zdołała.

Polecili też pewnego dnia lipcowego otworzyć drzwi wielkiej sali, zdjąć okiennice, wpuścić słońce zachodu i łagodne powietrze wieczorne. Zdjęto pasiaste pokrowce z mebli i osłonę z weneckiego świecznika, otwarto fortepian. Złocone gryfy, podtrzymujące marmurowe płyty stołów rozbłysły światłem, białe boginki na czarnem tle ponad zwierciadłami zatańczyły ochoczo, a różnokształtne kwiaty adamaszku zakwitły w czerwieni słońca. W kloszach mnóstwo było róż, przedziwnie pachnących, nieznanych tu, zdaleka sprowadzonych. Miały barwy przedziwne, były żyłkowane krwią, niby ludzkie ciało, to znów podobne śmietance o brzegach przejrzystych, lub ciemno purpurowe, z czarnemi cieniami. Zniesiono tu wszystkie róże Altringera, któremi radował ongiś kobiece serca.

Potem nagromadzono dużo nut i pultów, instrumentów dętych i rżniętych różnej wielkości, gdyż miała tu zapanować muzyka i pocieszyć Göstę.

Bogini wybrała symfonję oksfordzką starego Haydna, a kawalerowie jęli uczyć się jej. Mistrz Juljusz ujął batutę, każdy zaś grał na swym instrumencie. Grać umieli wszyscy, bo czyżby byli inaczej kawalerami?

Gdy wszystko było gotowe, zawezwano Göstę. Był jeszcze wyczerpany i zniechęcony, ale uradował go widok wspaniałej sali i myśl, że posłyszy piękny utwór. Wiadomo, że muzyka, to najlepsza towarzyszka dla tego, kogo lubi. Jest ochocza i radosna, jak dziecko, ognista i powabna, jak młoda dziewczyna, dobra i mądra, jak stary człowiek, który spędził owocnie życie.

Kawalerowie zaczęli grać cicho, niby powiew wiatru.

Mały Ruster z całą powagą przebierał palcami po flecie, wujaszek Eberhardt siedział pochylony nad wiolonczelą, z przekrzywioną peruką i drżącemi od wzruszenia wargami, zaś Bergh stał dumnie z fagotem. Czasem dmuchnął weń z całej piersi, ale zaraz spadała mu na czaszkę batuta mistrza Juljusza.

Wszystko szło dobrze, nawet wyśmienicie. Sama nawet bogini sztuki wyczarowaną została z nut, w tym celu, by rozpostarła płaszcz czarodziejski i wprowadziła Göstę z powrotem w krainę radości.

Czyż to naprawdę Gösta siedział tak blady i osępiały i czyż go starzy towarzysze zabawiać musieli, niby małe dziecko?

Nieszczególne miała teraz widoki powodzenia radość w Wermlandji.

Wiem, dlaczego kochali go ci starzy ludzie, gdyż nie trudno przedstawić sobie długie wieczory zimowe

i ciemń kryjącą osiedla, oraz dusze ludzkie. Wyobrażam sobie, jakim był, gdy przybył tu.

Wyobraźmyż sobie niedzielne popołudnie, kiedy praca spoczywa, a myśl tępieje. Dmie z uporem wichr północny, niosąc zimno, którego wygnać żaden ogień nie może. Mamy przed sobą nikłą, łojową świeczkę, którą ustawicznie czyścić trzeba. Z kuchni dolata jednostajny śpiew kościelnych hymnów.

Nagle zabrzmiały janczary sanek, szybkie kroki skrzypią po śniegu, potem dudnią po schodach i do izby wchodzi Gösta Berling. Śmieje się i żartuje. Jest życiem i ciepłem. Otwiera fortepian i gra tak, że dziwujemy się starym strunom. Znał wszystkie pieśni, każdą melodję i uszczęśliwiać umiał mieszkańców domu. Nigdy nie czuł zimna, ni znużenia. Człowiek smutny zapominał na jego widok trosk swoich. Miał dobre serce i litował się nad biednymi i słabymi. Był wprost genjuszem! Szkoda, że nie słyszeliście, jak o nim opowiadali starzy ludzie!

Był pewnie taki właśnie wieczór, gdy przybył do Munkerudu, do miłego domu zacnego naczelnika, o którym tak pobieżnie jeno wspomniałem. W domu tym, nie wstrząśniętym burzami czasu, spotkał Gösta proboszcza broeńskiego.

Gdy go tylko zobaczył, zasadził zaraz do fortepianu, mówiąc:

— Siadaj i graj Gösto. Przy fortepianie jesteś najużyteczniejszy!

Gösta grał i śpiewał, a zebrani uczuli niedługo, że nie mogą usiedzieć na miejscu. Stare damy i panowie wstali i zaczęli tańczyć, a gdy Gösta zanucił pieśń bellmanowską, zawtórowali mu. Proboszczowa,

choć stara i gruba, zakasała spódnicę i kręcąc się w kółko zaśpiewała ochrypłym, fałszywym głosem:

Ulla tańczy, podskakuje,
Koroneczki pokazuje,
Białe nóżki po kolana...
W błyskach świateł, aż do rana!

Proboszcz i wszyscy zebrani wybuchli śmiechem, wołając:

— Ten szelma, przy fortepianie umie ze starych robić głupców!

Teraz jednak siedział Gösta cichy, smutny i nadsłuchiwał, jak muzyka stara się go rozweselić. Wolałby może samotność i ciszę, ale ze względu na starych przyjaciół musiał słuchać muzyki. Osmucał ich smutkiem swoim, nie cieszyło ich już Ekeby i wyraźnie posunęli się w wieku.

Nagle, wśród najpiękniejszego ustępu wybuchnął płaczem. Życie wydało mu się smutnem, przysłonił twarz rękami i zapłakał, aż przeraził kawalerów. Nie były to bowiem słodkie łzy, jakie wywabiać zwykła bogini, muzyka, ale szloch rozpaczy. Nie wiedząc co czynić, złożyli instrumenty.

Bogini poddała im atoli zaraz myśl, by zaczęli coś wesołego, mistrz Juljusz ujął gitarę i zaczął śpiewać wesołe piosnki biesiadne, krzywiąc twarz i naśladując krowy i owce.

Dobry był pomysł bogini, ale Gösta trzasnął pięścią w stół, mistrz Juljusz podskoczył, a Gösta zawołał gwałtownie:

— Jestem nędznikiem, jestem wyrzutkiem, który żyje poto jeno, by sprowadzać na bliźnich nieszczęście! Mimoto jednak nie wolno wam, przyjaciele, drwić z mego smutku. Lepsi od was baliby się uczynić to!

Był niesprawiedliwy, wiedział to sam dobrze, ale nie mógł się opanować. Po wybuchu siedział milczący i zawstydzony, a oni milczeli także. Dotknęło ich to, dotkniętą uczuła się też bogini, ale przyszło jej nagle na myśl, że ma przecież pośród kawalerów dzielnego rycerza.

Był nim łagodny Löwenberg, któremu utonęła narzeczona, niewolnik Gösty, bardziej nad innych oddany mu. Przysunął się teraz płochliwie do fortepianu i musnął niepewną dłonią klawisze.

Na pierwszem piętrze, w skrzydle kawalerskiem miał Löwenberg stół z namalowaną klawjaturą i pultem na nuty, przy którym spędzał długie godziny codziennie, ćwicząc, grając utwory dla wprawy i ulubionego Beethovena. Bogini muzyka obdarzyła go swą łaską, on zaś pilnie odpisał sporą liczbę z trzydziestu sześciu sonat mistrza.

Nie ważył się jednak nigdy tykać instrumentu prawdziwego. Klawjatura pociągała go, odstraszając jednocześnie, a hałaśliwy fortepian, na którym odegrano już tyle polek, był mu świętością. Przedziwny to instrument o mnóstwie strun, zdolny tchnąć życie w dzieło kompozytora. Löwenberg przykładał doń ucho i słyszał zaraz przeróżne scherza i andante. Był to dlań ołtarz ku czci bogini, którego nie tykał nigdy przez szacunek. Nie spodziewał się dojść do sumy, potrzebnej na kupno własnego fortepianu, a na instumencie majorowej grać nie śmiał, gdyż nie okazywała wielkiej skłonności otwierać mu go.

Słyszał brzdąkanie polek i pieśni bellmanowskich, ale sądził, iż jest to ubliżaniem dla instrumentu, który też wydawał głos jękliwy. Gdyby zagrano Beethovena sądził, dopieroby zagrzmiał potężnie.

Teraz przyszedł jednak czas, właściwy dla Löwenberga. Zebrał całą odwagę i usiadł podniecony chęcią pocieszenia swego pana i władcy, akordami, śpiącymi w instrumencie.

Jął grać niepewnie, drżącymi palcami szukając tonów, zmarszczył brwi, próbował, nie mogąc znaleźć drogi, w końcu zaś zakrył twarz dłońmi i zaczął gorzko płakać.

Okrutnie postąpiła z nim bogini. Świętość nie była świętością. Nie śniły tu, czekając zbudzenia, akordy i nie tail się orkan tonów. Zgasła doszczętnie harmonja przecudna, godna bogów. Został jeno stary klekot i na tem koniec.

Ulitowała się jednak bogini i dała znak mądremu pułkownikowi. Wziął ze sobą Rustra i przynieśli we dwu, stół Löwenberga z rezydenckiego skrzydła.

— Patrzno, Löwenberg! — rzekł Baerencreutz, gdy wrócili. — Masz tu swój fortepian! Zagraj teraz coś Göście!

Łzy Löwenberga płynąć przestały, siadł i zagrał Beethovena młodemu, przygnębionemu druhowi.

W głowie starego biedaka zabrzmiały żywe akordy. Pewny był, że Gösta je słyszy i podziwia. Znikły wszelkie trudności, pasaże i tryle szły mu niezmiernie łatwo, tak że pragnął, by sam mistrz go słyszał.

Im dłużej grał, tem większy go ogarniał zapał, a każdy, poszczególny ton rozbrzmiewał coraz to potężniej. Grał:

— Czemuż bym cię kochać nie miał, o bólu? Czyż dlatego, że usta twe zimne są, policzki blade, uścisk dławi, a spojrzenie zamienia w kamień?

Jesteś, jak dumna kobieta, trudna do pozyskania, ale dająca rozkosz większą, niż miłość wszystkich innych. Wyklęty jesteś, ja zaś przyciskam cię do łona i trzymał będę na sercu, tak długo, aż zamróz uleci, a w duszy poczuję szczęście.

Cierpiałem bardzo od chwili utraty ukochanej. Była we mnie i wkoło mnie noc straszliwa. Modliłem się ciągle żarliwie, a Bóg mnie nie słuchał. Niebiosy były zamknięte. Z gwiezdnego nieba, nie zeszedł żaden anioł pocieszyciel.

Ale tęsknota moja rozdarła w końcu zasłonę, a tyś spłynął ku mnie na promieniu księżyca. Bólu— kochanku, przybyłeś w jaśnieniu wielkiem, uśmiechniony, w otoczeniu aniołków, z wieńcami róż, cytrami i fletniami, tak że na twój widok uczułem się szczęśliwy.

Ale znikłeś rychło i już nie było promienia księżycowego, po którymbym mógł sięgnąć do ciebie. Leżałem na ziemi bez skrzydeł, związany i kurzem okryty. Skarga moja brzmiała, jak ryk dzikiego zwierza i grzmot nieba. Piorun ci chciałem posłać gońcem i klątem zieloną ziemię, by ogień ją zniszczył, a zaraza wyniszczyła ludzkość całą. Przyzywałem śmierć i nicość, sądząc, że męki piekła, to raj wobec cierpień konania mego.

I wówczas to, o bólu, stałeś mi się przyjacielem. Czemużbym cię nie kochał, jak ową, trudną do pozyskania kobietę, która daje miłość potężniejszą, niż inne?

Tak grał biedny mistyk, oblany blaskiem zapału, przepojony tonami, pewny, że Gösta je słyszy i że go pocieszą na pewne.

Gösta słuchał, zrazu rozgniewany tą nową komedją, potem jednak ukoił go widok tego człowieka, grającego Beethovena. Wspomniał jego cierpienia i stratę ukochanej. Siedział teraz oto przy stole i starczyło mu to do szczęścia.

Gösta doznał upokorzenia i rzekł sobie:

— Czyż nie stać cię na cierpienie? Wszakże ubóstwo całego życia zahartowało cię, wszakże każde drzewo i każdy wzgórek uczył cię rezygnacji, wszakże wychowałeś się w kraju o ostrej zimie, a skąpem, upalnem lecie! Czyż zapomniałeś już sztuki wytrwania?

Tak, Gösto, — mężczyzna winien przyjmować odważnie i z uśmiechem wszystko, co mu przyniesie życie, inaczej nie jest mężczyzną. Straciłeś ukochaną, cierp tedy i znoś wyrzuty sumienia, ale na zewnątrz bądź prawdziwym Wermlandczykiem. Niech oczy twe błyszczą radością, a słowa sprawiają przyjemność przyjaciołom.

Życie i przyroda, to okrutnicy i niktby ich nie zniósł, gdyby dla przeciwwagi nie było radości i męstwa.

Męstwo i radość, to obowiązki życia. Nie zaniedbywałeś ich dotąd, czyń więc to samo dalej.

Czyż gorszy jesteś od Löwenberga, siedzącego tam, przy rzekomym fortepianie, czyś gorszy od tych wszystkich, beztroskich starców-młodzieńców? Wiesz przecież, że cierpienie nie oszczędziło z nich żadnego.

Spojrzał po towarzyszach, zasłuchanych z powagą w muzykę niedosłyszalną.

Nagle śmiech wesoły zbudził Löwenberga z marzeń. Podniósł ręce od klawiszów i nastawił uszu. Tak, to był śmiech Gösty, śmiech dawny, dobry,

zaraźliwy, najpiękniejsza muzyka, jaką stary Löwenberg słyszał w życiu.

— Wiedziałem — zawołał — że Beethoven pomoże! Już ozdrowiałeś, widzę.

I stało się, że dobra bogini, muzyka, wyleczyła z melancholji Göstę Berlinga.

PROBOSZCZ Z BROBY.

Wszechpotężny Erosie, wiesz dobrze, że czasem wydaje się, jakby któryś z ludzi zrzucił całkiem jarzmo twoje. Wymierają w jego sercu wszelkie uczucia, a szaleństwo wyciąga pazury ku nieszczęśnikowi. Ale niebawem jawisz się, wszechpotężny opiekunie życia, a zeschłe serce rozwija liście i niesie owoce, niby laska świętego.

Nikt nie mógł być nędzniejszą istotą od proboszcza z Broby i nikogo bardziej nie dzieliła od ludzi nikczemność i brak miłosierdzia. Zimą nie palił w piecach, siadywał na niemalowanej ławce, odziewał się w łachmany, żył suchym chlebem, a na widok żebraka wpadał w wściekłość. Głodził konia, sprzedając siano, krowy zaś jadały suchą trawę przydrożną i ogryzały mech ze ścian domu. Aż na gościńcu słychać było głosy głodnych owiec. Chłopi rzucali mu jadło, wzgardzone przez psy i odzież nie przyjętą przez nędzarzy.

Ręka jego wyciągała się po jałmużnę, a grzbiet chylił w podzięce. Żebrał u bogatych, a pożyczał biednym na procenty. Ujrzawszy pieniądz bity, drżał z niecierpliwości, dopóki go nie miał w kieszeni. A biada temu, ktoby nie zapłacił w dniu zapadłości!

Ożenił się późno i lepiejby mu było, nie czynić tego wcale. Żona zmarła ze smutku i wyczerpania,

a córka poszła na służbę do obcych. Starzał się, ale wiek nie przynosił mu spokoju, przeciwnie, szaleństwo nie opuszczało go, ni na chwilę.

Pewnego, pięknego dnia sierpniowego wjechała na wzgórze brobijskie, ciężka, zaprzężona w czwórkę kareta, wioząc wykwintną, starą pannę, która przybyła ze stangretem, lokajem i garderobianą. Przybyła ona w odwiedziny do proboszcza, którego za młodu kochała.

Był nauczycielem w domu jej ojca i pokochali się, ale dumna rodzina rozdzieliła ich. Postanowiła przed śmiercią zobaczyć umiłowanego i to było wszystko, czego spodziewała się jeszcze od życia.

Mała, wykwintna dama siedziała w powozie i marzyła. Nie jechała do nędznej plebanji na brobijskiem wzgórzu, ale do cienistej altanki w parku, gdzie na nią czekał ukochany. Widziała go młodym, kiedyto umiał całować i kochać. Wobec rychłego zobaczenia postać jego rysowała się przed nią jasno, jak nigdy. Był piękny, rozmarzony, płomienny, przepojony zachwytem.

Ona zaś pobladła, zżółkła, zwiędła i zestarzała się. Może nie pozna sześćdziesięcioletniej staruszki, myślała. Nie przybyła jednak, by się pokazywać, ale by zobaczyć umiłowanego w młodości, w całej dawnej, nietkniętej przez czas, krasie i pełni życia.

Przybyła z tak daleka, że nie słyszała nic o proboszczu z Broby.

Kareta wyjechała na szczyt i plebanja ukazała się oczom jadącej.

— Przez miłosierdzie boskie! — zawołał stojący na skraju drogi żebrak — Wspomóż pani biedaka!

Wykwintna dama dała mu srebrną monetę i spytała o plebanję, mającą tu gdzieś być w pobliżu.

Żebrak objął ją chytrem, bystrem spojrzeniem i powiedział:

— Plebanja stoi tam, na szczycie, ale w domu niema nikogo.

Wykwintna dama przybrała na te słowa taki wyraz, jakby miała zemdleć! Znikła cienista altanka, znikł ukochany. Jakże mogła mniemać, że znajdzie go tam, po czterdziestoletniem oczekiwaniu?

— Co sprowadza jaśnie panią na plebanję? — spytał żebrak.

Odparła, że przybyła w odwiedziny do proboszcza, którego dawniej znała.

Dzieliło ich czterdzieści lat i czterdzieści mil. Za każdą milą zrzucała z ramion troski i wspomnienia, tak że teraz, dotarłszy pod plebanję, stała się na nowo dwudziestoletnią dziewczyną, bez trosk i wspomnień.

Żebrak patrzył, a w jego oczach dama przemieniała się z dwudziestolatki w staruszkę i z powrotem w młodą dziewczynę.

— Proboszcz wróci po południu! — powiedział — Jaśnie pani uczyni najlepiej, jeśli zajedzie do brobijskiej gospody i wróci po południu. Ręczę za to, że proboszcz będzie w tym czasie w domu.

W chwilę potem, ciężka kareta z wykwintną damą stoczyła się na dół, ku gospodzie, a żebrak patrzył za nią drżąc na całem ciele i pragnąc całować ślady kół, padłszy na kolana.

Wyświeżony, ogolony, w trzewikach ze lśniącemi sprzączkami, w jedwabnych pończochach, z żabotem

i świeżych manszetach, stanął w południe tegoż dnia proboszcz przed dziekanową w Bro i powiedział:

— Jest to wykwintna dama, hrabianka, jakże ją tedy mogę, ja, biedak, przyjąć u siebie? Podłogi u mnie są czarne, salon pusty, o stropie zielonym od pleśni i wilgoci. Proszę bardzo, niechże mi pani dopomoże! Wszakże jest to wytworna dama, hrabska córka!

— Czyż nie możesz pan kazać powiedzieć, żeś wyjechał?

— Droga pani dziekanowo! — odparł — Wszakże czterdzieści mil przebyła, by zobaczyć mnie, biedaka. Nie wie, jak moje sprawy stoją. Nie mam dla niej łóżka, nie mam gdzie przenocować jej służby!

— Niech więc nie nocuje.

— Droga pani dziekanowo! — rzekł — Nie rozumie mnie pani, widzę. Wolę dać raczej wszystko, co oszczędziłem w ciągu życia, niż odmówić jej przytułku, pod moim dachem. Miała lat dwadzieścia, gdyśmy się rozstali, a od tego czasu minęło czterdzieści lat, racz że pani wziąć to w rachubę. Oto pieniądze, jeśli mogą się przydać, chociaż, zdaje mi się, że same pieniądze nie wystarczą!

Erosie, kochają cię kobiety i chętniej uczynią dla ciebie sto kroków, niźli jeden, dla innego boga.

Pokoje, kuchnia i śpiżarnie dziekanówki opustoszały, zaprzężono do wszystkich wozów i ruszono na plebanję brobijską. Dziekan mógł sobie, po powrocie z nauki konfirmacyjnej, chodzić po całym domu i zazierać do kuchni, nie znajdując niczego. Nie było żony, służby, ni obiadu. Cóż na to poradzić? Tak chciał Eros wszechwładny.

Po południu przytoczyła się na wzgórze kareta. Siedziała w niej stara panna, dumając, czy się znowu jakie nieszczęście nie zdarzy i czy spotka ukochanego.

Pojazd skręcił w bramę, ale utknął w niej, gdyż była za wąska. Stangret strzelał z bata, konie ciągnęły, lokaj klął, lecz jedno koło zawadziło o słup, a hrabianka nie mogła wjechać na plebanję, do ukochanego.

Po chwili wyszedł, wziął ją na silne, jak dawniej ręce i przygarnął do serca tak gorąco, jak przed czterdziestu laty. Ona zaś spoglądała w oczy jego taksamo błyszczące, jak wówczas, gdy miał dwadzieścia pięć lat.

Ogarnęła ją fala przeczucia, gorąca, jak nigdy przedtem. Wspomniała, że pewnego dnia wniósł ją tak na taras pałacowy. Żyjąc przez lat czterdzieści miłością, nie czuła już potem, co znaczy zostać tak wziętą w silne ramiona i patrzyć w młode, błyszczące oczy.

Nie widziała, że jest stary, patrzyła jeno w jego oczy.

Nie dostrzegła czarnej podłogi, zielonych od wilgoci stropów, widziała tylko te oczy. Proboszcz brobijski był to mężczyzna okazały, a w tej chwili nawet piękny, z temi oczyma. Słuchała jego czystego, silnego głosu, będącego pieszczotą. Czemże były dla niej meble z dziekanówki, czem jadło i służba? Nie dostrzegłaby pewnie niczego i nie uczuła braku, byle słuchać tego głosu i patrzeć w te oczy.

Nigdy nie była dotąd tak szczęśliwą.

Kłaniał się jej wykwintnie i dumnie, jakby była królową, on zaś jej ulubieńcem, przemawiał do niej ceremonjalnie, starym obyczajem, ona zaś uśmiechała się tylko i była szczęśliwa.

Pod wieczór podał jej ramię i wywiódł do zaniedbanego ogrodu. Nie widziała nic brzydkiego,

opuszczonego, nie dostrzegała pokracznych, koślawych krzewów, ale widziała wszędzie cięte szpalery, szmaragdowe trawniki, cieniste aleje, nisze z białymi posągami, młodość, wierność, nadzieję i miłość.

Wiedziała, że był żonaty, ale nie myślała o tem, bo i pocóż? Liczyła wszakże lat dwadzieścia, a on dwadzieścia pięć i kipiał młodością i siłą. Czyż młodzieniec ten mógł być skąpym proboszczem z Broby? Czasem szepnęło mu coś w ucho o smutnej przeszłości. Ale nie pamiętał w tej chwili o skargach biedaków, przekleństwach oszukanych, drwinach, pogardzie, piosnkach szyderczych i urągowiskach, gdyż serce jego płonęło niewinną miłością. Dumny młodzieniec nie mógł tak pokochać złota, by się dlań kalać, żebrać, znosić upokorzenia, cierpieć zimno, głód i poniżenie. Nie mógł dręczyć dziecka swego i żony, dla nędznego złota. To niemożliwe. Musiał być człowiekiem dobrym, jak inni, nie mógł być potworem.

Czyżby ukochana młodości jego chciała kroczyć obok nikczemnika, niegodnego piastowanego urzędu. Nie, zaiste! Wszechwładny Erosie, człowiek ten, ni dziś, ni dni następnych nie mógł być proboszczem z Broby.

Odjechała czwartego dnia poszerzoną bramą, kareta stoczyła się z brobijskiego wzgórza, ciągniona przez wypoczęte konie.

Cóż za sen, za rozkoszny sen. Przez trzy dni nie było ni jednej chmurki na niebie.

Wróciła uśmiechnięta do swego pałacu i marzeń. W życiu nie usłyszała już jego nazwiska i nie pytała oń. Pragnęła jeno do końca życia snuć to marzenie.

A on został w pustym domu, płacząc rozpacznie. Odmłodziła go. Czyż miał się z powrotem zestarzeć? Czyż miał wrócić doń zły duch i uczynić na nowo nikczemnikiem, człowiekiem godnym wzgardy, jakim był tak długo?

MISTRZ JULJUSZ.

Mistrz Juljusz zniósł z rezydenckiego piętra na dół swą, czerwono malowaną skrzynię. Potem dobył wielki plecak, towarzyszący mu w wędrówkach i napełnił go wonną wódką pomarańczową. Potem w przedział skrzyni nałożył chleba, masła i odleżałego sera, w piękny, zielono brunatny deseń, oraz wonnych szynek i przypiekanego ryżu z malinami.

Dokonawszy tego, jął mistrz Juljusz chodzić po całem Ekeby i żegnał się ze wszystkiem, popłakując. Po raz ostatni pogładził pięknie toczone kule kręgielniane i dzieci mieszkające na wzgórzu. Chodził od altanki do altanki w parku i do grot, zaszedł do stajen i stodół, głaskał konie, potrząsł za rogi złego byka i nadstawił cielętom dłonie do lizania. W końcu wrócił zapłakany do budynku głównego, gdzie czekało pożegnalne śniadanie.

O jakże okrutne jest życie i któż je znieść zdoła? Potrawy zawierały dnia tego truciznę, a wino żółć. Gardła rezydentów i odjeżdżającego ściskało wzruszenie, a mgła łez przysłaniała oczy. Mowę pożegnalną przerywało łkanie. O jakże okrutnem jest życie! Odtąd mistrz Juljusz żył będzie jeno tęsknotą, a usta jego nie złożą się do uśmiechu. Pieśni zamrą w jego pamięci, jak kwiaty jesienią. Zblednie, zwiędnie

i opadnie, niby zerwana róża, czy lilja. Nigdy już nie ujrzą biedni rezydenci mistrza Juljusza. Przez duszę jego sunęły smutne przeczucia, niby smagane burzą chmury, ponad zoraną świeżo ziemią. Miał wracać do domu, by tam umrzeć.

Stał przed towarzyszami w pełni sił i zdrowia, a nigdy go już ujrzeć nie mieli. Nie mieli już pytać żartobliwie, kiedy po raz ostatni oglądał swe kolana, nigdy też nie proponować, by im pożyczył swych policzków do gry w kręgle. Choroba ogarnęła już nerki jego i płuca i czuł oddawna, że dni jego życia są policzone.

Niechże tedy rezydenci ekebijscy zachowają w pamięci zmarłego i nie zapomną go nigdy!

Obowiązek go wzywał. W domu czekała matka. Od siedmnastu lat czekała jego powrotu z Ekeby, teraz zaś napisała, by wracał, a on chciał usłuchać. Wiedział, że będzie mu to śmiercią, ale postanowił dopełnić obowiązku, jako dobry syn.

Jakaż szkoda uczt wesołych! Jakaż szkoda łąk i wodospadu! Jakaż szkoda baśni skrzydła rezydenckiego, skrzypków, waltorni, życia w szczęściu i weselu! Rozłąka z tem wszystkiem równała się śmierci.

Mistrz Juljusz wyszedł do kuchni i pożegnał wszystkich domowników. Ogarnięty wzruszeniem, ucałował każdego z osobna, od klucznicy do żebraka w podwórzu, a dziewczęta służebne płakały nad smutnym losem wesołego, dobrego człowieka, który miał umierać.

Mistrz Juljusz polecił wytoczyć z wozowni swój wózek i konia wyprowadzić ze stajni. Niewiadomo było, jak to przyjmie stara Kajsa po siedmnastoletnim

odpoczynku przy pełnym żłobie, gdy jej przyjdzie biegać po wzgórzach i dolinach.

Mistrz Juljusz wydawał te zlecenia zdławionym głosem. Więc stara bryczka nie miała zbutwieć w wozowni, a stara Kajsa paść u ekebijskiego żłobu ze starości? Mimowoli miał za złe matce, że jeśli już nie myśli o tem, co dobre dla syna, to zapomniała widocznie o starej bryczce i kobyle. Jakże zdołają odbyć drogę tak daleką?

Najgorszem było rozstanie z kawalerami. Mały, krągły mistrz Juljusz, któremu łatwiej przyszłoby toczyć się, niż schodzić, przepojony był tragizmem do końca palców. Miał na myśli wielkiego Ateńczyka, spełniającego w gronie uczniów kielich trucizny. Miał też na myśli starego króla Gustawa, który przepowiadał, że lud szwedzki zapragnie go kiedyś dobyć z grobu.

W końcu zaśpiewał im najpiękniejszą pieśń swoją, myśląc o łabędziu, co śpiewa przed skonem. Chciał aby pamiętali, że duch królewski nie zniża się do skargi, ale odpływa na fali tonów.

Odśpiewano pieśń ostatnią, wypito ostatnią szklankę i zamieniono ostatni uścisk. Mistrz wdział płaszcz i ujął bat. Wszyscy mieli łzy w oczach, ale odjeżdżający wprost nie widział nic przez tę osłonę bólu.

W tej chwili posadzili go towarzysze w krzesło i znieśli, wydając okrzyki: Posadzili go gdzieś, bat trzasnął i pojazd ruszył z miejsca. Odjechał, a w chwili, gdy odzyskał zdolność widzenia, znalazł się na gościńcu.

Kawalerowie płakali wprawdzie, ogarnięci smętkiem, ale nie mogło to poskromić ich skłonności do figlów. Niewiadomo za czyją sprawą, Gösty poety, Baerenkreutza rabużysty, starego wojownika, czy

znużonego życiem Kristofera, dość, że stało się tak, iż ani zbutwiała bryczka, ani stara Kajsa nie opuściły Ekeby. Zaprzężono srokatego wołu do fury siana, wstawiono na wóz czerwoną skrzynię i złożono plecak, potem zaś posadzono oślepionego łzami mistrza, nie na wóz, ale oklep na grzbiet wołu.

Człowiek jest widać stworzeniem zbyt słabem, by stawić czoło całej goryczy bólu. Kawalerowie opłakiwali bezsprzecznie odjeżdżającego przyjaciela, który miał zemrzeć, jak więdnąca lilja, czy łabędź śpiewający. Ale było im to ulgą w strapieniu, że siedział na srokatym wole, gdy jego zwaliste ciało wstrząsały spazmy rozczulenia, ręce wznosiły się i opadały rozpacznie, a oczy szukały w niebie sprawiedliwości.

Oszołomiony mistrz Juljusz odzyskał przytomność na gościńcu i spostrzegł, że siedzi na chwiejnym grzbiecie jakiegoś zwierzęcia. Wówczas, jak powiadają, zaczął on rozmyślać nad wszystkiem, co zaszło w ciągu ostatnich lat siedmnastu. Poczciwa Kajsa zmieniła się nie do poznania. Czyż tak na nią podziałać mogło dobre jadło z łąk ekebijskich? Potem zaś zawołał, niewiadomo, do kamieni na drodze, czy ptaków w krzakach:

— Niech mnie djabeł wsadzi na rożen, ale przysiągłbym, że ci kobyło wyrosły rogi!

Zesunął się ostrożnie z grzbietu mniemanej Kajsy, siadł na skrzyni i jechał dalej, zamyślony głęboko.

Niedługo, w pobliżu Broby usłyszał miarowy śpiew.

— Raz, dwa, trzy!
Idą strzelcy, jak się patrzy,
Idą sobie po ulicy,
Dzielni strzelcy Wermlandczycy,
Raz, dwa, trzy!

Ale nie byli to strzelcy, jeno wesołe panienki z Wergi i piękne córki naczelnika z Münkerudu. Niosły małe woreczki z jadłem na końcach lasek, trzymając je, jak karabiny i szły śpiewając miarowo:

Raz, dwa, trzy!
Idą strzelcy, jak się patrzy,
Idą sobie po ulicy,
Dzielni strzelcy Wermlandczycy,
Raz, dwa, trzy!

— Dokądże to Bóg prowadzi, mistrzu Juljuszu? — spytały, spotkawszy go, nie zważając na chmurę troski, przysłaniającą mu czoło.

— Odchodzę z przybytku grzechu i próżności! — odparł. — Nie chcę dłużej żyć pośród nierobów i urwipołciów! Wracam do matki mojej!

— Ej, to nieprawda! — zawołały — Mistrz Juljusz nie może opuścić Ekeby.

— Opuszczam je! — krzyknął, uderzając pięścią w skrzynię — Jako Lot z Sodomy i Gomory, uciekam z Ekeby. Niema tam teraz, ni jednego sprawiedliwego. Radował się będę sprawiedliwym sądem bożym, gdy ziemia rozewrze paszcz swoją, a niebo ześle deszcz siarki i ognia! Bywajcie zdrowe, dziewczęta i strzeżcie się Ekeby!

Chciał jechać dalej, ale dziewczęta nie zezwoliły. Miały zamiar wyjść na szczyt góry okolicznej, ale droga była daleka, toteż wolały podjechać wozem Juljusza. Szczęśliwy, kto umie się radować życiem i nie potrzebuje dyni, by mu ocieniała głowę. W ciągu dwu minut dziewczęta postawiły na swojem, mistrz Juljusz zawrócił i pojechał w stronę góry. Siedział uśmiechnięty na skrzyni, a wóz pełen był dziewcząt. Jechali zwolna, drogą obrzeżoną kępami wyki, rumian-

ków i dzikich goździków. Wół musiał często odpoczywać, dziewczęta zsiadały, by zrywać kwiatki i wkrótce kapelusz Juljusza i rogi wołu przystrojone zostały w wieńce.

Trochę dalej natrafiły na zagajnik młodych brzóz i ciemnych olch. Zsiedli wszyscy z wozu i zaczęli rwać gałęzie, a mistrz Juljusz został ustrojony tak, że wyglądał, niby chodzący las. Przez cały dzień baraszkowano wesoło.

W miarę upływających godzin stawał się mistrz Juljusz coraz to łagodniejszym. Zaczął częstować dziewczęta swemi zapasami i śpiewać im. Wreszcie stanęli na szczycie góry, a Juljuszowi zabiło potężnie serce i łzy napłynęły do oczu. W natchnionych słowach jął wysławiać ukochany kraj swój.

— O Wermlandjo, przepiękna ziemio! Często, patrząc na mapę, dumałem, czem jesteś właściwie. Teraz rozumiem. Jesteś starym, pobożnym pustelnikiem, który siedzi i duma skrzyżowawszy nogi, z czapką na oczach. Jesteś myśliciel marzący, w płaszcz przybrany lasów, we wstęgi rzek strojny i dumą gór objęty. Tak podobny jesteś do natury, że cię obcy przybysz nie dostrzega. Ubóstwo pobożnych posiadłszy, siedzisz u wenerskiego jeziora, które ci opłukuje stopy. Po lewicy masz złoża kruszcu i kopalnie, które tętnią, niby serce twoje, a na północy, zadumana roztocz łąk, to zadumana głowa.

Ze łzami patrzę na cię, poważny olbrzymie, piękny w surowych kształtach, rozmodlony, pełen wyrzeczenia, a mimo surowości łagodny. Uwielbiam cię i lada dotknięcie twej szaty lesistej leczy mnie. Patrzyłem nieustannie w oblicze twoje, rozważając tajemnice jakie kryje. Czyżeś odgadł tajemnicę bytu,

czy dumasz nad nią, olbrzymie? Dla mnie i dla wielu, którzy odczuli powagę twoją jesteś wyobraźcielem wielkich myśli, inni atoli dostrzegają jeno piękno członków twoich i to im słoni wszystko.

Biada nam wszystkim, dzieciom Wermlandji, które piękna jeno domagają się od życia! Miast rezygnacji, powagi i ubóstwa, w pożądaniu wyciągamy ręce, błagając o piękno, jako dobro jedyne. Radzibyśmy mieć życie, jako różany krzew, na którym błyszczy wino, miłość i uciecha, dostępne wszystkim, chociaż kraj nasz inne ma oblicze, chociaż jest symbolem myśli, których nam brak.

O piękna, urocza Wermlandjo!

Mówił tak ze łzami w oczach, a głos mu drżał. Dziewczęta słuchały zdumione i wzruszone także. Nie wiele rozumiały z głębi, ukrytej pod powłoką żartu i śmiechu.

Wieczorem wsiedli wszyscy na wóz i odjechali, a dziewczęta nie spostrzegły, dokąd je wiezie mistrz Juljusz, aż stanęły w Ekeby.

— Wstąpmy, potańczyć trochę! — rzekł do dziewcząt, zatrzymując wołu przed bramą.

Cóż powiedzieli kawalerowie, ujrzawszy towarzysza w zwiędłym wieńcu na kapeluszu i z pełnym dziewcząt wozem?

— Pewni byliśmy, że musiał gdzieś jeździć z dziewczętami? Inaczej, od kilku już godzim byłby z powrotem!

Wspomnieli teraz, że mistrz Juljusz żegnał się dziś z Ekeby poraz siedmnasty już, czyli czynił to każdego roku. Ale mistrz Juljusz nie pamiętał w tej chwili ani poprzednich usiłowań, ani też ostatniego. Sumienie jego zasnęło znowu na cały rok.

Nie zwykłym był człowiekiem mistrz Juljusz. Tańczył zgrabnie, grał żwawo, władał smyczkiem i piórem, serce miał wrażliwe i piękne słowa, oraz pieśni na ustach. Ale cóżby mu przyszło z tych wszystkich zalet, gdyby nie miał sumienia, które budziło się raz do roku, wzorem owych jednodniówek, które wychodząc z ciemności, rozwijają skrzydła, by przez parę godzin tańczyć w jasnych promieniach słońca.

ŚWIĘCI Z GLINY.

Kościół svartsjoeński jest biały wewnątrz i na wierzchu, białe ma ściany, kazalnicę, ławki, pulpity, strop, okna i kapę ołtarza... wszystko jest tam białe. Niema tam ozdób, obrazów, ni tarczy herbowych. Ponad ołtarzem widnieje drewniany krzyż, przewiązany białą szarfą. Dawniej było inaczej. Strop pokrywały obrazy, a mnóstwo barwnych figur z kamienia i gliny mieścił dom boży.

Przed wielu laty, pewnego dnia letniego, stał w Svartsjö malarz, zapatrzony w płynące po niebie chmury. Widział jak się wznoszą ze skraju widnokręgu, coraz to wyżej, tworząc olbrzymie kształty. Wzdymały żagle, niby okręty, podnosiły sztandary, jak wojownicy idący na zdobycie nieba. Przed słońcem atoli, władcą świata, udawały chmury zgoła niewinne istoty.

I tak, lew krwiożerczy przybierał postać damy w pudrowanej peruce. Olbrzym mocarny, stawał się zadumanym sfinksem. Niektóre postacie kryły swą nagość w szyte złotem płaszcze, inne barwiły rumieńcem białe policzki. Tworzyły się równie, wyrastały lasy i zamczyska, o wysokich wieżycach. W końcu, białe chmury zagarnęły całe szafirowe sklepienie i nakryły słońce.

Jakżeby to było pięknie, pomyślał nabożny artysta, gdyby stęsknione duchy mogły z gór wysokich wstąpić na te chmury i popłynąć niemi, niby okrętami, wzwyż.

I nagle uświadomił sobie, że te białe chmury letnie są to rzeczywiście statki błogosławionych.

Ujrzał ich na wielkich, płynących masach mgły, z liljami w rękach, w koronach złocistych, a powietrze drżało ich śpiewem. Aniołowie zlatywali na powitanie z góry. Mnóstwo było tych świętych, a w miarę rozpościerania się chmur, przybywali coraz to nowi. Spoczywali na bieli puchu, jak lilje wodne na toni spokojnego jeziora, zdobiąc go, jak lilje zdobią pole. Cóż za radosna to była podróż w niebiosy! Wznosiły się chmury, a każda mieściła hufce niebiańskie, w srebrnych zbrojach i śpiewaków nieśmiertelności, w szytych złotem płaszczach.

Artysta ten malował później strop svartsjoeńskiego kościoła. Chciał na nim oddać owe płynące, pełne błogosławionych, chmury. Rękę miał silną, ale sztywną nieco, tak że chmury przypominały raczej loki wełnistej peruki, niż utwory z mgły, a święci przybrali postać zgoła ludzką i materjalną. Mieli purpurowe płaszcze, wysokie infuły biskupie, długie kaftany ze sztywnemi, kapłańskiemi kołnierzami, także wielkie głowy, przy drobnych postaciach, a byli wyposażeni w chustki i książki do nabożeństwa. Z ust powiewały im wstęgi z łacińskiemi napisami, zaś najwybitniejszych usadowił artysta na mocnych, drewnianych fotelach, by wygodniej odbyli zaświatową podróż.

Bóg sam i wszyscy, zresztą, ludzie wiedzieli, że duchy błogosławionych nie objawiły się nigdy artyście

i dlatego nie zdołał on ich przedstawić w nadziemskiej piękności. Ale obrazy podobały się ogólnie i wprawiały nieraz pobożnych w nastrój modlitewny, toteż zasługiwały na poszanowanie.

Za czasu panowania kawalerów, kazał hr. Dohna pomalować kościół na biało. Toteż obrazy zniszczały, a także usunięto posągi świętych.

Biedni ci święci z gliny!

Żadna ziemska troska nie była mi tak dotkliwą, jak ich strata, a nigdy większym bolem nie przepełniło mnie okrucieństwo na ludziach, jak na nich dokonane.

Wyobraźcież sobie. Był tam św. Olaf z koroną na hełmie, z toporem w ręku, a u nóg swych miał pokonanego olbrzyma. Na kazalnicy stała Judyta w czerwonym gorsecie i błękitnej spódnicy, z mieczem w jednej, a klepsydrą, miast głowy asyryjskiego wodza, w drugiej dłoni. Była tam również tajemnicza Saba, w błękitnym gorsecie i czerwonej spódnicy, z jedną nogą w kształcie gęsiej stopy i sybilińskiemi księgami w ramionach, a dalej leżał w chórze, na ławce św. Jürgen bez konia i smoka, które zniszczały, św. Krzysztof z laską okrytą liśćmi i św. Eryk z berłem i toporem, ubrany w krótki, malowany w kwiaty płaszcz.

Nieraz siedziałam tam w niedzielę, smuciłam się zatratą obrazów i posągów i tęskniłam za niemi. Przystałabym już, gdyby im brakło nosa, czy nogi, lub gdyby starła się pozłótka. Blask legendy zakryłby mi to przed oczyma.

Zazwyczaj trzeba świętym dorabiać, to berło, to ucho, to nos i odświeżać ich szaty. Ale poczciwi chłopi nie uczyniliby im krzywdy, gdyby nie hrabia Dohna, który ich kazał wyrzucić z kościoła.

Nienawidziłam go z całą pasją dziecka, jak biedny rybak nienawidzi nicponia, psującego mu sieć, czy łódkę, jak żebrak skąpą gospodynię, wzbraniającą mu chleba. Głód mi dokuczał i pragnienie przez czas nabożeństwa. On zabrał mi chleb ducha, on mi zniszczył łódź i sieć, w którą pochwycić chciałem wizje święte.

Dorośli nie znają prawdziwej nienawiści. Czyż mogłabym dziś nienawidzieć tak nędzną istotę, jak hrabiego Dohnę, lub szalonego Sintrama, czy przeżytą hrabinę Märtę? Ale za lat dziecięcych!... Wielkie to dla nich szczęście, że wówczas, dawno już leżeli w grobie.

W tej chwili, być może, stał właśnie na kazalnicy proboszcz i mówił o pokoju i zgodzie, ale słowa jego nie dochodziły do miejsca mego, w kościele. Gdybym miała glinianych świętych, zrozumiałabym niezawodnie ich naukę.

Siedząc, rozmyślałam nieraz nad historją ich zatraty.

Kiedy hrabia Dohna unieważnił swe małżeństwo, miast odszukać żonę i wprowadzić ją w dom, oburzyło to wszystkich, gdyż wiedziano, że uciekła przed prześladowaniem, by nie zostać na śmierć zadręczoną. Hrabia chciał odzyskać łaskę Boga i szacunek ludzki jakimś dobrym czynem, kazał tedy odnowić kościół. Pomalowano go na biało i zniszczono obrazy, on zaś sam, wraz z robotnikami zniósł posągi świętych do łodzi i zatopił w Löffenie.

Jakże śmiał podnieść rękę na wybrańców Boga?

Jakże mogło dojść do takiej zbrodni? Czyż zbrakło miecza w ręce, która ścięła głowę Holofernesa? Czyż królowa Saba zapomniała całej mądrości swojej, która razi dotkliwiej od jadowitej strzały?

Święty Olafie, stary wikingu i smokobójco Jürgenie, czyż przepadła już legenda o waszych czynach bohaterskich i zbladł nimb cudów waszych? A może święci nie chcieli bronić się przeciw gwałtowi. Chłopi svartsjoeńscy nie mieli już farby na ich suknie, ni pozłotki na korony, przeto zgodzili się, by ich hr. Dohna zatopił w bezdni jeziora. Nie chcieli już, widać, oszpecać domu bożego. Ale wspominali pewnie biedacy owe czasy, kiedy się przed nimi modlono na kolanach.

Siedziałam, myśląc o czołnie ze świętymi, sunącem pewnego letniego wieczoru po gładkiej powierzchni Löffenu. Wioślarz obzierał się, raz po raz lękliwie na dziwnych podróżnych, ale obecny przy tem hr. Dohna nie czuł strachu. Brał własną, dostojną ręką jednego po drugim i ciskał we wodę. Czoło miał pogodne i oddychał głęboko. Czuł się bojownikiem nauki ewangelicznej. Żaden nie nastąpił cud ku czci świętych. Spadali cicho i bez oporu w toń.

Następnej niedzieli błyszczał bielą kościół svartsjoeński, a żaden już posąg nie przeszkadzał wnętrznemu skupieniu. Wierni mogli zatapiać się w niebiańskie wizje jeno oczyma ducha, a modlitwy płynęły w niebo na własnych skrzydłach, nie czepiając się płaszcza świętych.

Zieloną jest ziemia, urocze mieszkanie ludzi, a błękitnem niebo, cel ich tęsknoty, świat cały pełen jest barw. Dlaczegóż kościół ma być biały, jak zima, nagi, jak nędza, blady, jak strach? Nie lśnił, niby szron zimą w lesie, nie błyszczał perłami i koronkami, niby biała oblubienica. Zimny był, posmarowany białą farbą klejową i pusty, bez obrazów i posągów.

Niedzieli tej zasiadł hrabia Dohna w chórze, na haftowanym w kwiaty fotelu, tak by go wszyscy

widzieć i wielbić mogli za to, że ponaprawiał ławki, wyrzucił szpetne posągi, oszklił okna i pomalował kościół na biało. Wolno mu to było uczynić i postąpił wedle swego zrozumienia, by ułagodzić gniew Pana. Czemuż się atoli za to domagał pochwały?

Mając serce obarczone grzechem okrucieństwa, winien był siąść na ławie pokutników, lub paść na kolana i błagać braci i sióstr swych w Chrystusie o modły, by go Pan ścierpieć raczył w przybytku swoim. To mu raczej przystało, jak siedzieć w chórze i żądać pochwał za to, że chciał się pogodzić z Bogiem.

Tak, hrabio Henryku! Bóg spodziewał się zastać cię na ławie pokutników i nie dał się omamić chwalbą ludzką. Pozostał on Bogiem sprawiedliwości, który otwiera usta kamieniom, gdy milczą ludzie.

Nabożeństwo zostało ukończone, przebrzmiał ostatni akord śpiewu, ale nikt nie wyszedł z kościoła, gdyż proboszcz wstąpił na kazalnicę, by wygłosić ku czci hrabiego mowę dziękczynną. Nie miało jednak dojść do tego.

Nagle rozwarto drzwi kościoła i weszli dawni święci, ociekający wodą Löffenu, okryci zielonym mułem i poczerniali od błota. Posłyszeli widać, że ma być sławiony ten, który ich wygnał z domu bożego i rzucił do zimnych fal. Zapragnęli także wtrącić słowo.

Nie w smak im był jednostajny szmer wody.

Nawykli do modlitw i pieśni nabożnych, milczeli jednak dotąd, pewni, że dzieje się to wszystko ku chwale Boga. Ale tak nie było. Siedział tu oto, w pełni wspaniałości hrabia Dohna na środku kościoła i czekał podzięki. Nie mogąc na to zezwolić, wyszli z mokrego grobu, przywędrowali do kościoła

i ukazali się wiernym. Wszyscy poznali św. Olafa z koroną na hełmie i św. Eryka z kwiatami na płaszczu, oraz poczerniałych, św. Jürgena i Krzysztofa. Nie było ich więcej. Królowa Saba i Judyta nie przybyły.

Osłupiali ludzie przyszli po chwili do siebie i jęli szeptać:

— To rezydenci! To rezydenci!

Oczywiście sprawili to rezydenci. Podeszli bez słowa do hrabiego, wzięli go, wraz z fotelem na barki, wynieśli z kościoła i posadzili na wzgórzu kościelnem.

Nie mówili nic, nie patrzyli w prawo, ni w lewo, wynieśli tylko poprostu hrabiego z domu bożego, a potem ruszyli najkrótszą drogą w stronę jeziora. Nikt ich nie wstrzymywał i nie zastanawiał się nad ich postępkiem, gdyż wszyscy zrozumieli najdokładniej, że mają oni własny pogląd na sprawę.

— My, kawalerowie uznaliśmy, że hrabia Dohna nie zasługuje, by go wysławiać w domu bożym i dlatego wynieśliśmy go na pole. Teraz, jeśli ktoś chce, niech go wniesie z powrotem!

Ale nie został wniesiony, a mowa dziękczynna nie doszła do skutku. Wierni rozeszli się i wszyscy uznali postępek kawalerów za słuszny.

Ludzie wspomnieli o dręczonej tak okrutnie, wesołej hrabinie borskiej, która była dobrą dla biednych i tak piękną, że sam jej widok sprawiał przyjemność.

Niezawodnie grzeszną była owa komedja urządzona w kościele, ale zarówno wierni, jak i proboszcz odczuli, że to, co mieli uczynić, stanowiło wprost drwiny z Boga i ogarnął ich wstyd wobec starych szaleńców, napoły zdziczałych.

— Kamienie mówią, gdy milczą ludzie! — powtarzano sobie.

Od dnia tego nie mógł hrabia Henryk wytrzymać w Borgu. Pewnej, ciemnej nocy, w początkach sierpnia stanęła przed podjazdem zamknięta kareta. Wszyscy lokaje otoczyli ją, a potem wyszła zawinięta szczelnie w szale, hrabina Märta, z gęstym welonem, na twarzy. Hrabia prowadził matkę, która drżała, nie mogła się odważyć zejść po schodach i wyjść na świat.

Na koniec dotarła szczęśliwie do karety, syn wskoczył za nią, zamknięto drzwi, a stangret zaciął konie. Gdy sroki zbudziły się rankiem, w pałacu nie było już nikogo.

Hrabia przebywał odtąd daleko, na południu, a Borg został sprzedany. Zmieniał on często właścicieli, ale chociaż tak piękny, nikomu, pono, nie przyniósł szczęścia.

WYSŁANNIK BOŻY.

Wysłannik boży, kapitan Lennart przybył pewnego, sierpniowego dnia, popołudniu do brobijskiej gospody i udał się prosto do kuchni. Wracał on do domu swego w Helgesäterze, położonego pod lasem o ćwierć mili na północ od Broby.

Kapitan Lennart nie wiedział wówczas jeszcze, że jest wysłannikiem bożym na ziemi, a serce jego radowało się myślą, iż zobaczy domostwo swoje. Ciężki go trapił los, ale walkę miał już za sobą i pewny był, że odtąd wszystko pójdzie dobrze. Nie wiedział, iż się zalicza do ludzi, którym nie wolno spoczywać pod własnym dachem i grzać się u własnego ogniska.

Kapitan był wesoły z usposobienia. Nie zastawszy nikogo w kuchni, zaczął w niej wyprawiać figle, poplątał nici na warsztacie tkackim, przekręcił sznur kołowrotka, potem rzucił kota psu na głowę i śmiał się jak szalony, patrząc na bój starych przyjaciół, którzy miotali się, jak wściekli drapiąc i gryząc wzajemnie.

Zwabiona wrzawą wyszła gospodyni i stanąwszy w progu patrzyła na rozweselonego gościa. Znała go dobrze, ale w chwili ostatniego widzenia siedział on na wózku więziennym, w kajdanach na rękach, co

jej zostało w pamięci. Przed pięciu laty przeszło, jakiś złodziej ukradł, podczas zimowego jarmarku żonie naczelnika okręgu w Karlsztadzie, mnóstwo klejnotów, pierścieni, naramienników i sprzączek. Były to rzeczy cenne i pamiątkowe i nie odnaleziono ich nigdy. Niedługo potem rozeszła się pogłoska, że złodziejem jest kapitan Lennart z Helgesäteru.

Gospodyni nigdy temu nie wierzyła. W istocie, dziwna to była pogłoska. Lennarta znano ogólnie jako człowieka dobrego i uczciwego. Żył on przykładnie z żoną, poślubioną, skutkiem braku środków, późno, miał dobrą pensję i mieszkanie urzędowe, cóżby go mogło tedy skłonić do kradzieży pierścionków i bransolet. Mimo to, o dziwo, kapitan Lennart został zasądzony, utracił stanowisko, order i musiał przez pięć i pół lat pełnić karne roboty w więzieniu.

Przyznał się, że zanim się dowiedział o kradzieży, był na jarmarku i wracając, znalazł brzydką bardzo bransoletę, którą podarował dzieciom. Była ona złota i stanowiła część rabunku. Ta okoliczność wywołała całą biedę. Głównym jednak sprawcą był zły Sintram, który wystąpił w roli oskarżyciela, chcąc usunąć z drogi kapitana Lennarta.

Niebawem bowiem wytoczono jemu samemu proces o sprzedaż prochu Norwegom w roku 1814 i Lennart mógł zeznawać wielce obciążająco. Sintrama uwolniono z braku dowodów.

Gospodyni patrzyła z upodobaniem na tego człowieka, który posiwiał i miał grzbiet pochylony, wyraźnie skutkiem strasznych przejść. Zachował jednak dobroduszność dawną i humor. Był taki sam, jak w dniu jej ślubu, kiedy ją wiódł do ołtarza i tańczył na weselu. Jak dawniej i teraz rozmawiał z każdym

napotkanym, każdemu dziecku rzucał monetę, każdej pomarszczonej staruszce mówił, że jest coraz młodsza i stojąc na beczce, przygrywał młodzieży do tańca, wokoło drzewka, w początkach maja. Takim pozostał Lennart.

— Matko Karin! — zawołał — Czy zechcesz jeszcze patrzeć na mnie teraz?

Zaszedł do gospody poto jeno, by się dowiedzieć, co porabia jego rodzina i czy nań czeka. Wiedzieli, że kara jego kończy się teraz właśnie.

Gospodyni miała same dobre wieści. Żona kapitana wzięła się po męsku do rzeczy, odnajęła urzędowe mieszkanie od następcy i radziła sobie doskonale. Dzieci były zdrowe, aż miło patrzeć. Oczywiście, czekali nań wszyscy w domu. Żona kapitana była to kobieta surowego sposobu życia i nie wyjawiała nigdy swych myśli, wiedziano jednak, że przez czas nieobecności kapitana nikomu nie było wolno jeść jego łyżką, ani siedzieć w jego fotelu. Od nastania wiosny codziennie chodziła kapitanowa na wzgórze patrzeć, czy mąż nie wraca. Miała też dlań gotowe ubranie, które sama, niemal w całości, sporządziła. Z tego wszystkiego wynikało, że nań czeka, choć nic nie mówi.

— Wy, kumo, nie wierzycie chyba w mą winę? — spytał Lennart.

— Nie, panie kapitanie! — odparła — Nikt w to nie wierzy u nas.

Usłyszawszy to, nie mógł Lennart dłużej wytrzymać i chciał iść do domu.

Tuż za progiem napotkał dobrych znajomych, kawalerów z Ekeby, którzy zjawili się właśnie w gospodzie, gdzie ich zaprosił Sintram na święcenie

swych urodzin. Bez wahania powitali więźnia i uścisnęli mu dłoń, a to samo uczynił Sintram.

— Drogi Lennarcie! — rzekł — Bądź przekonany, że Bóg miał w tem cel swój.

— Łotrze! — zawołał Lennart — Wiem dobrze, że nie Bóg cię ocalił przed toporem kata.

Roześmiali się wszyscy, a Sintram nie odczuł urazy, gdyż rad był, ile razy wspominano o jego stosunkach z djabłem.

Namówili Lennarta, by wrócił i wypił powitalny kubek, poczem będzie mógł iść domu. Ale źle na tem wyszedł. Od pięciu lat nie miał w ustach zdradliwego napoju, przytem nie jadł pewnie przez cały dzień i był wyczerpany długą wędrówką. Toteż wypiwszy parę kieliszków doznał oszołomienia.

Doprowadziwszy do tego, zaczęli weń kawalerowie wlewać napój. Nie mieli złych zamiarów, chcieli jeno okazać życzliwość temu, który od lat pięciu przeszło nie skosztował napitku.

Lennart był zawsze trzeźwym człowiekiem, a tego zwłaszcza dnia, kiedy wracał do żony i dzieci, nie miał zamiaru upić się. Niestety jednak legł na ławie szynkowni i zasnął.

Göstę skusiła bezwładność jego, wziął węgiel, trochę soku i ucharakteryzował go na zbrodniarza, co odpowiadało w sam raz, człowiekowi, wracającemu z więzienia. Podbił mu oko, zrobił czerwoną kresę przez nos, pozlepiał i zmierzwił włosy, a w końcu uczernił mu twarz sadzą.

Śmiali się z tego przez chwilę, poczem Gösta chciał umyć twarz śpiącego.

— Daj pokój! — rzekł Sintram — Zobaczy to po obudzeniu i będzie się śmiał.

Zostawiono go w tym stanie, a kawalerowie przestali myśleć o kapitanie. Pijatyka trwała przez całą noc. Dopiero o świcie podniesiono się z miejsc, a wszyscy mieli w głowach więcej wina, niż rozumu.

Powstało pytanie, co zrobić z kapitanem Lennartem.

— Zawieźmy go do domu! — rzekł Sintram — Żona jego ucieszy się bardzo, a nam miło będzie patrzeć na jej radość. Czuję wzruszenie na tę myśl. Tak, zawieźmy go do domu!

Wszystkich to wzruszyło. Zaprawdę, uraduje się wielce zacna kobieta z Helgesäteru!

Zaczęli trząść kapitanem, aż się zbudził i posadzili go na jeden z pojazdów. Potem cała czereda ruszyła do Helgesäteru. Jedni spali, drudzy chwiali się, tak że omal nie spadli na ziemię, a w końcu inni śpiewali, by nie ulec senności. Wszyscy wyglądali nie lepiej od włóczęgów i mieli napuchłe twarze.

Przybywszy na miejsce, zostawili konie w tylnem podwórzu i uroczyście wstąpili na schody podjazdu. Baerencreutz i Juljusz wiedli z obu stron Lennarta.

— Zbudź się, Lennarcie! — powiedzieli doń — Wszakże widzisz, że jesteś w domu!

Otwarł oczy i oprzytomniał niemal całkiem. Rozczuliło go, iż mu towarzyszyli.

— Przyjaciele! — rzekł, stając zwrócony do wszystkich — Pytałem Boga, czemu mi kazał tyle wycierpieć...

— Milcz Lennarcie! — zawołał Baerencreutz — Schowaj dla siebie kazanie.

— Niech mówi! — powiedział Sintram — Dobrze mówi!

— Pytałem, a nie rozumiałem odpowiedzi, lecz teraz wiem wszystko. Oto Bóg chciał mi pokazać,

że mam przyjaciół, którzy mi towarzyszą, by widzieć moją i mojej żony radość. Żona czeka na mnie. Czemże jest wobec tego pięcioletnia niedola?

Silne pięści zadudniły tymczasem po drzwiach, gdyż kawalerom nudno było słuchać.

Wewnątrz powstał ruch, zbudziły się służebne i wyjrzały. Narzuciły spiesznie odzież, bały się jednak otwierać takiej czeredzie mężczyzn. W końcu odsunięto rygle i wyszła pani Lennart.

— Czego chcecie? — spytała.

— Przyprowadzamy pani męża! — odparł Baerencreutz.

Wysunęli naprzód kapitana, ona zaś spojrzała na chwiejącego się, umazanego opryszka, poza którym chwiało się mnóstwo podobnie pijanych mężczyzn.

Cofnęła się, on zaś rozpostarł ramiona i podszedł.

— Odeszłeś jako złodziej, a wracasz jako włóczęga! — krzyknęła i odeszła w głąb domu.

Nie rozumiejąc, chciał iść za nią, ona jednak uderzyła go w piersi.

— Sądzisz, że uznam takiego, jak ty człowieka panem mego domu i mych dzieci? — spytała.

Drzwi zatrzasnęły się przed nosem Lennarta i zasunięto rygiel. Kapitan rzucił się na drzwi, zaczął niemi wstrząsać.

Kawalerowie śmiali się na całe gardło. Był tak pewny swej żony. Przygoda rozweseliła ich wielce.

Słysząc to, rozgniewał się kapitan Lennart i rzucił się na nich. Odbiegli i wskoczyli do pojazdów, on ruszył za nimi, ale potknął się i upadł. Wstał, lecz nie gonił ich dalej. W mózgu błysło mu teraz, że najdrobniejsza rzecz nie dzieje się bez woli bożej.

— Dokądże chcesz mnie zawieść? — spytał — Jestem puch unoszony tchnieniem twojem. Dokądże mnie wiedziesz, zamykając przedemną drzwi domu mego?

Odszedł od domu, przekonany, że taką jest wola boża.

O wschodzie słońca stanął na brobijskiem wzgórzu i spojrzał w dolinę. Ludność tej doliny nie wiedziała jeszcze wówczas, że przyszedł wybawca. Żaden biedak, ni smutny nie wił wieńców i nie zdobił drzwi domu, nie sypano wonnych liści lawendy i płatków kwiatów polnych na progi, które miał przekroczyć. Matki nie pokazywały go dzieciom, gdy je mijał. Nie czyszczono na jego przyjęcie chat i nie ukrywano zakopconego ogniska jałowcowemi gałęźmi, a mężczyźni nie pracowali na wyścigi, by oczy jego spoczęły na dobrze uprawnych polach i prosto wyciętych rowach.

Spoglądał smutnemi oczyma na spustoszenie, jakie uczyniła susza, na plony, tak zmarniałe, że ludzie nie mieli ochoty uprawiać roli pod nowy zasiew. Spoglądał ku sinym lasom i widział w słońcu postacie zczerniałe, wypalone pożarem. Patrzył na zniszczałe od suszy brzozy przydrożne. Spostrzegł po różnych, drobnych oznakach, po odorze gnojówek mijanych domostw, obalonych płotach i małej ilości drzewa opałowego, jakie zwożono i rąbano, że ludzie przestali zajmować się dobytkiem swoim, że nastała klęska, czasu której jedyny pocieszyciel, to zobojętnienie i wódka.

I dobrze było nawet, że to widział. Wszakże nie mógł patrzeć na kiełkowanie posiewu na własnem polu, siedząc przy własnem ognisku spoglądać w ga-

snące węgle, trzymać za ręce dzieci i mieć obok siebie wierną żonę. Dobrze było, iż sam osmucony widział innych, pogrążonych w smutku, którym mógł spieszyć z pociechą. W onym czasie ubóstwa i niedostatku niejeden lepiej uposażony pogarszał jeszcze położenie ludności i psuł je. Wszakże proboszcz brobijski był skąpcem szkaradnym, nie zaś dobrym pasterzem, wszakże kawalerowie z Ekeby szerzyli marnotrawstwo i pijaństwo, a Sintram utwierdził wszystkich w wierze, że spaść musi zniszczenie i śmierć na całą okolicę.

Kapitan Lennart stał na brobijskiem wzgórzu i coraz wyraźniej czuł, że jest potrzebny Bogu. Dlatego to nie zawezwała go do siebie skruszona małżonka.

Wspomnieć trzeba, że kawalerom nie przyszło wcale do głowy, iż winni są wrogiemu postępkowi pani Lennart. Sintram milczał. W okolicy zaczęto się gorszyć kobietą, której duma nie pozwoliła przyjąć w dom tak dobrego człowieka. Opowiadano, że przerywała szorstko każdą wzmiankę o mężu, nie mogąc znieść jego imienia. Ale kapitan nie starał się wcale wpoić jej innego zapatrywania.

Minął dzień.

Pewien stary gospodarz w Högborgu leżał na łożu śmierci. Przyjął ostatnie sakramenty, siły go opuściły i wiedział, że umrze lada chwila. Jak ktoś, mający rozpocząć długą podróż, kazał się przenosić nieustannie z łóżkiem z izby do kuchni i z powrotem, co świadczyło dobitniej jeszcze, niż głośne rzężenie, iż przyszła nań ostatnia chwila.

Stali w koło niego żona, dzieci i służba. Był bogaty, szanowany i szczęśliwy, to też nie umierał

samotnie, ani w otoczeniu niecierpliwych, obcych ludzi. Umierający mówił o sobie, jakby już stał przed Bogiem, a obecni potwierdzali jego słowa.

— Byłem pracownikiem pilnym i dobrym gospodarzem. Kochałem żonę, jako prawicę swoją, dobrze wychowywałem dzieci moje, nie piłem, nie zaorywałem granic, nie pędziłem konia pod górę, nie głodziłem krów w zimie i nie pozwoliłem latem owcom chodzić z wełną.

Jak echo rozbrzmiewały chórem przytakiwania płaczących.

— O tak! Był dobrym gospodarzem... nie gnał pod górę konia i nie głodził krów.

Tymczasem wszedł do chaty biedny człowiek, by uprosić sobie trochę jadła i napoju i usłyszał słowa konającego.

A starzec mówił dalej:

— Karczowałem lasy i osuszałem bagna. Ciągnąłem proste skiby pługiem. Rozbudowałem stodołę, tak że może pomieścić trzy razy tyle zboża, jak za czasów mego ojca, kazałem też zrobić z talarów trzy srebrne kubki, a ojciec mój jeden jeno sprawił sobie.

Słowa te, świadczące o zaletach umierającego, posłyszał biedak u drzwi stojący, a także potakiwania obecnych.

— Bóg da mi dobre miejsce w niebie! — rzekł starzec.

— Bóg użyczy panu naszemu dobrego miejsca u siebie! — przytakiwali wszyscy.

Przerażenie ogarnęło stojącego u drzwi, który był przez lat pięć piłką w ręku Boga i pierzem, poru-

szanem oddechem jego. Zbliżył się do konającego i ujął jego dłoń.

— Przyjacielu! — rzekł drżącym ze wzruszenia głosem — Czyliż pomyślałeś, kim jest Pan, przed którym masz stanąć niedługo? To Bóg potężny! Światy są jego polem, a burza wierzchowcem jego. Niebiosa tętnią odgłosem bożego stąpania, ty zaś stajesz przed nim, mówiąc: — Ciągnąłem proste skiby, siałem żyto i ścinałem drzewa! — Chwalisz się i mierzyć z nim ośmielasz? Czyż nie wiesz, jak potężny jest Pan, do którego dziedziny odchodzisz?

Starzec rozwarł szeroko oczy, twarz mu wykrzywił strach, a rzężenie stało się głośniejsze.

— Nie przystępuj z chwalbą własną do Pana!— mówił wędrownik — Najpotężniejsi są w jego stodole wymłóconą słomą. Przez cały dzień rzuca on posiew, wykopał morze i spiętrzył góry, a ziemię okrył roślinami. To robotnik niezrównany i mierzyć się z nim nie zdołasz! Ukorz się, ukorz przed Bogiem, duszo ulatująca! Padnij w proch przed Panem i władcą swoim! Burza pańska leci nad tobą, a gniew boży postrach szerzy. Pochyl się, chwyć jak dziecko skraj płaszcza i żebrz miłosierdzia. Ukorz się przed Stwórcą swoim, duszo odlatująca!

Oczy starca rozwarły jeszcze szerzej, dłonie złożyły do modlitwy, twarz rozpogodziła, a rzężenie ustało.

— Duszo człowiecza! — zawołał przybyły — Uniżyłaś się kornie w ostatniej chwili przed Bogiem, toteż niechybnie weźmie cię, jak dziecko w ramiona i wprowadzi w światłość wiekuistą.

Starzec odetchnął głęboko raz jeszcze i oddał ducha, kapitan Lennart ukląkł i jął się modlić, a z nim wszyscy, wzdychając ciężko.

Zmarły miał na twarzy wyraz pokoju, a oczy jego błyszczały, zda się, odblaskiem szczęsnych wizyj zaziemskich. Uśmiech krasił jego usta, a wszystko świadczyło, że patrzył w oblicze Boga.

Wielka, piękna, to dusza, myśleli patrzący, co rozerwała pęta ciała. Ukorzyła się przed Stwórcą swoim, on zaś wziął ją, jak dziecko w ramiona.

— Patrzył w oblicze boże! — powiedział syn, zamykając oczy ojca.

— Widział otwarte niebiosy! — szlochały chórem dzieci i służba.

Stara gospodyni dotknęła drżącą dłonią ramienia Lennarta i powiedziała:

— Panie kapitanie! Byłeś mu wielką pomocą w najstraszniejszej chwili.

Milczał. Uczuł, że posiada dar wielkich słów i doniosłych czynów. Był jako motyl drżący, który dopiero co opuścił poczwarkę, o skrzydłach lśniących, niby samo słońce.

— — — — — — — — — — — —

To zdarzenie pchnęło kapitana Lennarta pomiędzy ludzi. Inaczej byłby wrócił do domu i ukazał żonie prawdziwe oblicze swoje, ale teraz nabrał przekonania, że jest potrzebny Bogu. Toteż został bożym wysłannikiem i pomagał biednym ludziom. W czasie onym wielka panowała nędza, a rozum i dobra wola cenniejsze były od złota i potęgi.

Kapitan Lennart przybył pewnego dnia do biedaków, pod Gurlitą mieszkających. Nie mieli ziemniaków, a zbrakło im też ziarna na siew.

Kapitan Lennart przepłynął w małem czółnie jezioro, udał się do Sintrama i poprosił go o zboże i ziemniaki. Sintram przyjął go dobrze, oprowadził po wielkim śpichrzu i piwnicy, gdzie były zeszłoroczne jeszcze ziemniaki i kazał napełnić wory i płachty przywiezione.

Zauważył jednak, że czółno kapitana Lennarta jest za małe na tak ciężki ładunek. Kazał przeto przenieść wszystko na łódź większą i polecił parobkowi swemu, silnemu Maensowi, zanieść wszystko na miejsce, tak że kapitan Lennart miał tylko z małem czółnem do czynienia.

W drodze minął go Maens, zręczny wielce żeglarz, a Lennart płynął wolno, dumając o przedziwnych losach ziarna posiewowego. Zostanie rzucone w czarną ziemię, pełną popiołu, kamieni i ułamków drzewa, ale puści korzenie i wyrośnie w dziczy. Rozmyślał nad miękkiemi, zielonemi kłosami i pochylony pieścił je dłonią. Potem wspomniał o jesieni i zimie, które miną bez szkody, a z wiosną ziarno zacznie rość szybko. Dzielne serce jego radowała myśl o wysokich dźbłach, zakończonych śpiczastemi kłosami, co zrazu powiewając wąsami, pochylą się potem, obciążone pięknem ziarnem. Przyjdą kosiarze, zboże padnie, pójdzie pod cep, do młyna, zamieni się w mąkę, potem w chleb i choć tak go nie wiele w czółnie, nasyci liczną rzeszę.

Parobek Sintrama przybił do brzegu, a ludzie podeszli do łodzi. Wedle polecenia swego pana, powiedział:

— Pan mój przysyła wam słód i zboże, bo słyszał, że wam brak wódki.

Ludzie popadli w szał, wdarli się na łódź i spadali we wodę, chwytając wory. Ale nie takie miał zamiary kapitan Lennart.

Przybiwszy do lądu rozgniewał się pośpiechem ludzi i chciał rozdzielać ziemniaki na pożywienie, zaś zboże do siewu. Nie postało mu w głowie prosić o słód.

Zaczął wołać, by zostawili worki w spokoju, ale go nie usłuchano.

— Niechże się wam tedy zboże przemieni w piasek, a ziemniaki w kamienie! — zawołał rozgoryczony.

I w tejże chwili wydało się, jak gdyby kapitan Lennart uczynił cud. Dwie kobiety, wydzierające sobie worek, przedarły go i okazało się, że zawiera piasek, a niosący ziemniaki mężczyźni zauważyli, że są ciężkie, jak kamienie.

W istocie, cała przesyłka, był to jeno piasek i kamienie. Ludzie osłupieli ze zdumienia, dziwując się wysłannikowi bożemu, a sam kapitan nie mógł pojąć, co się stało. Maens jednak śmiał się.

— Odjedź do domu! — rzekł doń kapitan — Odjedź, zanim ludzie spostrzegą, żeś przywiózł jeno piasek i kamienie. Inaczej mogliby ci zniszczyć łódź.

— Nie boję się! — odparł parobek.

— Odjeżdżaj, mówię ci! — rozkazał kapitan tak stanowczo, że usłuchał.

Potem wyjaśnił ludziom, że Sintram zadrwił sobie z nich. Ale nie chcieli wierzyć, uważając wszystko za cud. Wieść o tem poszła szybko po okolicy, a zamiłowana w rzeczach cudownych ludność uwierzyła w nadprzyrodzoną władzę kapitana Lennarta. Osięgnął przez to wielką władzę nad chłopami i zwali go odtąd wszyscy wysłannikiem bożym.

CMENTARZ.

Był piękny dzień sierpniowy. Löffen lśnił jak zwierciadło, ziemię okryła mgła, brzeg południowy opadał łagodnym stokiem.

Pułkownik Baerencreutz, o białych, sumiastych wąsach, przysadzisty i mocny, jak olbrzym, z kartami rabuge'a w tylnej kieszeni surduta, zeszedł ku jezio-rowi i wsiadł w płaskie czółno. Towarzyszyli mu major Anders Fuchs i mały Ruster fletnista, który był doboszem w pułku strzelców wermlandzkich i przez długie lata służącym i przyjacielem pułkownika.

Na przeciwległym brzegu jeziora znajdywał się cmentarz. Svartsjoeński cmentarz zdobiło niewiele jeno krzywych, chwiejnych krzyżów, mnóstwo nato-miast wzgórzy, porastała ostra trawa, oraz trawa pasiasta, zwana powszechnie „ludzką trawą", dla zaznaczenia, że jak jej liście odmienne od siebie, życie każdego człowieka bywa odmienne. Nie było tu żwirowych ścieżek, ni cienistych drzew, z wyjąt-kiem starej lipy, na zapomnianym grobie proboszcza. Wysoki, smutny mur kamienny otaczał cmentarz ubogi, zaniedbany i brzydki, niby oblicze skąpca, noszące ślady nieszczęścia tych, których pozbawił mienia. Mimo to jednak, leżący tu śpią spokojnie w poświę-conej ziemi, pochowani przy pieśniach nabożnych

i modłach. Ale Acquillona, muzyka, który zmarł zeszłego roku w Ekeby, pochowano poza murem. Był to niegdyś człek dumny, rycerski, dzielny wojownik, śmiały strzelec, muzyk i szczęśliwiec co się zowie. Skończyło się jednak na tem, że zmarnował spadek swych dzieci i wszystko, co sam zgromadził wraz z żoną, potem zaś porzucił rodzinę i przybył przed wielu laty do Ekeby na rezydencki chleb. Zeszłego roku, pewnego wieczoru przegrał majętność ziemską, będącą utrzymaniem rodziny i zastrzelił się, woląc raczej umrzeć, jak zapłacić długi. Ciało samobójcy pochowano poza omszałym murem nędznego cmentarza.

Po jego śmierci zostało jeno dwunastu kawalerów, gdyż nie przybył trzynasty, prócz owego, który wylazł wigilijnej nocy z hutniczego pieca.

Kawalerowie boleśnie odczuli los towarzysza, choć i własny ich los miłym nie był. Wiedzieli, że co roku jeden umrzeć musi. Zresztą nic w tem złego. Kawalerom starzeć się nie wolno. Czemże są dla życia, czem życie dla nich, gdy omglone oczy nie mogą rozróżnić kart, a drżąca dłoń podnieść szklanki? Ale straszna to rzecz spoczywać, jak pies, pod murem cmentarza, gdzie nie rośnie w spokoju trawa, ale depcą po niej pasące się owce, gdzie ziemię kraje pług i łopata, kędy szybko przechodzi wędrowiec, nie miarkując kroku, a dzieci krzyczą i hałasują dowoli, gdzie wreszcie mur nie dopuści głosu trąb archanielskich, zwołujących pomarłych na sąd ostateczny!

Baerencreutz przejechał jezioro. Przejechał przez jezioro marzeń moich, na którego brzegach widywałam przechadzających się bogów, a z fal którego wy-

chodził zamek urojony. Przejechał koło lagunów wyspy Lag, gdzie stoją jodły na małych ławicach piasku wprost w wodzie i gdzie sterczą dotąd ruiny zamku rozbójniczego na stromej skale. Minął las pod przylądkiem borskim, gdzie zwisa nad urwiskiem stara sosna, w miejscu, na którem schwytano ongiś potężnego niedźwiedzia, a kopce kamienne kurhanów świadczą o starożytności tych miejsc.

Opłynął przylądek, wysiadł z czółna, tuż pod cmentarzem i dotarł przez zżęte pola hrabiego z Borgu do grobu Acquillona.

Pochylony, pogładził trawę, jak kołdrę, pod którą leży chory przyjaciel, potem zaś dobył karty i usiadł przy grobie.

— Leży tu samotnie Jan Frederyk i radby zagrać partyjkę! — powiedział.

— Wstyd to i hańba, by taki człowiek miał spoczywać pod murem! — dodał major Anders Fuchs, wielki myśliwy i usiadł obok pułkownika.

A mały Ruster powiedział wzruszony, roniąc gęste łzy z małych, czerwonych oczu.

— Po panu, panie pułkowniku, był to najlepszy człowiek, jakiego znałem.

— Tak, — rzekł mały Ruster, ulicznik karlsztadzki, wielki nicpoń i awanturnik, którego jednak zamiłowanie do muzyki przedziwnie ucywilizowało i doprowadziło do równej z panem jego, rangi społecznej. Dwa bohaterskie czyny wsławiły go w młodości. Pewnego dnia pojechał on z Acquilonem do Göteborgu, żyli tam jak panowie, jadali w pierwszych hotelach, bywali u wybitnych ludzi, tańczyli z najpiękniejszemi kobietami, co nocy grywali o tysiące koron, a wszystko to czynili, nie posiadając oera

w kieszeni. Drugi czyn miał miejsce w Niemczech. przy pułku, podczas odparcia nieprzyjacielskiego ataku, Połowa już ludzi poległa, ale on i pułkownik nie ruszyli się z miejsca. Przybył adjutant następcy tronu i kazał się cofnąć. Ale pułkownik rzekł:

— Proszę pozdrowić Jego Królewską Mość i powiedzieć, że bił się będę do ostatniego człowieka, a potem z resztą wykonam odwrót!

Żołnierze krzyknęli hura, a Ruster dobosz zabębnił wesoło.

Od tego dnia pułkownik Baerencreutz był cierniem w oku następcy tronu i dostał dymisję bez łaski i pensji, z tego jeno powodu, że był zbyt odważny, jak mawiał mały Ruster.

Ci trzej dostojni mężczyźni siedzieli przy grobie i grali z powagą i skupieniem.

Patrzę na świat i widzę dużo grobów, tam spoczywa możnowładca przyciśnięty płytą marmuru. Brzmi nad nim marsz żałobny, a chorągwie się chylą. Widzę groby ludzi kochanych. Zroszone łzami wieńce spoczywają lekko na trawie. Widzę groby zapomniane i pełne pychy miejsca spoczynku, które kłamią i które nie mówią nic. Nigdy jednak nie widziałem, by walet treflowy zapraszał do kompanji mieszkańca grobu.

— Jan Frederyk wygrał! — oświadczył pułkownik. — Pewny byłem tego. Wszakże odemnie uczył się grać. Tak, tak, teraz my trzej zmarliśmy, a on jeden jedyny żyje.

Rzekłszy to, zebrał karty, wstał i wszyscy trzej wrócili do Ekeby. Zmarły musiał odczuć, że nie wszyscy zapomnieli jego grobu opuszczonego. Dziwny to coprawda hołd, jakim obłędne serca uczciły kochanego człowieka, ale radował on zapewne tego,

którego zwłokom nie pozwolono spocząć w poświęconej ziemi. Radował się, że nie wszyscy go potępiają.

Przyjaciele moi! Po śmierci zostanę pewnie złożona na cmentarzu, w grobie rodzinnym. Nie zagrabiłam swym bliskim majątku i nie targnęłam się na życie własne, ale napewne nie zaskarbiłam sobie tyle miłości i nikt dla mnie tyle nie uczyni, ile kawalerowie dla tego zbrodniarza uczynili.

Nikt nie przyjdzie wieczór, kiedy będzie smutno i samotnie, do ogrodu umarłych i nie włoży mi kart barwnych w kościste palce.

Nie przyjdzie nikt... nie z kartami oczywiście, gdyż nie wabią mnie... ale ze skrzypcami i smyczkiem i nie zagra duchowi memu, który tkwi może jeszcze pod darnią, w pobliżu rozpadłego w proch ciała, by się pokołysał na fali tonów, jak łabędź na lśniącej wodzie.

STARE PIEŚNI.

Marjanna Sinclaire siedziała pewnego, cichego popołudnia przy końcu sierpnia w swym pokoju i porządkowała listy i inne papiery.

Wokoło niej było mnóstwo porozstawianych rzeczy, wielkie, skórzane torby, kute żelazem walizy powozowe, a na krzesłach i kanapach leżały części jej ubrania. Wydobyła przeróżne rzeczy ze skrzyń na strychu, z szaf i kufrów, wszędzie lśnił jedwab, płótno, klejnoty, które czyścić zamierzała, oraz szale i futra dla wyboru i naprawy.

Marjanna wybierała się w długą podróż, a nawet nie wiedziała, czy kiedykolwiek wróci do kraju. Stanęła właśnie na rozdrożu życia i paliła mnóstwo starych listów i zapisków, nie chcąc, by ją obarczały wspomnienia.

Nagle wpadła jej w rękę paczka starych pieśni. Były to odpisy pieśni ludowych, które jej śpiewała matka w dziecięcych latach. Rozwiązała sznurek i zaczęła czytać.

Po chwili uśmiechnęła się smutnie do przedziwnej mądrości, jaką głosiły te stare pieśni.

— Nie dowierzaj szczęściu, ni oznakom szczęścia, ni różom, ni innym, uroczym kwiatom.

— Nie dowierzaj śmiechowi! — powiadały — Oto piękna Walborga jedzie w czerwonej, pozłocistej karecie, a jest tak smutna, jakgdyby podkowy i koła miażdżyły jej szczęście.

— Nie dowierzaj tańcowi! — mówiły — Nogi mkną nieraz lekko po lśniącej podłodze, a serce cięży ołowiem. Jung Kirsten tańczyła wesoło, a uciekało z niej przytem młode życie.

— Nie dowierzaj żartom! — mówiły — Nie jeden zasiada do stołu, rzucając żarciki, a radby umrzeć ze smutku. Oto tam siedzi piękna Adelina i zajada serce księcia Frydenborga, na dziewięć sposobów przyrządzone, w przekonaniu, że ten widok da jej siły potrzebne, by umrzeć.

O biedne, stare pieśni, czemuż tedy wierzyć? Czy łzom i trosce?

Rzadko wzdycha serce radosne, często jednak śmieją się smutne usta. Stare pieśni wierzą w łzy, westchnienia — w smutek i oznaki smutku. Troska to rzeczywistość i pewność jedyna na tej łez dolinie. Można wierzyć trosce i oznakom jej.

Radość sama, to jeno smutek zamaskowany. Na świecie nie istnieje właściwie nic, prócz smutku.

— O, beznadziejne pieśni! — powiedziała sobie — Jakże nikłą jest mądrość wasza w porównaniu z pełnią życia!

Podeszła do okna i spojrzała na przechadzających się rodziców. Chodzili szeroką ścieżką ogrodową i rozmawiali o wszystkiem, co im wpadło w oczy, o trawie na polu i ptakach nieba.

— Oto tam wzdycha z troski serce, chociaż nigdy jeszcze tak szczęśliwe przedtem nie było.

Przyszło jej na myśl, że wszystko w gruncie rzeczy zależy od człowieka, a radość i smutek zawisły jeno od sposobu ujmowania rzeczy. Zadała sobie pytanie, czy jej przeżycia roku minionego były radością, czy smutkiem i nie wiedziała dobrze co odrzec.

Ciężkie przeszła rzeczy. Dusza jej była chora. Ugięła się pod strasznem poniżeniem. Wróciwszy do domu, powiedziała sobie:

— Zapomnę o wszystkiem złem, jakiego się dopuścił ojciec wobec mnie!

Ale serce mówiło co innego.

— Sprawił mi ból śmiertelny, odrywając mnie od ukochanego, a bijąc matkę, doprowadził mnie do rozpaczy. Nie życzę mu nic złego, ale napełnia mnie strachem.

Zauważyła, że musi panować nad sobą, by zostać spokojnie na miejscu, gdy obok niej siadał. Miała w takich razach wielką chęć uciekać. Próbowała usunąć to, mówiła jak zazwyczaj i przebywała niemal wyłącznie w jego towarzystwie. Umiała panować nad sobą, ale cierpiała niewymownie. Doszło do tego, że znienawidziła w nim wszystko, donośny, szorstki głos, ociężały chód, wielkie ręce i całą mocarną, olbrzymią postać. Nie życzyła mu nic złego, ani szkodzić nie chciała, ale za każdem zbliżeniem doznawała uczucia przestrachu i obrzydzenia. Pokonane serce mściło się.

— Nie dałaś mi kochać, — mówiło — a jednak mimoto jestem twym panem i dojdzie do tego, że mnie znienawidzisz.

Nawykła do obserwowania przeżyć własnych, czuła, że ta nienawiść wzrasta z dnia na dzień. Jednocześnie dom wydał jej się wieczystem więzie-

niem, to też chciała iść między ludzi, ale od czasu choroby nie mogła się na to zdobyć. Wydawało jej się, że nic nie przyniesie jej ulgi, co dnia będzie nieszczęśliwszą, aż w końcu straci panowanie nad sobą i powie ojcu wszystko, z całą otwartością rozgoryczenia, poczem nastaną rozterki i niedola zupełna.

Na tem minęła wiosna i pierwsza połowa lata. W lipcu zaręczyła się z baronem Adrjanem, by mieć dom własny.

Pewnego dnia popołudniu wpadł baron w dziedziniec na przepysznym koniu. Piękny jego uniform huzarski błyszczał w słońcu, a bardziej jeszcze młoda twarz i oczy. Melchjor Sinclaire wyszedł sam na podjazd, by go przyjąć. Marjanna szyła przy otwartem oknie i słyszała każde słowo ojca.

— Witam cię, rycerzu słońca! — zawołał Melchjor — Wyglądasz przepysznie! Czyżbyś przybywał w zaloty?

— Tak, wujaszku! — odparł baron ze śmiechem.— Trafiłeś w sedno!

— Jesteś bezwstydny, chłopcze! Cóż dasz jeść żonie swojej?

— Jestem goły, wujaszku! Inaczej nie lazłbym w jarzmo małżeńskie.

— Tak? Ale musiałeś przecież zapłacić za ten szamerowany kubrak?

— Wziąłem na kredyt, wujaszku!

— A skądże masz konia? Warta bestja kupę pieniędzy!

— Pożyczony, wujaszku!

Melchjor nie mógł się oprzeć tej werwie i rzekł:

— Bóg z tobą urwiszu! Potrzeba ci żony z posagiem. Jeśli ci się uda nakłonić Marjannę, to bierz ją sobie!

W ten sposób wyklarowało się pomiędzy nimi wszystko, zanim jeszcze baron zsiadł z konia. Ale Melchjor Sinclaire wiedział co robi, gdyż baron Adrjan był dzielnym młodzieńcem.

Potem konkurent poszedł do Marjanny i odrazu wyjawił jej swe zamiary.

— Droga Marjanno! — powiedział — Mówiłem już z ojcem twoim. Radbym cię poślubić! Zgódź się, Marjanno.

Dobyła zeń całą prawdą. Oto ojciec jego, stary baron kupił znowu kilka pustych kopalń. Przez całe życie kupował ciągle takie kopalnie, bez wartości. Matka smuciła się, on sam popadł w długi i oto postanowił starać się o rękę Marjanny, by tem uratować ojcowski majątek i własny uniform. Posiadłość rodzinna, Hedeby-Alm, położona była po drugiej stronie jeziora, niemal naprzeciw Björne, znali się też dobrze, byli rówieśnikami i towarzyszami zabaw.

— Mogłabyś doprawdy wyjść za mnie! — powtórzył — Wiodę marne życie. Muszę jeździć na pożyczanych koniach i nie mam na krawca. Tak dłużej być nie może. Wezmę chyba dymisję i palnę sobie w łeb.

— Ależ Adrjanie! — zawołała — Cóż to będzie za małżeństwo? Wszakże nie jesteśmy w sobie ani trochę zakochani!

— Kpię z miłości, — oświadczył — to czyste głupstwo. Lubię dobrego konia i polowanie, ale nie jestem kawalerem od parady, tylko człowiekiem pracy. Gdy jeno zdobędę tyle, by ocalić majątek rodzinny

i zaopatrzyć matkę, będę zadowolony. Orać i siać, w to mi graj! Lubię pracować.

Popatrzył na nią dobremi oczyma, a Marjanna wiedziała, że mówi prawdę i że można mu zaufać. Toteż zaręczyła się z nim, głównie dlatego, by opuścić dom, ale także z powodu, że jej był zdawna miły.

Potem nastąpił miesiąc, będący okresem, który graniczył z obłędem wprost.

Z dniem każdym baron Adrjan stawał się bardziej milczącym i melancholijnym. Przyjeżdżał do Björne często, czasem dwa razy na dzień, ale zmiana jego usposobienia była zbyt wyraźna. Gdy zastał gości, zdobywał się jeszcze na żarty wobec narzeczonej, ale gdy byli sami, milczenie i nuda opanowywała oboje. Znała dobrze powód Marjanna. Nie łatwa to rzecz poślubić szpetną dziewczynę. Ogarniał go coraz większy wstręt, a Marjanna wiedziała, jak jest brzydką. Adrjan wiedział, że narzeczona nie pragnęła pieszczot, ni przysiąg miłosnych, ale mimo to trudno mu było przedstawić ją sobie jako małżonkę i sprawa pogarszała się z dnia na dzień. Dręczył się sam nadaremnie, a nie zrywał zaręczyn. Ona dawała mu wyraźnie do poznania, że tak uczynić powinien, sama jednak nie mogła nic poradzić, gdyż ojciec powiedział jej z całą otwartością, że dalsze ekstrawagancje w zakresie narzeczeństwa nie dałyby się pogodzić z jej dobrą sławą. Toteż znienawidziła obu mężczyzn jednakowo i uznała za dobry każdy sposób, któryby ją od nich oddalił.

Nagle, w parę dni po uroczystości zaręczyn nastąpiła dziwna, cudowna zmiana.

Tuż przed podjazdem dworu leżał w piasku ścieżki wielki kamień, który był powodem rozlicznych

utrapień i przykrości. Utykały na nim powozy, przewracały się konie i ludzie, a dziewczęta służebne rozlewały mleko, niesione w wielkich stągwiach. Mimo wszystko kamień leżał dalej. Znajdywał on się tu jeszcze za życia rodziców Melchjora, zanim wystawiono dwór björneński. Właściciel nie uznał jednak, by miał powód usuwać zawadę.

Przy końcu sierpnia upadły na ten kamień pewnego dnia dziewczęta, niosące wielkie wiadro z mlekiem, potłukły się dotkliwie i wszystkich ogarnął gniew.

Była właśnie pora śniadania. Pan domu odbywał zwyczajną poranną inspekcję gospodarstwa, że zaś ludzie byli w podwórzu, pani Gustawa poleciła dwu parobkom wykopać kamień. Wzięli łopaty, drągi i po długiej pracy udało im się dźwignąć z miejsca sprawcę złego. Potem, w sześciu zanieśli go w kąt podwórza.

Zaledwo to skończono, wrócił gospodarz i odrazu spostrzegł brak kamienia. Wpadł w gniew i oświadczył, że to już nie tosamo Björne. Kto się ośmielił usunąć kamień? Tak... więc to pani Gustawa poleciła uczynić? Te kobiety nie mają serca. Przecież wiedziała dobrze, że jest przywiązany do tego kamienia.

Potem poszedł, objął głaz ramionami, przyniósł na dawne miejsce i rzucił w piasek. Dokonał tedy tego, co sześciu ludzi, a czyn ów podziwiano swego czasu w Wermlandji.

Marjanna patrzyła z okna jadalni na niosącego kamień ojca i nigdy jej jeszcze nie wydał się tak straszliwym. Ten mocarz był jej panem i to panem pełnym zachcianek, liczącym się jeno z własną wolą.

Jadła właśnie śniadanie i miała nóż w ręce. Podniosła go mimowoli.

Pani Gustawa chwyciła ją za ramię i zawołała:

— Marjanno!

— Cóż mamo?

— Marjanno! Wyglądałaś tak strasznie, żem się przelękła.

Marjanna patrzyła na nią długo. Była to mała, zaschła osóbka, o szpakowatych włosach i licznych zmarszczkach, chociaż liczyła dopiero lat pięćdziesiąt. Miała zawsze dobry humor, a czyniła mimoto smutne wrażenie. Przypominała drzewo, sieczone wichrem na wybrzeżu, pozbawione spokoju, by wyrosnąć. Nauczyła się chodzić krętemi ścieżkami, kłamała w potrzebie i udawała głupszą niż była, aby uniknąć wyrzutów. Była w zupełności wytworem męża swego.

— Czy smuciłabyś się mamo, gdyby ojciec zmarł? — spytała Marjanna.

— Marjanno! Gniewasz się na ojca jeszcze. Czemuż nie przestaniesz teraz, gdy masz innego narzeczonego?

— Nie mogę, mamo! Boję się go. Wszakże wiesz, jaki jest i kochać go nie mogę. Jest gwałtowny, ordynarny, dręczył cię tak, że postarzałaś przed czasem. Czemuż ma być naszym panem? Zachowuje się jak szaleniec, czemuż mam go tedy czcić i szanować? Jest nie dobry, niemiłosierny, jeno mocny i może nas każdego dnia pozabijać, albo wyrzucić z domu. Czyż go mam kochać za to?

Pani Gustawa zmieniła się nagle, nabrała siły, odwagi i rzekła z wielką stanowczością:

— Opamiętaj się, Marjanno! Ojciec dobrze uczynił, widzę, wzbraniając ci w zimie wstępu do

domu. Zobaczysz, że cię za to spotka kara! Ucz się cierpieć bez nienawiści i chęci zemsty, Marjanno!

— Ach, mamo, jestem taka nieszczęśliwa!

Zaraz potem nastąpiło rozstrzygnięcie. Usłyszały, że coś padło w sieni ciężko na ziemię.

Nie dowiedziały się nigdy, czy Melchjor Sinclaire stał na schodach i pochwycił słowa córki przez otwarte okna jadalni, czy może porażenie wywołał wysiłek fizyczny? Znalazły go na ziemi, bez zmysłów. Ale nie śmiały nigdy pytać o powód, on zaś nie zdradził się z niczem. Marjanna nie miała odwagi uświadomić sobie, że się bezwiednie zemściła, ale na widok ojca, leżącego na tych samych schodach, gdzie go się dawniej nauczyła nienawidzić, uczuła, że z serca jej znikła cała gorycz.

Oprzytomniał niebawem i po kilku dniach wypoczynku wrócił do zdrowia. Był ten sam co przedtem, a całkiem inny.

Marjanna patrzyła na rodziców, chodzących ręka w rękę po ogrodzie. Czynili to teraz zawsze, bo ojciec unikał samotności, nie wyjeżdżał, a nawet nierad był gościom, gdyż go odciągali od żony. Nagle postarzał, nie mógł się zdecydować na list i żona zań pisywała. Pytał ją we wszystkiem o radę i postępował, jak chciała. Był stale łagodny i uprzejmy, a czuł sam, że zmiana ta raduje żonę.

— Dobre ma teraz czasy! — rzekł pewnego dnia do córki, wskazując na żonę.

— Ach! drogi Melchjorze! — odparła — Wolałabym, byś całkiem przyszedł do zdrowia!

I tego pragnęła rzeczywiście. Sprawiało jej wielką radość, gdy mogła opowiadać o silnym mężu, jakim dawniej był, o tem, że nie szkodziło mu życie szalone,

mniej jeszcze niż wszystkim kawalerom z Ekeby, jak załatwiał interesy i właśnie w chwili, gdy sądziła, że ją pozbawi dachu nad głową, zarobił mnóstwo pieniędzy. Ale Marjanna wiedziała, że mimo żalów czuje się szczęśliwą, gdyż może być teraz wszystkiem mężowi. Oboje postarzeli i byli złamani życiem. Marjanna wiedziała, co przyniosą lata najbliższe. Ojciec będzie coraz to słabszy, powtarzające się ataki udaru uczynią go coraz to bezsilniejszym, matka zaś będzie go pielęgnować do śmierci. Ale mogło to potrwać długo, a pani Gustawa żyć sobie szczęśliwie. Tak sądziła Marjanna, pewna, że matce dużo się jeszcze od życia należy.

I jej było teraz lepiej. Nie żyła pod przymusem małżeństwa, by dostać innego pana, a skaleczone serce zaznało pokoju. Nienawiść, podobnie jak miłość przeleciała przez nie, ale nie myślała już teraz o cierpieniu doznanem. Uświadomiła sobie, że stała się człowiekiem prawdziwszym, większym i bogatszym, niż była poprzód. Nie żałowała tego co było, bo może każde cierpienie daje dobry wynik, a więc wszystko może się jeszcze zakończyć szczęśliwie. Zaczęła teraz zaliczać do dobrego to wszystko, co ją podnosiło na wyższy stopień rozwoju. Stare pieśni nie miały racji, nie sam jeno smutek był na świecie rzeczą trwałą. Postanowiła wyjechać i znaleść pole wydatnej pracy. Dawniejszy ojciec nie zezwoliłby za nic na zerwanie zaręczyn, teraz jednak matka wszystko przeprowadziła w sposób łagodny, Marjanna była wolna i dostała nawet pozwolenie dania Adrjanowi pieniędzy.

Odzyskawszy swobodę i o nim myślała z radością. Przypominał jej Göstę, przez raźność swą i odwagę,

chciała go tedy widzieć szczęśliwym. Musiał zostać z powrotem rycerzem słońca, jakim był, wpadając konno na dwór jej ojca. Chciała mu dać ziemię, by ją do woli uprawiał i obsiewał, a także ujrzeć go kiedyś przy ołtarzu, z piękną narzeczoną.

W tej myśli napisała doń, że mu zwraca wolność, używając słów dosadnych, osłanianych rozumem i żartem, ale dostatecznie poważnych, by wiedział że bierze rzecz serjo.

Nie skończyła jeszcze, gdy zatętniło przed domem.

— Ostatni raz przybywasz, mój rycerzu słońca! — pomyślała.

Za chwilę stanął przed nią.

— Jakto, Adrjanie, tu przychodzisz? — zawołała, patrząc na nieład w pokoju.

Zmieszał się i wybąknął kilka słów usprawiedliwienia.

— Właśnie piszę do ciebie! — rzekła — Masz, czytaj!

Wziął list, ona zaś czekała, wpatrzona weń, pewna, że twarz mu rozbłyśnie radością. Ale po pierwszych zaraz wierszach poczerwieniał, cisnął list na ziemię, zaczął go deptać i kląć straszliwie.

Marjanna zadrżała. Znała się na miłości, a jednak nie zrozumiała niedoświadczonego dzieciaka tego.

— Drogi Adrjanie! — rzekła — Cóż to za komedję odegrałeś przedemną? Siądźno i powiedz prawdę!

Przystąpił, objął ją i omal nie zadusił pieszczotami. Biedny chłopak, tęsknił i cierpiał dotąd.

Po chwili spojrzała przez okno. Pani Gustawa chodziła dalej i rozmawiała z olbrzymim Melchjorem o kwiatach i ptakach, oni zaś rozmawiali o miłości.

— Życie dało nam obojgu poznać surowość swoją! — pomyślała uśmiechnięta smutnie. — Ale pocieszy nas i będzie każde miało własne, duże dziecko dla zabawy.

Dobrze się stało, że mógł ją kochać. Słuchała z lubością, jak szeptał o sile czarownej, którą promieniuje i o tem, jak wstydzi się pierwszej z nią rozmowy. Nie wiedział wówczas, jaką posiada władzę. Każdy mężczyzna musiałby ją pokochać, ale go tak onieśmieliła, że czuł się niegodnym.

Nie było to szczęście, ni nieszczęście, ale postanowiła spróbować życia z tym człowiekiem.

Zaczęła rozumieć samą siebie i wspomniała o turkawce ze starej pieśni, która nie pije nigdy czystej wody, ale ją zawsze przedtem zmąci nogą, by lepiej odpowiadała jej smutnemu nastrojowi. Marjanna także pić nie miała z czystej krynicy szczęścia. Musiał je zmącić smutek, gdyż takie życie odpowiadało jej najlepiej.

SKON WYBAWCA.

Przyjaciel mój skon wybawca przyszedł do domu kapitana Uggli w sierpniu, księżycową nocą. Ale nie śmiał wkroczyć wprost w gościnne mury, gdyż nie wielu ma miłośników.

Blady przyjaciel mój, skon wybawca, ma mężne serce. Lubi mknąć przez powietrze w chmurze kul, bierze na barki świszczący granat i śmieje się, gdy pęka, miotając odłamkami. Tańczy po cmentarzyskach i wchodzi śmiało do sal szpitalnych, nie pomny zarazy, ale waha się na progu ludzi zacnych i dobrych. Nie chce, by go witano łzami, lecz pragnie radosnego przyjęcia, bowiem wyswobadza duchy z więzów bolu, rozprasza pył ziemski i ziszcza życie wśród wolnych przestrzeni świata.

Skon wśliznął się do starego gaju brzozowego, gdzie czuby drzew walczą z sobą o światło. W gaj ten, ongiś młody, pełny wysokiej trawy, wśliznął się za dnia, a nocą stanął na skraju lasu, błyszcząc kosą w księżycu.

O Erosie, twoim był ów gaj, w owe czasy. Starzy opowiadali mi, że niegdyś kryły się tam miłosne pary, a mnie samej, znużonej kurzem drogi, gaj ten pod Wergą, dziś rzadki już, przypomina miłość pięknych, młodych ludzi.

Stał tam skon i widziały go zwierzęta nocą. Wilki wyły, zwiastując obecność jego, żmije pełzły ścieżkami aż do domów, a ludzie czuli, iż są to wysłańcy mocarza. Także sowa hukała w jabłoni pod oknem pani Uggli, bowiem wszystko co żywe, zna skon i drży przed nim.

Pewnego razu wracał naczelnik z Munkerudu z żoną, po przyjęciu na broeńskiej plebanji, około drugiej w nocy i mijając Wergę, zoczył światło w gościnnym pokoju. Oboje widzieli to dokładnie i opowiadali ze zdziwieniem.

Wesołe dziewczęta wergijskie śmiały się z tego, twierdząc, że naczelnikostwo widzieli pewnie duchy, gdyż świec w domu od marca nie stało, a dawno już nikt w gościnnym pokoju nie mieszkał, ale kapitanowa pobladła i nie rzekła nic. Wiedziała dobrze, że światło oznaczało przybycie skonu wybawcy.

Niedługo potem, w przepiękny sierpniowy dzień, wrócił Ferdynand z robót mierniczych w lasach na północy, blady i chory nieuleczalnie na płuca, a matka na pierwszy rzut oka spostrzegła, że umrzeć musi.

Taki miał spotkać los syna, który nie sprawił rodzicom żadnej troski. Porzucić musiał życie pełne radości, czekającą nań narzeczoną i bogate, tętniące od młotów huty, których właścicielem miał zostać.

Przy zmianie księżyca nabrał mój blady przyjaciel odwagi i podszedł pod dworek nocą. Wiedział, że mieszkańcy mężnie znoszą głód i niedostatek, sądził tedy, że i jego przyjmą mile.

Powoli podszedł żwirową ścieżką i rzucił cień na osrebrzony rosą trawnik. Nie zbliżał się, jak wesoły żniwiarz, przybrany w kwiaty, wiodący dziewczynę, ale kroczył pochylony, wychudły, z kosą ukrytą

w zwojach płaszcza, a sowy i nietoperze wirowały wkoło niego.

Pani Uggla nie spała, więc posłyszawszy pukanie, usiadła w łóżku, pytając:

— Kto puka!

Starzy powiadali mi, że odparł:

— To ja, skon!

Wstała, otwarła okno, ujrzała sowy, nietoperze i światło księżyca, ale nie dostrzegła skonu.

— Chodź! — rzekła zcicha — Czemuż zwlekasz przyjacielu, wybawco? Czekałam i wzywałam cię. Chodź i wybaw syna mego.

Skon wśliznął się do domu, radosny, jak król strącony z tronu, któremu na starość zwrócono koronę, wesoły, jak dziecko do zabawy wezwane.

Następnego dnia siadła pani Uggla przy łożu syna i jęła mu opowiadać o szczęśliwości duchów wyzwolonych, oraz życiu rozkosznem, jakie wiodą.

— Pracują i działają! — mówiła — Są to artyści niezrównani, drogi synu. Po złączeniu się z nimi powiesz mi, czem zostałeś! Czy rzeźbiarzem nie potrzebującym dłuta, twórcą róż i lilji, czy może twórcą zorzy wieczornej. Wówczas, patrząc na zachód, będę sobie mówiła: — To dzieło mego Ferdynanda!

Pomyśl, ile tam jest do widzenia i roboty. Trzeba wiosną budzić do życia ziarna, kierować burzami, rozsyłać sny i odbywać długie wędrówki ze świata na świat.

Gdy ujrzysz tyle piękna, synu drogi, wspomnij o mnie, o matce swej, która patrzyć musi jeno na Wermlandję,

Pewnego dnia staniesz przed Bogiem i poprosisz go o jakiś mały światek w przestrzeni, a on ci go

da. Będzie ciemny, pełen przepaści i skał, bez kwiatów i zwierząt. Musisz się jąć pracy, stworzysz światło, ciepło, powietrze, rośliny, słowiki, jasnookie gazele, wodospady, spiętrzysz góry i zasadzisz doliny cudnemi różami.

Gdy zaś będę miała umrzeć, drogi Ferdynandzie i zatrwoży mnie rozłąka ze znaną okolicą, zajedziesz pod moje okno karetą, zaprzężoną w rajskie ptaki, zdobną złotem.

Biedna, niespokojna dusza moja wsiędzie, niby królowa i pojedziemy przez niebiosy, mijając lśniące światy. Ja będę raz poraz pytała, widząc coraz piękniejsze osiedla niebiańskie, czyby się tu i owdzie nie zatrzymać.

Ty jednak będziesz, uśmiechniony ponaglał ptaki i dotrzemy do światka małego, ale piękniejszego od innych, staniemy przed złotym pałacem i wprowadzisz mnie do przybytku wieczystego wesela.

Będą tam pełne śpichrze i szafy bibljoteczne. Las nie będzie, jak w Werdze, przysłaniał widoku, ale spojrzenie pójdzie po rozłogach mórz i oblanych światłem równiach, a tysiąc lat, będą jak dzień jeden.

Ferdynand zmarł zapatrzony w urocze obrazy, z uśmiechem na ustach.

Przyjaciel mój, skon wybawca, nie przeżył nic równie pięknego. Stali wokoło jego zwłok zapłakani ludzie, on jednak uśmiechał się do siedzącego na krawędzi łóżka zjawiska z kosą, a rzężenie jego wydało się matce muzyką. Drżała, czy skon zdoła swego dokazać, gdy zaś wszystko minęło, w oczach jej błysły łzy radości i spadły na skostniałą twarz syna.

Nigdy nie doznał blady przyjaciel mój tylu zaszczytów, co na pogrzebie Ferdynanda Uggli. Gdyby

go można zobaczyć, wszyscy widzieliby, jak tańczy na czele pochodu, w berecie z piórami i szytym złotem płaszczu. Ponieważ jednak nie śmiał się pokazać ludziom, siadł przeto w czarnym płaszczu, skulony na cmentarnym murze i czekał na korowód.

Przedziwny był to pogrzeb! Słońce świeciło, białe chmury płynęły po niebie, drogę zdobiły szeregi stert zboża jabłka w ogrodzie plebańskim wabiły, a z ogrodu kościelnego wyzierały goździki i georginje.

Przedziwny był to pogrzeb, kroczący lipową aleją. Przed okrytą kwiatami trumną sypały dzieci płatki róż. Nikt nie miał sukni żałobnych, ni krep czarnych, gdyż matka chciała, by orszak syna, który zmarł wesoło, był świetnym pochodem ślubnym.

Tuż za trumną szła Anna Stjärnhök, piękna narzeczona zmarłego, w wianku ślubnym, welonie i białej, jedwabnej sukni z trenem. Tak przybrana kroczyła, by połączyć się ze zmarłym.

Za nią szli parami okazali, starzy ludzie. Piękne, wykwintne damy w lśniących naramiennikach, broszach złotych i perłowych koljach. Wysokie pióra sterczały na turbanach, z pośród jedwabiu i koronek, zaś z ramion spływały jedwabne, ślubne szale na barwne suknie. Mężczyźni przybyli przystrojeni w bufiaste żaboty, fraki z wysokiemi kołnierzami i złocistemi guzikami, w kamizelki ze sztywnego brokatu, lub szytego złotem aksamitu. Był to istny korowód ślubny, a stało się to z woli pani domu.

Ona sama szła za Anną Stjärnhök u boku męża. Nie posiadała sukni z lśniącego brokatu, ni ozdób, ni wspaniałego turbanu, bo przystroiłaby się w to napewne ku czci syna. Ubrana była w suknię czarną

z żółtemi koronkami, jak na każdą uroczystość, gdyż innego stroju nie miała.

Wystrojeni goście płakali wszyscy, do jednego, idąc przy cichym odgłosie dzwonów i to nie tyle nad zmarłym, co nad sobą. Oto narzeczona kroczyła za swym wybrańcem i oni sami w paradnych strojach, czując, że każdy człowiek podlega trosce, cierpieniu i że nic go przed tem uchronić nie może.

Jedna tylko matka, z pośród wszystkich nie płakała.

Po ukończeniu modlitw zasypano grób i goście wrócili do powozów, a na cmentarzu została jeno pani Uggla i Anna Stjärnhök, by się pożegnać ze zmarłym.

— Prosiłam Boga, — rzekła matka — by przysłał skon wybawcę i zabrał syna mego ukochanego do siedziby pokoju, postanowiwszy, że będę roniła jeno łzy radości, że go odniosę do grobu z weselną wystawą, a na mogile posadzę czerwony krzaczek róży, stojący na oknie mej sypialni. I stało się tak, umarł. Powitałam skon, jak najlepszego przyjaciela, przywołałam go najczulszemi słowami, a moje łzy radości spadły na sztywną twarz zmarłego. Jesienią, gdy liście opadną, posadzę mu czerwoną różę na grobie. Ale czy wiesz ty, która tu siedzisz, czemu o to prosiłam Boga?

Spojrzała na siedzącą obok, bladą Annę, która zdawała się walczyć, chcąc stłumić myśl szepcącą jej już tu, na świeżej mogile, że jest wolną.

— Tyś temu winna!

Dziewczyna skuliła się, jak pod ciosem maczugi i nie dała odpowiedzi.

— Anno Stjärnhök, dawniej byłaś dumna, samowolna, igrałaś z mym synem, przyciągając i odpychając go, ale nie było na to rady. Musiał się na to zgodzić, jak inni. Może też kochał jak i my pieniądze twe, na równi z tobą. Potem atoli wróciłaś do nas z obfitemi darami, zmieniona, łagodna, silna i dobra, otoczyłaś nas miłością, uszczęśliwiłaś, a my biedacy leżeliśmy u stóp twoich.

A mimoto pragnęłam, byś nigdy nie wróciła, gdyż w takim razie nie prosiłabym Boga, by skrócił życie syna mego. Około Bożego Narodzenia zniósłby był jeszcze tę utratę, poznawszy cię jednak dobrze, sił mu już nie stało.

Chociaż dziś odprowadziłaś go w ślubnej sukni do grobu, nie stanęłabyś z nim w niej nigdy u ołtarza, gdyż nie kochałaś go.

Spostrzegłam, że wróciłaś jeno przez litość, by ulżyć doli naszej. Nie kochałaś go, a ja to poznałam, gdyż wiem, co miłość. Dlatego prosiłam Boga, by go zabrał, zanim mu się otworzą oczy.

Ach, gdybyś go kochała, wszystko poszłoby inaczej, poco jednak bez miłości wracałaś. Z obowiązku musiałabym mu powiedzieć, że jeno z miłosierdzia, nie z miłości chcesz go poślubić. Jesteś wcieleniem miłosierdzia, ja atoli musiałabym skłonić go, by cię zwolnił i przezto zniweczyłabym szczęście jego życia. Nie chcąc mu odbierać spokoju ducha, prosiłam Boga, by go zabrał. Radowały mnie jego zapadłe policzki, ciężki oddech i bałam się, że skon nie zdoła dokonać dzieła swego.

Czekała odpowiedzi, ale Anna milczała, zasłuchana w różne głosy swej duszy.

Pani Uggla zawołała z rozpaczą:

— O jakże szczęśliwi są ci, którzy mogą opłakiwać zmarłych swoich! Ja muszę stać z suchemi oczyma u grobu syna i radować się z jego śmierci. Jakże jestem nieszczęśliwa!

Anna przycisnęła ręce do piersi. Wspomniała noc zimową, kiedyto na młodą miłość swoją przysięgła być temu człowiekowi pociechą i podporą. Drżenie ją przejęło. Czyż wszystko było nadaremne? Czyż Bóg nie przyjął jej ofiary? Czyż wszystko obrócić się miało na złe?

A może Bóg pobłogosławiłby jej dziełu, gdyby poświęciła wszystko i uczyniłby ją dawczynią szczęścia dla ludzi.

— Czegóż trzeba, byś mogła smucić się śmiercią syna twego? — spytała.

— Trzeba, bym przestała wierzyć oczom moim! Trzeba, bym miała dowód, że kochasz go!

Anna wstała, a oczy jej rozbłysły uniesieniem. Zerwała welon ślubny i nakryła nim mogiłę, zdjęła wianek i koronę i położyła je na grobie.

— Patrz, jak go kocham! — zawołała — Daję mu wianek mój i koronę. Oddaję mu się i niczyją w życiu już nie będę!

Pani Uggla wstała także. Milczała przez chwilę, drżąc całem ciałem, a w końcu łzy bólu pociekły z jej oczu.

Blady przyjaciel mój, skon wybawca, wzdrygnął się na widok tych łez, gdyż oto i tu nawet nie został powitany z radością i tu nie cieszono się nim z pełni serca.

Nasunął kaptur na oczy, zlazł chyłkiem z cmentarnego muru i znikł pośród stogów zboża, na polu.

SUSZA.

Radabym posiąść miłość rzeczy martwych, gdyby kochać umiały, gdyby ziemia i woda czyniły różnicę pomiędzy przyjaciółmi, a wrogami. Chciałabym, by ziemi nie ciężyły kroki moje, by mi przebaczyła iż ją kaleczę broną i pługiem i by się ochotnie rozwierała ciału memu. Radabym, by cierpliwie znosiła fala prucie mych wioseł, jak matka znosi cierpliwie wspinanie się niecierpliwego dziecka po jedwabnej sukni. Chciałabym być przyjaciółką powietrza ponad górami, słońca i gwiazd. Nie taka je od nas dzieli odległość, jak sądzą ludzie. Gdzież niema pyłu ziemi, wciągniętego w obieg życia? Czyż kurz uliczny nie był nigdy włosem gładzonym mile, a woda w bruździe, czyż nie płynęła, jako krew przez tętniące serce?

Duch życia mieszka jeszcze w martwych rzeczach. Leżąc w śnie czujnym, słyszy on głos boży, czyż baczy też na głos ludzi?

O wy, dzieci późnych czasów, czyż nie spostrzegłyście tego? Martwe rzeczy cierpią, ile razy niezgoda i zawiść ogarną świat. Fala staje się dziką, jak włóczęga, a pole przypomina skąpca. Biada jednak temu, z powodu którego wzdycha las i płaczą góry. Dziwnym był, zaiste, rok panowania kawalerów. Niepokój ludzki ogarnął, zda się, rzeczy martwe. Nie

wiem jak nazwać tę zarazę, szerzącą się po okolicy. Przypuścić trzeba chyba, że kawalerowie byli bogami, ożywiającymi wszystko duchem swoim, duchem awanturniczości, beztroski i rozpasania.

Świat by się zdumiał, gdyby opowiedzieć wszystko, co zaszło w tym roku pośród ludzi, nad Löffenem. Zbudziła się stara miłość i zapłonęła dawna nienawiść, powstała żądza piękna, tańca, żartów, gry i pijaństwa, a wszystko co najskrytsze w duszach wyszło na jaw.

Zaraza niepokoju wyszła z Ekeby, ogarnęła kopalnie żelaza, i osiedla, podniecając ludzi do nieprawości i grzechu. Śledzić ją możemy dziś wśród większych posiadłości, gdyż starzy ludzie przechowali nam wspomnienia wydarzeń, natomiast nie sposób stwierdzić, jak szła od wsi do wsi i od chaty do chaty. Dość, że tam, gdzie tlił występek, wybuchał całą siłą, każda rysa w stosunkach rodzinnych przemieniała się w przepaść, a wielka cnota, czy silna wola wychodziły z ukrycia. Nie wszystko było bowiem złem w tym czasie, tylko dobro nabierało właściwości niszczących, podobnie jak zło. Gdy burza szaleje, pada jedla po jedli, pociągają się wzajem, a nawet nikłe poszycie lasu niszczeje, wraz z olbrzymami.

Szaleństwo zawładnęło chłopami i służbą folwarczną, a w głowach wszystkim zaszumiało. Nigdy tak nie tańczono po rozstajach, nie opróżniano tak prędko beczki piwa, nigdy kocioł wódczany nie pochłonął tyle zboża, nie odbywano liczniejszych biesiad i nigdy tak krótkiej nie bywało przerwy pomiędzy ostrem słowem, a ciosem noża.

Z odejściem majorowej zbrakło silnej ręki, a upojeni wolnością ludzie zaczęli szaleć i niszczyć. Został im jeno pan i mistrz umiłowany, to jest wódka. Były

to czasy, kiedy sądzono, że dla chłopów niema ratunku i, że ich wódka wypleni doszczętnie.

Niepokój ludzki przeszedł także na wszelki twór żywy. Nigdy groźniejsze nie były wilki i niedźwiedzie, lisy i sowy nie darły się gorzej i nie rabowały zuchwalej, nigdy nie płoszyły się tak owce, nigdy też więcej chorób nie trapiło cennego bydła.

Kto chce spostrzec związek rzeczy, winien opuścić miasto i zamieszkać w samotnej chacie pod lasem. Winien on przez cały miesiąc doglądać mielerza i żyć nad jeziorem wenernejskiem, gdzie wolno płyną tratwy z drzewem. Wtedy spostrzeże znaki przyrody i pozna, jak są zależne rzeczy martwe od żywych, jak znika ich spokój, gdy zamieszanie powstanie na ziemi. Wiedzą to chłopi. W takim czasie złe duchy gaszą mielerz, wodnice psują łódź, a zaraza przychodzi na ludzi i bydło. Tak się też działo onego roku. Nigdy roztop wiosenny nie narobił tyle szkody. Młyn ekebijski i kuźnia zniszczały. Małe potoczki, które dawniej w razie przyboru zdołały conajwyżej zabrać pustą szopę, rzucały się teraz na całe zagrody i osiedla, rozbijając je w puch. Przed św. Janem burze narobiły szkód większych niż po inne lata, zaś potem nastała susza.

Podczas długich dni lata nie spadła kropla deszczu. Od połowy czerwca do początku września słońce prażyło całą okolicę.

Deszcz nie chciał spaść, ziemia odmówiła pożywienia, a wiatr ustał. Samo jeno słońce paliło ziemię. Trudno źle mówić o słońcu! Podobne jest do miłości, któż nie zna atoli jej występków i któż ich nie przebaczy? Słońce podobne jest do Gösty

Berlinga, raduje ludzi i dlatego milczą o złem, które im czyni.

Susza poświętojańska nie wywołałaby nigdzie takiej, jak w Wermlandji klęski. Wiosna się opóźniła, trawa wyrość nie zdołała, jęczmień zaś nie miał pożywki w czasie kwitnienia i plonowania. Zboża jare najplenniejsze miały małe, chude kłóska i niskie były wielce. Późne buraki nie urosły, a z jałowizny tej nawet ziemniaki nie zdołały dobyć pożywienia.

Zaniepokoiło to mieszkańców leśnych szałasów, a wieści smutne poszły na doliny, ku spokojniejszej ludności.

— Ręka boża szuka kogoś! — jęli powtarzać chłopi.

Każdy bił się w piersi i pytał:

— Czyż to ja... matko naturo, może to ja? Może z mego powodu deszcz nie pada? Może ze złości na mnie stwardniała ziemia? Może na moją to głowę gromadzi żarzące węgle słońce z bezchmurnego nieba. A jeśli nie jam winien, kogoż szuka ręka boża?

Dziwne rozmowy krążyły po okolicy, gdzie marniały jęczmiona i ziemniaki, bydło o zaczerwionych oczach, chwytające z trudem powietrze stało u pustych studzien, a serca ludzi ściskał strach.

— Taka klęska nie może być bez przyczyny! — powiadano sobie — Kogoż to szuka ręka boża?

Pewnej niedzieli sierpniowej, po nabożeństwie, szli grupami ludzie wzdłuż spieczonej drogi. Jak okiem sięgnąć, widzieli popalone lasy i nieurodzaj. Jęczmień już zebrano, ale był bardzo nikły. Łatwoby było uprawić pole przez palenie, ale nieraz zajmywały się od tego suche lasy. Co ocalało od ognia, zjadło robactwo, a jodły bez szpilek stały nagie, jak

liściaste drzewa jesienią. Liście brzóz wisiały wystrzępione, z przejrzystem żebrowaniem i napoły zjedzone.

Nie brakło smutnym ludziom tematu do rozmowy. Wspominano klęski roku 1808 i 1809, a także ostrą zimę roku 1812, kiedyto marzły wróble w powietrzu. Znali oni głód i patrzyli nieraz w jego straszną twarz. Umieli też piec chleb z kory i przyuczać krowy do jedzenia mchu.

Jedna z kobiet spróbowała upiec chleb z jagód i owsianej mąki, dawała go ludziom próbować i dumną się czuła z tego odkrycia. Wszyscy byli jednak pod temsamem wrażeniem i wszyscy pytali:

— Kogóż, o Panie, szuka ręka twoja? Któżto, o sędzio surowy odmówił ci ofiary modlitwy i dobrych czynów, przezco nam odmawiasz nędznego chleba?

Nieobecność majorowej była wielkim dopustem bożym. Zarabiając sporo na przewozie żelaza i rąbaniu drzewa, ludzie odwykli całkiem od szukania pracy w obczyźnie, jak to bywało przez lat setki dawniej. Tego roku młodzi poszli, ale zostało i tak dość głodomorów.

Pewien człowiek, ponury mieszkaniec szerów, przystanął na wzgórzu brobijskiem, opodal mieszkania skąpego proboszcza, wziął z ziemi suchą gałązkę i rzucił ją na drogę, wiodącą do plebanji.

— Suche, jako ta gałęź były modły jego! — powiedział.

Idący za nim zatrzymał się też, dorzucił gałązkę i rzekł:

— Jaki pleban, taka ofiara.

Trzeci poszedł za ich przykładem.

— Jest on, jak susza. Zostawił nam jeno suche konary i słomę.

Czwarty dodał:

— Oddajmyż mu te dary!

Piąty zawołał:

— Na wieczną hańbę rzucam mu to! Niech zeschnie, jako ta gałęź!

— Suche pożywienie dla proboszcza, który na nas suszę sprowadził.

Ludzie inni nadeszli, a słysząc wszystko i widząc, pojęli to, o co pytali przedtem.

— Dajcie wszyscy, co się należy, temu który sprowadził suszę! — zaczęto powtarzać.

Na rozdrożu wyrosła rychło kupa suszu i słomy, ku hańbie proboszcza z Broby.

Była to jedyna zemsta ludności. Nikt nie rzekł złego słowa, nikt nie podniósł nań ręki, ale sercom ulżyło to rzucanie suchych gałęzi. Nie wykonywali sami pomsty, wskazując jeno winnego sprawiedliwości boskiej.

— Jeśliśmy ci nie służyli jako trzeba, to jest to winą tego człowieka! — mówili — Bądź miłościwy Panie i ukarz jego samego. Piętnujemy go hańbą i pozbawiamy czci. Nie jesteśmy, jak on.

Bardzo rychło weszło w zwyczaj, że każdy przechodzień rzucał suchą gałęź na znak hańby, mówiąc:

— Niechże to widzi Bóg i widzą ludzie. Ja także pogardzam człowiekiem, który ściągnął na nas gniew boży.

Stary skąpiec spostrzegł zaraz stertę gałęzi i kazał ją usunąć, używszy, jak mówiono, na opał. Ale nazajutrz wyrosła na temsamem miejscu nowa i tak było ciągle. Suche gałęzie leżały, mówiąc:

— Hańba! Hańba proboszczowi brobijskiemu.

Ciężkie, gorące, przesycone odorem spalenizny powietrze zmroczyło umysły, tak że proboszcza uznano za demona suszy. Chłopom wydało się, że skąpiec pilnuje źródeł niebiańskich.

Niedługo zrozumiał proboszcz zamiar gminy. Został napiętnowany sprawcą zła. Bóg, gniewny nań, nękał ziemię. Załoga okrętu na pełnem morzu rzuciła los i jego skazała na rzucenie w wodę. Zrazu śmiał się ze suchych gałęzi, ale po tygodniu zamilkł. Było to dzieciństwo. Wiedział, że w ten sposób wyładowywała się wieloletnia nienawiść. I cóż stąd, nie nawykł wszakże do miłości.

Nie złagodniał też wcale. Po odwiedzinach starej panny nabrał, coprawda, ochoty zmienić się, ale teraz właśnie nie mógł ulec przymusowi.

Z czasem jednak zaczęło mu to dokuczać i zapatrywanie ogółu zapuściło i w nim korzenie. Rzucanie suchych gałęzi wydało mu się okropną rzeczą. Patrzył na stertę, liczył dokładane gałęzie, a myśl tą wyparła zwolna wszystkie inne. Sterta zwyciężyła go.

Z każdym dniem przyznawał większą rację ludziom. Pochylił się, w ciągu paru tygodni nabrał wyglądu starca, miał ciągle wyrzuty sumienia i niemal zachorzał. Wszystko to łączył teraz z ową stertą, pewny, że wraz z jej zniknięciem odzyska siły i przestanie go trapić sumienie.

Skończyło się na tem, że siadł przy drodze i pilnował przez cały dzień. Ale niemiłosierni ludzie dorzucali gałęzi nocą.

— — — — — — — — — — — —

Pewnego dnia jechał drogą Gösta Berling i zobaczył siedzącego nad rowem skulonego i okurzonego

proboszcza, jak wyciągał suche gałęzie i układał je w kupki i rzędy, niby zdziecinniały zupełnie starzec. Żal mu się go zrobiło.

— Cóż to pan robi, księże proboszczu? — spytał zeskakując z wózka.

— Siedzę i układam gałęzie! — odparł — Właściwie nie robię nic.

— Powinienbyś pan wrócić do domu, miast siedzieć w kurzu gościńca.

— Najlepiej mi tu zostać.

Gösta usiadł przy nim.

— Nie łatwa to rzecz być proboszczem w Broby! — zauważył po chwili.

— Tutaj, na nizinach jeszcze jako tako, pośród ludzi, — odparł proboszcz — ale w górach źle.

Gösta wiedział, co znaczą te słowa. Znał parafje północnej Wermlandji, bez mieszkania dla proboszcza, w wielkich lasach, gdzie żyją Finowie, w kurnych chatach, rzadko rozsiani i gdzie proboszcz jest jedynym, cywilizowanym człowiekiem. W jednej z takich parafij spędził proboszcz brobijski lat dwadzieścia.

— Tam nas posyłają za młodu! — powiedział Gösta — Nie sposób tam wyżyć. Zaraz człowiek się psuje. Niejeden przezto zmarniał.

— Tam nas psuje samotność! — rzekł proboszcz.

— Przybywamy, — wpadł mu żywo w słowo Gösta — mówimy, napominamy, uczymy i zdaje nam się, że gmina rychło wkroczy na lepsze tory.

— Tak, tak!

— Ale rychło przekonywamy się, że słowa nasze nie znaczą nic. Nędza stoi na przeszkodzie i nie dopuszcza poprawy.

— Nędza! — powtórzył proboszcz — Nędza zniweczyła życie moje.

— Młody proboszcz, — ciągnął dalej Gösta — powiada pijakowi: — Nie pij!

— A pijak odpowiada — przerwał mu proboszcz — Dajże mi coś lepszego od wódki! Wódka to mój kożuch w zimie, a rzeźwi mnie w lecie. To ciepła izba i miękkie łoże! Daj mi to wszystko, a pić przestanę.

— Potem — mówił dalej Gösta — powiada młody proboszcz do złodzieja: — Nie kradnij, do złego męża: — Nie bij żony swojej, a do zabobonnego: — Wierz w Boga, a nie w gusła, duchy i potwory. Złodziej odpowiada: — Daj mi chleba! — Zły mąż odpowiada: — Zrób nas bogatymi, a zaprzestaniemy swarów! A zabobonny odpowiada: — Naucz mnie czegoś lepszego! — Któż im jednak może pomóc bez pieniędzy?

— To prawda! To prawda! — zawołał proboszcz — Każde słowo jest prawdą! Wierzyli oni w Boga, ale silniej jeszcze w djabła, czary i gusła! Wszystko zboże szło na wódkę i trudno było przewidzieć końca niedoli. W większej części brudnych chat panowała stale nędza, ciągła troska czyniła kobiety kłótliwemi, a złe stosunki domowe popychały mężczyzn do pijaństwa. Nie umieli uprawiać pola, ni hodować bydła. Bali się szlachcica, a drwili z proboszcza. Cóż miałem robić, skoro nie rozumieli, co do nich mówię z kazalnicy i nie wierzyli naukom moim. Przytem nie miałem się komu poradzić, ani nikt mi nie pomagał w podtrzymaniu otuchy.

— Niektórzy księża wytrzymali to życie! — rzekł Gösta — Bóg sprawił, że niektórzy wrócili nie złamani.

Starczyło im sił na zniesienie samotności, nędzy i braku nadziei i nie popadli w rozpacz. Byli i są jeszcze ludzie tacy. To bohaterowie. Czcił ich będę do śmierci. Ja nie byłbym zdolny do czegoś podobnego.

— Ja także nie zdołałem! — rzekł proboszcz.

— Taki ksiądz — ciągnął dalej w zamyśleniu Gösta — postanawia zostać bogatym, bardzo bogatym, gdyż wie, że biedak nie zwalczy zła. I zaczyna zbierać pieniądze.

— Gdyby nie zbierał pieniędzy, zacząłby pić! — odparł proboszcz — Widzi tyle nędzy!

— Albo utraciłby siły i zobojętniał! — rzekł Gösta — Jest tam niebezpiecznie dla człowieka, który się tam nie urodził.

— Taki człowiek, — zauważył proboszcz — musi być twardy dla siebie i innych. Zrazu udaje to tylko, a potem nawyka.

— Musi być twardy! — przyznał Gösta — Trudna to rzecz zbierać pieniądze. Trzeba znosić nienawiść, pogardę, marznąć, głodować i pilnować swego serca. Z czasem człowiek taki zapomina poco zaczął zbierać majątek.

Proboszcz spojrzał nań lękliwie. Wydało mu się, że Gösta zeń drwi. Ale Gösta mówił poważnie i z zapałem, jakby we własnej sprawie.

— Tak się stało i ze mną! — rzekł proboszcz zcicha.

— Ale Bóg czuwa nad tym człowiekiem, — mówił dalej Gösta — i budzi dawne myśli, gdy dość naskładał. Daje proboszczowi znak, że go potrzebuje.

— A jeśli proboszcz nie usłucha tego znaku, Gösto?

— Nie zdoła się oprzeć! — odparł rozpromieniony Gösta — Pociągnąć go musi myśl, że pomoże biedakom w budowie ciepłych chat.

Proboszcz spoglądał na kupki gałęzi i im dłużej słuchał, tem większego nabierał przekonania, że Gösta ma słuszność. Zawsze pragnął zacząć czynić dobrze, gdy dość naskłada. W końcu czepił się tej myśli, pewny, że miał ją zawsze.

— Czemuż proboszcz taki nie buduje chat? — spytał nieśmiało.

— Wstydzi się! Można go bowiem posądzić, że nie spełnia własnego pragnienia, ale czyni to, zniewolony przez ludzi.

— Nie może znieść myśli, że go chcą przyniewolić! Oto cały powód!

— Może jednak działać potajemnie, w tym roku pomoc jest bardzo potrzebna. Może rozdzielać swe dary przez kogoś. Rozumiem się na tem! — zawołał Gösta z rozbłysłemi oczyma — W tym roku tysiące bochenków chleba dostać powinni ci, którzy urągają!

— Tak będzie, Gösto!

Dwaj ci ludzie, którzy nie umieli spełnić swych obowiązków, popadli w oszołomienie. Młodzieńczą poczuli ochotę służenia Bogu i ludziom. Zaczęli fantazjować na temat przyszłych dobrodziejstw, a Gösta miał zostać pomocnikiem proboszcza.

— Musimy przedewszystkiem postarać się o chleb! — rzekł proboszcz.

— I o nauczycieli! Sprowadzimy mierników, którzy rozdzielą ziemię. Potem nauczymy ludzi uprawy pola i hodowli bydła.

— Wytyczymy nowe drogi i zbudujemy nową wieś!

— Zamkniemy wodospady szluzami, tak by powstała nowa komunikacja pomiędzy Löffenem, a jeziorem wenernejskiem.

— Bogactwo naszych lasów podwoi się, gdy dostaniemy dostęp do morza.

— Klątwy przemienią się w błogosławieństwo! — zawołał Gösta.

Proboszcz spojrzał nań. Czytali sobie wzajem w twarzach zapał. Ale po chwili oczy ich napotkały stertę gałęzi.

— Gösto! — rzekł proboszcz — To wszystko wymaga sił wielkich, a ja jestem bliski śmierci. Wiesz przecież, że to mnie wpędza do grobu.

— Usuń pan to!

— W jakiż sposób?

Gösta przystąpił doń, spojrzał ostro w oczy i rzekł:

— Proś pan Boga o deszcz! W niedzielę, po kazaniu, proś pan Boga o deszcz!

Proboszcz osunął się przerażony na ziemię.

— Jeśli bierzesz pan wszystko na serjo, jeśli nie sprowadziłeś suszy, jeśli chcesz służyć Bogu szczerem sercem, to proś pan o deszcz! To będzie znak. Stąd poznamy, czy Bóg chce tego, co my chcemy!

Gösta dziwił się własnemu zapałowi, zjeżdżając z brobijskiego wzgórza. Wspaniałe to być mogło życie! Tak, tylko nie dla niego. Od niego nie chcieli przyjmować pomocy ludzie.

— — — — — — — — — — — —

Skończyło się kazanie w brobijskim kościele odmówiono zwykłe modlitwy. Proboszcz miał zejść

z kazalnicy, ale wahał się. W końcu padł na kolana i jął błagać o deszcz.

Modlił się, jak człowiek zrozpaczony, nie wielu słowami bez związku.

— Jeśli mój grzech obudził twój gniew, o Panie, to ukarz mnie samego. Jeśli jesteś Bogiem miłosierdzia, to ześlij deszcz! Zdejm ze mnie hańbę! Daj, by na prośbę moją spadł deszcz! Niech orzeźwi pola biedaków! Daj chleba ludowi twemu!

Dzień był upalny i parny wielce. Wierni siedzieli, drzemiąc napoły. Ale zbudziły ich te rozpaczne, urywane dźwięki.

— Jeśli jest dla mnie jeszcze droga powrotu, to spuść deszcz, o Panie!

Umilkł. Drzwi były otwarte. Nagle uderzył wichr potężny, wpędzając do wnętrza chmurę kurzu, gałęzi i słomy. Proboszcz nie mógł mówić i zszedł chwiejnie z kazalnicy.

Ludzie drgnęli. Czyż miała to być odpowiedź?

Wichr był zwiastunem burzy. Nadciągnęła z szybkością niepojętą. Gdy śpiew umilkł, a proboszcz stał przed ołtarzem, zamigotały błyskawice, a grzmot przygłuszył jego słowa. Gdy organista kończył ostatnie akordy, wielkie krople siec zaczęły po oknach kościelnych, a wszyscy wybiegli patrzeć na deszcz. Nie poprzestając na tem, płakali, śmiali się i kąpali w ulewie. Ach, jakże wielką była ich niedola!

Ale Bóg dobry zesłał deszcz! Cóż za radość, cóż za radość!

Jeden tylko proboszcz brobijski nie wyszedł na deszcz. Leżał na stopniach ołtarza i nie wstawał. Radość zbyt wielka zabiła go.

MATKA.

Nie ulegało wątpliwości, że dziecko musiało mieć ojca.

Było ono nikłe wielce, małe, czerwone, z mnóstwem zmarszczek, nie krzyczało wcale, od samego urodzenia cierpiało na konwulsje, przyszło, jakby zabłąkane, sześć czy siedm tygodni przedwcześnie i dlatego pewnie nie mogło sobie znaleść miejsca na świecie.

Ważyło tak mało, że szkoda mówić, musiano je zaszyć w jagnięcą skórę, nie chciało jeść, ni spać, nikt nie wiedział, jak je utrzymać przy życiu, ale mimo wszystko, żyło.

Urodziło się w małej chatce chłopskiej na zachód od Klarelfu, gdzie matka jego przybyła w początkach czerwca na służbę. Powiedziała gospodarstwu, że spodziewa się dziecka nieślubnego i uciekła z domu przed gniewem matki. Nazwała się Elżbietą Karlsdotter, ale nie chciała powiedzieć skąd jest, a to dlatego, że doniesionoby pewnie rodzicom, którzyby ją niechybnie na śmierć zadręczyli. Nie żądała zapłaty, jeno pożywienia i dachu nad głową za pracę, tkanie, przędzenie, czy paszenie krów. Chciała robić wszystko, a nawet ofiarowała się płacić za swój pobyt.

Przez ostrożność weszła do chaty boso, z trzewikami pod pachą. Miała namulone od pracy ręce, mówiła narzeczem okolicy i ubrana była po wiejsku, toteż uwierzyli jej. Gospodarz uznał ją za nadto słabą do pracy, ale musiała się gdzieś przytulić, pozwolono jej przeto zostać.

Pozyskała życzliwość wszystkich domowników, a dostała się do domu dobrych ludzi, poważnych i cichych. Gospodyni spodobało się wielce, że umie tkać drelich, pożyczyła tedy warsztatu od dziekanowej i Elżbieta spędziła przy nim całe lato.

Nikomu nie przyszło do głowy, że trzeba jej szczędzić i pracowała przez cały czas razem z dziewkami. Nie czuła się nieszczęśliwą i podobała sobie w życiu chłopskiem, mimo braku wszelkich wygód. W tym domu brano wszystko spokojnie i poprostu, myśli krążyły ciągle koło pracy, a dni płynęły tak jednostajnie, że można się było omylić i wziąć niedzielę za środek tygodnia.

Pewnego dnia, pod koniec sierpnia, żęto owies, a Elżbieta wiązała snopy. Wysiliła ją ta praca i dziecko przyszło przedwcześnie, gdyż spodziewała go się we wrześniu dopiero.

Gospodyni stała przy kominie i grzała dziecko, które marzło, mimo sierpniowe ciepła, a matka leżała obok, nadsłuchując, co mówiono o maleństwie. Wyobrażała sobie, jak parobcy i dziewki podchodzą i oglądają je.

— Cóż za biedne, małe stworzenie! — powtarzali w kółko. — Biedactwo niema ojca!

Każdy dziwił się, że jest takie czerwone i pomarszczone, ale zawsze ktoś drugi objaśniał, że tak wyglądają wszystkie dzieci.

Nikt się nie użalał na płacz, bo wiedziano, że małe dzieci płakać muszą i koniec końcem uznano je za dość silne i wielkie na ten wiek. Wszystko było tedy w porządku, brakło tylko ojca.

Matka leżała, słuchała i dziwiła się. Sprawa nabrała teraz wielkiej wagi. Jakże miało sobie dać rady na świecie maleństwo bez ojca.

Przedtem umyśliła sobie, że przez rok zostanie w chacie, potem zaś najmie izbę i będzie zarobkowała tkaniem. Chciała sama żywić i ubierać dziecko. Mąż mógł sobie myśleć, że jest go niegodna. Sądziła, iż wychowa dziecko na lepszego człowieka, niż pełen pychy ojciec.

Teraz jednak, po urodzeniu, sprawa przybrała inną postać. Uznała, iż postąpiła samolubnie i powiedziała sobie, że dziecku trzeba ojca.

Rzecz nie byłaby tak ważna, gdyby dziecko było silne, sypiało, jadło jak inne, nie zwieszało na jedno ramię głowy i nie konało niemal za każdym atakiem konwulsji. Ale takie nędzne maleństwo musiało mieć ojca.

Musiała się tedy zdecydować i to niezwłocznie, gdyż dziecko miało już trzy dni, a chłop wermlandzki nie czeka zazwyczaj dłużej na chrzest. Zachodziło pytanie, pod jakiem nazwiskiem zapisać dziecko i co powiedzieć o sobie proboszczowi. Byłoby to krzywdą dla dziecka podać je za nielegalne. Ledwo przyszło na świat, pragnęło, zda się, opuścić go. Może lepiej mu będzie z ojcem. Gdyby wyrosło na chorowitego, słabego chłopca, nie wolno jej było pozbawić go korzyści urodzenia i majątku.

Wiedziała, że przyjście na świat dziecka, to wielkie i radosne wydarzenie, teraz atoli litowali się nad

niem wszyscy, jakby trudno było żyć dlań na świecie. Radaby była widzieć je w jedwabiach i koronkach, jak przystało synowi hrabiego, oraz otoczyć przepychem i wygodami. Tak, tak, dziecko musiało mieć ojca.

Przyszło jej też na myśl, że krzywdzi ojca swego dziecka, zatrzymując je dla siebie. Było to wprost nieuczciwością przywłaszczać sobie tę małą istotkę.

Nie rada była wracać do męża, bojąc się, że ją zadręczy na śmierć, ale dziecku groziło większe niebezpieczeństwo. Mogło umrzeć bez chrztu. Znikł teraz ów wielki grzech tkwiący w jej sercu, który ją wygnał z domu. Kochała tylko to małe stworzenie pozbawione ojca i nie przyszło jej z wielką trudnością przywrócić mu go.

Zawołała tedy oboje gospodarstwa i powiedziała im wszystko, a chłop pojechał do Borgu powiedzieć hrabiemu Dohna, że żona jego żyje i ma dziecko, które potrzebuje ojca.

Chłop wrócił późnym wieczorem. Nie zastał hrabiego, był jednak u proboszcza svartsjoeńskiego i rozmówił się z nim. W ten sposób dowiedziała się hrabina, że małżeństwo jej uznano za nieważne i że nie ma męża.

Proboszcz napisał do niej uprzejmie, ofiarowując gościnę w swym domu, przysłał jej też list ojca, do hrabiego Henryka skierowany, z którego wynikało, że przybył do Borgu niedługo po jej ucieczce. Właśnie ten list, w którym ojciec jej prosił hrabiego o przyspieszenie legalizacji małżeństwa, naprowadził go pewnie na najłatwiejszy sposób pozbycia się żony.

Oczywiście ogarnął ją gniew, a także zabolało ją opowiadanie chłopa. Przyjęłaby to ze wzgardą,

gdyby dziecko było zdrowe i silne, a nawet uczułaby radość, że je posiada sama jedna, ale wobec jego słabości zawrzała takim gniewem, że byłaby zdolną zabić hrabiego. Nie posiadała dumy, do której by się uciec mogła.

Nie spała przez całą noc, dumając nad tem ciągle, że dziecko musi mieć ojca.

Nazajutrz udał się chłop na jej życzenie do Ekeby, po Göstę Berlinga.

Gösta wypytywał długo małomownego chłopa, ale nie dowiedział się niczego ponadto, że hrabina była u niego przez lato i pracowała. Teraz ma dziecko, bardzo słabe, ale sama wyzdrowieje.

Gösta spytał, czy hrabina wie o unieważnieniu małżeństwa, a chłop powiedział, że się dowiedziała wczoraj.

Przez całą drogę Gösta miał, to gorączkę, to dreszcze. Czegóż odeń chciała? Czemuż posyłała po niego?

Wspominał lato spędzone nad Löffenem, wśród tańca, gry i przyjemności, podczas gdy ona pracowała i cierpiała. Nie spodziewał się, że ją jeszcze zobaczy. Inaczej postarałby się stanąć przed nią, jako lepszy człowiek. Teraz zaś miał za sobą jeno same wybryki dawne.

Około ósmej wieczór dotarł do celu i zaraz go zaprowadzono do Elżbiety. Nie widział jej dobrze w pół ciemnej izbie, gdzie leżała. Weszli z nim oboje gospodarstwo.

Nie zapominajmyż, że twarz jej biała, błyszcząca w ciemku była mu zawsze obrazem czegoś najwyższego i najczystszego w życiu, najpiękniejszą duszą w cielesnym kształcie. Ujrzawszy ją, radby był paść

na kolana w podzięce, że się mu ponownie objawić raczyła, ale wzburzenie obezwładniło go całkiem.

— Droga hrabino Elżbieto! — wyjąknął.

— Dobry wieczór, Gösto!

Podała mu dłoń, wybielałą znowu i przejrzystą. Leżała cicho, on zaś walczył ze wzburzeniem.

Elżbieta nie doznała na widok Gösty gwałtownego naporu uczuć. Dziwiło ją tylko, że myśli głównie o niej samej, gdy mógł się domyśleć, iż idzie o dziecko, potrzebujące ojca.

— Gösto! — powiedziała łagodnie — Teraz musisz mi pomóc, jak obiecałeś. Wiesz, że mąż mnie opuścił, a przeto dziecko moje niema ojca.

— Tak, pani hrabino! — odparł — Ale teraz sprawa ma się inaczej. Ponieważ dziecko przyszło na świat, przeto można zmusić hrabiego do legalizacji małżeństwa. Proszę ufać, iż dopomogę w tej sprawie.

Elżbieta uśmiechnęła się.

— Czy sądzisz, Gösto, że pragnę narzucać się hrabiemu?

Krew uderzyła Göście do głowy. Czegóż odeń chciała?

— Chodź tu, Gösto! — rzekła, podając mu znowu rękę — Nie gniewaj się za to, co powiem, ale sądzę, że ty, który...

— Który jestem wygnanym proboszczem, pijakiem, rezydentem, mordercą Ebby Dohna... o, znam dobrze całą listę mych zasług...

— Gniewasz się, widzę, Gösto!

— Radbym, by pani hrabina nie kończyła.

Ale Elżbieta podjęła na nowo.

— Niejedna kobieta, Gösto, zostałaby twą żoną z miłości ku tobie, ale ze mną sprawa inna. Kocha-

jąc cię, nie śmiałabym mówić tego i dla samej siebie nie prosiłabym, o co proszę. Widzisz Gösto, dziecko moje musi mieć ojca. Rozumiesz chyba, o co cię chcę prosić! Jest to dla ciebie w istocie poniżenie wielkie, gdyż mam dziecko, jako kobieta niezamężna. Nie sądziłam, że to uczynisz, jako niżej od innych stojący... chociaż tak... i o tem pomyślałam. Głównie jednak zaufałam wielkiej dobroci twojej i temu, że jesteś bohaterem, zdolnym do poświęcenia. Ale może żądam zbyt wiele, może mężczyzna nie jest w stanie tego zrobić. Powiedz szczerze, jeśli jestem ci zbyt wstrętna, byś chciał zostać ojcem mego dziecka. Nie rozgniewasz mnie tem. Czuję, że żądam za wiele, ale dziecko moje jest chore, Gösto, a okropna to rzecz nie móc mu nadać przy chrzcie nazwiska męża.

Słuchając jej, czuł to samo, co onego dnia wieczornego, kiedy musiał ją przewieźć na drugi brzeg i zostawić własnemu losowi. Teraz musiał jej pomagać w niweczeniu przyszłości całej. Musiał to uczynić właśnie on, który ją kochał!

— Spełnię życzenie pani hrabiny! — odparł krótko.

Nazajutrz rozmówił się z dziekanem broeńskim, gdyż Svartsjö było parafją drugorzędną, a tam miały wyjść zapowiedzi. Poczciwego, starego dziekana wzruszyło to, obiecał wziąć na siebie całą odpowiedzialność i załatwić wszystkie formalności.

— Tak, Gösto! — powiedział — Musisz jej dopomóc. Mogłaby wpaść w obłąkanie. Sądzi, że krzywdzi dziecko, nie dając mu ojca. Ta kobieta ma bardzo wrażliwe sumienie.

— Wiem, że ją unieszczęśliwię! — zawołał Gösta.

— Nie czyń tego, Gösto! Teraz, mając żonę i dziecko, musisz stać się rozsądnym człowiekiem!

Dziekan pojechał do Svartsjö dla pomówienia z proboszczem i naczelnikiem urzędu i najbliższej niedzieli wyszły zapowiedzi Gösty Berlinga z Elżbietą Thurn.

Potem, z największą ostrożnością przewieziono matkę do Ekeby i ochrzczono dziecko.

Dziekan powiedział Elżbiecie, że może jeszcze cofnąć swe postanowienie, a przed zaślubieniem człowieka takiego, jak Gösta, winna napisać do ojca.

— Nie pożałuję tego nigdy! — odparła — Proszę tylko pomyśleć, coby się stało, gdyby moje dziecko zmarło przed dostaniem ojca.

Po trzecich zapowiedziach była Elżbieta już całkiem zdrowa, toteż najbliższego popołudnia dziekan zaślubił ją Gösicie. Nikt nie myślał, że ma to być wesele, nie zaproszono gości, dostarczono jeno ojca dziecku i koniec.

Matka zapromieniała cichą radością, osięgnąwszy ten swój cel, zaś pan młody smucił się myślą, że przez małżeństwo z nim, zniszczyła sobie przyszłość. Spostrzegł z przerażeniem, że dla niej nie istnieje. Cała jej dusza oddana była dziecku.

W parę dni potem oboje okryła żałoba. Dziecko zmarło w ataku konwulsji.

Można było sądzić, że matka nie dość się smuci. Miała wyraz triumfu w oczach, jakby ją radowało, że zniweczyła sobie całą przyszłość dla dziecka. Przebywający z aniołkami malec musiał chyba pamiętać, że miał na ziemi kochającą matkę.

— — — — — — — — — — — —

Wszystko to odbyło się cicho i niepostrzeżenie. Podczas zapowiedzi Gösty z Elżbietą, wielu nie wiedziało niemal, kim jest narzeczona, a księża i szlachta znający sprawę, nie mówili o niej. Zdawali się obawiać, by w sposób zły nie wytłumaczono sobie postępku młodej kobiety, by ktoś, pozbawiony wrażliwości sumienia nie powiedział, iż nie mogła przezwyciężyć miłości dla Gösty i wyszła zań pod pozorem szlachetnego czynu. Nader delikatnie postępywali zawsze starzy moi informatorzy z Elżbietą, nie dopuszczając złego o niej słowa. Ledwo chcieli przyznać, że ta czysta dusza splamiła się grzechem.

Małżeństwo Gösty usunęło też w cień inne, wielkie wydarzenia. Majora Samzeljusa spotkało nieszczęście. Coraz to bardziej dziczejąc, nie przestawał w końcu z ludźmi, ale wyłącznie ze zwierzętami, których miał cały zwierzyniec w Sjö. Był też niebezpieczny, gdyż strzelał ciągle na oślep. Pewnego dnia zranił przypadkiem oswojonego niedźwiedzia, zwierz rzucił się nań, gdyż stał blisko kraty i ugryzł go w ramię, a potem uciekł w w las. Major zmarł skutkiem tej rany, ale dopiero przed samem Bożem Narodzeniem. Majorowa byłaby objęła władzę nad Ekeby, wiedząc że jest chory, ale kawalerowie pewni byli, że nie wróci, póki ich rok nie minie.

AMOR VINCIT OMNIA.

Pod chórem svartsjoeńskiego kościoła mieściła się graciarnia pełna starych, połamanych desek, ławek nieprzydatnych i tym podobnych rupieci.

Przysnuta warstwą pyłu i ukryta przed ludzkiem okiem stała tam skrzynia, wykładana bogato masą perłową, błyszcząca po otwarciu, jak ściana groty z baśni. Skrzynia była zamknięta, a klucz dobrze schowany. Otworzyć jej nie można było i niczyje oko nie zbadało wnętrza. Nikt nie wiedział, co zawiera i dopiero po upływie dziewiętnastego wieku wolno być miało, jak chciał właściciel, podnieść wieko i pokazać ludziom skarby, zawarte w niej.

Na mosiężnej płycie wieka widniał napis: *Labor vincit omnia.* Inny atoli napis byłby stosowniejszy, mianowicie: *Amor vincit omnia*, gdyż ta, ukryta w graciarni skrzynia była świadectwem wszechpotęgi miłości.

O Erosie, władco wszystkiego!

O miłości, jedyna prawdo wiekuista! Stare jest ludzkie plemię, a ty towarzyszysz mu od początku samego.

Znikli bogowie wschodu, mocarze piorunowi, nad świętą rzeką czczeni ofiarą mleka i miodu. Zmarł wielki wojownik Bel i olbrzym Tot o głowie ibisa.

Zmarli, spoczywający na obłokach bogowie Olimpu, oraz mocarze nakrytej tarczami Walhali. Wszyscy starzy bogowie zmarli, prócz wszechwładcy, Erosa.

Wszystko jest jego dziełem, utrzymuje pokolenia, a gdziekolwiek stąpić, widne są ślady stóp jego. W każdym akordzie brzmi zasadniczy ton poszumu jego skrzydeł. Śni w sercach ludzi i ziarnie nasienia. W martwych nawet rzeczach uczuwamy z drżeniem jego obecność.

Czyż jest coś, coby nie tęskniło i nie ulegało przyciąganiu? Padną wszyscy bogowie zemsty i siły! Ty jedna, miłości, jesteś prawdą wiekuistą.

— — — — — — — — — — — —

Stary wujaszek Eberhard siedział przy swojem biurku, przedziwnym meblu o stu szufladach, marmurowej płycie i mosiężnych okuciach. Pracował pilnie i z zapałem, sam jeden w skrzydle rezydenckiem.

Czemuż o Eberhardzie nie korzystasz w polu i w lesie z przelotnych, ostatnich dni lata, jak inni kawalerowie? Wiesz dobrze, że nie wolno bezkarnie czcić bogini mądrości. Grzbiet ci się pochylił, choć masz ledwo sześdziesiątkę, a włos cudzy nakrywa czaszkę twoją. Zmarszczki widnieją nad spiętrzonem powyż głębokich oczodołów czołem, a mają one wszystkie kierunki, jakie przybrać mogą szpady zapaśników. Tysiące też zmarszczek otacza bezzębne usta twoje. Eberhardzie, Eberhardzie, czemuż nie bujasz po polach i lasach? Śmierć rozłączy cię z biurkiem, tem rychlej, żeś nie dał się odeń życiu odciągnąć.

Wujaszek Eberhard pociągnął grubą kreskę pod ostatnim wierszem, a potem jął dobywać z rozlicznych szuflad pliki gęsto zapisanego papieru i składać jedne na drugie części dzieła wielkiego, które miało unieśmier-

telnić nazwisko Eberharda Berggrena. W chwili kiedy patrzył z rozkoszą na wielki stos, rozwarto zcicha drzwi i weszła młoda hrabina.

Była władczynią starych kawalerów, którzy ją kochali i czcili bardziej, niż pradziad kocha pierwszego prawnuka swego. Znaleźli ją w ubóstwie i chorobie i obdarzyli wszystkiemi wspaniałościami świata, jak król z bajki obdarzył biedną, napotkaną w lesie dziewczynę. Dla niej brzmiały waltornie i skrzypce Ekeby, dla niej żyło i poruszało się wszystko w wielkiej posiadłości.

Była już zdrowa, chociaż jeszcze trochę osłabiona, samotność wielkiego domu zaciężyła jej, ponieważ zaś wiedziała, że rezydenci wyjechali, przeto chciała zobaczyć, jak wygląda osławione skrzydło kawalerskie.

Weszła po cichu, obejrzała bielone ściany, firanki łóżek w żółtą kostkę, tokarnię Gösty, malowany stół Löwenberga, przy którym grywał Beethovena, wypchaną wronę nad łóżkiem Krystjana Bergha i niedźwiedzią skórę przed leżem majora Fuchsa. W jednym kącie zobaczyła dziwny warsztat tkacki Bärencreutza bez czołenka i szpulek, stołek przy piecu, na którym wiódł bezczynny i bezimienny żywot kum Kristofer, rzeźbioną skrzynię prowjantową mistrza Juljusza, pudło ze skrzypcami Liliencrony, plecak i kij sękaty Kevenhüllera, łyżkę do ponczu Rustera, słowem obejrzała wszystko, potem zaś zmieszała się, spostrzegłszy, że pokój nie jest pusty.

Wujaszek Eberhard podszedł uroczyście i przywiódł ją do sterty papierów.

— Oto, hrabino, dzieło moje skończone! — powiedział. — Teraz pójdzie w świat i narobi niemało rzeczy.

— Cóż się stanie?

— Spadnie, jak piorun co świeci i zabija! Od czasu kiedy Mojżesz dobył Jehowę z gromowej chmury Sinaju i osadził w tabernakulum na tronie, trwał tam spokojnie i pewnie, teraz atoli przekonają się ludzie, że jest jeno urojeniem, nicością, mgłą i wytworem własnego mózgu naszego! — zawołał starzec, kładąc pomarszczoną rękę na papierach. — To jest tu napisane, a gdy ludzie przeczytają, muszą uwierzyć. Poznają głupotę własną, użyją krzyżów na opał, kościoły przemienią w śpichrze, a księżmi będą orać.

— Wujaszku Eberhardzie, — spytała drgnąwszy — czyż naprawdę napisałeś tak straszne rzeczy?

— Straszne? To jeno szczera prawda. Jesteśmy jak dzieci, chowające głowę w suknię matki na widok obcego. Nauczyliśmy się kryć przed tym, wiecznie obcym, który teraz zamieszka pośród nas i zostanie poznany przez wszystkich!

— Przez wszystkich?

— Tak jest, hrabino, nietylko filozofowie, ale wszyscy poznają prawdę.

— A stary Jehowa zginie?

— On i wszystkie anioły, święci, djabły i inne kłamstwa!

— Któż będzie rządził światem?

— Sądzisz, hrabino, że rządził nim ktoś dotąd? Czy wierzysz pani w ową Opatrzność, co czuwa nad wróblem i włosem na głowie. Nikt dotąd nie rządził i nie będzie!

— Cóż się stanie z nami, ludźmi?

— To, co dotąd! Rozpadniemy się w proch. Kto się wypalił, umiera i koniec. Jesteśmy opałowym materjałem przyrody. Iskra życia przelatuje od jed-

nego do drugiego, zapalając się i gasnąc. Takie jest życie.

— Czyż niema, wujaszku, życia wiecznego?

— Niema!

— Nic niema poza grobem?

— Nic.

— Nic dobrego, ni złego, żadnego celu, ni nadziei?

— Nie!

Hrabina przystąpiła do okna. Ujrzała na tle pożółkłego listowia pochylone wiatrem głowy georginji, czarne fale Löffenu, ciemne chmury jesieni i na chwilę zaparła się świata.

— Wujaszku Eberhardzie, — powiedziała — świat jest szary, brzydki, znikomy i bezpotrzebny. Położę się i umrę.

Ale zaraz usłyszała, jakby skargę własnej duszy. Siły życia i uczuć jęły wołać o życie dla szczęścia.

— Czyż nic nie może uczynić życia pięknem, gdyście mi zabrali Boga i nieśmiertelność?

— Praca! — odparł starzec.

Ale wyjrzała znowu i ogarnęła ją wzgarda dla marnej ziemi. Odczuła ducha wieczystego we wszystkiem, nieogarnioną siłę, pozornie związaną z materją, ale zdolną wytworzyć wielorakie kształty życia. Myśli zawirowały jej w głowie i jęła szukać nazwy na obecność Boga w naturze.

— Wuju Eberhardzie, spytała — cóż to jest praca? Czy Bóg? Czy ma cel sama w sobie? Wymień coś innego!

— Nic innego nie znam! — odparł.

Nagle odnalazła miano poszukiwane i poniewierane tak często.

— Wuju Eberhardzie! — zawołała — Czemu nie wymienisz miłości?

Uśmiech wykwitł na bezzębnych ustach, obrzeżonych zmarszczkami.

— Tu, — rzekł, uderzając pięścią po papierach — zamordowałem wszystkich bogów, nie zapomniawszy Erosa. Miłość, to jeno żądza ciała! Czemużby wyżej miała stać od innych jego funkcyj? Uczyńże, hrabino, sobie boga z głodu, albo ze znużenia! Godne tego równie. Wszystkie te głupstwa muszą się skończyć, a sama jeno prawda żyć będzie.

Hrabina pochyliła głowę. Czuła, że tak nie jest, ale nie umiała spierać się ze starcem.

— Zraniły mi duszę twe słowa, — powiedziała — ale jeszcze ci nie wierzę. Możesz zabić bogów nienawiści i zemsty jeno.

Ujął jej dłoń, położył na księdze i oświadczył z fanatyzmem niewiary:

— Przeczytaj to, a uwierzysz!

— Nie chcę tedy patrzeć na tę księgę, gdyż uwierzywszy, nie mogłabym żyć!

Odeszła, pogrążona w smutku, a filozof siedział długo, dumając.

Pożółkłe papiery, gęsto zapisane, nie dotarły do ludzi, a nazwisko wuja Eberharda nie zasłynęło w nauce.

Wielkie jego dzieło spoczywa dotąd w graciarni svartsjoeńskiego kościoła i kiedyś, dopiero może przy końcu wieku, wyjdzie na światłość dzienną.

Czemuż to uczynił? Czyżby się bał, iż nie zdołał udowodnić swych twierdzeń? Czyż się lękał prześladowań? O, nie znacie wuja Eberharda!

Otóż wiedzcie, że kochał prawdę, nie sławę swoją. Toteż poświęcił ją w tym celu, by istota, którą jak ojciec miłował, mogła dokończyć życia w wierze swojej.

O miłości, tyś jest jedyną prawdą wiekuistą!

DZIEWCZYNA Z NYGAARDU.

Nikt nie znał miejsca pod górą, gdzie najgęściej rosną jodły, a mech pokrywa ziemię, gdyż nikt tam nie był przedtem, ni potem i nie było ścieżki do ukrytego zakątku tego. Wokoło niego piętrzą się skały, strzegą dostępu gęste jałowce, a susz i obalone pnie tamują drogę. Pasterz tam nie docierał, a lis gardził tym smutkiem. Tego właśnie, najsamotniejszego miejsca szukali pewnego dnia ludzie.

Ogromny szedł korowód, zdolny napełnić kościół broeński, löfwikski i svartsjoeński w dodatku. Cóż to był za liczny pochód poszukiwaczy!

Dzieci, którym nie pozwolono brać w nim udziału, siedziały na płotach i zagrodzeniach, patrząc na przechodzących. Malcy nie myślały, by było tyle ludzi na świecie i zapamiętały potem z czasów młodości ten tłum niezmierny. Wspomnienie tego korowodu poszukiwaczy na drodze, którą zazwyczaj kroczył jeno samotny wędrowiec, żebrak, lub jechał wóz chłopski, napełniało im potem oczy łzami.

Mieszkający przy drodze wychodzili i pytali:

— Czy jakaś klęska nawiedziła okolicę? Czy wróg napadł na kraj. Dokądże to zdążacie, wędrowcy?

— Szukamy! — odpowiadali — Od dwu dni szukamy i dziś jeszcze szukać będziemy, ale dłużej

nie zdołamy wytrwać. Przetrząśniemy jeszcze las björneński i jodłami porosłe zachodnie zbocza Ekeby.

Pochód wyruszył z Nygaardu, nędznej wioski we wschodnich górach. Znikła od tygodnia piękna, młoda dziewczyna, o grubych, czarnych warkoczach i rumianych policzkach. Miotlarka, z którą zaręczyć się miał Gösta, zabłądziła w wielkich lasach, od tygodnia jej nie widziano, przeto ludzie ruszyli na poszukiwanie, a do nich przyłączyli się napotykani po drodze. Z każdego domu wychodził ktoś szukać.

Często pytał nowy przybysz:

— Skądże to poszło, ludzie nygaardzcy? Czemuście pozwolili dziewczynie chodzić po obcych lasach? Bory ogromne, a Bóg jej odebrał rozum.

— Nikt jej nie ukrzywdzi, — odpowiadali — a ona też nie uczyniłaby nikomu nic złego. Chodziła bezpieczna, jak dziecko, bo pod opieką bożą i zawsze wracała.

Pochód przeszedł lasy wschodnie, dzielące Nygaard od równi, a teraz, trzeciego dnia kroczył ponad kościół broeński ku lasom, po zachodniej stronie Ekeby.

Wszędzie się dziwiono wielce, zawsze musiał przystawać któryś i odpowiadać na pytania, czego szukają.

— Szukamy błękitnookiej, czarnowłosej dziewczyny, która poszła do lasu, by umrzeć. Od tygodnia jej niema.

— Czemuż chciała umrzeć w lesie? Byłaż głodna, czy nieszczęśliwa?

— Głodu nie cierpiała, ale z wiosną spotkało ją nieszczęście. Zakochała się przed laty w szalonym proboszczu, Gösta Berlingu. Nie znalazła lepszego, gdyż Bóg jej odjął rozum.

— Tak... oczywiście, musiał jej widać Bóg rozum odebrać.

— Tej wiosny zdarzyło się nieszczęście. Nie widział jej do tej pory. Pewnego dnia obiecał, że ją poślubi. Był to żart i porzucił ją zaraz, ale nie mogła się uspokoić, chodziła ciągle do Ekeby i włóczyła się za nim wszędzie. On zaś znudził się nią i gdy przyszła raz jeszcze, poszczuto ją psami. Od tego dnia nikt jej nie widział.

— Dalejże ludzie! Idzie o życie człowieka, dziewczyna poszła do lasu umierać. Może już zmarła, a może wędruje, nie mogąc znaleźć drogi. Las wielki, a Bóg jej odebrał rozum!

Łączcie się z pochodem, zostawcie owies w stertach, aż się wysypie nikłe ziarno, niech ziemniaki gniją w ziemi, puśćcie konie, by nie zginęły w stajniach z pragnienia, otwórzcie krowom stajnie, by wróciły wieczorem i zabierzcie dzieci, gdyż je miłuje Bóg. Jest on z malcami, kieruje ich krokami, więc niech pomagają tam, gdzie rozum ludzki ustaje.

Chodźcież wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci! Któżby się ośmielił zostać w domu? Może Bóg właśnie nim się posłuży. Chodźcież wszyscy, potrzebujący miłosierdzia, by dusza wasza nie błądziła kiedyś po pustce, nie znajdując pokoju. Chodźcie! Bóg jej odebrał rozum, a las jest wielki.

Ach, któż zdoła odnaleźć miejsce, gdzie najgęściej rosną jodły, a mech miękki? Czyż nie leży tam coś czarnego, tuż pod skałą? To pewnie mrowisko. Niech będzie pochwalony ten, co wiedzie naiwnych. To pewnie mrowisko.

Cóż to za pochód. Nie jest to korowód strojny, czczący zwycięzcę, ścieląc mu kwiaty i witając okrzy-

kami, nie jest to procesja śpiewających psalmy biczowników, idących do Świętego Grobu, ani rzesza wychodźców, szukających nowych siedzib. Nie jest to wojsko. Ale jeno gromada chłopów, w odzieży roboczej z samodziału i wytartych fartuchach, oraz kobiet z pończochami w rękach i dziećmi na plecach, oraz u spódnic uczepionemi.

Wielka to rzecz widzieć ludzi zebranych do wspólnego celu. Niech dążą czcić dobroczyńców swoich, chwalić Boga, szukać nowych siedzib, czy bronić ojczyzny. Tych atoli ludzi nie gnał głód, bojaźń boża, ni wojna. Trud ich daremny, praca bez zapłaty, a wyszli szukać obłakanej. Za cały pot czół, niezliczone kroki i modły zostaną nagrodzeni odnalezieniem obłąkanej, której rozum jest u Boga.

Trudno nie pokochać tego ludu i nie uczuć łez w oczach na wspomnienie tych mężczyzn, o spracowanych rękach, kobiet o przedwcześnie pomarszczonych czołach i dzieci, którym Bóg miał wskazywać drogę.

Gościniec był zatłoczony smutnymi poszukiwaczami, którzy, zapatrzeni ponuro w las, szli, mając więcej nadziei odnaleźć zmarłą, niźli żywą.

Ten czarny punkt pod skałą, to pewnie nie mrowisko, ale obalony pień! Dzięki Bogu, to jeno pień obalony! Chociaż nie widać go dobrze w gęstwie jedli.

Korowód był tak długi, że najsilniejsi dotarli już do lasu po zachodniej stronie Björne, gdy kalecy, starcy i kobiety z dziećmi minęli ledwo kościół brobijski.

W końcu znikli w lesie. Poranne słońce przyświecało im pod sosnami, a zachodzące miało witać wychodzących z lasu.

Trzeci to już dzień szukali i nawykli do tej pracy. Zaglądali pod strome skały, gdzie się uślizgują nogi, pod obalone pnie, gdzie łatwo połamać ręce i nogi, pod gałęzie gęstych świerków, zwieszonych na mech, który wabił do odpoczynku.

Znaleźli wszystko: jaskinię niedźwiedzia, jamę lisa, norę borsuka, poczerniałe miejsce po mielerzu, czerwoną górę ostrężynową, jodłę o białych szpilkach, las wypalony przed miesiącem, głaz rzucony przez trolla, jeno nie znaleźli miejsca, gdzie leżało coś czarnego pod skałą. Nikomu nie przyszło na myśl zbadać, czy to mrowisko, pień, czy człowiek. Napewno człowiek to był, ale nikt tam nie poszedł.

Wyszli na słońce po drugiej stronie lasu, ale nie znaleźli dziewczyny, której Bóg odebrał rozum. Zaczęli dumać, czy może raz jeszcze przetrząść las. Ale w lesie po ciemku niebezpiecznie, gdyż są tam bezdenne moczary i spadziste rozpadliny. Zresztą, czego nie znaleźli przy słońcu, nie znaleźliby na pewno po nocy.

— Chodźmy do Ekeby! — zawołał ktoś z tłumu.

— Chodźmy do Ekeby! — zakrzyknęli wszyscy.

— Spytamy kawalerów, czemu szczuli psami obłąkaną, doprowadzając ją tem do rozpaczy. Biedne, głodne dzieci nasze płaczą, podarliśmy odzież, owies się sypie, ziemniaki gniją, konie biegają luzem, krowy bez nadzoru, a my sami upadamy ze znużenia. Wszystko to ich wina! Chodźmy do Ekeby zrobić sąd nad nimi! Chodźmy do Ekeby.

— W tym roku klęski, my chłopi wszystkc znieść musimy. Ciężko nas gniecie ręka boża, a w zimie przyjdzie głód. Kogóż szukał Pan? Nie proboszcza z Broby, gdyż jego modlitwa została wy-

słuchana. Winni są napewno wszystkiemu kawalerowie! Chodźmy do Ekeby!

— Zniszczyli posiadłość, wygnali majorową na gościniec, z ich winy brak nam pracy i cierpimy głód! Cała niedola, ich jest dziełem! Chodźmy do Ekeby!

Ruszyli ponurzy, rozgoryczeni chłopi na Ekeby, za nimi kobiety z dziećmi na rękach, a na końcu kalecy i słabi starcy. Nienawiść ogarnęła starców, przeszła na kobiety, a z nich, na silnych mężczyzn w pierwszych szeregach.

Płynął zalew jesienny. Wszak pamiętacie, kawalerowie, powódź wiosenną? Teraz szła fala z gór, niosąc nową klęskę sławie i potędze Ekeby.

Uprawiający pole parobek posłyszał wściekłe okrzyki tłumu, wyprzągł konia i pognał do Ekeby.

— Nieszczęście idzie! — jął wołać — Idą niedźwiedzie, wilki, złe duchy idą na Ekeby!

Objechał podwórze przerażony i krzyczał:

— Rozpętały się złe duchy! Idą palić dwór i mordować kawalerów!

Tuż za nim nadpłynął zgiełk i wrzask pędzących tłumów. Szedł na Ekeby zalew jesienny.

Nienawistni napastnicy chcieli w istocie ognia, mordu i plądrowania.

Nie ludzie to szli, ale złe duchy lasu, dzikie zwierzęta pustyni, ciemne potęgi, wyzwolone na chwilę przez zemstę.

Duchy to były gór kopiące rudę, duchy lasów, rąbiące drzewa i pilnujące mielerzy, duchy pól, hodujące ziarno. Wyzwoliły się i chciały użyć swych sił do niszczenia. Śmierć Ekeby! Śmierć kawalerom!

Tu płynie wódka strumieniem, tu pełne piwnice złota, a śpiżarnie i spichrze pełne zboża i mięsa. Czemuż sprawiedliwi mają głodować, a występni opływać we wszystko?

Dość tego, przebrała się miara! Wy, lilje polne, nie przędące nigdy i ptaki niebieskie, nie zbierające do gumien, przebrała się miara! Sąd wydała ta, która leży w lesie, my jesteśmy jeno jej wysłańcami! Nie urzędnik, nie sędzia wydał wyrok, jeno leżąca w lesie obłąkana!

Stojąc przed budynkiem głównym, czekali kawalerowie i wiedzieli już, o co są oskarżeni. Wyjątkowo tym razem nie ponosili winy. Biedna szalona nie dlatego poszła w las, że ją szczuli psami, gdyż tak nie było, ale dlatego, że Gösta Berling poślubił przed tygodniem hrabinę Elżbietę.

Na cóż się jednak zdało mówić do rozszalałych? Byli zmęczeni, głodni, podnieceni zemstą i żądzą rabunku. Pędzili, a przed nimi gnał na koniu bezprzytomny ze strachu parobek, krzycząc:

— Idą niedźwiedzie, wilki, złe duchy na Ekeby!

Kawalerowie ukryli hrabinę w odległym pokoju, zostawiając na straży Löwenberga i wuja Eberharda, sami zaś wyszli do tłumu. Stanęli na schodach budynku głównego, bezbronni, uśmiechnięci i tak przyjęli pierwsze szeregi.

Ludzie stanęli przed gromadką spokojnych mężczyzn. Niektórzy radziby byli zadeptać ich podkówkami obcasów, jak to uczyniono przed pięćdziesięciu laty z pewnym zarządcą i inspektorem kopalni Sundu. Ale tłum spodziewał się zastać zamknięte drzwi i broń podniesioną do strzału, na opór i walkę był przysposobiony.

— Drodzy przyjaciele, — rzekli kawalerowie — jesteście znużeni i głodni! Spróbujcie przekąsić chleba i skosztujcie pędzonej w Ekeby wódki!

Tłum nie słuchał, groził i wył, ale kawalerowie nie brali tego za złe.

— Zaczekajcież chwilę jeno! — powiedzieli — Patrzcież, Ekeby stoi wam otworem! Otwarte są drzwi piwnic, śpiżarni i mleczarni. Kobiety wasze upadają ze znużenia, a dzieci krzyczą. Naprzód posilcie się trochę, a potem nas pozabijacie, bo nie uciekniemy. Przedtem jednak damy dzieciom waszym jabłek, jakich pełny strych mamy.

— — — — — — — — — — — —

W godzinę potem odbywała się w Ekeby uczta, największa ze wszystkich, wśród nocy jesiennej, przy świetle księżyca.

Poobalano parkany i rozniecono mnóstwo ognisk. Ludzie siedzieli grupami, rozkoszując się ciepłem, spokojem, zasypani wprost wszelkiemi darami bożemi.

Sprawni ludzie poszli do stajen i stodół i dostarczyli wszystkiego. Zarzynano cielęta, owce i pieczono je na poczekaniu. Setki zgłodniałych ludzi łykały strawę. Zarzynano jedno zwierzę po drugiem i zdawało się, że stajnie opustoszeją w ciągu nocy.

W ostatnich właśnie dniach odbyło się wielkie, jesienne pieczenie ciasta. Od przybycia hrabiny prace gospodarcze szły normalnym tokiem. Nie myślała, zda się, ni na chwilę, że jest małżonką Gösty, natomiast objęła panowanie nad Ekeby. Jak każda dzielna gospodyni położyła coprędzej tamę rozrzutności i niedbalstwu i znalazła posłuch, a służba z pewną przyjemnością odczuła rękę kobiecą nad sobą.

Na cóż się jednak zdały teraz pełne komory chleba, masło, piwo i robione przez cały wrzesień sery?

Trzeba było dać wszystko, by tłum nie spalił Ekeby i nie wymordował kawalerów. Wytoczono więc beczki, beczułki, zrzucono na kupę szynki, naznoszono wódki i jabłek.

Dobrze było jeszcze, jeśli cały zasób dworu starczyć miał na ułagodzenie napastników, wyprawienie ich i zapobieżenie zbrodni.

Wszystko to zresztą działo się właśnie przez obecną panią Ekeby. Kawalerowie byli ludźmi mężnymi i broniliby się napewne, a nawet woleliby odstraszyć tłum kilku ostremi strzałami. Ale hrabina była łagodna, miłosierna i prosiła, by szczędzić ludzi.

Z biegiem nocy miękli napastnicy coraz to bardziej, a ciepło, spokój, jedzenie i wódka uspokoiły wzburzenie. Zaczęto się śmiać, żartować, przypijać, nibyto na stypie dziewczyny z Nygaardu, a wiadomo, że każdego hańbi, gdy nie jest na stypie wesoły. Jedno jest nierozłączne z drugiem.

Dzieci tarzały się w falach owoców. Uważały dotąd za przysmak dzikie jagody, teraz zaś rozpływały im się w ustach smarzone w cukrze jabłka rajskie, żółtawe cytryny, rumiane gruszki i różnobarwne śliwki. Niema nic zbyt dobrego dla motłochu, gdy mu się spodoba okazać swą siłę.

Około północy zaczęto się jakoby sposobić do odwrotu. Kawalerowie przestali przynosić potrawy, otwierać butelki i nie nabijali piwa. Odetchnęli z ulgą, czując, że niebezpieczeństwo minęło.

W tejże jednak chwili zabłysło światło w oknie budynku głównego i wszyscy wydali okrzyk, ujrzawszy postać młodej kobiety ze świecą w ręku.

Trwało to jeno chwilę, ale wszystkim się wydało, że poznali niosącą świecę osobę.

— Miała takie same grube warkocze i rumiane policzki! — zawołano — Jest tu, kawalerowie trzymają ją w niewoli.

— Trzymacie ją? Zabraliście nam dziecko nasze, pozbawione rozumu. Cóż z nią robicie, bezbożnicy? Czemuż pozwalacie nam trapić się przez tydzień, a szukać przez trzy dni? Precz z winem waszem i jadłem! Biada nam, żeśmy coś przyjęli od was! Wydajcie nam dziewczynę, a potem pokaże się, co z wami zrobimy!

Oswojone już zwierzę zaczęło na nowo wyć i szaleć.

Tłum rzucił się, ale uprzedzili go kawalerowie, zasuwając wrzeciądze drzwi wchodowych. Czyż mogli jednak sprostać masom? Odepchnięto z łatwością nieuzbrojonych i otoczono ciasno, a tłum wpadł do wnętrza, szukając dziewczyny z Nygaardu.

Znaleziono ją w ostatnim pokoju, poczem nie patrząc, czy ma czarne, czy jasne włosy, wzięto na ramiona i wyniesiono na dwór. Uspakajali ją wszyscy, by się nie bała, gdyż tylko kawalerowie zostaną zabici, a wszystko dzieje się poto, by ją ocalić.

Ale wychodzący z domu napotkali drugi orszak.

Na niedostępnem zboczu skalnem już nie leżały zwłoki dziewczyny, która spadła z wysokiej grani, zabijając się po drodze. Znalazło ją dziecko, a wzięło na ramiona kilku zabłąkanych w lesie mężczyzn.

Wypiękniała jeszcze po śmierci. Piękną była z czarnemi włosami swemi teraz, gdy znalazła już wieczyste ukojenie.

Niesiono ją podniesioną nad głowy tłumu, który cichł wokoło niej, a ludzie pochylali głowy przed majestatem śmierci.

— Dopieroco zmarła! — szeptali mężczyźni — Do dziś wędrowała po lesie i spadła, prawdopodobnie, uciekając przed tymi, którzy ją szukali.

— Jeśli to jest jednak dziewczyna z Nygaardu, to kimże jest ta druga?

Ludzie wracający z lasu zetknęli się z wynoszącymi z domu hrabinę, zapalono ogniska na całem podwórzu, a wszyscy zobaczyli obie kobiety i rozpoznali hrabinę z Borgu.

— Cóż to ma znaczyć? — pytano wokół. — Czyż wpadliśmy na trop nowej zbrodni? Czemuż przebywa hrabina w Ekeby? Czemuż nam mówiono, że jest daleko stąd, lub może zmarła nawet? Na miłość boską, trzeba teraz pochwycić kawalerów i zadeptać ich na śmierć obcasami!

Nagle zabrzmiał donośny głos Gösty, który stojąc na parapecie terasy, przemówił:

— Słuchajcie mnie potwory i djabły! Czy sądzicie, że brak w Ekeby strzelb i prochu? Szaleńcy! Wiedzcież, że miałem wielką ochotę wystrzelać was do nogi, jak psy wściekłe! Ale ta właśnie kobieta prosiła za wami. Gdybym był wiedział, że jej dotkniecie, żaden z was nie uszedłby z życiem!

Czemuż to napadacie nas po nocy, z wrzaskiem, jak bandyci, grożąc ogniem i mordem? Cóż mnie obchodzą wasze obłąkane dziewczęta i czyż wiem, którędy wędrują? Byłem zbyt dobry dla tej oto i na tem koniec. Powinienem był ją naprawdę wyszczuć psami, czego zresztą nie uczyniłem wcale. Nie przy-

rzekałem jej też nigdy małżeństwa. Zapamiętajcie to sobie!

Teraz zaś mówię wam, puśćcie porwaną kobietę! Puśćcie ją i oby ręce wasze płonęły na wieki w ogniu piekielnym! Czyż nie wiecie, że stoi ona tak wysoko ponad wami, jak niebo ponad ziemią, że jest o tyle wykwintna, o ile wy jesteście ordynarni, a o tyle dobra, o ile wy źli jesteście!

Powiem wam jeszcze kim ona jest. Jest aniołem niebiańskim, a była też żoną hrabiego z Borgu. Teściowa dręczyła ją w dzień i nocy, kazała prać w jeziorze, biła i dokuczała jej tak, że czegoś podobnego nie przechodzi żadna z żon waszych. Wiemy wszyscy, że chciała skoczyć w wodę, z obawy przed męczeństwem. Któryż to z was, draby jedne, pospieszył jej z pomocą? Nie było żadnego, a my ocaliliśmy ją, my, kawalerowie.

Kiedy urodziła dziecko, powiedział jej mąż, że zawarli ślub zagranicą, bez uwzględnienia zwyczajów krajowych, przeto nie jest jego żoną, ni on jej mężem, a dziecko go nic nie obchodzi. Cóżbyście uczynili urwipołcie w tym wypadku, gdyby powiedziała któremuś z was: — Nie chcę, by dziecko moje doznawało w życiu krzywd, jako nielegalne, przeto ożeń się ze mną, gdyż chcę dlań ojca! — Czyżbyście wyzbyli się pychy? Ona jednak nie wybrała żadnego z was, ale wzięła Göstę Berlinga, biednego proboszcza, któremu nie wolno głosić słowa bożego. Zaręczam wam słowem, że nigdy mi nic trudniej nie przyszło, jak zgodzić się na to, gdyż czułem się jej niegodnym i nie śmiałem jej patrzyć w oczy. Ale nie śmiałem też odmawiać, gdyż była w wielkiej rozpaczy.

Możecie sobie co chcecie myśleć o nas, kawalerach, dla niej jednak byliśmy zawsze dobrzy i pomagaliśmy jej z całych sił. Jej to jest także zasługą, żeśmy was nie wystrzelali do jednego. Powtarzam tedy, puśćcie ją i idźcie sobie precz, gdyż inaczej ziemia się rozewrze i pochłonie was. W drodze powrotnej proście też Boga o przebaczenie, żeście przestraszyli i zmartwili tak dobrą i niewinną istotę. A teraz wynoście się! Dość was mamy!

Jeszcze przed zakończeniem mowy, chłopy zdjęli hrabinę z ramion i posadzili na kamiennych schodach. Teraz przystąpił do niej barczysty chłop i podał jej rękę.

— Żegnam i dziękuję! — powiedział — Nie chcieliśmy pani hrabinie nic złego uczynić. Proszę nie mieć żalu.

Potem zbliżył się drugi, ujął ostrożnie jej dłoń i rzekł:

— Żegnam i dziękuję bardzo! Niechże się pani hrabina na nas nie gniewa!

Gösta zeskoczył i stanął obok niej, a oni i jemu podali ręce.

Jeden po drugim żegnał się, życząc dobrej nocy. Byli znowu obłaskawieni jak rano, w chwili opuszczania domów, zanim głód i żądza zemsty uczyniły ich dzikiemi zwierzętami.

Spoglądali hrabinie prosto w twarz, a Gösta dostrzegł łzy w oczach niejednego, wywołane niewinnym i skupionym wyrazem jej twarzy. Hołdowali oni ideałowi szlachetności i cieszyło ich, że ktoś tak kocha dobro.

Nie wszyscy mogli jej podać ręce, było ich bowiem mnóstwo, a ona słaba i wyczerpana. Każdy

jednak podszedł, spojrzał na nią i uścisnął dłoń Gösty, któremu starczyło sił na to potrząsanie prawicą.

Gösta stał, jakby w zachwyceniu. W sercu jego zapłonęła tej nocy miłość nowa.

— O jakże cię kocham, ludu mój! — pomyślał.

Uczuł, że kocha tę rzeszę, wracającą w ciemnościach nocy ze zmarłą na czele, że kocha tych szaro odzianych ludzi, w cuchnących chodakach, co mieszkają pod lasem, nie umieją pisać, ni czytać nieraz, a nie domyślając się nawet pełni i bogactwa życia, znają jeno troskę o chleb powszedni.

Był to lud wielki, wspaniały, mężny, wytrwały, wesoły, pracowity, zręczny i przedsiębiorczy. Nieraz biedak czynił dobrze biedakowi, a wyraz twarzy przeważnej liczby świadczył o sile i inteligencji, zaś ze słów ich tryskał humor.

Kochał ich z czułością, która wyciskała łzy z jego oczu, nie wiedział, co dla nich uczyni, ale kochał ich, razem z błędami i wadami, pragnąc, by go kiedyś także pokochali.

Zbudził się z marzeń, pod dotknięciem ręki żony. Tłum znikł, byli teraz sami na terasie.

— Ach Gösto! — powiedziała — Jakże mogłeś to powiedzieć?

Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

— Powiedziałem szczerą prawdę! — zawołał — Nigdy nie przyrzekałem dziewczynie z Nygaardu małżeństwa. Powiedziałem jej tylko, by przyszła w następny piątek, a zobaczy coś wesołego. Nic więcej! Cóżem winien, że się we mnie zakochała?

— Ach, nie o to mi idzie! Jakże im mogłeś powiedzieć, że ja jestem czysta i dobra? Gösto, Gösto, wszakże wiesz, żem cię pokochała wówczas, kiedy

nie było mi wolno kochać jeszcze. Wstydziłam się tych ludzi, straszniem się wstydziła!

Łkanie wstrząsnęło jej ciałem.

Popatrzył na nią i rzekł z cicha:

— Jedyna moja! Jakże jesteś szczęśliwa, żeś dobra! Jakże szczęśliwą jesteś, że masz piękną duszę!

KEVENHÜLLER

Drodzy przyjaciele! To co tu piszę, jest jeno nędzną, małą alegorją.

Alegorja nosi się zazwyczaj niebiańsko pięknie i ma królewskie emblematy, moja zaś przypomina raczej obdartego, wygłodniałego ulicznika. Alegorja zwykła mieszkać w gajach arkadyjskich i salach kolumnowych, swoją jednak napotkałem w Karlsztadzie, pod kamienną wieżą, przy zachodnim moście, gdzie siedziała, płacząc.

Stara ta wieża kamienna nie zdobi pięknego współczesnego miasta. Wysoka, czworokątna, wąska budowla z granitu, o małych, ciasnych okienkach, wygląda w istocie brzydko. Szare, kańciaste ściany nie mają żadnej ozdoby, a całość czyni wrażenie niesamowite i straszne. Stara budowla przypomina wieżę jakiegoś zamku rycerskiego, ale ponieważ ludzie twierdzą, że był to ongiś wiatrak, przeto i ten walor romantyczny przepada.

Mimoto, mieszka tam mała alegorja moja. Opowiem wam, jak jest dobrotliwa, a sądzę, nikomu na myśl wówczas nie przyjdzie, burzyć starej wieży. Woli tam mieszkać, niźli na zamku, w ratuszu, czy szkole łacińskiej, lubi bowiem gładkie mury i towarzystwo szczurów, czy nietoperzy. Może nie wartoby

jej nawet zresztą opowiadać, gdy bohaterem jej nie był jeden z kawalerów ekebijskich i gdyby nie traktowała o ostatniem, wielkiem nieszczęściu, jakie spadło na Ekeby.

— — — — — — — — — — — —

Znany później jako uczony i zręczny konstruktor Kevenhüller urodził się w Niemczech, w siedmdziesiątych latach XVIII wieku. Był synem hrabiego, mógł tedy mieszkać po zamkach i paradować przy boku króla, gdyby miał ochotę, — ale nie miał ochoty.

Wolał już przytwierdzać skrzydła wiatraka do najwyższej wieży zamkowej, przemieniać salę rycerską w kuźnię, a damską alkowę w pracownię zegarmistrza. Miał też zamiar zapełnić zamek ojcowski terkoczącemi kołami i dźwigniami ruchomemi, ponieważ się to zaś zrobić nie dało, obrócił się plecami do całego kramu i poszedł na naukę do zegarmistrza, gdzie posiadł całą wiedzę, odnośnie do kół zębatych, sprężyn i wahadeł. Wyuczył się robić zegary słoneczne, gwiezdne, zegary z piszczącemi kanarkami, trąbiącymi pasterzami, dzwonkami, zegary wieżowe, wypełniające całe wieże i małe, do schowania w medaljonik.

Po wyzwolinach przypasał plecak, ujął sękaty kij i zaczął wędrować, by poznać wszystko, co się w świecie porusza na walcach i kółkach. Nie był on zwyczajnym zegarmistrzem, ale chciał zostać wielkim wynalazcą i poprawiaczem świata.

Przewędrowawszy dużo krajów, zaszedł też do Wermlandji, celem przestudjowania kół młyńskich i urządzeń kopalnianych.

Pewnego pięknego dnia letniego znalazł się na rynku karlsztadzkim i spotkał tam władczynię lasów,

piękną Hulder, która uznała za stosowne przywędrować prosto do miasta. Znakomita dama szła ze strony przeciwnej, toteż wpadła wprost na Kevenhüllera.

Przedziwne to było spotkanie, w sam raz dla czeladnika zegarmistrzowskiego. Miała ona zielone, lśniące oczy, bujne, jasne włosy do ziemi i ubrana była w zielony, szumiący jedwab. Chociaż była boginką i poganką, wydała mu się dużo piękniejszą od wszystkich, widzianych dotąd chrześcijanek, tak że stanął wpatrzony w nią.

Przybyła wprost z leśnej gęstwy, gdzie rosną paprocie, jak drzewa, gdzie olbrzymie sosny nie dopuszczają słońca, tak że jeno centki światła lśnią na mchu zielonym i gdzie Linea łazi po porosłych kamieniach.

Żałuję, że nie byłam na miejscu Kevenhüllera i nie widziałam, jak szła z paprociami i szpilkami jodeł we włosach, z małą, czarną żmiją na szyi, krokiem elastycznym dzikiego zwierza, owiana zapachem żywicy, poziomek i mchów.

Patrzyli na nią pewnie ludzie z osłupieniem, że śmie chodzić po karlsztadzkim rynku, a konie płoszyła powiewaniem długich włosów. Gonili ją ulicznicy, a robotnicy gapili się, zapominając o wozach i kilofach, damy zaś krzyczały, biegły do biskupa, do kapituły i domagały się wygnania potwora z miasta.

Ona jednak szła spokojnie, majestatycznie i uśmiechała się, patrząc na zamieszanie, tak że Kevenhüller dostrzegł małe, ostre zęby zwierzęcia dzikiego, wychylające się z pośród różowych warg.

Zarzuciła na ramiona szal, by ukryć kim jest, ale, na nieszczęście, zapomniała schować ogona, który włókł się za nią po bruku.

Kevenhüller widział ogon, ale jako hrabicz, choć zegarmistrz, uczuł politowanie dla wytwornej damy, wystawionej na pośmiewisko mieszczuchów i pochylając się po rycersku, powiedział:

— Może łaskawa pani raczy unieść tren sukni?

Wzruszyła Hulder ta życzliwość i ugrzecznienie, stanęła tedy przed nim, wpiła mu w sam mózg zielone, łyskliwe oczy i rzekła:

— Zapamiętaj sobie, mości Kevenhüllerze, że odtąd będziesz mógł stworzyć własnemi rękami każde, jakie zechcesz arcydzieło, ale tylko po jednej sztuce z każdego gatunku.

Tak rzekła i mogła dotrzymać słowa, gdyż posiadała władzę użyczania temu, kto posiadł jej łaski, genjuszu i sił cudownych.

Kevenhüller został w Karlsztadzie i najął sobie tam pracownię. Przez tydzień pracował, aż zrobił arcydzieło. Był to samochód. Jeździł on do góry i na dół we wszystkie strony, można go było obrócić, zatrzymać i znowu puścić w ruch, słowem, był cudowny.

Kevenhüller stał się słynnym i pozyskał w mieście przyjaciół. Dumny ze swego dzieła, pojechał samochodem do Sztokholmu, pokazać go królowi. Nie potrzebował czekać na konie pocztowe, trząść się nędznemi karjolkami, ni spać na twardych ławach pocztowych. W ciągu kilku godzin dotarł do Sztokholmu.

Zajechał wprost do zamku, król wyszedł w otoczeniu świty i dam dworskich a wszyscy nie mogli się dość nachwalić i nadziwować.

— Daj mi ten wóz, mości Kevenhüllerze! — rzekł król, a choć odmówił, król uparł się przy swojem.

Nagle ujrzał w świcie damę, zielono ubraną, jasnowłosą. Poznał ją i zrozumiał, że to ona nakłoniła króla, by go poprosił o samochód. Popadł w rozpacz, a nie mogąc znieść, by ktoś inny posiadł jego wóz, ni też opierać się dalej królowi, wjechał z takim rozmachem na mur, że arcydzieło pękło w kawałki.

Za powrotem do Karlsztadu jął próbować zrobić drugi samochód, ale mu się nie udało. Rozpaczą napełnił go dar Huldery. Porzucił próżniaczy dom ojca poto, by zostać dobroczyńcą ludzkości, nie zaś poto, by fabrykować czarodziejskie graty. Cóż mu z tego przyszło, gdy żadnego z arcydzieł swych nie mógł powielić i oddać na użytek tysięcy?

Uczony mistrz zapragnął pracy spokojnej i rozumnej kamieniarza i budowniczego. W owym to właśnie czasie zbudował wielką wieżę kamienną, na wzór wieży zamku ojcowskiego i chciał potem dostawić dom mieszkalny, portale podwórza, mury wykusze, tak, by nad brzegiem Klarelfu powstał zamek rycerski.

Chciał w nim ziścić marzenie młodości i napełnić budynki wszelakiemi warsztatami, narzędziami i przyborami, jakich potrzebował. Pomieścić się tu mieli też młynarze, czarni kowale, zegarmistrze w zielonych umbrelkach, farbiarze z powalanemi rękami, tkacze, tokarze, a wszyscy ze swemi warsztatami.

Wszystko poszło dobrze, wybudował wieżę, ciosając własnoręcznie kamienie i murując sam.

Umieścił na szczycie skrzydła, gdyż miał to być wiatrak, potem zaś zaczął stawiać kuźnię.

Pewnego dnia, patrząc na obracające się śmigi, uczuł, że wzbiera w nim dawne pragnienie.

Wydało mu się znowu, że spojrzała mu wprost do mózgu zielona boginka, zamknął się w pracowni, nie jadł, nie pił, nie odpoczywał i w ciągu tygodnia stworzył nowe arcydzieło.

Nadszedł dzień, kiedy wstąpiwszy na dach swej wieży, zaczął przypinać skrzydła.

Spostrzegli go siedzący na poręczy mostu dwaj ulicznicy i gimnazjalista, którzy łowili płotki i wydali okrzyk tętniący po całem mieście. Porwali się potem i biegnąc od drzwi do drzwi bili w nie, wołając:

— Kevenhüller chce latać!

Stał spokojnie, przypinając skrzydła i patrzył na tłumy ludu, płynące ciasnemi ulicami starego Karlsztadu.

Kucharki odbiegły garnków i mięszonego ciasta, panie rzuciły pończochy, wdziały okulary i wybiegły na ulicę, burmistrz i radni wstali z ław sędziowskich, rektor wcisnął w kąt gramatykę, uczniowie opuścili bez pozwolenia klasy, a wszyscy pospieszyli pędem ku zachodniemu mostowi.

Wkrótce zaczerniło się od ludzi, cały rynek zapełnili widzowie, napchani jak śledzie, a na całem wybrzeżu, aż po pałac biskupi, nie możnaby wetknąć szpilki. Więcej było ludzi, niż na kiermaszu w dzień św. Piotra, więcej też niźli podczas pamiętnej jazdy króla Gustawa III., kiedyto powóz ośmiokonny pędził tak szybko, że na zakrętach stawał na dwu kołach.

Kevenhüller przypiął w końcu skrzydła, odbił się, machnął niemi parę razy i uleciał swobodnie. Leżąc w powietrzu, płynął wysoko nad ziemią.

Wciągał w płuca czyste tchnienie, pierś mu się rozszerzała, a stara krew szlachecka zaczęła grać. Wirował, jak gołąb, płynął jak jastrząb, śmigał szybciej

od jaskółki, a sterował ze ścisłością sokoła. Patrzył z góry na tłumy, dumając coby z nich mógł zrobić, gdyby każdemu człowiekowi dał parę skrzydeł, uzdolniających do szybowania w przestworach. I w tej chwili nie zapomniał niedoli swojej, która sprawiała, że mógł sam jeno korzystać ze swych arcydzieł. Ach, ta Hulder! Gdybyż ją mógł dostać w ręce!

Nagle oczom jego, olśnionym blaskiem, ukazało się w powietrzu coś, co przypominało skrzydła, a pomiędzy niemi ujrzał ludzką postać. Powiewały jasne włosy, jedwabne zielone szaty i błyszczały oczy. Tak, to ona!

Stracił przytomność umysłu. Rzucił się szalonym pędem na zjawisko, by je,... niewiadomo..., całować, czy bić i zmusić do zdjęcia czaru. Zapomniał w tej chwili o sterowaniu, wyciągnął rękę, zbliżył się i nagle skrzydła jego wplątały się w drugie skrzydła. Tamte były mocniejsze, chwyciły go, obróciły, potargały mu lotki i runął, sam nie wiedząc gdzie.

Odzyskawszy zmysły spostrzegł, że leży na dachu własnej wieży, obok strzaskanego przyrządu lotniczego. Poleciał, oczywiście wprost na swój wiatrak, został porwany, okręcony parę razy i rzucony na dach. Tak się skończyła jazda powietrzna.

Kevenhüller popadł znowu w rozpacz. Uczciwa praca mierziła go, a sztuczkami czarodziejskiemi zajmować się nie chciał. Uczuł, że serceby mu pękło, gdyby stworzył jeszcze jedno arcydzieło i stracić je musiał. Gdyby zaś nie zniszczało, zwarjowałby napewno, nie mogąc go dać na użytek innych.

Sięgnął po swój stary plecak czeladniczy i kij sękaty, zostawił wiatrak i postanowił szukać Huldery.

Najął powóz, gdyż nie mógł już tak chodzić jak za młodu i pojechał, stając przed każdym lasem. Wysiadał, wchodził w gęstwinę i wołał zielonej boginki.

— Hulder! Hulder, to ja, Kevenhüller! Chodźno, chodź! — ale nie przychodziła.

Podczas tej podróży przybył do Ekeby, parę lat zaledwo przed wygnaniem majorowej. Przyjęto go dobrze i został. Gromadce kawalerów przybyła wysoka, rycerska postać i pozyskali nieustraszonego towarzysza pohulanek i łowów. Wróciły mu wspomnienia młodości, pozwalał się nazywać hrabią i coraz bardziej przypominał starego, niemieckiego baronarozbójnika, orlim nosem, krzaczastemi brwiami, brodą szpiczastą i zakręconemi w górę wąsami.

Został rezydentem, jak inni i nie różnił się od gromadki, którą majorowa, wedle legendy, trzymała w pogotowiu na usługi piekła. Włos mu pobielał, a umysł zasnął. Nie wierzył już sam w czyny lat młodych i zatracił cudowne zdolności. Nie zrobił wcale samochodu, ani maszyny lotniczej... To bajki... bajki!

Ale wkrótce została majorowa wypędzoną z Ekeby i zaczęło się życie szalone kawalerów, władców posiadłości. Burza poszła po okolicy, stare rozpasanie złączyło się z młodem zdziczeniem, zło wszelkie wprawione zostało w ruch, dobro zanikło, ludzie walczyli na ziemi, a duchy na niebie. Z gór nadciągnęły wilki z czarownicami na grzbietach, rozpętały się siły natury, a Hulder przybyła do Ekeby.

Nie znali jej kawalerowie i myśleli, że jest to biedna, uściśniona kobieta, doprowadzona do rozpaczy przez złą teściową. Wzięli ją w opiekę, czcili jak królowę, kochali jak dziecko własne i zwali hrabiną.

Jeden Kevenhüller poznał ją, chociaż i on z początku uległ złudzeniu. Ale pewnego dnia sporządzili jej mistrz Juljusz i Oerneclou, nie wstydzący się krawcować dla niej, suknię z zielonego jedwabiu i Kevenhüller zaraz zrozumiał, kim jest.

Siadywała na jedwabnych poduszkach, na najlepszej sofie ekebijskiej, a wszyscy rezydenci służyli jej, jak błazny. Jeden był kucharzem, inny, kamerdynerem, lektorem, muzykiem nadwornym, szewcem, a każdy obrał sobie sam zajęcie.

Nibyto była chorą ta zła poczwara, ale Kevenhüller wiedział, co o tem sądzić. Chciała poprostu drwić z wszystkich i koniec.

Ostrzegał przed nią kawalerów:

— Czyż nie widzicie ostrych zębów i dzikich oczu? — mawiał — To Hulder,... wszystko zło zwaliło się na nas... Powiadam wam, to Hulder, która przybyła na nasze nieszczęście. Znam ją z czasów dawniejszych.

Jakież wielkie zaślepienie ogarnąć może kochające serca. Kawalerowie podobni byli do matki, której podłożono dziecko dziwożony do kołyski. Nie dostrzega ona wielkiej głowy i czarnej skóry, a ochrypły wrzask kobolda wydaje się jej świegotem jej dziecka. Nie widzi grubych warg, ni krzywych pazurów. Tak się stało z kawalerami, którzy omal nie zabili Kevenhüllera, gdy im chciał otworzyć oczy.

Ale zobaczywszy i poznawszy Hulder, uczuł Kevenhüller chęć do pracy. Zaczęło go piec w mózgu i wiercić, a palce sięgały same po pilnik i młot, tak że nie mógł wytrzymać, aż wdział bluzę roboczą i zamknął się w jednym z warsztatów ślusarskich.

Po Ekeby i całej Wermlandji poszła wieść:

— Kevenhüller zabrał się do roboty!

Nadsłuchiwano z zapartym oddechem uderzeń młota, skrzypu pilnika i stęku miecha.

— Zobaczymy nowy cud! — mówiono — Co też to będzie? Może nas nauczy chodzić po wodzie, lub zbuduje drabinę do Wielkiej Niedźwiedzicy? Wszystko potrafi ten człowiek! Widzieliśmy, jak latał w powietrzu, widzieliśmy, jak pędził samochodem, posiada dar Huldery, nic przeto nie jest mu niemożliwe.

Pierwszej, czy drugiej nocy października skończył arcydzieło i wyniósł je z pracowni. Było to koło, kręcące się samo przez się, a podczas obrotu lśniły sprychy, wydzielając ciepło i światło. Kevenhüller zrobił słońce. Gdy je wyniósł z pracowni, noc stała się jak dzień jasna, wróble zaczęły ćwierkać, a chmury poróżowiały jak o wschodzie.

Było to arcydzieło najpiękniejsze. Zniknąć miała ciemność i zimno ze ziemi. Dumny był z pomysłu. Słońce naturalne mogło sobie wschodzić, jak dotąd, ale w nocy miały się zapalać tysiące słońc sztucznych w całym kraju, ogrzewając powietrze, jak w upalny dzień letni. Miano zbierać dojrzałe ziarno w zimowe noce, poziomki i ożyny przez cały rok rosnąć miały po wzgórzach, a lód nigdy ściąć nie miał wody.

Nowy wynalazek miał przeistoczyć świat, dając futro biednym, a światło pracującym pod ziemią.

Miał dać dalej fabrykom siłę popędową, ożywić przyrodę śpiącą w zimie, słowem stworzyć ludzkości lepszy byt.

Ale Kevenhüller wiedział dobrze, że wszystko to są marzenia i Hulder nie zezwoli mu za nic uwielokrotnić swego koła. Ogarnięty gniewem i zemstą postanowił ją zabić i od tej chwili nie wiedział już co czyni.

Wszedł do budynku głównego, pod schody i postawił tam koło ogniste, w zamiarze spalenia dworu razem z potworem.

Potem wrócił do pracowni, siadł i zaczął nadsłuchiwać.

Powstał za chwilę hałas i zabrzmiały nawet nawoływania, a on poznał, że bohaterski czyn został dokonany.

— Krzyczcież sobie — myślał — i dzwońcie do woli, a Hulder spali się i tak, wraz z jedwabiami, na których ułożyliście ją.

Dumał, czy wije się już w mękach, czy biega z komnaty do komnaty, czy trzeszczy zielony jedwab w ogniu i jasne włosy. Dalejże śmiało, płomienie! Schwytajcież i spalcie czarownicę! Nie bójcie się słów czarodziejskich! Niech się spali! Niejeden przez nią palił się tak przez całe życie!

Tętniły dzwony, turkotały pojazdy, nadjeżdżały sikawki, czerpano wodę z jeziora wiadrami, a z wszystkich wsi spieszyli ludzie na ratunek. Krzyczano, lamentowano, wydawano rozkazy, zapadały dachy i trzeszczały straszliwie płomienie.

Nic nie mogło jednak wyprowadzić z równowagi Kevenhüllera, który siedział na kowadle i zacierał ręce.

Nagle usłyszał łoskot, jakby spadły niebiosa, skoczył i zawołał wesoło:

— Teraz już nie ujdzie! Leży zdruzgotana belkami, lub pożarta przez płomienie. Ha... ha... ha... stało się!

Wspomniał, że musiał poświęcić dumę i chwałę Ekeby, by ją zgładzić ze świata. Pożałował wspaniałych sal, rozbrzmiewających niedawno jeszcze ra-

dością, pełnych stołów, uginających się pod smakołykami, mebli, sreber i porcelany, czego wynagrodzić nie będzie już można nigdy...

Potem podskoczył i krzyknął straszliwie. Wszakże postawił pod schodami dla podpalenia domu swe koło, słońce, model, od którego zależało wszystko!

Spojrzał po sobie, tak przerażony, że aż skamieniały.

— Czyżem oszalał? — spytał — Jakże mogłem to uczynić?

W tej chwili otwarto szczelnie zaryglowane drzwi pracowni i ukazała się zielona bogini.

Hulder stała w progu uśmiechnięta, powabna, bez płamki na sukni, bez odoru dymu we włosach. Wyglądała zupełnie tak, jak ją widział za młodych lat, na rynku karlsztadzkim, z ogonem wlokącym się między nogami, owiana dziką wonią lasu.

— Ekeby płonie! — powiedziała ze śmiechem.

Kevenhüller podniósł wielki młot, chcąc go jej rzucić na głowę, ale w tejże chwili spostrzegł, że trzyma w ręku jego ogniste koło.

— Ocaliłam to dla ciebie! — rzekła.

Kevenhüller padł jej do stóp.

— Zniszczyłaś mój wóz! — zawołał — Połamałaś mi skrzydła i zmarnowałaś mi życie! Uczyń mi teraz jedną łaskę i okaż się litościwą.

Skoczyła na tokarnię i siadła tam młoda, powabna, jak za czasu pierwszego spotkania.

— Widzę, że wiesz kim jestem! — powiedziała.

— Znam cię i zawsze znałem! — zawołał nieszczęśliwy człowiek — Jesteś genjusz! Ale zwróć mi wolność! Zabierz swój dar! Odejmij cudowną moc! Chcę zostać zwyczajnym człowiekiem! Czemuż mnie prześladujesz? Czemu niszczysz?

— Nierozsądny człowiecze! — powiedziała Hulder. — Nigdy nie chciałam ci szkodzić. Dałam ci dar wielki, który mogę odebrać, jeśli go nie chcesz. Ale namyśl się, byś nie żałował.

— Nie, nie! — wykrzyknął — Odbierz mi cudowne zdolności!

— Naprzód musisz to zniszczyć! — odparła, rzucając na ziemię koło ogniste.

Bez namysłu chwycił wielki młot, uderzył w lśniące słońce, które było jeno sztuczką czarodziejską, nieużyteczną dla ogółu. Skry poleciały po pracowni, zatańczyły płomienie i trzaski, a ostatnie arcydzieło istnieć przestało.

— Teraz odbieram ci dar mój! — rzekła Hulder.

Podeszła do drzwi, otwarła je, a Kevenhüller patrzył, jak odchodziła na zawsze, oblana czerwienią pożogi.

Wydała mu się piękniejszą jeszcze, a nie miała teraz złośliwego wyrazu, ni dumy na twarzy.

— Nierozsądny człowiecze! — powiedziała mu jeszcze — Czyliżem ci zabroniła kazać innym naśladować dzieła twoje? Miałam to jeno na celu, by ochronić człowieka genjalnego przed trudami rzemiosła!

Potem poszła, a Kevenhüller chodził przez kilka dni, jak błędny. Niebawem jednak stał się podobny innym ludziom.

Spłonął główny gmach Ekeby, ale nikt z ludzi nie ucierpiał. Zasmuciło to tylko kawalerów, że gościnny dom, w którym tyle dobra zaznali, tak wiele poniósł strat za ich rządów.

Ach, wy, dzieci czasów późniejszych! Gdybym ja spotkała Hulder na rynku karlsztadzkim, lub gdy-

by wam się to przydarzyło, czyż sądzicie, że poszlibyśmy do lasu wołając: — Hulder, chodź, to ja, Kevenhüller? Któż ją dziś jednak spotyka i kto się w naszych czasach żali na nadmiar otrzymanych darów?

JARMARK W BROBY.

Pierwszego piątku w październiku rozpoczynał się w Broby wielki jarmark, trwający dni ośm. Było to największe święto roku, a poprzedzał je w każdym domu okres pieczenia i warzenia. Odzież zimowa czekała już i mogła być poraz pierwszy przywdziana, świętalne potrawy, placek serzany i ciastka na smalcu stały po całych dniach na stole, podwajano też racje wódki, a odkładano pracę na potem. W każdej zagrodzie świątkowano, a służba i wyrobnicy brali zaliczki i długo dumali, coby kupić na jarmarku. Ludzie przychodzili grupkami, zdala, z plecakami na grzbiecie i laskami w ręku. Wielu w tych ciężkich czasach musiało też pędzić bydło na sprzedaż. Młode byczki i kozy stawały na rozkraczonych sztywnie nogach pośród drogi, przysparzając dużo kłopotu właścicielom, a uciechy widzom. Gościnne pokoje po dworach pełne były miłych gości, opowiadano sobie nowiny i rozważano ceny bydła, dzieci zaś chodziły z kąta w kąt, marząc o podarkach jarmarcznych.

Pierwszego zaraz dnia mnóstwo ludzi przepełniało wzgórza brobijskie i wielki rynek. Kupcy, z miast przybyli, rozkładali swe towary w namiotach, zaś Dalekarlijczycy i Gotlandczycy z zachodu, na białych długich deskach, nakrytych od góry płótnem. Dość

tam było linoskoczków, grajków i ślepych grajków, oraz wróżek, kramów z cukierkami i szynków. Za budami ustawiono na ziemi naczynia kamienne i drewniane. Ogrodnicy dworscy zwozili cebulę, rzepę, jabłka, gruszki, a dużą przestrzeń rynku zalegały brunatne, w środku cynowane naczynia miedziane.

Po obrotach poznać jednak łatwo było, że nędza panuje w Svartsjö, Bro i okolicy Löffenu. Handel w namiotach i budach szedł licho, większy zaś ruch był jeno na targowicy, gdzie niejeden musiał sprzedać krowę, by przezimować i gdzie kipiał podniecający handel zamienny końmi.

Wesoły był mimoto jarmark w Broby. Gotówka starcząca na parę kieliszków podtrzymywała już humor. Ale nie sama wódka wywoływała nastrój radosny. Przybyli z dalekich szałasów leśnych doznawali zrazu przerażenia, dostawszy się jednak w ścisk, rozgwar i falę śmiechu, ulegając ogólnemu nastrojowi, hałasowali sami w najlepsze.

Niemało handlowano, oczywiście, pośród tylu ludzi, ale nie była to rzecz główna. Najważniejszem zdawało się każdemu zasiąść w budzie, z dobrymi przyjaciołmi, przy kiełbasie owczej, ciastkach na smalcu i wódce, skłonić dziewczynę do przyjęcia w darze śpiewnika, czy jedwabnej chusteczki, lub nakupić dla dzieci w domu jarmarcznych prezentów.

Do Broby przychodzili wszyscy, którzy nie musieli zostać dla pilnowania gospodarstwa. Stawili się więc kawalerowie z Ekeby, węglarze z Nygaardu, handlarze koni z Norwegji, Finowie z głębokich lasów i włóczędzy z całego świata.

Gdzieniegdzie powstawały w tem morzu wiry, kręcące się wokół pewnych punktów. Co tam tkwiło,

nie wiedział nikt, dostrzegano tylko czasem policjantów, kładących tamę jakiejś bijatyce, lub stawiających na koła przewrócony wóz. Za chwilę taki sam wir powstawał wokoło jakiegoś kupca, targującego się z ochoczą dziewczyną.

Południową porą zaczynała się bijatyka na dobre. Chłopi wbili sobie w głowę, że ich oszukują na miarze Gotlandczycy z zachodu, przeto powstała zrazu kłótnia przy ich „szybach", potem zaś wzięto się do pięści. Wielka to była ulga, po tylu przeciwnościach codziennych, palnąć w coś, czy kogoś z całej siły. Gdy raz bitwę rozpoczęto, cisnęli się do szeregów wszyscy silni i ochotni. Kawalerowie usiłowali po swojemu przywracać ład, a Dalekarlijczycy spieszyli Gotom na pomoc.

Najśmielej poczynał sobie, oczywiście, mocarny Maens z Forsu. Pijany i rozjuszony obalił jakiegoś Gota i jął go okładać, ale za chwilę przybiegł zwabiony wrzaskiem krajan, chcąc mu łup z rąk wydrzeć. Maens zmiótł towar z jednej „szyby", chwycił deskę grubą, ośm łokci długą i jął machać tą bronią wokoło siebie.

Maens był strasznym człowiekiem. Wywalił on raz ścianę więzienia filipsztadzkiego, mógł też dźwignąć z jeziora łódź i zanieść ją na barkach do domu. Naturalnie wszyscy Gotowie umknęli, ale silny Maens ruszył ich śladem i nie bacząc już na wrogów czy przyjaciół, gnał, chcąc jakoś użyć zdobytej broni.

Ludzie uciekali przed nim ogarnięci strachem, ale trudno to było uczynić kobietom z dziećmi. Przytem drogę tamowały budy i wozy, a zamieszanie pogarszały jeszcze spłoszone krowy i woły.

W kącie, pomiędzy budami, tkwiła wciśnięta tam gromadka kobiet. Ku nim leciał teraz olbrzym, pewny, że ujrzał tam jakiegoś Gota. Przerażone śmiertelnie skuliły się, przyjmując cios straszliwy.

W chwili kiedy deska spadała na ich głowy, siłę jej złamały i osłabiły wyciągnięte ręce jakiegoś mężczyzny. On tylko jeden nie uciekł, ale tkwiąc pośród kłębu, przyjął dobrowolnie na siebie cios, dla ocalenia wielu. Kobietom i dzieciom nie stało się nic. Człowiek ten osłabił uderzenie, sam jednak legł bez zmysłów na ziemi.

Silny Maens nie podniósł już deski do nowego ciosu. Obezwładniło go spojrzenie człowieka tego, w chwili, gdy deska spadała mu na czaszkę. Dał się bez oporu związać i odprowadzić.

Z szybkością błyskawicy poleciała po rynku wieść, że mocarny Maens zabił kapitana Lennarta. Powiadano, że ten przyjaciel ludzi poległ w obronie kobiet i dzieci.

Cisza zaległa plac tak ożywiony przed chwilą, ustał handel, bitki, pijatyka, a linoskoczek daremnie wabił widzów. Zmarł przyjaciel ludu, a lud przybrał żałobę. Wszyscy tłoczyli się w milczeniu dokoła miejsca, gdzie padł. Leżał wyciągnięty, bez zmysłów, bez rany, ze zgniecioną jeno tylną częścią czaszki.

Kilku mężczyzn podniosło go ostrożnie i złożyło na desce, od której zginął. Wydało im się, że jeszcze żyje.

— Gdzie go zanieść? — pytali się wzajem.

— Do domu! — krzyknął ktoś szorstko z tłumu.

Tak, dobrzy ludzie, zanieście go do domu! Zanieście na barkach swoich tego, który był piłką bożą, puchem przez tchnienie jego pędzonym.

Zraniona głowa spoczywała na twardej ławie więzienia, lub wiązce siana w stodole. Złóżcież ją w domu, na miękkiej poduszce. Znosił on niewinnie hańbę, odpędzony został od drzwi domu swego! Zanieścież go tam. Był tułaczem, który chodził drogami bożemi, gdziekolwiek je znalazł, tęskniąc za domem, zamkniętym dlań przez Boga. Zanieścież go tam, a może otworzy się dla tego, który ocalił śmiercią swą kobiety i dzieci.

Nie wraca teraz jako złoczyńca, otoczony zgrają chwiejących się pijaków, ale na czele żałobnego korowodu ludzi, w których chatach mieszkał i których wspomagał w niedoli. Zanieście go do domu!

Uczynili tak. Sześciu ludzi wzięło na ramiona deskę ze zwłokami i wynieśli ją z rynku. Ludzie, których mijali, przestawali mówić, zatrzymywano się, robiono miejsce, odkrywano głowy, kobiety pochylały się, jak w kościele, wielu płakało, ocierając oczy, a inni zaczynali już opowiadać, co to był za człowiek, jak wesoły, dobry, uczynny i bogobojny.

Miło było patrzeć, jak ochotnie podsuwano ramiona, gdy któryś z niosących odstępował zmęczony.

Kapitan Lennart mijał właśnie miejsce, gdzie stali kawalerowie.

— Muszę pójść i przypilnować, by go zaniesiono jak należy! — rzekł Baerencreutz, ruszył z nad skraja drogi, do Helgesäteru, a wielu poszło za jego przykładem.

Rynek opustoszał niemal całkiem, wszyscy bowiem przyłączyli się do żałobnego korowodu. Zapomniano o koniecznych zakupach, podarkach dla dzieci, śpiewnik, jedwabna chusteczka zostały w kramie, a wszyscy poszli odprowadzić kapitana Lennarta do domu.

Gdy dotarli do Helgesäteru, zastali tam pustkę i ciszę. Zadudniły jak przedtem pięści pułkownika na drzwiach. Wszyscy domownicy poszli na jarmark, sama jeno gospodyni pilnowała domu. Otwarła drzwi.

Jak przedtem stanęła w progu, pytając:

— Czego chcecie?

Pułkownik odparł, temi samemi co przedtem słowami:

— Przyprowadzamy ci męża!

Spojrzała nań i zobaczyła, że stoi sztywny i rozważny, jak zawsze. Posłała wzrok po niosących zwłoki i płaczącym tłumie. Ujrzała setki smutnych, wpatrzonych w nią oczu. W końcu spojrzała na rozciągnionego na desce człowieka, przycisnęła ręce do serca i szepnęła:

— To jest jego prawdziwe oblicze!

Nie pytając dłużej, odsunęła zasuwy drzwi, otwarła je na ścieżaj i poszła przodem do sypialni.

Z pomocą pułkownika rozsunęła składane, podwójne łóżko i przetrząsła poduszki, poczem opuszczono ciało na miękką, białą pościel.

— Czy żyje? — spytała.

— Tak! — odrzekł pułkownik.

— Czy jest nadzieja?

— Nie! Niema rady!

Przez chwilę milczeli oboje, potem zaś spytała gospodyni:

— Czy jego to opłakują ci wszyscy ludzie?

— Tak!

— Cóż im uczynił?

— Ostatnim jego czynem było, że dał się zabić silnemu Maensowi, by ocalić od pewnej śmierci kobiety i dzieci.

Dumała przez chwilę.

— Czemuż tak wyglądał, pułkowniku, gdy przybył tu przed dwoma miesiącami?

Pułkownik drgnął. Zrozumiał teraz cały związek.

— Gösta go tak pomalował! — rzekł.

— A więc z powodu kawalerskiego figla zamknęłam przed nim dom? Jak pan to usprawiedliwisz, pułkowniku?

Pułkownik wzruszył ramionami:

— Mam dużo innych jeszcze rzeczy na sumieniu! — odparł.

— To jest jednak chyba najcięższy grzech!

— Za to, nigdym nie miał w życiu przykrzejszej drogi, jak dzisiejszy marsz do Helgesäteru. Zresztą dwie jeszcze osoby ponoszą także winę.

— Któż to?

— Pierwszy, to Sintram, a drugim winowajcą jesteś ty sama, kumo. Zbyt surowe masz poglądy. Wiem, że niejeden chciał z tobą pomówić o mężu twoim.

— To prawda! — przyznała, potem zaś poprosiła, by jej opowiedział o pijatyce w Broby.

Opowiedział dokładnie wszystko, o ile pamiętał, ona zaś słuchała w milczeniu. Kapitan Lennart leżał bezprzytomny. Pokój pełen był płaczących ludzi, ale nikomu nie przyszło na myśl usuwać ich. Wszystkie drzwi pootwierano, a cały dom, sień i schody przepełniła smutna, milcząca rzesza. Nawet w podwórzu stali gęsto stłoczeni ludzie.

Gdy pułkownik skończył, powiedziała gospodyni donośnym głosem:

— Jeśli jest tu któryś z kawalerów, to proszę, by wyszedł. Zbyt bolesnem jest dla mnie widzieć go, przy śmiertelnem łożu męża mego.

Pułkownik wstał bez słowa i wyszedł, a tosamo uczynił Gösta i kilku jeszcze kawalerów, towarzyszących zwłokom. Ludzie usuwali się płochliwie przed gromadką upokorzonych mężczyzn.

Po ich odejściu ozwała się kapitanowa:

— Proszę, by osoby, które spotykały męża mego w ostatnich czasach, opowiedziały mi, gdzie przebywał i co robił.

Ludzie zaczęli, jeden przez drugiego, składać świadectwo o kapitanie Lennarcie przed żoną, która go zapoznała i twarde mu okazała serce. Rozbrzmiały tony starych hymnów. Jęli mówić ludzie, którzy czytali jeno Biblję w swem życiu. Czerpali przeto zwroty i obrazy z księgi Joba i używali słów patrjarchów, głosząc chwałę wysłannika bożego, który chodził po ziemi, dobrze czyniąc.

Trwało to długo, nastał wieczór, a oni mówili ciągle, stając jeden po drugim przed żoną, która nie chciała słyszeć imienia męża swego.

Opowiadali, jak siadał u łoża chorych i leczył ich, zdziczali awanturnicy świadczyli, iż ich przywiódł do opamiętania, a pijacy, że ich nauczył wstrzemięźliwości. Smutnych pocieszał, zostającym w ostatniej nędzy niósł pomoc, każdy będący w potrzebie zwracał się do wysłannika bożego i znajdywał ulgę, lub czerpał odeń przynajmniej nadzieję i siłę wytrwania.

Przez cały wieczór brzmiały hymny w pokoju umierającego.

Stojący w podwórzu czekali na „ostatnią chwilę". Wiedzieli, co się dzieje wewnątrz domu, gdyż słowa, wypowiadane głośno przy łożu, szły szeptem z ust do ust. Kto miał coś do zeznania, przeciskał się w milczeniu przez tłum.

— Oto ten człowiek coś chce powiedzieć! — mówiono i robiono mu miejsce. Człowiek taki wychodził z ciemka, składał zeznanie i wracał w mrok.

— Cóż ona mówi teraz? — pytali stojący zewnątrz — Co powiada sroga gospodyni z Helgesäteru?

— Promienieje, jak królowa, uśmiecha się, jak młoda narzeczona. Przysunęła fotel do łóżka i porozkładała na nim uszyte własnoręcznie mężowi ubranie.

Nagle zapadła cisza. Nikt nie rzekł słowa, ale wszyscy uczuli, że nadeszła chwila skonu.

Kapitan Lennart otwarł oczy, a to, co zobaczył, wystarczyło mu. Ujrzał dom swój, tłum ludzi, żonę, dzieci, ubranie i uśmiechnął się. Odzyskał przytomność poto jeno, by umrzeć. Westchnął chrapliwie i oddał ducha.

Umilkli opowiadacze, a ktoś zanucił pieśń żałobną. Wszyscy podjęli ją i popłynęła ze setek piersi, ku wyżom wieczności, niosąc ulatającej duszy pożegnanie ziemi.

SKARB PROBOSZCZA.

W skrzydle rezydenckiem panowała cisza. Krągłe waltornie przyozdobione, z okazji jarmarku, w nowe zielone sznury i kwasty wyczyszczone, wisiały w kątach, skrzypce leżały owinięte jedwabiem w futerałach, obok nich smyczki, struny zapasowe i kalafonja, flety, zaś spoczywały w oliwie, dla uszczelnienia klap. Umilkły pieśni bellmanowskie, żarty i śmiechy. Na wielkim stole, pokrytym białemi kółkami po szklankach, stały przybory, ale nikt nie warzył gorącego trunku. Baerencreutz tasował karty, ale nikomu nie chciało się rzucić pieniążka do puli.

Kawalerowie, ustanowieni strażnikami uciechy, przypominali teraz przemarzłe, zimowe muchy, stłoczone w ciemności na piecu. Otoczył ich chłód i samotność. Dnia minionego zmarł kapitan Lennart, a Gösta wprost od jego łoża ruszył w las i dzicz, jak to czynił zawsze po świeżem, bolesnem zranieniu. Wiedzieli wszyscy, że go nie ujrzą, dopóki czas nie zabliźni rany. Hrabina zamknęła się, nie chcąc widzieć żadnego z nich.

Róże okwitły, liście opadły, trawa pożółkła, a kawalerom wydało się, że samo życie minęło. Oerneclou spostrzegł nagle, że jest stary i brzydki, wujaszek Eberhard skończył swe dzieło i zamknął je

w skrzyni, sumienie trapiło stale mistrza Juljusza, a Liliencrona tęsknił za domem.

Zadawali sobie pytanie, z czyjej winy wino straciło smak, karty przestały ich bawić, a muzyka ożywiać? Czemuż opuściła ich siła radości? Jakiejże zbrodni dopuścili się biedni kawalerowie?

Nagle otwarto drzwi i w progu stanęła córka proboszcza z Broby. Była to energiczna, mała osóbka, która przez cały rok zwalczała dzielnie rozpasanie i marnotrawstwo kawalerów. Miała w sobie taką powagę i poczucie obowiązku, że ją szanowano ogólnie, mimo młodego wieku.

— Byłam dziś w domu i szukałam pieniędzy ojca mego! — powiedziała do kawalerów — Ale nic nie znalazłam. Wszystkie skrypty dłużne były podarte, a szuflady i schowki puste.

— Smutna to dla panienki rzecz! — rzekł Baerencreutz.

— Gdy majorowa opuszczała Ekeby, — podjęła dziewczyna — poleciła mi czuwać nad domem. Gdybym była znalazła pieniądze ojca, użyłabym ich na doprowadzenie do porządku Ekeby. Nie znalazłszy jednak, zabrałam ze wzgórka hańby ojca kilka suchych gałęzi, wielki to bowiem będzie dla mnie wstyd, gdy majorowa wróci i zapyta o Ekeby.

— Nie bierzże sobie tego tak do serca, panienko! Nie twoja to wina! — powiedział Baerencreutz.

— Nietylko dla siebie wzięłam gałęzie ze sterty! — odparła dziewczyna — Mam i dla panów kilka. Proszę, oto są! Mój ojciec nie był jedynym człowiekiem, który sprowadził hańbę i niedolę na okolicę.

Podchodziła do każdego kolejno i kładła przed nim suchą gałązkę. Większość kawalerów klęła, nie-

którzy jednak zachowywali się spokojnie. Wkońcu powiedział Baerencreutz z godnością wielkopańską:

— Dobrze panienko, dobrze, możesz już odejść! Dziękujemy!

Gdy wyszła, palnął pięścią w stół, aż zatańczyły szklanki i krzyknął:

— Od tej chwili nie tknę napitku! Nie chcę, by mnie wódka po raz drugi przyprawiła o coś takiego! — potem wstał, wyszedł, a cisza głęboka zapanowała ponownie w skrzydle rezydenckiem.

Przed każdym z kawalerów leżały kawałki drzewa, gałęzi suchych i zdawały się pytać:

— Gdzie jest majorowa? Co się stało ze sławą i wielkością Ekeby? Czemu zginął wysłannik boży? Gdzie dobrobyt, panujący niedawno nad Löffenem?

Skrzydło kawalerskie zatętniło nagle, zda się, głosami, które odpowiadały, a starym ludziom zrobiło się, jakby wpadli w rój pszczół, kąsających i brzęczących. Słyszeli wszyscy bolesne ukłucia odpowiedzi:

— Kawalerowie wygnali swą dobrodziejkę na gościniec z domu, który im otwarła. Dała im jadło i uciechę, oni zaś dali jej głód i troskę.

— Kawalerowie zniszczyli najpiękniejszą posiadłość Wermlandji! Kawalerowie zamknęli dom przed wysłańcem bożym. Awanturnik, który go zabił, mniejszą mu uczynił krzywdę, niż oni, zabijając jego najsłodszą nadzieję. Kawalerowie nauczyli biedną ludność niedbalstwa i pijaństwa i zniweczyli dobrobyt całego okręgu...

Ledwo głosy te rozebrzmiały i kłuć zaczęły, jął jeden po drugim wstawać i wychodzić. Po chwili spotkali się wszyscy, dziwnym trafem, opodal wodospadu, gdzie dawniej stał młyn i kuźnia. Wszędzie

widniały ślady zniszczenia. Wielki młot sterczał z pośród zatoru desek i belek, mury pieca tkwiły w nim i otwór kanału rozwierał paszczę.

I oto, w tym całym chaosie, uwijał się pułkownik, pracując zawzięcie i robiąc miejsce na nowy młyn i nową kuźnię. W miarę jak przychodzili, każdy z kawalerów zabierał się do roboty. Niebawem zebrali się wszyscy, ciągnąc belki, tocząc kamienie, kopiąc i murując. Zaczęły znowu rozbrzmiewać piosenki, żarty i śmiech. Nabrali ochoty, siły i otuchy, że odbudują Ekeby. Postanowili sprowadzić majorową, wysyłając do niej w najkrótszym czasie córkę proboszcza. Poprzysięgli sobie, że dostarczą pracy mieszkańcom Löffenu.

Cóż się jednak stanie z kontraktem, pisanym krwią, w wigilijny wieczór? Ach... czyny ich obecne będą bardziej kawalerskie od dawnych, a zresztą pracować mieli nie za zapłatę, ale dla chwały i chluby Ekeby!

Rano, w niedzielę, stanął Gösta pod brobijskim kościołem. Nabożeństwo zaczęło się już i plac opustoszał. Pod bramą kościelną leżała na ziemi zbita na prędce trumna.

Trudno było Göście przejść mimo tej trumny. Wiedział, że spoczywa w niej kapitan Lennart i zdawało mu się, że wzbrania wstępu do kościoła.

Gösta włóczył się po lasach dzień i dwie noce, nie jadł nic, był głodny i wyczerpany. W samotności rozmyślał o dniu, kiedyto siedział z proboszczem nad drogą, obok sterty gałęzi i o nocy, kiedy tłumy unosiły zwłoki dziewczyny z Nygaardu, jego zaś ogarnęła chęć zostania sługą i przyjacielem biedaków. Chciał pójść do kościoła, by nabrać sił do tej służby.

Nie mógł jednak minąć trumny kapitana Lennarta, gdyż zdawało mu się, że zmarły mówi:

— Jakże to chcesz, Gösto, pomagać biednym? Wleczesz za sobą skutki zła, jakieś uczynił. Przedtem musisz i muszą wszyscy, których kochasz, zebrać żniwo owej niedoli, jaką zasiałeś.

Przystąpił do trumny, ukląkł i zawołał:

Dopomóż mi, bym został sługą i przyjacielem biedaków! Spraw, bym nigdy nie przysparzał troski tym, których kocham! Dopomóż mi, bym odtąd nie sprowadzał na świat smutku, hańby i nędzy!

Nagle czyjaś dłoń spoczęła ciężko na ramieniu Gösty. Sintram stał za nim.

— Gösto! — powiedział — Jeśli chcesz komuś wypłatać figla co się zowie, połóż się i umrzyj! Nic nie przekreśla fatalniej rachunku poczciwca, nad śmierć niespodziewaną. To figiel najbardziej wymyślny! Powtarzam, połóż się i umrzyj!

— Byłoby to dla mnie najlepsze! — odparł Gösta.

— Przedtem jednak obmyśl coś, czembym mógł najbardziej zesłościć tego nieboszczyka!

— Czy cię okpił?

— Naturalnie! Przypatrz mi się chłopcze, jestem człowiek wywiedziony w pole! Udawał głupiego, tak długo, aż uwierzyłem, on zaś chytrze wybrał sobie moment odpowiedni i umarł. Ale zapłacę mu! Zedrę kir i kwiaty z jego trumny i podeptam!

— Póki ja żyję, nie zrobisz tego! — zawołał Gösta.

Sintram założył ręce na piersiach i podniósł głowę. Miał w sobie przedziwny majestat zła, któremu służył.

— To moje prawo! — rzekł uroczyście. — Uplanowałem zręcznie wielkie dzieło, a on je zniweczył. Szło mi o cały okręg löffeński. Gdybym był postawił na swojem, zostałby zrujnowany. Pracowałem nad tem ciągle. Wygnałem majorową, doprowadziłem do choroby Melchiora Sinclaira, ukryłem skarb proboszcza z Broby i oddałem rządy kawalerom. Lud zdziczał i popadł w taką niedolę, że z łatwością byłbym go wygubił, gdyby nie ten człowiek, który w najpiękniejszym momencie padł i umarł. Sam to widziałeś chłopcze! Chłopi tutejsi rzucili się na Gotów, Dalekarlijczycy na chłopów, a gdyby rzecz trwała sekundę dłużej, cały jarmark przemieniłby się w ogromne pobojowisko. Deptanoby po kobietach i dzieciach, towary zmiecionoby w proch, rabunek i mord rozszalałyby więc na dobre. Wszystkiemu przeszkodziła śmierć Lennarta. Po bitwie zaczęłyby się sądy, głód, bunty i kwaterunki wojska. Cały okręg zostałby wyssany, znędzniałby, zbrzydł i takiej nabrał sławy, że prócz Sintrama niktby tu mieszkać nie chciał. Takie to wielkie podjąłem dzieło!

— W jakimże celu? — spytał Gösta.

Oczy Sintrama błysnęły ogniem.

— Sprawiłoby mi to rozkosz! — zawołał — Jestem zły, jestem niedźwiedź górski, jestem burza na równi, mord i zniszczenie, to mój zawód. Precz, powiadam, z ludźmi i dziełem ich! Znieść tego nie mogę! Czasem bawię się nimi, każę im skakać, drażnię, podżegam, ale znudziło mnie to, drogi Gösto! Chciałem właśnie wymierzyć potężny cios i zniweczyć cały okręg!

Wyglądał na szalonego. Przez czas pewien zajmował się dla rozrywki djabelskiemi sztuczkami, po-

tem jednak wrodzona złość wzięła górę i uwierzył, że jest jednym z duchów piekła.

Gösta, pałający chęcią dopomożenia biedakom, olśniony został, jak błyskawicą, słowem Sintrama i spytał:

— Czy wiesz, gdzie jest ukryty skarb proboszcza?

Sintram spojrzał podejrzliwie.

— Chcesz może zostać opiekunem i zbawcą ludu?

— Tak! — odparł, wiedząc, że człowiekowi, jak Sintram, należy mówić prawdę.

Rozjaśniło się oblicze jego.

— Tak? Ano to mogę zostawić w spokoju tego umrzyka, gdyż mam lepszą zemstę.

— Za cóż się masz mścić? Przyjaciel ludu leży w trumnie, a nędza jest równie wielka, jak czasu jego działalności.

— Mówię ci, wszystko przepadło. Spojrzno tam! Widzisz? Dziś mam za powóz wózek więzienny i niemało łez wylałem, zanim mi sędzia pozwolił wysiąść tu, pomodlić się przy trumnie tego bogobojnego człowieka.

Gösta zobaczył w istocie czekający na Sintrama pod cmentarzem wózek więzienny.

— Chciałem tu również podziękować pani kapitanowej. Wyszukała kilka starych dokumentów, dotyczących wiadomej sprawy o sprzedaż prochu i zesłała mi na kark władzę, w chwili, kiedym się właśnie wybierał na pogrzeb tego poczciwca. Nie potrzebuję jednak tykać już trumny, mam coś lepszego. Słuchajno! Kawalerowie przemienili się teraz pono w aniołów... nieprawdaż? Chcecie użyć spadku córki proboszcza z Broby na wspomożenie biednych, nieprawdaż?

— Sama mówiła nieraz, że pragnie za te pieniądze przywrócić Ekeby do dawnego stanu i wspomóc biednych.

Sintram roześmiał się.

— Radbyś, widzę, za każdą cenę dowiedzieć się, gdzie skarb ukryty?

— Tak, chciałbym bardzo!

— Przyobiecaj mi naprzód, że pójdziesz na to miejsce w lesie, gdzie zginęła dziewczyna z Nygaardu i skoczysz w przepaść. Pod tym warunkiem powiem ci. Ślicznieby wyglądała twoja śmierć! Powiedzianoby, że straszne wyrzuty sumienia skłoniły cię do samobójstwa.

— Przyrzekłem nie odbierać sobie życia, dopóki Anna Liza znajduje się w służbie majorowej.

— Głupstwo! — odparł Sintram — Daj jej pieniądze, a przestanie służyć.

Dawne i nowe tęsknoty Gösty zlały się w tej chwili w jedno pragnienie. Chciał mieć prawo umrzeć. Nie doszło nigdy do porozumienia pomiędzy nim, a tą, która się zwała żoną jego. Z przyjemnością służył jej, jak i inni kawalerowie, nie wiedział jednak co nastąpi, gdy minie czas ich rządów w Ekeby: czy wróci do rodziców, czy z nim zostanie. Jedno tylko pewne było, mianowicie, że nie mógł jej uczynić większej przysługi, jak zwrócić wolność, a do tego właśnie nadawała się doskonała okazja. Mógł się pozbyć wyrzutów sumienia, mógł, jak tego pragnął w najlepszych chwilach, przysłużyć się Bogu i ludziom, a wszystko to i więcej jeszcze iściło w sobie jedno jeno, to znaczy możność śmierci.

Podał tedy dłoń Sintramowi, a tenże przybił układ.

— Skarb leży w wieży broeńskiego kościoła, pod podłogą, tuż przy dzwonach! — powiedział Sintram. — Postaraj się tylko zejść ze świata przed wieczorem, a ja już znajdę sposób, by córka proboszcza dostała pieniądze.

Nastał tedy dla Gösty piękny dzień. Poszedł do kościoła serdecznie uradowany tem, że poświęci życie dla dobra ludności. W zakrystji napisał ogłoszenie, że praca w Ekeby zostanie podjęta i że tam zostanie rozdzielone zboże pomiędzy potrzebujących. Usłyszał szmer zdumienia i radości, gdy manifest ten został odczytany po nabożeństwie. Doniósł w kilku słowach żonie, gdzie należy szukać skarbu. Wbrew jego woli wymknęło mu się parę słów pożegnania, na wypadek gdyby się mieli nie zobaczyć i dodał, że musi uczynić coś dla odpokutowania za śmierć dziewczyny z Nygaardu. Zaraz po wysłaniu listu zdziwił się, że to napisał i uczuł żal.

Nigdy świat nie wydał mu się piękniejszym, jak tego dnia. Po nabożeństwie rozmawiał z Anną Stjärnhök i Marjanną Sinclaire, a obie prosiły go, by się wziął w ryzy i został człowiekiem. Dowiedział się, że Anna znalazła ukojenie w pracy i zawiaduje sama rozległemi dobrami. Rokowała, że zostanie drugą majorową. Poznał, że obie cierpią, będąc zmuszone wstydzić się człowieka, którego kochały. Pomyślał, że je ucieszy, iż oddał życie, by dopomóc biedakom i przywrócić świetność Ekeby.

Po nabożeństwie pochowano kapitana Lennarta. Zmarł w dzień targowy, przeto wieść rozeszła się prędko i tysiące napłynęły do kościoła. Cmentarz, mur i otaczające kościół pola zaroiły się od ludzi. Stary dziekan był chory i nie wygłaszał nigdy kazań.

Przyrzekł atoli przybyć na pogrzeb kapitana i stanął, zadumany, jak zawsze teraz, na czele pochodu pogrzebowego. Nie patrząc, szedł znaną drogą, którą tyle prowadził pogrzebów, odprawił modły, rzucił grudkę ziemi na trumnę i nie zauważył nic nadzwyczajnego. Zbudził się dopiero, gdy organista zaintonował hymn, podjęty przez wielotysięczną rzeszę, kobiet i dzieci. Przetarł oczy, jakby omroczone blaskiem, wstąpił na świeżą mogiłę i rozejrzał się. Nigdy nie słyszał takiego śpiewu nad grobem, nigdy nie widział takich mas w żałobie. Mężczyźni przywdziali czarne, zniszczone kapelusze pogrzebne, kobiety białe fartuchy. Wszyscy oddawali się żalowi po zmarłym i śpiewali.

Dziekan zadrżał z radości, widząc tę miłość ludu dla zmarłego. Gdy zaś śpiew umilkł, wyciągnął do wszystkich ramiona. Wyrzekł słów parę słabym głosem i umilkł. Znowu zaczął. W końcu jednak głos jego nabrał silnego brzmienia, a serce uczuło pragnienie, by pocieszyć te rzesze.

Opowiedział wszystko, co wiedział o wysłańcu bożym. Przypomniał, że stanowisko jego nie było wynikiem majątku, ale przestrzegania ścieżek Pańskich i w imię Chrystusa prosił, by go wszyscy naśladowali. Powinni kochać bliźnich swoich i wspomagać ich. Każdy powinien odnosić się do drugich z jaknajlepszą wiarą i działać, jak dobry kapitan Lennart. Nie potrzeba na to wybitnych zdolności, lecz bogobojnego serca. Wskazał, że wszystkie niedole tego roku, to przygotowanie bliskiego okresu miłości i szczęścia, a dobroć ludzka, która dotąd przebłyskała tu i owdzie promieniami, utworzy niedługo wielkie, lśniące słońce.

Podniósł oczy i ręce w niebo i ogłosił nastanie pokoju w kraju.

— W imię boże, mówię ci, ustań zło wszelakie! Niech pokój zamieszka w sercach i całej naturze! Niech znajdą pokój rzeczy martwe, zwierzęta i rośliny i nie czynią żadnej szkody.

Wszystkim, i Göście także, wydało się, że słuchają proroka. Zapragnęli kochać się wzajem i być dobrzy. Czuli, że zjawił się człowiek boży, mający moc nad całem stworzeniem. Na ziemię spłynął pokój niebiański, jaśniały góry, śmiały się doliny, a mgłę jesienną przepajała różowa poświata.

Na końcu jął prosić o zbawcę dla ludu.

— Zjawi się on! — powiedział — Bóg nie chce, byśmy wyginęli i powoła tego, który nakarmi głodnych i skieruje ich na ścieżki swoje.

Gösta zrozumiał, że starzec o nim samym mówi, bo wszakże oddał już życie swe za biedaków. A wielu z tych, którzy słyszeli ogłoszenie, opowiadali, wróciwszy do domu, że teraz wszystko przyjmie już inny obrót, gdyż szalony proboszcz z Ekeby przyrzekł im pomoc.

— — — — — — — — — — — —

Działo się to w czasach dawniejszych, poprzedzających rządy kawalerów w Ekeby.

Mały pasterz i mała pasterka bawili się w lesie, budowali domy z płaskich kamieni, zbierali jagody i robili piszczałki. Urodzili się w lesie i las był im domem i państwem. Żyli z mieszkańcami lasu w zgodzie, jak z czeladzią i zwierzętami domowemi.

Zwali rysie i lisy psami, świstak był ich kotem, zając i wiewiórka towarzyszem zabaw, a niedźwiedź i łoś bydłem. Sowy i cietrzewie trzymali w klatkach,

sosny były ich służebnemi, a brzozy gośćmi podczas uroczystych przyjęć. Znali jamy, gdzie wydry spały zwinięte na zimę w kłębek i podczas kąpieli widywali pływające żmije. Ale nie czuli strachu przed wężami, ni duchami leśnymi, gdyż byli to mieszkańcy lasu, czyli ich domu. Nie bali się niczego.

Chłopak mieszkał w chacie, w głębi lasu. Wiodła doń skalista ścieżka przez urwiska i głębokie, parujące przez cały rok, zimne bagniska. Dla mieszkańca równi, mieszkanie takie nie miało nic pociągającego.

Mijały lata, a młodzi postanowili pobrać się, zamieszkać w chacie leśnej i żyć z pracy rąk. Ale zanim to nastąpiło, spadła na kraj klęska wojny i młodzieniec zaciągnął się do wojska. Wrócił bez ran, fizycznych wad, ale te lata wojaczki wycisnęły piętno na całem jego życiu. Zbyt wiele widział zła i okrucieństwa wśród ludzi, tak że utracił zdolność dostrzegania dobra.

Z początku nie było widać zmiany. Poszedł z wybranką serca do proboszcza, ogłoszono zapowiedzi, potem zamieszkali w chacie leśnej ponad Ekeby, jak oboje dawniej marzyli, ale szczęście nie miało stać się ich udziałem.

Młoda kobieta patrzyła na męża, jak na obcego. Nie mogła go poznać od czasu powrotu z wojny i bała się.

Nie robił nic złego i pracował gorliwie, ale go nie lubiano, gdyż podejrzywał ludzi o zło. Czuł się sam znienawidzonym i obcym. Zwierzęta lasu były mu teraz wrogami, a góra nad chatą i bagnisko, wysyłające opary, zagrażały mu bezustanku. Las jest niesamowitem mieszkaniem dla człowieka, który się nosi z złemi myślami.

Ten, kto mieszka w pustaci, musi sobie wytworzyć pewien zapas świetlistych wspomnień. Inaczej wszędzie pośród zwierząt i roślin dostrzegać będzie ten sam pęd do mordu i gnębienia, co pośród ludzi. Wszystko, co go otacza, będzie zwiastowało zło.

Jan Hök, żołnierz, sam nie wiedział, dlaczego mu wszystko szło naopak i w domu jego nie było pokoju. Synowie jego wyrośli na silnych, ale dzikich ludzi, zahartowanych, mężnych, gotowych walczyć z wszystkimi, a wszyscy żywili ku nim tosamo uczucie.

Pogrążona w trosce żona jego zaczęła badać tajniki natury i zbierała rośliny lecznicze po gęstwach i bagnach. Śledziła też sprawy sił podziemnych, umiała leczyć, udzielać rady na bezwzajemną miłość, toteż ogłoszono ją czarownicą i unikano, chociaż była bardzo użyteczną.

Raz wreszcie zdobyła się na odwagę i rzekła do męża:

— Od powrotu z wojny jesteś jak oczarowany. Cóż ci tam zadano?

Skoczył ku niej i omal jej nie wybił, a działo się to zawsze, ile razy wspomniała o wojnie. Szalał z gniewu. Nie wolno było wymówić słowa: wojna. Dowiedzieli się o tem ludzie i unikali tego tematu.

Żaden atoli z towarzyszów broni nie mógł zarzucić, by zrobił coś gorszego od innych. Walczył, jak dobry żołnierz. Te jeno wszystkie straszne rzeczy, jakie widział, sprawiły, że wszędzie dostrzegał zło i sądził, iż natura nienawidzi go za udział w tem. Inni pocieszali się myślą, że walczą za ojczyznę i honor, on wiedział tylko, że przelewał krew i dopuszczał się przemocy.

W czasie, kiedy wypędzono majorową z Ekeby, mieszkał w chacie sam jeden. Żona zmarła, a synowie odeszli w świat. Ale podczas jarmarków miewał pełno gości. Zajeżdżali doń cygani, którzy, podobnie jak on, unikali ludzi. Małe, kosmate koniki ciągnęły górskiemi ścieżkami wozy pełne pobielanych naczyń, dzieci i łachmanów. Postarzałe przedwcześnie kobiety, napuohłe od palenia tytoniu i wódki i bladzi, muskularni mężczyźni szli za wozami, a gdy dotarli do chaty, zaczynała się uciecha, gra w karty, pijatyka, opowiadania o kradzieżach, zamianach koni i bitkach.

Było to w piątek, jeszcze podczas trwania jarmarku brobijskiego, na którym zginął kapitan Lennart z ręki silnego Maensa. Maens był synem Jana, toteż zebrani w jego chacie cygani częściej niż zazwyczaj podawali mu flaszkę z wódką i rozmawiali o życiu więziennem, jedzeniu więźniów i przesłuchaniach, na czem się znali dobrze.

Jan siedział na klocu pod oknem i mówił niewiele, patrzył tylko wielkiemi, przygasłemi oczyma na czeredę w izbie. Zapadł zmierzch, ale migotliwy płomień ogniska oświecał izbę, ukazując łachmany, niedostatek i nędzę.

Otwarto zcicha drzwi i weszły dwie kobiety, hrabina Elżbieta i córka proboszcza z Broby. Stary Jan zdziwił się, ujrzawszy w blaskach płomieni tę postać piękną, promieniejącą łagodnością. Elżbieta powiedziała, że Gösta Berling nie pokazał się w Ekeby od śmierci kapitana Lennarta. Obie z dziewczyną szukały go po lesie przez całe poobiedzie. Widząc ludzi, którzy dalekie odbywali wędrówki i znają wszystkie drogi, zapytała, czy któryś z nich nie widział Gösty. Poto właśnie wstąpiła tutaj.

Daremnie pytała, nie widział go nikt.

Przysunęli jej stołek do ognia, padła nań i przez chwilę milczała. W izbie zapanowała cisza, a wszyscy patrzyli na przybyłą, dziwując się jej. Zauważywszy to długotrwałe, przykre milczenie. chciała wszcząć rozmowę i rzekła:

— Jeśli się nie mylę, byliście Janie żołnierzem. Proszę, opowiedzcie mi coś o wojnie.

Milczenie stało się jeszcze bardziej niesamowite. Jan udał, że nie słyszy.

— Radabym coś usłyszeć od naocznego świadka i uczestnika... — podjęła na nowo, ale urwała, spostrzegłszy znak, jaki jej ruchem głowy dała towarzyszka. Musiała się widać odezwać niestosownie, gdyż wszyscy obecni patrzyli na nią, jakby uchybiła formom towarzyskim. Nagle ozwała się chrapliwie jedna z kobiet:

— A może pani była dawniej hrabiną borską?

— Tak, byłam.

— W takim razie mogłaby pani coś lepszego robić, niż biegać za Göstą Berlingiem... Pfuj!

Hrabina wstała i podziękowawszy za odpoczynek pożegnała zebranych. Kobieta, która przemówiła przed chwilą, wyszła za nią.

— Może pani hrabina nie wie, czemu tak powiedziałam? Stary Jan wpada we wściekłość na wspomnienie o wojnie, toteż musiałam coś rzec, ale bez złej myśli to powiedziałam.

Hrabina poszła dalej, ale przystanęła za chwilę. Spojrzała na groźny las, rzucającą cień górę i dymiący oparem moczar. Strasznie być musiało mieszkać temu, kto miał duszę pełną złych wspomnień. Żal jej się

zrobiło starego Jana, który siedział tam, mając jeno czarnych cyganów za towarzyszy.

— Anno Lizo! — powiedziała — musimy wrócić. Przyjęto nas uprzejmie w tej chacie, ja jednak zachowałam się niestosownie. Chcę pomówić ze starym Janem o milszych rzeczach.

Szczęśliwa, że może kogoś pocieszyć, zawróciła do chaty.

— Obawiam się — powiedziała — że Gösta Berling chodzi tu, po lesie, w zamiarze odebrania sobie życia. Ważna tedy rzecz, schwytać go i przeszkodzić temu. Wydawało mi się, a także Annie Lizie kilka razy, że go widzimy, ale znikł nam z oczu. Przebywa prawdopodobnie w pobliżu miejsca, gdzie zginęła dziewczyna z Nygaardu, przyszło mi tedy na myśl, że nie potrzebuję wracać do Ekeby po pomoc. Jest tu sporo dzielnych mężów, którzy zdołają pochwycić Göstę.

— Wstańcie chłopcy! — krzyknęła cyganka — Pani hrabina okazała nam życzliwość, prosząc o pomoc, musicie tedy zaraz iść!

Mężczyźni wyszli na poszukiwania.

Jan Hök siedział w milczeniu, spoglądając przed siebie twardo przygasłemi oczyma, tak że uczuła trochę strachu. Nie przychodziło jej na myśl, o czemby mówić.

Nagle spostrzegła chore dziecko, leżące na wiązce siana i zranioną rękę jednej z kobiet. Zajęła się zaraz choremi, zapoznała z gadatliwemi kobietami i kazała sobie pokazywać najmniejsze dzieci.

W godzinę potem wrócili cygani, niosąc związanego Göstę i położyli go przed ogniskiem. Odzież miał podartą i zawalaną, rysy zmienione, a oczy jego

błyszczały dziko. Przez ostatnie dni pędził żywot szaleńca, kładł się na mokrej ziemi, zanurzał ręce i twarz w błoto bagniska, spinał się po głazach i przeciskał przez gąszcze. Przekonał się, że nie łatwo zadać sobie śmierć. Z godziny na godzinę walczył z żądzą życia. Nie dał się też dobrowolnie schwytać, tak że musieli go pokonać i związać.

Zobaczywszy go w tym stanie Elżbieta, wpadła w gniew. Duma jej doznała upokorzenia na widok męża, nie kazała go przeto rozwiązać i zostawiła na ziemi.

— Ładnie wyglądasz! — powiedziała.

— Nie chciałem ci się wcale pokazywać na oczy! — odparł.

— Czyż nie jestem żoną twoją? Czy nie mam prawa żądać, byś z troską swoją przyszedł do mnie?

— Nie wiem, za co się uważasz! Nie wiem jakie masz plany na przyszłość — Ja zato wiem, że śmiercią swoją oddałbym ci największą przysługę.

Spojrzała nań z wielką pogardą i rzekła:

— Chciałeś mnie uczynić wdową po samobójcy?

Twarz mu się ściągnęła boleśnie i odparł:

— Elżbieto, pomówmy w cztery oczy.

— Czemużby ludzie ci nie mieli słyszeć? — spytała ostro — Czyż jesteśmy lepsi od nich? Czyż który z nich spowodował więcej troski i zła, niż my? Są oni dziećmi losu i gościńca i każda ręka przeciw nim się podnosi. Niech usłyszą, że grzech i hańba ciąży także na panu z Ekeby, Gösta Berlingu, którego wszyscy kochają. Nie uważam się wcale za lepszą od nich, ani ty także!

Uniósł się z trudem z leżącej pozycji, spojrzał wyzywająco i zawołał:

— Nie jestem tak nędzny, jak sądzisz!

I uniesiony gniewem opowiedział jej o układzie pod kościelną bramą.

— Dawnoby już było po mnie, gdybyś nie była przyszła do lasu! — dodał — Nie miałem siły umierać, gdyż byłaś tak blisko. Teraz atoli puść mnie, bym mógł dotrzymać słowa!

— Ach! — powiedziała, gdy skończył — Znam ja dobrze to wszystko, te bohaterskie frazesy i gesty! Gösta jest zawsze gotów włożyć ręce w ogień, lub dać za coś życie. Dawniej uznawałam to za wielkie, teraz jednak cenię spokój i rozwagę. Ceniłabym cię, gdybyś był położył rękę na trumnie Lennarta i przysiągł wobec Sintrama, że chcesz żyć i wspomagać biedaków, przez niego gnębionych, ale nie sądź, że uznam za rzecz wzniosłą, iż chciałeś ich ratować przez zbrodnię i odpokutować grzechy przez zbrodnię.

Spojrzał na nią rozpacznie i zawołał:

— Muszę odpokutować, a cóż dać mogę, prócz własnego życia? Nie zapominaj, że jestem wygnanym proboszczem, wyklętym przez ludzi i Boga!

— Jak śmiesz tak mówić, Gösto? Zbyt wiele ci ludzie dawali miłości i to było twem nieszczęściem. Kochali cię mężczyźni i kobiety. Przebaczano ci wszystko, gdyś jeno zaczął żartować, śmiać się, śpiewać i grać. Wszystko, czegoś dokonał, uznawano za dobre. Wszakże słyszałeś, co mówił dziekan i wiesz, czego po tobie spodziewa się Bóg. Biedacy odeszli do domu, rozmawiając o tobie jako zbawcy, ty zaś

pospieszyłeś w las, by sobie odebrać życie. Jesteś bohaterem wszystkich, Gösto, a chcesz ich opuścić.

— Jakże mogę im dopomóc, bez pieniędzy? Wszak wzamian za te pieniądze przyrzekłem Sintramowi umrzeć!

Głos hrabiny drżał od gniewu i smutku.

— Wiedzieliśmy w Ekeby wczoraj wieczór jeszcze, gdzie się znajduje skarb. Major Fuchs przypomniał sobie nagle, że odkrył go przypadkiem, pewnej nocy, kiedy zakradł się do wieży, by wziąć spiżu z dzwonów na kulę.

Gösta zamknął oczy i przycisnął związane ręce do piersi, jakby chciał przynieść ulgę sercu swemu.

— Powiesz pewnie, — ciągnęła dalej — że to dla ciebie obojętne. Sintram powiedział ci uczciwie, gdzie leżą pieniądze, winieneś przeto umrzeć! Czyż sądzisz, że same pieniądze usuną taką, jak nasza, niedolę? Przepyszne sobie wymyśliłeś zakończenie życia! Ludność odprowadzi cię z płaczem do grobu i czczony będziesz, jak kapitan Lennart, gdyż także oddałeś życie za lud. A ja wiem, żeś to uczynił ochotnie, chcąc odpokutować winy. A jednak mówię ci, żeś powinien żyć i poprostu pełnić swój obowiązek.

Nie marz o czynach bohaterskich, nie staraj się błyszczeć i budzić podziw, ale unikaj raczej, by nazwisko twoje nie było zbyt często w ustach ludzi. Rozważ jednak wszystko dobrze, zanim cofniesz słowo dane Sintramowi. Zyskałeś rodzaj prawa do śmierci, i życie przyszłe nie da ci wiele radości. Dotąd nie stały jasno sprawy pomiędzy nami, ty nie śmiałeś uważać mnie za żonę, ja zaś nie byłam pewna, że nas złączyła wola boża, sądząc, iż związek nasz był jeno może spowodowany moją chorobliwą przesadą.

Przez czas pewien chciałam wracać do rodziców, sądząc, że dla takiej jak ja winowajczyni, jest to szczęście zbyt wielkie, zostać twą małżonką i iść z tobą przez życie. Ale teraz powiadam, że zostanę, jeśli znajdziesz dość odwagi, by żyć. Nie spodziewaj się wielkiej szczęśliwości, gdyż zmuszę cię kroczyć drogą obowiązku. Nie usłyszysz ode mnie słów radości i nadziei. Całą troskę i całe nieszczęście, jakieśmy spowodowali, postawię na straży naszego ogniska. Czy może jeszcze kochać serce, które tyle co moje wycierpiało? Bez łez i bez radości kroczyć będę obok ciebie. Namyśl się, Gösto, zanim uczynisz wybór! Pójdziemy drogą pokuty!

Nie czekając odpowiedzi, skinęła na towarzyszkę i wyszła. Gdy weszły w las, zaczęła płakać i płakała aż do samego Ekeby. Dotarłszy tam, przypomniała sobie, że jej całkiem wyszło z pamięci porozmawiać z Janem Hökiem o rzeczach milszych mu, niż wojna.

Po jej odejściu cisza zaległa chatę.

— Chwała bądź Bogu na wysokościach! — rzekł nagle stary żołnierz.

Wszyscy spojrzeli nań, on zaś wstał i jął się rozglądać wokoło.

— Nikczemność i nikczemność! — dodał — Wszystko, na com patrzył od lat długich, było nikczemnością! Źli ludzie, złe kobiety, nienawiść, gniew wszędzie, w lesie i w polu. Ona jedna jest dobra. Dobry człowiek przebywał w chacie mojej. Siedząc samotny, będę o niej rozmyślał, a bliską mi też będzie podczas wędrówek.

Pochylił się nad Göstą, rozwiązał go, pomógł mu wstać, a potem ujął uroczyście dłoń jego.

— Byliśmy opuszczeni przez Boga! — rzekł i skinął głową — Tak się rzecz miała! Ale teraz wszystko jest inaczej, od kiedy ona była w moim domu. Ona jest dobra!

Następnego dnia poszedł stary Jan Hök do sędziego Scharlinga i powiedział:

— Chcę wziąć na barki krzyż mój! Byłem człowiekiem złym i złych też wydałem synów!

Potem poprosił, by mu pozwolono iść za syna do więzienia. Ale to się zrobić, oczywiście, nie dało.

Najpiękniejsza część tej starej historji opowiada, jak towarzyszył synowi, szedł koło wózka więziennego, spał pod progiem jego celi i nie odstąpił go, aż do końca kary. Historję tę opowie ktoś inny napewne.

MAŁGORZATA CELSING.

Przed Bożem Narodzeniem przybyła majorowa nad Löffen, ale dopiero w dzień wilji dotarła do Ekeby. Przez cały ciąg podróży chorowała, miała zapalenie płuc i wielką gorączkę, mimoto jednak nigdy nie była weselsza i nikt nie słyszał od niej słów uprzejmiejszych.

Córka proboszcza brobijskiego, która przebywała z nią od października, siedziała też w sankach i usiłowała przyspieszyć jazdę. Ale majorowa kazała zatrzymywać ciągle konie, przywoływała każdego przechodnia i wypytywała o nowiny.

— Cóż tam słychać nad Löffenem? — pytała.

— Dobrze się czujemy! — odpowiadano — Nastały czasy lepsze. Szalony proboszcz i żona jego pomagają wszystkim.

— Nadszedł czas dobry! — mówił ktoś inny — Sintrama niema. Kawalerowie z Ekeby zaczęli pracować. Skarb proboszcza brobijskiego znaleziono w dzwonnicy broeńskiej. Starczy na przywrócenie wspaniałości Ekeby i na chleb dla głodnych.

— Nasz stary dziekan odżył na nowo! — powiedział trzeci — Co niedziela głosi powrót królestwa bożego. Nikt nie ma ochoty grzeszyć, bo zaczyna się panowanie dobra.

Majorowa jechała, pytając każdego, co słychać nad Löffenem i czy ludności brak czegoś.

Gorączka i kłucie w piersiach ustawały, gdy słyszała, jak mówiono:

— Mamy dwie dobre i bogate kobiety, Marjannę Sinclaire i Annę Stjärnhök, które razem z Göstą Berlingiem chodzą od domu do domu, pytając, czy kto nie głodny, a zboże nie idzie już na wódkę.

Jadąca sankami majorowa odprawiała prawdziwe nabożeństwo. Dostała się do ziemi świętej, widziała blask radości na starych, pomarszczonych twarzach, gdy pytała o czasy obecne. Chorzy zapominali o swym bolu, sławiąc czas wesela.

— Staramy się być wszyscy dobrymi, jak kapitan Lennart! — mówili — Chcemy być dobrzy, dobrze o wszystkich myśleć i nie krzywdzić nikogo. To przyspieszy królestwo boże na ziemi.

Wszyscy owiani byli tym duchem. Po dworach żywiono bezpłatnie biednych, kto miał jakieś roboty do wykonania, rozpoczynał je teraz właśnie, a w siedmiu hutach majorowej praca szła całą parą. Nigdy nie było jej lepiej, niż podczas tej jazdy, gdy wciągała zimne powietrze w chore płuca. Zatrzymywała się przed każdą zagrodą, pytając o nowiny.

— Mieliśmy tu przez czas dłuższy wielką nędzę, — odpowiadano — ale panowie z Ekeby wspomagają nas. Zdziwi się pani majorowa, ujrzawszy, czego tam dokazali. Młyn jest na ukończeniu, a kuźnia idzie pełną parą.

Konieczność i wstrząsające przejścia odmieniły ich. Wiedziała, że to nie potrwa długo, ale miły jej był powrót do miejsca, gdzie jeden pomagał drugiemu, a wszyscy pragnęli być dobrymi. Majorowa uczuła,

że może przebaczyć kawalerom i podziękowała za to Bogu.

— Anno Lizo! — powiedziała — Ja, stara, siedzę tu, a jest mi, jakbym była już w drodze do nieba.

Gdy stanęła w Ekeby, wybiegli kawalerowie na spotkanie, ale nie mogli jej poznać, gdyż była tak łagodna i uprzejma, jak ich własna hrabina. Starsi, pamiętający dawne czasy, szeptali sobie, że... nie majorowa z Ekeby, ale Małgorzata Celsing powróciła.

Bardzo ich radowało, że taka łagodna i nie myśli o zemście, natomiast posmutnieli, widząc jak jest chora. Musiano ją zaraz zanieść do sypialni i położyć. Stojąc w progu, odwróciła się do nich i rzekła:

— Burza Pańska przeszła po kraju! Teraz wiem, że wyszło mu to na dobre!

Potem zawarły się drzwi i nie zobaczyli jej już.

Pragniemy zazwyczaj tyle powiedzieć umierającemu! Słowa cisną się na usta, gdy wiemy, że obok leży człowiek, którego uszy przestaną niebawem słyszeć na zawsze.

— Przyjacielu drogi! — radzibyśmy rzec — przebacz i wierz, mimo wszystko, że cię kochałem! Doprawdy, nie wiem, jak mogłem ci tyle przysporzyć troski za czasów wspólnej wędrówki naszej. Dziękuję ci za wszystką radość, jaką mi dałeś!

Takie słowa radzibyśmy mówić i inne jeszcze.

Ale majorowa miała wielką gorączkę i nie słyszała, co mówili kawalerowie. Czyż nie miała się nigdy już dowiedzieć, jak pracowali, jak podjęli dzieło ratunku Ekeby i jego sławy? Wszystko to, miałoż jej pozostać nieznanem?

Kawalerowie ruszyli do kuźni, gdzie robota stała dnia tego. Nakładli w piec węgla, surowca i przy-

sposobili wszystko do topienia. Kowale poszli świątkować, przeto kawalerowie stanęli sami do pracy. Niechby jeno majorowa dożyła chwili, kiedy młot zacznie walić, a dźwięk ten powie jej wszystko!

Zapadł mrok i noc nadeszła, a oni pracowali dalej, dziwując się, że oto znowu wigilja zastaje ich w kuźni. Wielki mistrz Kevenhüller, który kierował odbudową kuźni i silny kapitan Chrystjan Bergh stali przy piecu, doglądają stopu, Gösta i Juljusz nosili węgle, inni siedzieli na kowadle, pod wiszącym u góry wielkim młotem, lub na wózkach węglowych i sztabach żelaza. Löwenberg, mistyk, rozmawiał z wujem Eberhardem, siedzącym obok niego.

— Dziś w nocy umrze Sintram! — powiedział.

— Czemuż dziś właśnie?

— Wszakże pamiętasz umowę, zawartą przed rokiem? Ponieważ nie uczyniliśmy nic przeciw honorowi kawalerskiemu, przeto on przegrał sprawę.

— Jeśli wierzysz w takie rzeczy, to weź pod uwagę, żeśmy w niejednem uchybili honorowi kawalerskiemu. Opuściliśmy majorową, zaczęliśmy pracować, a w końcu Gösta złamał słowo, nie odbierając sobie życia.

— Myślałem o tem i sądzę, że się mylisz. Wzbronione nam były czyny drobiazgowe, skierowane ku osobistej korzyści, nie zaś te, jakich wymagała miłość, honor i zbawienie duszy. Sintram przegrał, mojem zdaniem. Jestem nawet tego pewny. Przez cały wieczór słyszałem brzęk jego janczarów, ale nie był to dźwięk zwyczajny, sądzę, że go ujrzymy niedługo tutaj.

Mały, stary człeczek wbił spojrzenie w otwarte drzwi kuźni i skrawek gwiazdami usianego nieba, widny przez nie. Po chwili zerwał się, szepcąc:

— Patrz! Tam! Nadchodzi chyłkiem! Stoi w drzwiach!

— Nic nie widać! — odparł filozof — Zmęczony jesteś, masz przywidzenia.

— Widziałem go wyraźnie na tle nieba. Miał długą wilczurę i futrzaną czapkę. Teraz znikł w ciemności. O, patrz, stoi pod piecem, tuż przy Chrystjanie, ale Chrystjan nie dostrzega go. Schyla się i rzuca coś w ogień. Hu! Jakiż obrzydliwy! Baczność! Baczność!...

W tej chwili huknęło, a skry posypały się z pieca na kuźnię i kawalerów. Ale żaden nie poniósł szwanku.

— Chciał się zemścić! — szepnął Löwenberg.

— Oszalałeś, widzę! — zawołał Eberhard — Sądzę, że powinienbyś dać już pokój tym rzeczom!

— Można tak myśleć i chcieć tego, ale to nic nie pomoże! O, patrz, stoi tam na belce i wykrzywia się nam. Dalibóg, zdaje mi się, że odpina młot.

Skoczył z kowadła, pociągając za sobą Eberharda. W tej samej chwili opadł młot z hukiem na kowadło. Odpięła się widocznie jedna z klamer, a obaj z wielką biedą uniknęli śmierci.

— Widzisz sam, że nie ma już nad nami władzy! — triumfował Löwenberg — Ale mści się, to rzecz jasna!

Krzyknął Göście:

— Idźże do kobiet, Gösto! Może i im też się pokazać zechce. Nie nawykły, jak ja, do tego widoku i mogłyby się przestraszyć. Ale strzeż się, nie lubi cię, a z powodu złamania ślubu może mieć jeszcze nad tobą władzę. Trudno to odgadnąć!

Dowiedziano się potem, że Löwenberg miał słuszność, a Sintram zmarł tejże właśnie nocy wigilijnej.

Podobno obwiesił się w więzieniu, ale wedle innych pogłosek służba więzienna uśmierciła go potajemnie, gdyż śledztwo wypadło na jego korzyść, a nie sposób było dopuścić go do władzy nad okręgiem. Inni głosili, że czarny jegomość zajechał czarną karetą i takiemiż końmi pod więzienie i porwał go. Nietylko Löwenbergowi pokazywał się tej nocy. Widziano go we Forsie, widziała go też we śnie Ulryka Dillner. Wielu ludzi twierdziło, że im się pokazywał, aż do czasu, kiedy Ulryka pochowała jego zwłoki na cmentarzu broeńskim. Odtąd już nie straszy.

Opowiadano też, że zanim Gösta zdążył dojść do dworu, przybył tam jakiś nieznajomy i oddał list, skierowany do majorowej. Nikt nie znał posłańca, a list położono na stoliku, przy jej łóżku. Zaraz potem nastąpiło niespodziane polepszenie jej stanu, gorączka spadła, ból ustał i uczuła się dość silną, by list przeczytać.

Starzy ludzie wyrazili zdanie, że to polepszenie było dziełem mocy piekielnych, gdyż Sintramowi i jego przyjaciołom mogło zależeć na tem, by majorowa poznała treść listu.

Był to dokument pisany krwią, na czarnym papierze. Poznaliby go pewnie kawalerowie, gdyż spisany został rok temu, w kuźni, wigilijnej nocy.

Majorowa leżała, czytając. Dowiedziała się, że jest czarownicą i wysyła kawalerów do piekła, a przeto zostaje skazaną na utratę Ekeby. Te i dalsze głupstwa odczytała dokładnie, zbadała datę i podpisy. Przy podpisie Gösty znalazła taką uwagę: Podpisuję ten dokument, albowiem majorowa skorzystała z mej słabości i przeszkadzając mi we wzięciu się do uczciwej pracy, zrobiła mnie rezydentem w Ekeby.

Pozatem uczyniła mnie mordercą Ebby Dohna, mówiąc jej, że zostałem wypędzony z plebanji.

Majorowa złożyła powoli dokument i wsunęła go w kopertę, potem leżała nieruchoma i dumała nad treścią dokumentu. Z wielką goryczą serca przyznać musiała, że taką miała opinję u ogółu mieszkańców. Czarownicą i wspólniczką djabła była w przekonaniu tych wszystkich, którym świadczyła dobrodziejstwa, którym dawała pracę i chleb. Taka była jej nagroda, taka zapłata. Wiarołomna żona nie mogła się spodziewać niczego innego.

Nic sobie nie robiła z ciemnych mas i nic z tymi ludźmi jej nie łączyło. Ale czemuż tak ją osądzili kawalerowie, którzy żyli z jej łaski, znali ją dobrze? Czemuż udali, że wierzą w to, by mieć pretekst do przywłaszczenia sobie Ekeby? Zakotłowały jej w głowie myśli, a przedrażniona gorączką, zawrzała gniewem i snuć zaczęła plany zemsty. Kazała córce proboszcza, która wraz z hrabiną Elżbietą nad nią czuwała, posłać do Högforsu, po zarządcę dóbr i inspektora. Postanowiła spisać testament.

Potem zaczęła rozmyślać dalej. Brwi się ściągnęły, a twarz wykrzywił straszny ból.

— Pani majorowa, widzę, bardzo chora! — szepnęła Elżbieta.

— To prawda, bardziej chora, niż przedtem.

Milczała chwilę, potem rzekła głosem twardym, szorstkim:

— Dziwi mnie, gdy pomyślę, że także i hrabina Elżbieta, którą wszyscy kochają, jest wiarołomną żoną.

Elżbieta zadrżała.

— Tak... wprawdzie nie czynem, ale w myśli i pragnieniu. Ale to sprawy nie zmienia.

— Wiem o tem, pani majorowo!

— A mimoto jesteś teraz szczęśliwą, możesz posiadać bez grzechu człowieka, którego kochasz. Czarne widmo nie staje pomiędzy wami, możecie nawet w oczach świata być połączeni i kroczyć razem drogą życia.

— Tak jest, droga pani!

— Jakże śmiesz żyć z nim? — krzyknęła majorowa, z wzrastającą gwałtownością — Pokutuj! Pokutuj, póki czas! Wracaj do domu, do rodziców, zanim przyjadą tu, by rzucić na ciebie klątwę! Jak śmiesz zwać Göstę Berlinga mężem swoim? Opuść go! Dam mu Ekeby, wyposażę w potęgę wielką... Czyż się ośmielisz dzielić z nim szczęście, zaszczyty i władzę? Czyż masz odwagę przyjąć szczęście i cześć? Ja ją miałam. Czy wiesz jak na tem wyszłam? Wszak pamiętasz więzienie w Munkerudzie?

— Ach, pani majorowo, — odparła — nam obojgu szczęście nie przyświeca. Ja sama czuwam nad tem, by szczęście nie miało przystępu do naszego ogniska. Proszę, wierz mi pani, że tęsknię za domem, za opieką rodziny, ale muszę tu pozostać, drżąc ciągle i dręcząc się tą świadomością, że wszystko co czynię powoduje grzech i troskę, że pomagając jednym, szkodzę niechybnie innym. Za słaba i zbyt nieudolna jestem, by żyć na ziemi. albowiem wiąże może obowiązek pokuty wieczystej.

— Takiemi myślami oszukujemy serca nasze! — zawołała majorowa — Ale to słabość! Nie chcesz odjechać, gdyż nie chcesz go porzucić!

Zanim hrabina zdołała odpowiedzieć, wszedł Gösta.

— Pójdź tu, Gösto! — rozkazała majorowa jeszcze ostrzejszym głosem. — Pójdź tu Gösto, którego sławi cała okolica i który chcesz być po śmierci zwany zbawcą ludu. Dowiedz się o losach starej majorowej, którą wygnałeś, opuszczoną i samotną na gościniec.

Naprzód opowiem ci, co mnie spotkało z wiosną u matki, potem dowiesz się końca historji.

W marcu dotarłam do dworu w losach elfdalskich. Wyglądałam na żebraczkę. Gdym przyszła, powiedziano mi, że matka jest w mleczarni. Poszłam tam i stałam długo przy drzwiach. Wokoło, na półkach ściennych, stały błyszczące, miedziane misy z mlekiem. Matka, licząca przeszło dziewięćdziesiąt lat, zdejmowała jedną po drugiej i zbierała śmietanę. Krzątała się żywo, ale spostrzegłam, że z trudnością sięga po misy. Nie wiedziałam, czy mnie spostrzegła, ale po chwili rzekła ostrym głosem:

— Widzę, że się z tobą stało tak, jak przepowiedziałam.

Chciałam mówić, prosić o przebaczenie, ale byłoby to daremne, gdyż była głucha jak pień. Po chwili rzekła znowu:

— Możesz mi pomagać.

Podeszłam i zaczęłam zbierać śmietanę. Zdejmowałam misy jak trzeba, po kolei, zanurzałam w miarę głęboko warzechę i stawiałam misy z powrotem na miejsce. Za nic nie pozwoliłaby żadnej ze służebnych zbierać śmietany, ja zaś wiedziałam z dawnych czasów, jak jej dogodzić.

— Od dziś możesz wziąć się do tej roboty! — powiedziała, a ja byłam już teraz pewna, że mi przebaczyła.

Potem nagle osłabła, tak że nie mogła już pracować. Całemi dniami drzemała w fotelu. Zmarła kilka tygodni przed Bożem Narodzeniem. Byłabym chętnie wróciła wcześniej, Gösto, ale trudno mi było opuścić starowinę.

Zamilkła, oddychając ciężko, po chwili jednak zebrała siły i podjęła na nowo.

— Prawdą jest, Gösto, że chciałam cię mieć tu, w Ekeby. Już tak jest, że wszyscy pragną twego towarzystwa. Gdybyś mógł był zostać porządnym człowiekiem, byłabym cię wyposażyła w wielką władzę. Zawsze pragnęłam, byś dostał dobrą żonę. Zrazu myślałam o Marjannię Sinclaire, wiedząc, że cię kochała, wówczas jeszcze, gdyś był rębaczem w lesie. Potem zwróciłam uwagę na Ebbę Dohna, pojechałam do Borgu i powiedziałam jej, że jeśli za ciebie wyjdzie, zamianuję cię spadkobiercą Ekeby. Przebacz, jeślim źle postąpiła.

Gösta padł na kolana przy jej łóżku, oparł głowę o krawędź i jęczał głucho.

— Powiedz mi, Gösto, jak dalej żyć zamierzasz i z czego chcesz żyć z żoną? Powiedz mi, wiesz przecież, żem zawsze pragnęła twego dobra.

Gösta odpowiedział uśmiechając się, chociaż serce mu pękało z bolu:

— W dawnych czasach, kiedy usiłowałem zostać robotnikiem w Borgu, podarowałaś mi, pani majorowo, dom i posiadam go do dziś. Jesienią wyporządziłem go, przy pomocy Löwenberga, pomalowaliśmy stropy i wytapetowali ściany. Tylny pokoik

nazwał Löwenberg gabinetem hrabiny i umeblował sprzętami z różnych dworków, kupionemi na licytacjach. Są tam fotele z wysokiem oparciem, skrzynie i kufry kute. W wielkim pokoju, od frontu, stoi warsztat tkacki Elżbiety i moja tokarnia. Jest tam także trochę sprzętów domowych. W tym pokoju siadywaliśmy nieraz długo, rozmawiając, jak to hrabina zamieszka w domku robotnika. Żona moja dowiedziała się o tem w tej chwili, pani majorowo. Chciałem ją zawiadomić o wszystkiem dopiero w dniu opuszczenia Ekeby.

— Mów dalej, Gösto!

— Löwenberg wspominał często, że koniecznie musimy mieć służącą. Latem jest tu przepięknie, mawiał, ale w zimie czułaby się młoda kobieta zbyt samotną. Musisz wziąć tedy służącą, Gösto! Przyznawałem mu rację, ale nie wiedziałem, skąd wziąć na to środki. Pewnego dnia przywlókł Löwenberg swój stół z malowanemi klawiszami. Spytałem, żartem, czy ma zamiar zostać naszą służącą. Odrzekł, że przyda nam się, bo chyba nie chcę, by żona moja gotowała sama obiad i nosiła wodę, oraz drzewo. Odparłem, że nie chcę, by pracowała, jak długo posiadam zdrowe ręce. Zauważył, że jeszcze nam lepiej pójdzie we dwu, ona zaś będzie mogła siedzieć przez cały dzień przy kominku, z haftem w rękach. Oświadczył, że nie mam pojęcia, ile obsługi potrzebuje taka mała, delikatna kobietka.

— Mów dalej, Gösto! — rzekła majorowa — To mi łagodzi ból. Ale czy sądzisz, że młoda hrabina może mieszkać w domu robotnika?

Zdziwił go drwiący ton, jakim to powiedziała, ale mówił dalej:

— Ach, pani majorowo! Nie śmiałem w to wierzyć, ale gdyby się zdecydowała, byłbym szczęśliwy. Trzeba stąd jechać pięć mil po lekarza. Ona jest tak zręczna i dobra, że miałaby dość zajęcia w opatrywaniu ran i leczeniu gorączki. Pewny jestem, że wszyscy znaleźliby drogę do wykwintnej damy w robotniczym domku. Dużo jest niedoli u biedaków, której ulżyć można dobrem słowem i życzliwą poradą.

— A cóż będziesz robił ty sam, Gösto?

— Znajdę dość roboty, uprawiając stolarkę i tocząc. Muszę zacząć życie własne. Jeśli żona moja nie zechce iść ze mną przez życie, muszę na to przystać. Ale nie skusiłyby mnie już teraz wszystkie bogactwa świata, chcę i muszę żyć życiem własnem. Zostanę biednym, pośród biednych i będę im pomagał wedle sił. Potrzebują kogoś, ktoby im przygrawał na weselach, pisał listy do synów w obczyźnie, a ja to potrafię. Ale przedewszystkiem muszę być biedny, pani majorowo!

— Smutne będzie życie wasze!

— O nie, pani majorowo, nie będzie smutne, jeśli tylko trzymać się będziemy razem. Bogaci przyjdą do nas, na równi z biedakami i radości dość będzie w naszym, małym domku. Goście nie obrażą się tem, że jadło będzie przyrządzane w ich oczach i nie zrazi ich to, że jeść będą zmuszeni po dwu z jednego talerza.

— A jakież oddasz tem korzyści, jakie osiągniesz zaszczyty, Gösto?

— Starczy mi tego zaszczytu, jeśli biedacy zachowają wspomnienie o mnie przez parę lat po śmierci mojej. Korzyść będzie dostateczna, jeśli przy każdej

chacie zasadzę parę jabłonek, jeśli wyuczę grajka kilku starych melodji, a pasterza na leśnej polanie kilku pięknych śpiewek. Proszę wierzyć, pani majorowo, jestem ten sam, co dawniej, szalony Gösta. Wiem jeno teraz, że mogę zostać jedynie muzykusem i na tem poprzestaję. Dużo rzeczy muszę naprawić, ale płacz i skrucha, to sprawy nie moje! Chcę dać radość biedakom i w tem upatruję pokutę swoją!

— Gösto! powiedziała majorowa — Życie takie nie odpowiada zdolnościom twoim! Dam ci Ekeby!

— Ach, pani majorowo! — zawołał przerażony — Proszę, nie czyń mnie bogatym! Nie obciążaj mnie obowiązkami i nie odrywaj od biedaków!

— Dam Ekeby tobie i kawalerom! — powtórzyła — Jesteś przepyszny człowiek i błogosławi cię lud. Powiadam jak matka moja: — Od dziś możesz wziąć się do tej roboty!

— Nie, pani majorowo, nie możemy przyjąć tego daru, my, którzyśmy zapoznali panią i tylu nabawili cierpień!

— Dam wam Ekeby! Słyszysz? — powtórzyła ostro, twardo, bez śladu życzliwości.

Ogarnął go wielki strach.

— Nie przywódź pani tych starców na pokuszenie! — poprosił, — Staliby się rozwiązłymi pijakami! Bogaci kawalerowie? Boże wielki, w cóżbyśmy się obrócili?

— Dam więc tobie, Gösto, Ekeby, ale musisz mi przyrzec, że zwrócisz wolność żonie swojej. Taka delikatna, wytworna dama nie odpowiada ci wcale. Zbyt wiele wycierpiała w niedźwiedzim kraju i tęskni za świetlaną ojczyzną swoją. Pozwól jej odjechać, a dam ci zato Ekeby!

Teraz jednak uklękła przy łóżku Elżbieta i jęła mówić:

— Już nie tęsknię za ojczyzną, pani majorowo! Ten, który jest mężem moim, rozwiązał zagadnienie i znalazł życie, którem i ja żyć mogę. Nie potrzebuję kroczyć obok niego chłodna, surowa i nakłaniać go do pokuty. Ubóstwo i niedostatek uczynią to same. Mogę bez grzechu chodzić ścieżkami, które wiodą do biednych i chorych. Nie strach mi już życia na północy. Ale nie czyń go pani bogatym, gdyż nie mogłabym z nim zostać.

Majorowa usiadła i zawołała, grożąc im pięścią:

— Całego szczęścia chcecie dla siebie, całego szczęścia i całej troski! Nie! Kawalerowie dostaną Ekeby ku zgubie swojej. Rozdzielę męża i żonę, by zginęli oboje marnie! Jestem czarownica, wspólniczka djabła! Chcę was podjudzić do wszelakiego zła! Chcę być taką, jaką jest opinja moja!

Cisnęła list Göście w twarz. Czarny papier zatrzepotał się w powietrzu i spadł. Gösta znał go dobrze.

— Zgrzeszyłeś przeciw mnie, Gösto! Zapoznałeś tę, która ci była drugą matką. Czyż się ośmielisz nie przyjąć kary z ręki mojej! Musisz wziąć Ekeby, które ci się stanie zgubą, gdyż jesteś słaby. Musisz odesłać żonę do domu, byś nie miał nikogo, ktoby cię mógł uratować. Musisz umrzeć znienawidzony, jak ja umieram. Powiedzą po śmierci Małgorzaty Celsing, że była czarownicą i wspólniczką djabła, a tobie zaś, żeś był marnotrawcą i katem chłopów!

Opadła na poduszki i cisza zaległa w pokoju. Nagle zahuczało w nocnej ciszy potężne uderzenie.

Po niem drugie i trzecie. Wielki młot dźwigniowy zaczął dzieło swoje.

— Słuchajcie! rzekł Gösta — Tak brzmi pośmiertna sława Małgorzaty Celsing! To nie są żarty kawalerów pijanych, to hymn zwycięski pracy, zaintonowany ku czci starej, wiernej pracownicy. Dzięki, powiada on, dzięki za możność pracy, dzięki za chleb, który dawałaś biednym, dzięki za drogi, które budowałaś, dzięki za mieszkania wznoszone, dzięki za radość, którą przyjęłaś w dom swój! Dzięki ci, powiada hymn, spocznij w pokoju, a dzieło twoje żyć będzie i trwać. Dom twój pozostanie nadal przybytkiem dającej szczęście pracy! Przyjm dzięki i nie potępiaj nas, którzyśmy błądzili i zachowaj o nas życzliwe wspomnienie, odlatując w dziedzinę wieczystego pokoju.

Gösta umilkł, ale młot śpiewał dalej, a wszystkie głosy, jakie słyszała majorowa w podróży, zmieszały się w jeden wielki akord z hukiem młota. Rysy jej rozpogadzały się zwolna, nabierały miękkiego wyrazu i zdawało się, że śmierć zaczyna ją obejmować cieniem swoim.

Weszła Anna Liza zawiadamiając, że przybyli panowie z Högforsu, ale majorowa kazała ich odprawić. Nie chciała robić już testamentu.

— Gösto Berlingu, człowieku czynu, — powiedziała — zwyciężyłeś raz jeszcze! Nachyl się, bym cię mogła pobłogosławić.

Gorączka wróciła ze zdwojoną siłą. Zaczęło się konanie. Ciało musiało niejedną jeszcze stoczyć walkę, ale dusza przestała to niebawem odczuwać, zapatrzona w niebo, otwarte umierającym.

Godzinę trwała jeszcze ciężka walka, poczem majorowa legła spokojna, cicha i tak piękna, że obecni doznali głębokiego wzruszenia.

— Droga moja, kochana majorowo! — rzekł Gösta — Widziałem cię już raz taką! Wróciła, zaiste, do życia Małgorzata Celsing i nigdy już majorowej z Ekeby miejsca nie ustąpi.

— — — — — — — — — — — —

Wróciwszy z kuźni, dowiedzieli się kawalerowie o śmierci majorowej.

— Czy słyszała młot? — zapytali.

Słyszała. Musieli na tem poprzestać.

Potem dowiedzieli się, że im chciała zapisać Ekeby, ale testament nie doszedł do skutku. Uznali to za zaszczyt wielki i chlubili się tem do końca życia. Nigdy natomiast nie żalili się na utratę bogactwa.

Powiadają jeszcze, że tejże nocy wigilijnej Gösta Berling, z małżonką u boku, wygłosił do kawalerów ostatnią mowę. Wyraził żal, iż muszą opuścić Ekeby i że im się da we znaki słabość starości. Starzec i człowiek smutny doznaje chłodnego przyjęcia wszędzie. Biedny kawaler, będący na stancji u chłopa, odcięty od uciech i przygód, więdnie i usycha w samotności.

Tak mówił do beztroskich ludzi, zahartowanych zmiennemi losami. Raz jeszcze nazwał ich bogami i rycerzami, którzy zjawili się, by wprowadzić radość w kraj żelaza i żelazną epokę, ale żalił się, że ogród, w którym polata motyl uciechy, nawiedziły niszczące larwy, tak że owoc pójdzie na marne.

Oświadczył, że radość jest dobrem nieocenionem dla dzieci tej ziemi, ale obok tego nie przestaje nie-

pokoić człowieka zagadnienie, jakby można być szczęśliwym i dobrym jednocześnie. Jest to rzecz najłatwiejsza i najtrudniejsza zarazem. I oni nie zdołali też rozwiązać dotąd zagadki, teraz atoli potrafią to uczynić, po przeżyciach radości i smutku, szczęścia i trosk, jakie im przyniósł rok ostatni.

— — — — — — — — — — — —

Ach drodzy moi kawalerowie, teraz mnie przypada gorycz rozłąki z wami! Ostatnią to noc przeczuwaliśmy ze sobą. Nie posłyszę już wesołego śmiechu i pieśni ochoczej. Muszę się z wami rozłączyć i z wszystkimi mieszkańcami wybrzeży Löffenu.

Drodzy staruszkowie! Otrzymałam od was dary cenne. Przybyliście do samotnicy, z wieścią o przedziwnych kolejach życia. Widziałam wasze walki bohaterskie, stoczone nad jeziorem dziecięctwa mego. Cóż zaś dałam wam, ja?

Ucieszy was może, że połączyłam imiona wasze z miejscami drogiemi sercu. Niechże cały blask życia waszego opromieni ten kraj, gdzieście przebywali! Istnieje dotąd Borg, Björne i Ekeby nad Löffenem, pośród wodospadu, jeziora, parku, i roześmianych polan leśnych, a gdy stanąć na szerokiej terasie, nadlatują legendy i krążą wokół, niby pszczoły lata.

Wspomniałam o pszczołach, przeto pozwólcież, że opowiem krótką historyjkę. Mały Ruster, który jako dobosz maszerował w roku 1813 do Niemiec, na czele armji szwedzkiej, nie mógł się za powrotem dość naopowiadać o rozkosznych, południowych krajach. Mówił, że ludzie są tam wielcy, jak wieże kościelne, jaskółki jak orły, a pszczoły mają wielkość gęsi.

— Jakież tedy muszą być ule?

— Ule mają, oczywiście, wielkość zwyczajnych ulów.

— Jakże mogą się w nich tedy pomieścić pszczoły?

— A, to już ich własna sprawa! — odpowiedział mały Ruster.

Drodzy czytelnicy, czy nie wolno mi tak samo odpowiedzieć? Otaczały nas tutaj długo olbrzymie pszczoły wyobraźni. Jakże je atoli pomieścić w ulu rzeczywistości? Ach, to, zaprawdę, już ich własna sprawa...

KONIEC.

WYDAWNICTWO POLSKIE
SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ
LWÓW
ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15.
POZNAŃ
ULICA ZWIERZYNIECKĄ L. 6.

PROSPEKT

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA. STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała bibljoteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA" jest pierwszem tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczem w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
„ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
„ III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON SYNNÖVE SOLBAKKEN — [MARSZ WESELNY
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI- [GNARDA
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU- [SZY — ZBŁĄKANE PTAKI
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEŁ DOMOWEGO OGNISKA
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
„ XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI [BENGALU.
„ XVII. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
„ XIX. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP. — POWIEŚĆ.
„ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.

Tom XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.
„ XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA — POWIEŚĆ.
„ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS POETYCZNY.
„ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — TOMASZ RENDALEN — POWIEŚĆ.
„ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I. ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.
„ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS POWIEŚĆ.
„ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II. LATO — POWIEŚĆ.

W dalszym ciągu pojawią się następujące tomy:

KNUT HAMSUN — WIKTORJA — POWIEŚĆ.
KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK — POWIEŚĆ.
PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI — NOWELE WŁOSKIE.
SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.
ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — POWIEŚĆ.
GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC — POWIEŚĆ.
MAURYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE.

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE
Sp. z egr. por.
w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.